



ALLISON PEARSON NIE WIEM, JAK ONA TO ROBI

Z angielskiego przełożył JACEK MANICKI



Drożej Evie

TLR

Żonglerka: **1** popisywanie się zręcznością, zwłaszcza poprzez podrzucanie w powietrze i chwytanie kilku przedmiotów naraz obu rękami, tak aby żadnego nie upuścić; **2** wykonywanie kilku czynności jednocześnie, zwłaszcza z wprawą; **3 a)** zwodzenie albo oszukiwanie; **b)** przeinaczanie (faktów); **c)** zręczne manipulowanie; **1** rekwizytem do żonglowania; **2** faktami.

Concise Oxford Dictionary

TLR

*Kółka autobusu kręcą się i kręcą, Kręcą i kręcą, kręcą i kręcą,
Kółka autobusu kręcą się i kręcą, I tak przez cały dzień.*

*Dzidziusie w autobusie krzyczą Łaa Łaa Łaa,
Łaa Łaa Łaa, Łaa Łaa Łaa,
Dzidziusie w autobusie krzyczą Łaa Łaa Łaa,
I tak przez cały dzień.*

Mamusie w autobusie syczą Cii Cii Cii, Cii Cii Cii, Cii Cii Cii,

Mamusie w autobusie syczą Cii Cii Cii,

I tak przez cały dzień.

Piosenka dziecięca

TLR

Część pierwsza

1

TLR

Dom

Godz. 1.27

Co ja tu robię? Czy ktoś byłby mi to łaskaw powiedzieć? Nie, nie w tej kuchni, co ja robię na tym świecie. Głucha noc, dzisiaj w przedszkolu jest koncert koled, a ja modeluję babeczki z leguminą. Chwileczkę, żebyśmy się dobrze zrozumieli — ja deformuję babeczki z leguminą, a to czynność wymagająca o wicie większego skupienia i finezji.

Wyrzucam do kubła na śmieci luksusowe opakowanie ze sklepu Sainsbury, wydłubuję babeczki z foliowych foremek, kładę kolejno na desce do krojenia i postukuję wałkiem w ich niewinne, umączone bużki. To nie takie proste, jak by się z pozoru mogło wydawać. Jeśli uderzyć za mocno, babeczka się rozkruszy, rozciapcia i wypłynie z niej całe nadzienie. Ale zdecydowanym uderzeniem z umiarkowaną siłą — taką, jaka wystarcza do rozgniecenia małego żuczka — można zapoczątkować proces swoistej erozji i nadać babeczce miły dla oka wygląd ciastka domowego wypieku. I to właśnie robię. Dom to oaza miłości i rodzinnego ciepła. W domu dobra matka piecze dla swoich dzieci.

A wszystko za sprawą listu, który dziesięć dni temu przyniosła z przedszkola Emily, listu przypiętego teraz magnesikiem do drzwiczek lodówki, listu z prośbą do rodziców, żeby w miarę możliwości wnieśli swój wkład w przygotowanie stosownych świątecznych przekąsek na gwiazdkowe przyjęcie, które tradycyjnie odbywa się po koledach. List jest wydrukowany jagodowym tuszem, a u dołu, obok podpisu panny Empson, widnieje skromnie uśmiechnięty bałwanek w garnku z uchami na głowie. Ale nie dajcie się zwieść pozornie lekkiemu tonowi prośby ani rządкови radosnych wykrzykników!!! O, nie. Listy z przedszkola pisane są szyfrem, szyfrem tak przebiegle wplecionym w tekst, że odcyfrować go

potrafi jedynie centrala kontrwywiadu albo matka, której poczucie winy spędza sen z powiek.

Weźmy na przykład słowo „rodzice”. Pisząc „rodzice”, przedszkole tak naprawdę ma na myśli tylko i wyłącznie matki. (Czy ojciec dysponujący żoną czyta kiedykolwiek listy z przedszkola? Teoretycznie jest to chyba możliwe, ale jeśli nawet zdarzy mu się jakiś przeczytać, to ponieważ i, dajmy na to, zaproszenie na przedszkolne przyjęcie jest już o dobre dziesięć dni przeterminowane). A „w miarę możliwości”? W miarę możliwości w nauczycielskim slangu znaczy: „Pod groźbą kary śmierci i/lub nieprzyjęcia twojego dziecka do szkoły podstawowej, którą dla niego wybierzesz”. Co do „stosownych świątecznych przekąsek”, to zdecydowanie nie mogą to być gotowe dania zakupione przez leniwą la-wirantkę w supermarkecie.

Skąd to wiem? Bo po dziś dzień pamiętam spojrzenia, jakie podczas obchodów Święta Plonów w siedemdziesiątym czwartym roku wymieniły między sobą moja matka z panią Frieda Davis, kiedy chłopczyk w wypłowiałej zielonej kurtce podszedł do ołtarza z dwiema puszkami konserwowych brzoskwiń w pudełku po butach. Te spojrzenia wryły mi się w pamięć. Mówiły: cóż to za żalosna flądra śmie dziękować Bogu za jego hojne dary blaszankami ze sklepiku na rogu, skoro naszemu Panu należy się co najmniej wyściełany celofanem kosz świeżutkich owoców. Albo wyplatany chleb. Chleb Ftedy Davis, niesiony uroczyście przez cały kościół przez jej bliźniaczki, spleciony był ciałniutko, jak warkocze hożej Niemki.

— Widzisz, Katharine — wyjaśniła mi później pani Davis, pociągając potężną nosem nad herbatnikami — są matki, które potrafią zadać sobie trochę trudu, takie jak twoja mamusia albo ja. I są osoby, którym... — kolejne przeciągłe pociągnięcie nosem — ...zwyczajnie się nie chce.

Wiedziałam, naturalnie, o jakie osoby jej chodzi. O Kobiety, Które Chodzą Na Skróty. Już w roku siedemdziesiątym czwartym zaczęto nazywać tak pogardliwie matki, które pracowały zawodowo. Kobiety, które do żakietów nosiły spodnie, a podobno nawet pozwalały oglądać swoim dzieciom telewizję, kiedy było jeszcze widno. Opinia wyrodných matek przyłgnęła do tych osobniczek jak kurz do ich lambrekinów.

I tak, zanim jeszcze dorosłam na tyle, by zrozumieć, co to znaczy być kobietą, wiedziałam już, że kobiety dzielą się na dwa rodzaje: na wzorowe matki — pełne poświęcenia wytwórczynie szarlotek i strażniczki domowego ogniska — oraz na te drugie. Teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, nie mam najmniejszych wątpliwości, do którego rodzaju się zaliczam, i chyba dlatego właśnie dzisiaj, 13 grudnia nad ranem, siedzę w kuchni i tłukę wałkiem babeczki z leguminą, żeby upodobnić je z grubsza do czegoś, co matka własnoręcznie upiekła. Kiedyś kobiety miały czas na pieczenie babeczek z leguminą, za to musiały udawać orgazm. Teraz potrafimy dochodzić do orgazmu, za to musimy podrabiać babeczki z leguminą. I to ma być postęp.

— Cholera. Jasna cholera. Gdzie ta Paula podziała sitko?

— Kate, a co ty tu robisz? Przecież już prawie druga nad ranem.

W progu kuchni, mrużąc oczy przed światłem, stoi Richard. Po dziecinnemu rozespany i rozczochrany Rich w wygniecionej piżamie. Rich z niezmiernymi pokładami angielskiego racjonalizmu i działającej na nerwy dobroci. Ślamazarny Richard, jak nazywa go moja amerykańska koleżanka Candy, bo tempo prac w jego firmie architektonicznej spadło niemal do zera, zabranie się do czegokolwiek zajmuje mu co najmniej pół godziny, i powtarza mi wciąż, żebym zwolniła tempo.

— Zwolnij, Kate, jesteś jak ta... no, jak to się nazywa? To w wesołym miasteczku, co wiruje i przypiera ludzi do muru, że aż piszcza?

—Siła odśrodkowa.

—To wiem. Ale jak się nazywa to urządzenie?

—Nie mam pojęcia. Beczka Śmierci?

—O właśnie.

Nic rozumiem, o co mu chodzi. Nie jestem aż tak ograniczona, żeby nic здаwać sobie sprawy z istnienia form rozrywki atrakcyjniejszych od urabiania po nocy babeczek z leguminą. Zmęczenie nurka głębinowego, podróż na samo dno zmęczenia; szczerze mówiąc, to uczucie nie opuszcza mnie od przyjścia na świat

Emily. Pięć lat w ołowianym pancerzu niewyspania. Ale jaką mam alternatywę? Pójść dzisiaj do przedszkola i bezczelnie rzucić na stół ze świątecznymi przekąskami pudełko wyborowych babeczek ze sklepu Sainsbury? Wtedy do Mamusi, Której Nigdy Nie Ma i Mamusi, Która Krzyczy Emily mogłaby dodać Mamusię, Której Się Nie Chce. Za dwadzieścia lat, na wieść, że moją córkę aresztowano na terenie pałacu Buckingham w trakcie próby porwania króla, głos zabierze psycholog kryminalny i powie: „Znajomi uważają, że problemy psychiczne Emily Shattock datują się od czasu przedszkolnego koncertu kolęd, na którym zaniebująca swoje obowiązki matka upokorzyła ją na oczach całego przedszkola”.

—Kate? Halo?

—Szukam sitka, Richardzie.

—Na co ci ono?

—Muszę posypać cukrem pudrem babeczki z leguminą.

—Dlaczego?

— Bo mają za bardzo jednolitą barwę i całe przedszkole pozna, że nie upiekłam ich sama.

Richard mruga powoli jak Stan Laurel postawiony w kolejnej nietypowej sytuacji.

—Nie pytam o cukier puder. Pytam, dlaczego siedzisz w kuchni, Katie, zwaśniowaś? Ledwie trzy godziny temu wróciłaś ze Stanów. Nikt od ciebie nie oczekuje przygotowywania czegokolwiek na ten koncert kolęd.

—Ja od siebie oczekuję. — Mnie samą zaskakuje gniew, z jakim to powiedziałam, i widzę, że Richard krzywi się. — Gdzie Paula upchnęła to przekłete sitko?

Rich jakby się nagle postarzał. Zmarszczka między jego brwiami — do tej pory wykrzyknik rozbawienia — nic wiedzieć kiedy pogłębiła się i rozszczepiła. Mój kochany, zabawny Richard, który kiedyś patrzył na mnie jak Dennis Ouaid na Ellen Barkin w *The Big Easy*, a teraz, po trzynastu latach partnerskiego mał-

żeństwa, patrzy na mnie jak królik doświadczalny na naukowca: świadomy, że takie eksperymenty może i muszą być prowadzone w imię rozwoju medycyny, ale mimo to błagający wzrokiem o wypuszczenie.

— Nic krzycz — wzdycha — pobudzisz je. — Pokazuje palcem na sufit. Tam, na górze śpią nasze dzieci. — Zresztą Paula nigdzie go nie schowała. Przystań ją o wszystko obwiniać, Kate. Sitko leży zawsze w szufladzie obok mikrofalówki.

— Nie, leży zawsze tutaj, w tym kredensie.

— Od siedemdziesiątego siódmego roku już nie. Kochanie, proszę cię, chodź do łóżka. Za pięć godzin musisz wstać.

Patrzę, jak Richard wchodzi po schodach, i najchętniej podążyłabym w jego ślady, ale nic mogę zostawić kuchni w tym stanie. Zwyczajnie nie mogę. Istne pobożowisko. Wszędzie walają się klocki lego, a dwie okaleczone lalki Barbie, jedna bez nóg, druga bez głowy, urządziły sobie coś w rodzaju pikniku na kocu w kratę, na którym znać jeszcze plamy z trawy po naszej ostatniej wrześniowej wycieczce na Primrose Hill. Na podłodze, obok pojemnika na warzywa, leży garść rodzynek; jestem przekonana, że to te same, które widziałam w tym samym miejscu przed wyjazdem. Pod moją nieobecność zaszły jednak pewne zmiany: w wielkiej szklanej misie na sosnowym stoliku obok drzwi do ogrodu przybyło pół tuzina jabłek, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby wyrzucić zepsute owoce. Brzoskwinie na spodzie zgniły i puściły gęsty bursztynowy śluz. Wrzucając je jedną po drugiej do kubła na śmieci, wzdrygam się za każdym razem z obrzydzenia. Po umyciu misy wycieram dokładnie każde jabłko z bursztynowego nacieku i wkładam je do niej z powrotem. Cała operacja trwa jakieś siedem minut. Następnie zabieram się do ścierania rozsyanego cukru pudru ze stalowego blatu i coś mi zaczyna cuchnąć. Wącham ściereczkę. Aż się lepi od brudu, wydziela słodko-mdlącą woń wody po zwiędłych kwiatach. Jak musiałyby zaśmiardnąć, żeby ktoś w tym domu raczył ją wreszcie wyrzucić?

Wciskam ściereczkę do przepelnionego kubła na śmieci i sięgam pod zlew po nową. Nowej nie ma. Oczywiście, że nie ma nowej, Kate, kto miał kupić nową, skoro ciebie nie było. Wygrzebuję starą ściereczkę z kubła na śmieci i płuczę ją

w gorącej wodzie z dodatkiem kropli dcttolu. Teraz pozostaje mi tylko przygotować skrzydła i aureolę dla Emily na rano.

Gaszę światło, ruszam w kierunku schodów i nagle zatrzymuję się jak wryta. Jeśli rano Paula zobaczy w kubie na śmieci opakowania po babeczkach, rozpowie wszystkim znajomym niańkom o moim wielkim babeczkowym szwindlu. O cholera. Wyjmuję z kubła opakowania, zawijam je we wczorajszą gazetę i wynoszę w wyciągniętych przed siebie rękach za drzwi. Patrzę w lewo, patrzę w prawo i upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje, wpycham zawiniątko do wielkiego czarnego worka stojącego przed domem. Teraz, pozbywszy się wszystkich dowodów winy, mogę ze spokojnym sumieniem pomaszerować za mężem do łóżka.

Przez okienko na podeście schodów widzę sierp księżyca rozpartego w swoim bujanym fotelu nad spowitym w grudniowej mgle Londynem. Nawet księżyc raz na miesiąc rozprostowuje nogi. Księżyc to, rzecz jasna, mężczyzna. Gdyby był kobietą, nie przysiadłby nawet na chwilę. Prawda?

*

Szczotkuję bez pośpiechu zęby. Przy każdym trzonowym liczę do dwudziestu. Jeśli wystarczająco długo posiedzę w łazience, Richard zaśnie i nie będzie się próbował do mnie dobierać. Jeśli uda mi się uniknąć spółkowania, to rano będę mogła sobie darować kąpiel. A jeśli daruję sobie kąpiel, będę miała czas na przeczytanie choćby części e-maili, których sporo musiało się pod moją nieobecność nazbierać, może nawet zdążę kupić po drodze do pracy kilka prezentów. Do świąt Bożego Narodzenia jeszcze tylko dziesięć dni handlowych, a ja znajduję się dopiero w posiadaniu dokładnie dziewięciu podarków, czyli muszę ich jeszcze skombinować dwanaście, plus drobne upominki do pończoch dla dzieci. Tymczasem wciąż nie nadchodzi przesyłka z KwikToy, wysyłkowego sklepu z upominkami, reklamującego się jako realizujący zamówienia od ręki.

—Kate, kładziesz się wreszcie? — woła z sypialni Rich. Głos ma senny. Dobra nasza. — Muszę z tobą o czymś porozmawiać, Kate.

—Za chwileczkę — rzucam w jego stronę. — Zajrzę tylko, czy wszystko u nich w porządku.

Wspinam się po schodach na drugie piętro. Przykrywający schody chodnik jest tak wystrzępiony, że krawędź każdego stopnia przypomina zjeżoną szczecinę. Tylko patrzeć, jak ktoś tu wywinie orła. Docieram do szczytu zdyszana, przeklinając w duchu te wysokie, wąskie londyńskie domy. Nieruchomieję pod drzwiami pokojów dzieci i wsłuchuję się w ich charakterystyczne oddechy — on pochrapuje jak prosiątko, ona wzdycha przez sen jak księżniczka.

Kiedy nie mogę zasnąć, a często mi się to zdarza, lubię wślizgnąć się do pokoju Bena, siadam wtedy na niebieskim krzeselku i patrzę na niego. Mogę tak godzinami. Dzisiaj leży na brzuszku, z rozrzuconymi rączkami, piąstki zaciśnięte, policzek wtulony w szpetnego kangura, którego sobie upodobał; półka pełna najrozkoszniej szych pluszowych zwierzątek dostępnych na rynku zabawek, a on co? On na obiekt swojego uwielbienia wybrał zezowatego torbacza z przeceny. Ben nic potrafi nam jeszcze powiedzieć, że jest już zmęczony i mówi po prostu Ur. Nie zaśnie bez Ura, bo Ur to dla niego synonim snu.

Nic widziałam synka od czterech dni. Czterech dni i trzech nocy. Najpierw była podróż do Sztokholmu na rozmowę z pewnym nerwowym klientem, potem z biura zadzwonił Rod Task i kazał mi lecieć prosto stamtąd do Nowego Jorku z misją ugłaskania starego klienta, który zżyma się, że zbyt wiele czasu poświęcam nowemu klientowi.

Benjamin nigdy nie ma mi za złe moich wyjazdów. Jest na to jeszcze za mały. Wita mnie zawsze z bezinteresowną radością, młócąc powietrze ramionkami jak wiatrak. Co innego jego siostra. Emily ma pięć lat i swoje już wie. Na powrót mamusi ma zawsze przygotowaną serię wyrafinowanych przytyków i kar.

—Paula już mi to czytała.

—Ale ja chcę, żeby tatuś mnie wykapał.

Śmiem twierdzić, że Królowa Matka cieplej witała Wallis Simpson*¹ niż Emily mnie, kiedy wracam z podróży służbowej. Znoszę to jednak dzielnie. Serce mi się ściska, ale znoszę. Chyba podświadomie uważam, że sobie na to zasłużyłam.

Zostawiam pochrapującego cicho Bena i popycham lekko drzwi drugiej sypialni. Moja córeczka śpi skąpana w żółtym świetle nocnej lampki, śpi tak, jak najbardziej lubi — zupełnie nago. (Ubrania, o ile nie jest to suknia panny młodej albo strój księżniczki, wciąż ją drażnią). Kiedy okrywam ją kołdrą, kopie protestacyjnie nóżkami jak laboratoryjna żabka. Od niemowlęctwa nie lubi spać pod przykryciem. Kiedyś kupiłam jej zapinany na zamek błyskawiczny becik, ale dopóty się w nim rzucała, wydymając przy tym policzki jak Bóg Wiatru z narożnika starych map, dopóki nie uznałam się za pokonaną i go nie wyrzuciłam. Nawet podczas snu, kiedy buzia mojej córeczki jest słodko zarumieniona, w oczy rzuca się wojowniczo wystawiona bródka. Ostatnio przyniosła z przedszkola uwagę w dzienniczku o treści: „Emily jest dziewczynką bardzo ambitną i powinna się nauczyć przegrywać z większą pokorą”.

— Przypomina ci to kogoś, Kate? — spytał Richard i wydał ten pisk nadeptanego szczeniaczka, który ostatnio opanował.

Od roku próbuję wyjaśniać córeczce — wmawiam sobie, że jest już wystarczająco mądra, by to zrozumieć — dlaczego mamusia musi chodzić do pracy. Bo mamusia i tatuś potrzebują pieniążków na opłacenie domu i wszystkich rzeczy, które ona lubi, takich jak lekcje baletu i wyjazdy na wakacje. Bo mama ma pracę, na której się zna, i to naprawdę ważne, żeby pracowali nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Za każdym razem taki wykład osiąga swoją kulminację — fanfary, chóry, powiewanie flagami — i zapewniam Emily, że zrozumie to wszystko, kiedy dorośnie i sama będzie chciała robić coś ciekawego.

¹ * Wallis Simpson, Amerykanka i rozwódka, dla której Edward VIII abdykował na rzecz swojego brata Jerzego VI, małżonka Królowej Matki, przyp. red.

Niestety, zasada równych szans obowiązująca od dawna w liberalnych zachodnich społeczeństwach, nic przystaje zupełnie do fundamentalistycznych poglądów pięciolatki. Boga nic ma, jest tylko Mamusia, a jej prorokiem jest Tatus.

Rankiem, kiedy szykuję się do wyjścia, Emily zadaje w kółko to samo pytanie z taką natarczywością, że w końcu mam ochotę ją uderzyć, a potem, przez całą drogę do pracy, chce mi się płakać, że miałam ochotę ją uderzyć.

— Położysz mnie dzisiaj do łóżka? Mamusia położy mnie dzisiaj do łóżka? Położysz? Kto położy mnie dzisiaj do łóżka? Ty, mamusiu, ty?

Wiecie, na ile sposobów można mówić nie, nie używając słowa „nie”? Ja wiem.

Do zapamiętania

Anielskie skrzydła. Zamówić nowy chodnik na schody. Wyjąć z lodówki lasagne na sobotni lunch. Kupić papierowe ręczniki, pastę do szorowania, prezent i kartkę na urodzinowe przyjęcie Harry'ego. Ile lat ma Harry? Pięć? Sześć? Zdążyć na czas z napełnieniem szuflady prezentami, jak na wzorową matkę przystało. Kupić choinkę i stylowe lampki choinkowe reklamowane w Telegraph (Selfridges czy Habitat? Nie pamiętam. Cholera). Łapówka/prezent dla niani (bilet na Eurostar? Kopertówka? Jakiś ciuszek?). Emily chce dostać siusiającą lalkę (po moim trupie). Prezent dla Richarda (degustacja wina? Arsenal? Piżama?), książka dla teściów — Zaginione ogrody Gdzieś tam? Poprosić Richarda o odebranie prania z pralni. Co włożyć na przyjęcie w bawelnie? Ta czarna aksamitna już za ciasna. NATYCHMIAST przestać jeść. Liliowe siatkowe pończochy. Na krem do depilacji nóg nie ma czasu, ogolić. Zapisać się na masaż rozluźniający. Bóle u dole bi~zueha! Zapas pigulek!!! Babka z lukrem. Żurawiny. Minikiełbaski. Znaczki na kartki pocztowe drugiej klasy x 40. Prezent dla nauczycielki E. ? I żeby nie wiem co, odzwyczaić Bena od smoczka przed świętami u teściów. Pogonić Kwik Toy, niesolidny wysyłkowy sklep z prezentami. Zrobić sobie badanie wymazu. Wino, gin. Vin santo. Zadzwoić do mamy. Gdzie ja podziałam przepis na gęś Simona Hopkinsona? Farsz? Chomik???

Praca

Godz. 6.37

— Oj, pokaż, co przywiozłaś. Oj, pokaż, co przywiozłaś. Oj, pokaż, co przywiozłaś! — Jestem głaskana, szarpana, a kiedy to nie odnosi skutku, budzona przez Emily bożonarodzeniową kolędą. Stoi po mojej stronie łóżka i chce koniecznie wiedzieć, gdzie jest prezent. „Nie możesz kupować ich miłości” — mawia moja teściowa, która, jak nietrudno się domyślić, nigdy nie szastała w tym celu pieniędzmi.

Próbowałam raz wrócić z podróży służbowej z pustymi rękami, ale złamałam się już w drodze z Heathrow i kazałam się zatrzymać taksówkarzowi przed sklepem z zabawkami. Emily ma już kolekcję lalek Barbie z całego świata, wszystkie w opłakanym stanie. Flamenco Barbie, AC Milan Barbie (w stroju piłkarskim i w piłkarskich korkach), Barbie Tajka — giętka figlarka, która potrafi zrobić mostek i skłon w przód, oraz egzemplarz, który Richard nazywa Klausem Barbie — dorodna uberblondyna o pustych błękitnych oczkach, w bryczesach i czarnych oficerkach.

— Mamusiu — mówi Emily, taksując najnowszy prezent okiem koneserki — ta wróżka Barbie potrafi machnąć czarodziejską różdżką i zrobić tak, że Dzieciątka Jezus nie przybiją do krzyża.

— W historii Dzieciątka Jezus nie występuje Barbie, Emily.

Emily obrzuca mnie spojrzeniem Hillary Clinton, tym pełnym szlachetnej poślizliwości.

— Nie *tego* Dzieciątka Jezus — wzdycha. — Innego, głuptasie.

Jak widzicie, wracając z podróży od klienta do pięcioletniej dziewczynki można jednak coś kupić. Jeśli nie miłość czy choćby przebaczenie, to przynajmniej coś w rodzaju odroczenia. Na tych parę minut, gdy nad potrzebą wylewania pretensji bierze chwilowo górę nagląca potrzeba rozerwania paczki z prezentem. (Każda pracująca matka, która zarzeka się, że nic przekupuje swoich dzieci, może śmiało dopisać Kłamczyni do swojego CV). Emily dostaje prezent za każdy akt zdrady, jakiego w imię kariery zawodowej dopuszcza się jej matka, tak jak kiedyś moja mama dostawała zawsze nową bransoletkę od skruszonego po kolejnym skoku w bok ojca. Kiedy tato ostatecznie od nas odszedł — miałam wówczas trzynaście lat — mama miała tych złotych bransoletek tyle, że mogłaby udekorować sobie nimi rękę od nadgarstka po łokieć.

Leżę sobie i myślę, że nic jest jeszcze tak źle, że mogłoby być o wiele gorzej (przynajmniej mój mąż nic jest alkoholikiem i niepoprawnym cudzołożnikiem), kiedy do sypialni wdreptuje Ben. Nie wierzę własnym oczom.

— Boże, Richardzie, co się stało z jego włosami?

Rich wygląda spod kołdry i patrzy na swojego syna, który w styczniu kończy roczek, tak jakby widział go po raz pierwszy.

— Ach, Paula zaprowadziła go do tego zakładu przy garażu. Powiedziała, że wchodzi mu do oczu.

— Wygląda teraz jak z Hitlerjugend.

— Nic przesadzaj. Odrosną. Zresztą taka teraz moda.

— Co mi tam moda. To moje dziecko. I chcę, żeby tak wyglądał. Jak dziecko.

Zauważyłam, że ostatnio Richard stosuje standardową procedurę stawiania czoła moim wybuchom wściekłości. Kojarzy mi się ona ze zwieszeniem głowy i przyjęciem pokornej postawy zalecanej „w przypadku ataku nuklearnego”, ale tego ranka nie może się powstrzymać od buntowniczej uwagi:

— Chyba nie polecimy z reklamacją do fryzjera?

—Co to niby miało znaczyć?

— Tylko tyle, że powinnaś się nauczyć odpuszczać, Kate. — To mówiąc, jednym wprawnym ruchem zgarnia malca z podłogi, ociera gila dyndającego u małego noska, i schodzi na dół na śniadanie.

Godz. 7.15

Przełączenie się z trybu „praca” na tryb „dom” jest tak raptowne, że mogłabym przysiąc, iż słyszę w mózgu protestacyjny zgrzyt małych zębatach kóleczek. Przeestrojenie się z powrotem na dziecięcą długość fali musi trochę potrwać. Tryskająca dobrymi chęciami, zaczynam z entuzjazmem i emfazą:

— No, dzieci, co byście chciały dzisiaj na śniadanko?

Emily i Ben przyglądają się przez chwilę nieufnie tej przymilnej nieznajomej, w końcu Ben nic wytrzymuje, staje na swoim wysokim krzeselku, wyciąga rączkę i szczypie mnie w ramię, tak jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście ja. Cierpliwości starcza mi na pół godziny, potem puszczają nerwy.

— Jecie płatki owsiane i koniec! Nie, nie mamy muesli. Guzik mnie obchodzi, czym was karmił tatuś.

Z buź dzieci odczytuję wyraźną ulgę. To jednak mamusia. Wróciła.

Richard musi wyjść wcześniej. Jedzie dzisiaj z klientem na plac budowy. Czy mogę poczekać na Paule? Mogę, byleby się nie spóźniła, bo punkt 7.45 wychodzę.

Godz. 7.57

Zjawia się wreszcie, sypiąc jak z rękawa usprawiedliwieniami, ale jakoś nie zauważam u niej skruchy. Korki, deszcz, układ gwiazd. Wiesz, jak to jest, Kate. Fakt, wiem. Cmokam i wzdycham z udawanym współczuciem, podczas gdy moja niańka parzy sobie kawę i przegląda od niechcienia moją gazetę. Wytykając jej teraz, że w ciągu tych dwudziestu sześciu miesięcy, odkąd jest opiekunką naszych dzieci, udawało jej się z powodzeniem spóźniać co czwarty poranek, ryzykowałabym sprzeczkę, a sprzeczką zanieczyściłaby powietrze, którym oddychają

moje dzieci. A więc nie, nie będzie sprzeczki. Nie dzisiaj. Trzy minuty do odjazdu autobusu, osiem minut do przejścia.

Godz. 8.27

Spóźnię się do roboty. Bezczelnie, arogancko spóźnię się. Pas jezdni zarezerwowany dla autobusów zapchany autobusami. Rezygnuję z autobusu. Gnam sprintem wzdłuż City Road, potem na przełaj przez Finsbury Square. Obcasy grzęzną w zakazanej trawie, za sobą słyszę zwyczajowe „Hej!”. To woła starszy facet, którego praca polega na pohukiwaniu na przebiegających przez trawnik.

— Hej, panienko! A naokoło, jak wszyscy, to nie łaska?

To trochę krępujące być obsztorcowywaną przy ludziach, ale gdzieś tam w głębi duszy przyjemnie mi, że ktoś zwraca się do mnie w miejscu publicznym per panienko. Kiedy ma się trzydzieści pięć lat i dwójkę dzieci w dorobku, każdy komplement cieszy. Poza tym dzięki temu skrótowi zyskuję dwie i pół minuty.

Godz. 8.47

Edwin Morgan Forster, jedna z najstarszych i najszacowniejszych instytucji w City, ma swoją siedzibę u zbiegu Broad-gate i St Anthony's Lane; ta dziewiętnastowieczna forteca z wielkim sterczącym dziobem z dwudziestowiecznego szkła przywodzi na myśl transatlantyk, który wbił się w dom towarowy i przeszedł przez niego na przestrzał. Przed głównym wejściem zwalnam do truchtu i przeprowadzam pobieżną samokontrolę osobistą.

Czy buty do pary? Sprawdzić.

Czy zakiet nic zahaftowany przez dziecko? Sprawdzić.

Czy kraj spódnicy nie upchnięty w reformy? Sprawdzić.

Czy biustonosz nie wystaje? Sprawdzić.

W porządku, wchodzę. Szybkim krokiem przecinam marmurowe atrium i migam przepustką przed nosem ochroniarzowi imieniem Gerald. Po zakończonej przed osiemnastoma miesiącami modernizacji hol główny Edwin Morgan For-

ster, który wcześniej wyglądał jak bank, przypomina teraz wybieg dla pingwinów w rosyjskim zoo. Wszystkie powierzchnie porażają wzrok arktyczną bielą i tylko jedna ściana w głębi pomalowana jest na kolor turkusowy, taki sam, jaki przed trzydziestu laty miało mydło marki Yardley, ulubione mydło mojej stryjecznej babki Phyllis, ale przez projektanta holu nazwany „oceanicznym kolorem dalekosiężnej wizji i futuryzmu”. Za tę perełkę wśród złotych myśli firma powołana do pomnażania powierzonych jej przez klientów pieniędzy, wybuliła lekką rączką siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów bez pokwitowania.

Uwierzycie, w taki budynek? Siedemnaście pięter, a tylko cztery windy. Jeśli wziąć pod uwagę, że pracuje tu czterysta trzydzieści osób, uwzględnić sześciu spóźnialskich wciskających nerwowo ten sam guzik, dodać dwóch wrednych nieużytków, którzy nie przytrzymają drzwi i Rosę Klebb pchającą się do kabiny z wózkiem pełnym kanapek, to ma się do wyboru albo ze cztery minuty czekania, albo bieg po schodach. Wybieram schody.

Docieram na trzynaste piętro czerwona jak burak i wpadam na Robina Cooper-Clarka, naszego odzianego w jodełkę dyrektora inwestycji. Dochodzi do czołowego zderzenia gryzących się zapachów. Mojej eau de sweat i jego floris clitic z ulotną nutką winchestera.

Robin jest mężczyzną wyjątkowo wysokim, ale ma ten dar, że potrafi spoglądać na człowieka z góry, wcale tak na niego nie spoglądając, nie wywołując u rozmówcy poczucia niższości. Absolutnie mnie nie zaskoczyło, kiedy z przeczytanego w zeszłym roku nekrologu dowiedziałam się, że jego ojciec był biskupem odznaczonym Wojskowym Krzyżem Zasługi. Robin ma w sobie coś świętego i niezniszczalnego: zdarzały mi się w EMF takie momenty, kiedy poległabym chyba z kretesem, gdyby nie jego życzliwość i trochę ironiczny szacunek.

— Piękne kolorki, Kate, przyjechałaś na łyżwach? — Kąciki ust Robina drgają, jakby zaraz miał się uśmiechnąć, ale krzaczasta siwa brew wędruje znacząco w górę, wskazując na zegar nad biurkiem.

Zaryzykować kłamstwo, że jestem tu już od siódmej i wyskoczyłam tylko na cappuccino? Rzut oka na biuro. Mój asystent Guy stoi przy chłodziarce i uśmiecha się złośliwie. Cholera. Musiał przechwycić moje spojrzenie, bo woła grzmia-

cym głosem nad przekrzywionymi głowami dealerów przyciskających barkami słuchawki do ucha, nad sekretarkami, nad zespołem działu europejskiego oraz zespołem działu rynku globalnego, wyróżniającym się identycznymi purpurowymi koszulami od Lewina:

— Położyłem ci na biurku dokumenty od Bengta Bergmana, Katharine. Przykro widzieć, że znowu masz kłopoty.

Zwróćcie uwagę na użycie słowa „znowu” — kropelka trucizny na czubku sztyletu. Nędzna gnida. Kiedy przed trzema laty posyłałiśmy Guya Chase'a na studia do Europejskiej Szkoły Biznesu, był niedomytym, zahukanym absolwentem w tandetnym gamiturku. Wrócił w smolistoczarnym garniturze od Armaniego i z miną posiadacza dyplomu Magistra Bezgranicznej Ambicji, który pozjadał wszystkie rozumy. Śmiem twierdzić, że Guy jest jedynym mężczyzną w Edwin Morgan Foster, którego raduje to, że mam dzieci. Wietrzna ospa, letnie wakacje, koncerty kolęd — to wszystko dla Guya okazje do zabłyśnięcia pod moją nieobecność. Robin Cooper-Clark patrzy na mnie wyczekująco. Myśl, Kate, myśl.

Spóźnienie może ujść w City płazem. Najważniejsze to znaleźć stosowny wykręt, coś, co moja przyjaciółka i prawniczka Debra nazywa Męskim Usprawiedliwieniem. Starsi menedżerowie, u których tłumaczenie się wymiotującym przez całą noc dzieckiem albo niepunktualnością niańki wywołałoby szczere oburzenie, bez mrugnięcia okiem wierzą we wszystko, co ma jakikolwiek związek z silnikiem spalinowym.

Samochód mi się popsuł/utknęłam w korku.

Szkoda, że nie widziałeś, co się działo — tu wstawić opis dantejskiej sceny — na — tu wstawić nazwę ulicy.

To działa. Ostatnio do repertuaru męskich usprawiedliwień doszły alarmy samochodowe, bo chociaż objawy ich usterek noszą cechy wybitnie żeńskie — nieobliczalność i przeraźliwe piszczenie — to niezbędna może być wizyta w warsztacie.

— Szkoda, że nie widziałeś, co się działo na Dalston Junction — mówię Robinowi, przywołując na twarz minę zrezygnowanego mieszczucha i rozkładając ręce, co ma symbolizować ogrom samochodowego kataklizmu. — Jakiś wariat w białej furgonetce. Światła nie działają. Coś okropnego. Tkwiałam tam ze dwadzieścia minut.

Robin kiwa głową.

— W tym Londynie nic sposób już jeździć.

Na moment zalega milczenie. Mam już na końcu języka pytanie o zdrowie JillCooper-Clark, u której w lecie wykryto raka piersi, ale Robin zalicza się do tych Anglików, którzy przyszli na świat wyposażeni w system wczesnego ostrzegania, umożliwiający im przewidywanie i tłumienie w zarodku wszelkich pytań natury osobistej. Tak więc, kiedy moje wargi formują dopiero imię jego żony, on mówi:

— Zjemy razem lunch, Kate. Powiem Christine, żeby zarezerwowała dla nas stolik. Przy Old Bailey otworzyli niedawno nową salkę w zaadaptowanej piwnicy — założę się, że serwują tam lekko podpieczonego świadka. Dobrze, co?

—Tak, chciałam tylko...

—Wspaniale. Porozmawiamy później.

Zawijając do spokojnej przystani mojego biurka, jestem już spokojna. Rzecz w tym, że kocham swoją pracę. Może nie zawsze daje się to zauważyć, ale ja naprawdę ją kocham.

Uwielbiam to uderzenie krwi do skroni, kiedy akcje, na które postawiłam, zwyżkują. Czuję się dowartościowana, będąc jedną z nielicznych kobiet w Club Lounge, czyli poczekalni dla VIP-ów na lotnisku, a po powrocie uwielbiam dzielić się ze znajomymi wrażeniami z podróży. Uwielbiam wielogwiazdkowe hotele ze sprawną obsługą, która zjawia się na każde zawołanie jak dżin na zaklęcie, i te prerie białej bawełny, na których mogę się do woli wysypiać. (Kiedy byłam młodsza, lubiłam dzielić łóżko z kimś; teraz mam dwoje dzieci i wolę iść do nie-

go sama, najlepiej na dwadzieścia cztery godziny). Ale najbardziej kocham samą pracę: satysfakcję, że jestem dobra w tym, co robię, że utrzymuję wszystko pod kontrolą, podczas gdy reszta mojego życia to jeden wielki galimatias. Uwielbiam to, że liczby robią, co im każe, i nigdy o nic nie pytają.

Godz. 9.03

Włączam komputer i czekam, aż zaloguje się w sieci. Sieć chodzi dzisiaj tak wolno, że lepiej byłoby chyba polecieć do Hongkongu i dopaść tego cholernego Hang Senga osobiście. Wstukuję swoje hasło — Ben Pampers — i wchodzę od razu w Bloomburga, żeby sprawdzić, co działo się na rynkach przez noc. Nikkei utrzymuje się na stałym poziomie, brazylijski Bovespa jak zwykle tańczy szaloną sambę, natomiast Dow Jones przypomina wykres pacjenta reanimowanego na oddziale intensywnej terapii. Kurczę, ależ zimno na dworze. Mgła omywająca biurowce za moim oknem potęguje jeszcze to wrażenie.

Sprawdzam teraz, czy kursy walut nie wycinały aby jakichś dzikich hołubców, następnie wstukuję TOP, by wywołać na ekran aktualności z życia wielkich firm. Główne doniesienie dotyczy Gayle Fender, dcalerki, a ściślej byłej dealerki obligacji. Podała do sądu swoją firmę, Lawrence Herbert, za dyskryminację płci przejawiającą się tym, że koledzy mężczyźni dostają o wiele wyższe od niej premie za gorsze wyniki w pracy. Wiem, że protest Gayle Fender skończy się tak, jak kończą się zawsze tego rodzaju protesty: ze spuszczonego wzrokiem i formułką „bez komentarza” na ustach, bocznymi drzwiami opuści salę sądową. City potrafi pacyfikować takich buntowników. Do kneblowania im ust służą najczęściej 50-funtowe banknoty.

Klikam na e-maile. Od mojego ostatniego pobytu w biurze *przyszło ich czterdzieści dziewięć*. Przeprowadzam wstępną selekcję, odsiewając plewy.

Darmowy egzemplarz okazowy nowego czasopisma dla inwestorów? Śmieć.

Zaproszenie nad Jezioro Genewskie na konferencję na temat globalizacji. Podniebieniem uczestników dogadzać będzie światowej sławy szef kuchni Jean-Louis... Śmieć.

Dział personalny chce wiedzieć, czy wystąpię w nowym wideospocie firmowym EMF. Prędkiej mi kaktus na dłoni wyrośnie.

Na samym wierzchu skrzynki pocztowej znajduję e-mail od Ccii Harmsworth, kierowniczkii działu personalnego. Okazuje się, że mój szef Rod Task nie będzie mógł poprowadzić w przerwie na lunch pogadanki wstępnej dla stażystów EMF. Czy nie zechciałabym go zastąpić? „Zapraszamy gorąco do sali konferencyjnej na trzynastym piętrze o godzinie 13.00!”.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Mam do napisania dziesięć raportów, które muszą być gotowe na piątek. A poza tym dziś o 14.30 odbywa się bardzo ważna bożonarodzeniowa uroczystość, na której nie może mnie zabraknąć.

Przejrzawszy pocztę służbową, mogę wreszcie przejść do właściwych e-mailii, tych z prawdziwego zdarzenia — do korespondencji od znajomych, do krążących po świecie żarcików i plotek. Jeśli uznać za prawdziwą opinię, że moje pokolenie cierpi na chroniczny głód czasu, to poczta elektroniczna jest dla nas ekwiwalentem podgryzanej ukradkiem kanapki, żelaznej racji pozwalającej utrzymać się człowiekowi przy życiu. Nie sposób wyjaśnić, jak bardzo wspiera mnie psychicznie kontakt z regularnymi korespondentami. Należy do nich Debra, moja najlepsza przyjaciółka z college"u, teraz już matka dwojga dzieci i prawniczka zatrudniona w kancelarii Addison Pope, mieszczącej się dokładnie naprzeciwko Bank of England, jakieś dziesięć minut drogi piechotą od Edwin Morgan Forster. Nigdy tam u niej nie byłam. Równie dobrze mogłaby pracować na Plutonie. Jest też Candy. Moja bratnia dusza i podobnie jak ja doradca inwestycyjny, dziewczyna o niewyparzonej gębie, czarodziejka World Wide Web i dumny artykuł eksportowy miasteczka Rockaway w stanie New Jersey, Candace Marlenę Stratton.

Candy siedzi tam, pod filarem, siedem kroków ode mnie, ale rzadko zamieniamy ze sobą więcej niż siedem słów dziennie. Za to za pośrednictwem ekranu wiemy o sobie wszystko jak staroświeckie kumoszki.

Od: Candy Stratton, EMF Do: Kate Reddy. EMF Kate,

P: Dlaczego mężatki są cięższe od panien?

O: Panna wraca do domu, patrzy, co ma w lodówce, i idzie do łóżka. Mężatka wraca do domu, patrzy, co ma w łóżku, i idzie do lodówki.

Co u ciebie? U mnie: Zapalenie pęcherza. Za dużo SXu xxxx

**Od: Debra Richardson, Addison Pope Do: Kate Reddy, EMF
Dzieńdoberek,**

Jak było w Szwecji i Nowym Jorku? Żal mi ciebie. Feliks spadł ze stołu i złamał sobie rączkę w 4 miejscach (kto by pomyślał, że są w niej 4 łamliwe miejsca). Koszmar. Sześć godzin przesiedziałam na pogotowiu. Stara dobra państwowa służba zdrowia! Ruby ogłosiła wczoraj, że kocha swoją niańkę, swojego tatusia, swojego króliczka, swojego braciszka, wszystkie Teletubisie i swoją mamusię, w powyższej kolejności. Miło wiedzieć, że warto się starać, nie?

**Pamiętasz o LUNCHU w piątek? Tylko mi nie mów, że nie możesz. Deb
xxxx**

Od Kate Reddy Do: Candy Stratton

Znowu parę odprężających dni. Sztokholm, Nowy Jork, Hackney. Do białego rana podrabiałam babeczki z leguminą na koncert kolęd Emily — nawet nie pytaj.

Do tego Pol Pocica ostrzygła mi Bena na nazistę, a ja nie śmiem jej nawet za to ochrzanić, bo mnie nie było, a jak cię nie ma, to znaczy, że zrzekasz się wszelkich praw macierzyńskich. Poza tym muszę przypomnieć Rodowi Taskowi, że chciałam się dziś zwolnić wcześniej, bo mam koncert.

Masz może pomysł, jak mu to zakomunikować, nie używając słów:

***al* dziecko ani**

b/ zwolnić się?

Całusy, Kate xxx

PS. Co to jest SX? Coś jakby mi świtało.

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Stonko, przestań się wreszcie przejmować tym pieprzeniem

0boginkach domowego ogniska, spójrz innym mamusiom w oczy

1powiedz: pracuję, jestem z tego dumna i pocałujcie mnie gdzieś.

powiedz rodowi taskowi, że dostałaś cioty i leci z ciebie jak z cebra. Australijczycy są jeszcze bardziej wrażliwi na nasze babskie przypadłości niż Angole.

Na razie xxxxxx

Zerkam w kierunku Candy. a ona unosi do mnie w toaście puszkę i pociąga z niej zdrowy łyk. Do niedawna Candy odżywiała się wyłącznie colą — tą dietetyczną i zwyczajną — w wyniku czego wychudła na wiór z wydatnym wszakże przedsięwzięciem: przysporzyło jej to zgrai kochanków, ale nie przyniosło miłości. Starsza ode mnie, trzydziestosześciolet-nia Candy jest samotna w sposób wrodzony i czasami zazdrozczę jej, że może sobie pozwolić na najbardziej fantastyczne fanaberie, na przykład na pójście po pracy na drinka albo na zamknięcie się w weekend w łazience bez towarzystwa wścibskiej pięciolatki, albo na przyjście do pracy z podkrążonymi oczami po całej nocy seksu, a nie użerania się z wyjąłym jego owocem. Candy była przed dwoma laty zaręczona z konsultantem z Andersena. Niestety, miała tyle pracy przy finalizowaniu umowy z jakimś niemieckim funduszem emerytalnym, że wystawiła go trzy razy z rzędu. Za trzecim razem Bill czekał na nią w restauracji przy Smithfield i z nudów nawiązał rozmowę z pielęgniarką siedzącą przy sąsiednim stoliku. Pobrali się we wrześniu.

Candy twierdzi, że nie zamierza przejmować się swoją płodnością, dopóki Cartier nie zacznie wytwarzać zegarków biologicznych.

Od: Kate Reddy, EMF

Do: Debra Richardson, Addison Pope

Droga D

Spóźniłam się dziś rano i nie mam teraz czasu pisać, lunch oczywiście aktualny.

Dlaczego rzetelne Kobięce Usprawiedliwienie jest zawsze przyjmowane gorzej od zmyślnego Męskiego Usprawiedliwienia?

Nie rozumiem.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Bo oni nie lubią, kiedy im przypominają, że masz swoje życie osobiste, głupia. Do piątku. D xx

Postanowiłam nie zwracać się do Roda Taska osobiście w sprawie wcześniejszego zwolnienia z pracy na koncert kolęd Emily. Uznałam, że lepiej będzie dołączyć tę prośbę niby to przy okazji, jako PS, do jakiegoś służbowego e-maila. Niech wygląda raczej na formalny wniosek, niż na błaganie o łaskę. Właśnie dostałam odpowiedź.

Od: Rod Task Do: Kate Reddy

Jezu, Kate, a wydaje się, że zaledwie wczoraj miałaś własny koncert kolęd.

Naturalnie, że możesz iść, ale wróć do 17.30, bo muszę z tobą pogadać. Chcę, żebyś jeszcze raz przejechała się do Sztokholmu i uspokoiła Svena. Czy piątek by ci odpowiadał, ślicznotko?

Trzymaj się Rod

Nie, piątek by mi nie odpowiadał. Nie do wiary, że chce mnie wysłać w następną podróż służbową przed samymi świętami Bożego Narodzenia. Przeszłoby mi koło nosa przyjęcie biurowe, musiałabym znowu odwołać lunch z Debrą i nie miałabym kiedy zrobić zakupów.

Nasze biuro **to** otwarta przestrzeń. Jedyne dwa pomieszczenia ze ścianami zajmują dyrektor marketingu i Robin Cooper-Clark. Wmaszerowuję **do** Robina, żeby złożyć na jego ręce protest, ale gabinet jest pusty. Zostaję tam jednak przez chwilę, żeby powyglądać przez wysokie **od** sufitu **do** podłogi okno. W dole połyskuje ślizgawka Broadgate — spłachetek lodu między wieżami z betonu i stali. Pora jest wczesna i korzysta z niej tylko jeden łyżwiarz — wysoki, śniady facet w zielonej bluzie. W pierwszej chwili jestem pewna, że zatacza ósemki, ale kiedy przejeżdża spory kawałek **po** linii prostej, uświadamiam sobie, że to wielki symbol dolara. Mgła się unosi i City wygląda teraz jak podczas nalotów, kiedy **to** spod rozwiewających się dymów pożarów wyłaniała się w magiczny sposób kupa katedry Świętego Pawła. Spoglądam w drugą stronę i widzę wieżę Canary Wharf, która łypie na mnie lubieżnym okiem cyklopa.

Wychodząc od Robina, zderzam się z Celią Harmsworth, ale obywa się bez ofiar w ludziach, bo zwyczajnie odbijam się od imponującego gorsu Celi. Angielki z pewnych sfer po przekroczeniu pięćdziesiątego roku życia nie mają już piersi, lecz biust, a bywa, że nawet — to zależy od arealu włości i starożytności rodu — gors. Piersi występują w przyrodzie parami, za to gors to niepodzielna całość. Gors opiera się wszelkim próbom parcelacji, jak również nic znosi wszelkiego rodzaju figli. Podczas gdy piersi zapraszają: „Chodź, pobaw się nami!”, gors niczym zderzak wielotonowej ciężarówki wywarkuje: „Z drogi!”. Gors ma królowa i ma go Celia Harmsworth.

— Katharine Reddy, a ty wciąż gdzieś pędzisz — fuka.

Celia, szefowa działu personalnego, jest najbardziej odhumanizowaną istotą w budynku; bezdzielna, pozbawiona wdzięku, zimna jak gład, człowiek czuje się przy niej bezużyteczny i wykorzystywany zarazem. Kiedy po urodzeniu Emily wróciłam do pracy, odkryłam pewnego dnia, że Chris Buncc — doradca inwestycyjny chlubiący się najlepszymi wynikami w pracy za ostatnie dwa lata — dołał stopkę wódki do mleka, które sobie odciągnęłam i wstawiłam do biurowej lodówki przy windach. Powiedziałam o tym Celi i spytałam ją jak kobieta kobietę, jakie kroki radziłaby mi podjąć wobec debila, który przydybany przeze mnie w Davy's Bar przyznał z rozbijającą szczerością, że dołał alkoholu do pokarmu przeznaczonego dla dwunastotygodniowego oseska dla kawału.

Do tej pory pamiętam grymas odrazy, jaki odmalował się na twarzy Ccii, i nie była to bynajmniej reakcja na wygłup Bunce'a.

— Użyj swoich babskich sposobów, moja droga — mruknęła.

Teraz Celia dziękuje mi, że zgodziłam się poprowadzić to spotkanie ze stażystami.

- Rod powiedział, że masz takie prezentacje w małym palcu. To tylko trochę slajdów, parę kanapek, sama zresztą najlepiej wiesz, Kate. I nie zapomnij o Deklaracji Posłannictwa, słyszysz?

Kalkuluję szybko w pamięci. Jeśli rozmowa wprowadzająca potrwa, powiedzmy, godzinę, wliczając w to drinki, to zostanie mi jeszcze pół godziny na złapanie taksówki i dojechanie do przedszkola Emily. Powinnam zdążyć. Byleby tylko nie wyrwali się, cholera, z pytaniami.

Godz. 13.01

— Dzień dobry państwu, nazywam się Kate Reddy i pragnę was powitać na trzynastym piętrze. Trzynastka przynosi niektórym pecha, ale nas to nie dotyczy. Edwin Morgan Forster plasuje się w pierwszej dziesiątce funduszy inwestycyjnych w Zjednoczonym Królestwie oraz w pierwszej pięćdziesiątce rankingu światowego, jeśli chodzi o aktywa, i od pięciu lat z rzędu wybierany jest funduszem inwestycyjnym roku. W ubiegłym roku wypracowaliśmy zysk w wysokości 300 milionów funtów, co wyjaśnia, dlaczego słynne kanapki z tuńczykiem, które widzicie dzisiaj przed sobą, absolutnie nic nas nie kosztowały.

Rod ma rację. Potrafię to robić z zamkniętymi oczami; i tak właśnie prowadzę spotkanie, bo nie przestawiłam się jeszcze z czasu amerykańskiego na angielski i odnoszę teraz wrażenie, że głowę ściska mi żelazna obręcz, a w nogi ktoś nalał lodowatej wody.

— Z pewnością zetknęliście się już państwo z terminem „doradca inwestycyjny”. Ujmując rzecz najprościej, doradca inwestycyjny to wysokiej klasy gracz. Moja praca polega na studiowaniu kondycji firm z całego świata, szacowaniu zapotrzebowania rynków na ich wyroby, analizowaniu dotychczasowych dokonań dżokejów, stawianiu dużych sum pieniędzy na pewniaków, a następnie obgryzaniu paznokci i obserwowaniu z duszą na ramieniu czy aby nie potkną się na pierwszej przeszkodzie.

Sala wybucha śmiechem, przy pochlebnym śmiechem dwu-dziesięciu-tam-latków, z jednej strony dumnych, że zmieścili się w szóstej, która przebrnęła przez sito naboru przeprowadzonego w tym roku przez EMF, z drugiej oblewających się potem na samą myśl, że ich ignorancja zostanie wkrótce zdemaskowana.

— Jeśli konie, na które postawiłam, padają, muszę szybko zdecydować, czy dobić je od razu strzałem w głowę, czy podjąć próbę kurowania złamanej nogi. Zapamiętajcie sobie państwo, że współczucie może drogo kosztować, ale niekoniecznie musicie na nim stracić.

Przed dwunastu laty sama byłam stażystką. Siedziałam w jakiejś sali, tak jak oni teraz, to zakładając nogę na nogę, to łącząc kolana, niepewna, co gorsze — wyglądać jak księżna Kentu czy jak Sharon Stone. Byłam wtedy jedyną przyjętą kobietą i otaczali mnie sami faceci, duże samce we wdziankach w jodełkę. Za to ja w czarnym kostiumie z krepy, na który wydałam ostatnie czterdzieści funtów i w którym wyglądałam jak wizytatorka z kuratorium.

W tym roku grupka nowicjuszy jest typowa. Czterech facetów, dwie dziewczyny. Faceci garbią się jak zwykle, dziewczęta siedzą w pierwszym rzędzie prosto jakby kij połknęły, w dłoniach długopisy, pełna gotowość do robienia notatek, do których nigdy potem nic zajrzą. Nietrudno ich rozszyfrować. Weźmy tego pana Anarchistę z bujnymi bokobrodami i znudzoną miną Liama Gallaghery. Dave, dziś w garniturze, ale mentalnie nadal w skórzanej kurtce, w colleg'u był prawdopodobnie jakimś studenckim aktywistą. Czyta literaturę ekonomiczną, żeby przygotować się teoretycznie do walki o prawa robotników, a jednocześnie psychologicznym szantażem zmusza wszystkich sąsiadów do kupowania nie nadającej się do picia rwandyjskiej kawy.

Siedzi tu dzisiaj i obiecuje sobie w duchu, że zanurza się w to zabagnione City na dwa, góra pięć lat. Że poznawszy to środowisko od kulis, podejmie krucjatę na rzecz powszechnej szczęśliwości. Prawie mi go żal. Za siedem lat David, właściciel jakiegoś modernistycznego mauzoleum w Notting Hall, płatnik sporego czesnego za dwoje uczących się dzieci, mąż żony z rujnującym nawykiem Jimmy Choo, drzemać będzie jak cała nasza reszta przed kominkiem z nieotwartym egzemplarzem „New Statesmana” na kolanach.

Trzej pozostali faceci to rumiane prosiaczki z idealnymi przedziałkami absolwentów dobrych szkół. Temu, który ma na imię Julian, jabłko Adama lata tak pracowicie, że dawno już powinno się zetrzeć na papkę. Mężczyźni mają jeszcze mleko pod nosem, za to dziewczęta to już zdecydowanie kobiety. Dwie stażystki EMF reprezentują swoimi osobami całe spektrum kobiecości — jedna jest czerstwą prowincjuszka o poczciwej miłej buzi i włosach przewiązanych aksamitną przepaską, tiarą swojej klasy społecznej. Clarissa Jakoś-tam. Zerkam na zwięzłe charakterystyki i czytam, że Clarissa jest absolwentką wydziału „Studiów Współczesnych” uniwersytetu Peter-borough. Idealna kandydatka do pomocniczego personelu biurowego. Pewnie krewna któregoś z dyrektorów; do EMF nie można się dostać z takim przygotowaniem, chyba że jest się skoligaconym z pieniędzmi.

Dziewczyna siedząca obok niej prezentuje się bardziej interesująco. Urodzona i wychowana w Sri Lance, ale ukończyła Cheltenham Ladies i Londyńską Szkołę Nauk Ekonomicznych. To jedna z tych przybranych wnuczek imperium, które są bardziej angielskie niż rodowite Angielki — wykwintność manier, nieskazitelny akcent. Z tymi zadziwiającymi oczami w kształcie liści, które patrzą spokojnie spoza okularów w szylkretowej oprawie i z tą kocią gracją, Momo Gumeratne jest tak ładna, że w obręb Mili Kwadratowej (czyli londyńskiego City) nie powinna się zapuszczać bez zbrojnej obstawy.

Taksuję stażystów spojrzeniem, oni nic pozostają mi dłużni. Ciekawe, co widzą? Blondyna, niezłe nogi, figura, o którą nikt by nie podejrzewał matki dwojga dzieci. Nie domyśla się również, że pochodzę z północy (na studiach pozbyłam się akcentu). Może nawet troszeczkę się mnie boją. Wczoraj Rich wyznał, że go czasami trochę przerażam.

— Zakładam, że wszyscy tu obecni zadali sobie kiedyś ten trud i przeczytali tekst wydrukowany drobnym maczkiem u dołu umów podsuwanych klientom do podpisania przez banki i towarzystwa budowlane? „Zaznacza się, że wartość inwestycji może zarówno spaść, jak i wzrosnąć!”. Tak? Otóż, za tą formułką kryje się właśnie ja. Mój błąd pociąga za sobą spadek wartości, do czego staramy się w EMF nie dopuszczać, przeważnie zresztą z powodzeniem. Przed podjęciem decyzji o sprzedaży pakietu akcji linii lotniczej wartego trzy miliony dolarów, co właśnie dzisiaj zrobiłam, warto mieć na uwadze, że chociaż z naszego punktu widzenia taka suma to kropla w morzu, to w razie wpadki możemy pozbawić jakąś staruszkę z Dumbarton oszczędności całego życia. Ale spokojnie, Julian, dla stażystów ustanowiona jest górna granica, do jakiej mogą zawierać transakcje. Na początek, dopóki nic nabierzecie doświadczenia, będzie to pięćdziesiąt patyków.

I tak już rumiany Julian oblewa się teraz krwistym rumieńcem, a czerstwa dziewczwoja podnosi rękę:

—Może nam pani zdradzić, dlaczego sprzedała dzisiaj akurat ten pakiet akcji?

—Bardzo dobre pytanie, Clarisso. Otóż dysponowałam akcjami za cztery miliony dolarów, których cena od jakiegoś czasu pięła się systematycznie w górę, ale dużo już na nich zarobiliśmy, a fachowa prasa ostrzega, że idą ciężkie czasy dla linii lotniczych. Zadaniem doradcy inwestycyjnego jest wycofywanie pieniędzy naszych klientów, zanim cena zacznie spadać. W tym zawodzie trzeba bez przerwy trzymać rękę na pulsie i przewidywać zagrożenia, jakie mogą się czaić za następnym zakrętem.

Z doświadczenia wiem, że o predyspozycjach każdego stażysty rozpoczynającego pracę w Edwin Morgan Forster nie świadczy bynajmniej jego rozeznanie w podstawowych zasadach inwestowania ani umiejętność załatwienia sobie miejsca na strzeżonym parkingu. O, nie. Kto z jakiej ulepiony jest gliny, widać najlepiej po jego reakcji, gdy po raz pierwszy słyszy firmową Deklarację Posłannictwa. Deklaracja Posłannictwa, nazywana też wewnątrznie pięcioma filarami wtajemniczenia, to największy firmowy idiotyzm. (Gdzie tu sens, gdzie logika, żeby zdeklarowani kapitaliści schyłku dwudziestego wieku recytowali slogany klepa-

ne swego czasu w maoistycznych Chinach przez wieśniaków, którym nie wolno było posiadać nawet własnego roweru?).

— A oto Pięć Filarów, na których opiera się potęga naszej firmy:

1/ Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

2/ Wzajemne zaufanie!

3/ Maksymalizacja wyników!

4/ Klient nasz pan!

5/ Skazani na sukces!

Widzę, jak David toczy męską walkę z cisnącym się na usta ironicznym uśmiechem. Zuch. Rzut oka na zegar. O, cholera. Na mnie już pora.

— A teraz, jeśli nie ma więcej pytań...

Szlag by to... Rękę unosi druga z dziewcząt. Mężczyźni mają przynajmniej to do siebie, że nie wrywają się z pytaniami. Nawet jeśli są zieloni, jak ci tutaj, a zwłaszcza tacy, którzy dorównują mi poziomem, za żadne skarby nie zadadzą pytania, bo czyniąc to przyznawaliby, że są jeszcze na świecie rzeczy, których nie wiedzą.

— Bardzo przepraszam, pani Reddy — zaczyna młoda Lankijka takim tonem, jakby przepraszała za błąd, którego jeszcze nie popełniła. — Wiem, że w EMF... może inaczej... czy jako kobieta może mi pani powiedzieć, jak się tu pani pracuje?

—No cóż, panno...?

—Momo Gumeratne.

— No więc, Momo, sprawa przedstawia się następująco. W tej chwili pracuje tutaj sześćdziesięcioro doradców inwestycyjnych, w tym tylko trzy kobiety. Ale EMF przyjęła zasadę dywersyfikacji, czyli równego traktowania płci, i w miarę napływu takich jak wy stażystów, będziemy się starali stosować ją w praktyce.

Po drugie, słyszałam, że Japończycy pracują nad kapsułą, w której płód będzie się mógł rozwijać poza łonem. Do czasu, kiedy uzna pani, że już czas na rodzenie dzieci, panno Gumeratne, ta kapsuła powinna być gotowa i odpadnie pani kłopot paradowania z brzuchem. Zapewniam panią, że wszyscy w Edwin Morgan Forster będą z tego powodu wniebowzięci.

Mam nadzieję, że tą szorstką wypowiedzią położę kres kolejnym pytaniom, ale Momo nie tak łatwo zbić z tropu, jak myślałam. Choć rumieniec oblewa jej kawowe policzki, znowu unosi rękę. Sięgam po torebkę na znak, że spotkanie skończone, ona jednak nic daje za wygraną:

— Naprawdę bardzo przepraszam, pani Reddy. Ale wolno mi spytać, czy ma pani dzieci?

Nie, nie wolno.

— Mam. Kiedy ostatnio liczyłam, było ich dwoje. I dam pani radę, panno Gumeratne. Niech pani nie zaczyna zdań od zwrotu „bardzo przepraszam”. Jest wiele słów, które bywają w tym budynku przydatne, ale „przepraszam” się do nich nie zalicza. A teraz, jeśli nie ma już więcej pytań, to proszę mi wybaczyć. Muszę pilnować rynków — wyławiać faworytów, obracać pieniędzmi! Dziękuję państwu za uwagę, a jeśli zobaczycie mnie kiedyś na terenie budynku, proszę podejść, to przepytam was z Pięciu Filarów Wtajemniczenia. Jeśli zaś szczęście wam dopisze, to dowiedziecie się, jaki jest mój osobisty Filar Numer Sześć.

Patrzą na mnie tępo.

— Filar Numer Sześć: jeśli ktoś ma dobrą rękę do pieniędzy, to City stoi przed nim otworem, nawet jeśli jest kobietą. Pieniądze nie rozróżniają płci.

Godz. 14.17

Na postoju przed Warburgicm zawsze stoi sznur taksówek. Zawsze, ale nie dzisiaj. Dzisiaj wszystkie taksówki zmówiły się, że będą mnie unikać. Po siedmiu minutach nerwowego przytupywania na krawężniku, w odruchu rozpaczki wyskakuję wreszcie na jezdnię przed maskę nadjeżdżającej taksówki ze zgaszonym kogutem. Kierowca hamuje ostro. Mówię mu, że zapłacę podwójnie, jeśli tylko dowiezie mnie na czas pod przedszkole Emily. Pędzimy slalomem wąski-

mi, zapchanymi uliczkami, siła bezwładności rzuca mną po tylnym siedzeniu wte i wewte, krew pulsuje w skroniach, a ręce latają jak w febrze.

Godz. 14.49

Korytarz przedszkola Emily wyłożono drewnianymi panelami podłogowymi niewątpliwie z myślą o demaskowaniu spóźnionych pracujących matek w butach na obcasach. Wpadam ze stukotem na salę w momencie, kiedy archanioł Gabriel obwieszcza wielką nowinę Dziewicy Maryi i ta zaczyna ściągać wełnianą derkę ze stojącego obok osiołka. Marię gra Genevieve Law, córka Alexandry Law, przewodniczącej komitetu rodzicielskiego i Matki Przełożonej — innymi słowy kobiety ostentacyjnie niepracującej. Matki Przełożone z poświęceniem zabiegają o główne role w tym przedstawieniu dla swoich latorośli. Wierzcie mi, nie po to udzielają się w komitecie, rezygnując z oglądania ulubionego serialu telewizyjnego, żeby ich pociecha grała byle kogo.

W zeszłym roku popisowo zagrał owieczkę — lobbuja. — Zasłużył sobie chyba, żeby w te święta powierzyć mu bardziej eksponowaną rolę.

Na scenie Trzej Królowie — kudłaty rudy chłopiec popychany przez dwie dziewczynki — podchodzą z darami do Dzieciątka Jezus, i w tym momencie drzwi sali za naszymi plecami otwierają się ze zdradliwym skrzypieniem. Wszystkie głowy odwracają się i sto par oczu patrzy z wyrzutem na czerwonajak burak kobietę z siatką na zakupy i neserem. To chyba mama Amy Redman. Kiedy cała w pąsach, krygując się i przepraszając, zajmuje miejsce w ostatnim rzędzie krzeseł, Alexandra Law ucisza ją głośnym syknięciem. Nad instynktownym współczuciem dla tej pokrewnej duszy niemal natychmiast bierze w mnie górę radość, że dzięki niej nic jestem już tą, która się najbardziej spóźniła. (Nie życzę źle innym pracującym matkom. Naprawdę nie życzę im źle. Ale świadomość, że nie mnie jednej nie wszystko układa się jak po maśle, podnosi jednak na duchu).

Na scenie anielski chór śpiewa cienkimi głosikami ostatnią kolędę. Mój aniołek stoi w ostatnim rzędzie, trzeci od lewej. W atramentowych oczach przejętej Emily widzę to samo skupienie, z jakim kiedyś wydostała się z mojego łona. Pamiętam, jak przez dobre dwie minuty rozglądała się po sali porodowej, zupeł-

nie jakby chciała powiedzieć: „Nie, nic mi nic podpowiadajcie, zaraz sama zgadnę”. Dzisiaj, otoczona przez nerwowych chłopców, z których jeden wyraźnie chce siusiu, moja dziewczynka śpiewa bez zająknięcia kolędę, a mnie rozpiera duma.

Jak to możliwe, że „W żłobie leży” w wykonaniu tych maluchów o wiele bardziej chwyta za serce niż interpretacja profesjonalnego Chóru King's College? Sięgam do kieszeni po chusteczkę.

Godz. 15.41

Na świątecznym przyjęciu jest paru ojców ukrywających się za kamerami wideo, ale poza tym sala roi się od matek, tych ciem uwijających się wokół światełek swojego życia. Obserwując na przedszkolnych spotkaniach inne kobiety, widzę w nich zawsze prawdziwe matki; ja nigdy nie czuję się na tyle dorosła ani na tyle przygotowana, by zasługiwać na ten tytuł. Jak mim naśladuję z przesadną ekspresją podpatrzoną matczyną gestykulację. Ale dowód, że jestem jednak matką, trzyma mnie kurczowo za lewą rękę i nalega, bym przymierzyła aureolę. Emily jest wyraźnie uradowana i wdzięczna mamusi, że nie zawiodła. W zeszłym roku nawaliłam, w ostatniej chwili wypadła mi podróż służbowa do Stanów. Przywiozłam jej szklaną kulę z Nowym Jorkiem, kupioną u Saksa przy Piątej Alei, prezent pocieszenia, który jej jednak nie pocieszył. Dzieci najbardziej zapamiętują chwile, kiedy sprawiliśmy im zawód; wypadki, kiedy stanęliśmy na wysokości zadania, przemijają bez echa.

Próbuję wyslizgnąć się na korytarz, żeby zadzwonić do biura, ale Alexandry Law, która wysłuchuje zachwyty nad Gene-vieve w roli Dziewicy Maryi i nad swoimi bawarskimi leb-kuchen, nie da się niepostrzeżenie ominąć. Alexandra bierze jedną z moich babeczek z leguminą, skrobie podejrzliwie paznokciem wieńczący ją wzgórek cukru pudru, po czym pcha babeczkę w całości do ust i siejąc wokół okruszkami, ogłasza swój werdykt:

—Pysz-noś-ci babeczki, Kate. Moczyłaś owoce w brandy, czy w soku winogronowym?

—Och, trochę w tym, trochę w tamtym, Alex, wiesz, jak to jest.

Alexandra kiwa głową.

—Zastanawiałam się, czy nie poprosić wszystkich, żeby na przyszły rok zrobili racuszki. Co ty na to? Masz na nie jakiś dobry przepis?

—Nic, ale znam supermarket, w którym można kupić gotowe.

— Ha-ha-ha! Dobrze! Ha-ha-ha!

Alexandra jako jedyna z moich znajomych śmieje się tak, jak się to pisze. Bez wesołości, potrząsając do taktu ramionami. Zaraz mnie spyta, czy przeszłam już na pół etatu.

— Pracujesz teraz na pół etatu? Nie. Wciąż na pełny. Boże drogi! Jak ty to robisz? O, Claire, mówię właśnie Kate, że nie pojmuję, jak ona to robi. A ty?

*

Godz. 19.27

Stres bycia aniołem daje o sobie znać. Widząc, jak zmęczona jest Emily, kalkuluję, że mogę śmiało przeskoczyć trzy strony książki do poduszki, a ona nawet tego nic zauważy. Na przejrzenie czeka jeszcze skrzynka pocztowa w komputerze. Ale kiedy przewracam kartki, czujne oko natychmiast się otwiera i spogląda na mnie podejrzliwie.

—Pomyliłaś się, mamusiu.

—Tak?

— Opuściłaś ten fragment, gdzie Prosiaczek wskakuje Kangurkowi do kieszeni!

— Ojej, naprawdę?

— Nic się nie stało, mamusiu. Możemy zacząć jeszcze raz od początku.

Godz. 20.11

Automatyczna sekretarka stojąca obok telewizora jest przepełniona. Odsłuchuję ją. Jakiś sepleniący głos informuje mnie, że KwikToy rozpatrzył moją reklamę dotyczącą zwłoki w dostarczeniu zamówionych prezentów gwiazdkowych:

„Niestety, z uwagi na nietypowość zamówienia, możemy je zrealizować dopiero po Nowym Roku”.

Jezu. Porąbało ich?

Następna jest wiadomość od mojej matki. Zajmuje prawie całą taśmę. Mama, nicoswojona z nowoczesną techniką, raz po raz zawiesza głos i czeka, oczywiście nadaremnie, aż w słuchawce ktoś się odezwie. Zadzwoiła, żeby nam powiedzieć, byśmy się nią nie przejmowali, bo ona wcale nie ma do nas żalu, że nie spędzimy z nią świąt Bożego Narodzenia. Oczywiście osiąga w ten sposób więcej niż gorzkimi wyrzutami. To ów nokautujący podwójny prosty, który matki na przestrzeni wieków opanowały do perfekcji: pod płaszczykiem wyrozumiałości wytknąć człowiekowi zaniedbanie i wywołać w nim poczucie winy. a potem dobić informacją, że ona jednak pamięta:

„Wysłałam pocztą książeczki dla Emily i Bena, i małe co nieco dla ciebie i Richarda. Mam nadzieję, że dobrze utrafiłam”. Stara się, żeby zabrzmiało to jak najnaturalniej, aleja czuję się podle.

Po zawołanych wymówkach matki z ulgą wysłuchuję Jill Cooper-Clark życzącej mi wesołych świąt Bożego Narodzenia. Przeprasza, że w tym roku nie wysłała kartki, była trochę rozkojarzona — śmiech — ale przynajmniej jej nowy lekarz specjalista jest podobny do Dirka Bogarde'a. Pozdrawia i prosi o telefon w wolnej chwili.

Na koniec słyszę głos tak wyprany z ciepła, że ledwo go rozpoznaję: to Janinę, moja dawna koleżanka brokerka. Kiedy w zeszłym roku firma jej męża ostro poszybowała w górę na giełdzie i Graham z dnia na dzień dorobił się takich pieniędzy, że stać go było na kupno jachtu o nazwie „Tabitha”, należącego niegdyś do kuzyna Arystotelesa Onasisa, Janinc zrezygnowała z pracy. Kiedy pracowała jeszcze w EMF, byłyśmy czymś w rodzaju towarzyszek broni, które starają się łączyć prowadzenie domu z pracą zawodową i ramię w ramię przebijają się pod

ostrzałem snajperów przez tereny znajdujące się wciąż pod męską okupacją. Teraz Janinę uczęszcza na organizowane przez Chelsea Physic Garden kursy ekonomicznego wykorzystania okiennych skrzynek na kwiaty. Ma zimowe i letnie narzuty na sofy, które zmienia wraz ze zmianą pór roku, a ostatnio zebrała wszystkie rodzinne fotografie i wkleiła je do oprawnego w skórę albumu, który leży na stoliczku do kawy w salonie, wydzielając wytworny zapach dostatku. Kiedy spytałam niedawno Janinę, czym wypełnia czas, odparła zblazowanym tonem:

— Och, wiesz, właściwie to niczym.

Nie, nie wiem. Zbijanie bąków to niestety nie moja działka.

Janine dzwoni, żeby się upewnić, czy przyjdziemy do nich na noworoczną kolację. Bardzo przeprasza, że nas nagabuje, ale w jej głosie pobrzmiwa ton urażonej pani domu.

Jaka znowu noworoczna kolacja? Po paru minutach przekopywania się przez hałdę różności, która urosła na stoliczku w holu—jakieś ulotki reklamowe, zeschnięte liście, osierocona brązowa wełniana rękawiczka — natrafiam na plik nieodpisanego świętecznej poczty. Jedna z kopert zaadresowana jest kaligraficznym pismem Janinę. Wewnątrz znajduję kartkę z fotomontażem przedstawiającym Grahama, Janinc i ich wychowywane bezstresowo dzieci oraz zaproszenie na obiad. Prośba o potwierdzenie przybycia, RSVP, do 10 grudnia.

Robię to, co zawsze w takich wypadkach: na kozła ofiarnego wybieram Richarda. (Może to wcale nie jego wina, ale na kogoś trzeba ją zwalić, bo bez tego życie byłoby nie do zniesienia). Rich klęczy w kuchni na podłodze i majstruje Benowi renifera z kartonu z dodatkiem chyba tej drugiej brakującej brązowej rękawiczki. Wyrzucam mu, że nie mamy już nawet na tyle przyzwoitości, by uprzedzać zawczasu ludzi, którzy nas do siebie zapraszają, że nie przyjdziemy: nasz towarzyski ostracyzm jest niemal kompletny. Ogarnia mnie wściekłość, że nie zaliczam się do tych kobiet, które na zaproszenia odpowiadają niezwłocznie na czerpanym kremowym papierze listowym z ozdobnym szlaczkiem. I które posługują się w tym celu eleganckim wiecznym piórem, a nie zmaltretowanym flamastrzem z piórnika Emily.

Rich wzrusza ramionami.

— Daj sobie luz, Kate, bo zwariujesz.

Być może, ale łatwo tak mówić.

Godz. 23.57

Wanna. Moje najulubieńsze miejsce pod słońcem. Pochylona nad nią, wyjmuję kacuszki i wrak galeonu, odlepiam od krawędzi litery alfabetu, które od czasu, kiedy samogłoski spływały do ścieku, układają się w jakiś gniewny, nieartykułowany charkot (scrtzchk!). Odkrobuję od dna na **wpoi** wyschniętą flanelową sukienkę lalki Barbie, która zaczęła cuchnąć czymś, co kojarzy mi się mgliście z kijanką. Na koniec unoszę za jeden róg matę przeciwpoślizgową. Przyssawki stawiają przez chwilę opór. potem puszczają z pełnym oburzenia kłás-nięciem.

Szukam w szafce jakiegoś relaksującego płynu do kąpieli — lawendowego, ogórkowego, bergamotowego — ale jak zwykle niczego takiego nie znajduję i muszę się zadowolić specyfikiem z bąbelkami o nazwie Vitality. Puszczam do wanny wrzątek; woda jest tak gorąca, że kiedy się w niej zanurzam, wydaje mi się przez moment lodowata. Wyciągam się na wznak i wystawiam ponad powierzchnię rozdęte nozdrza jak aligatorzyca. Spoglądam na kobietę znikającą szybko w zachodzącym parą lustrze obok wanny i przez głowę przemyka mi myśl, że to jej chwila dla siebie, chwila, kiedy wreszcie może być sama, jeśli nic liczyć przeoczonego jakimś dziwnym trafem dinozaura Barneya, który z uśmiechem seryjnego zabójcy wyskakuje nagle spod wody między jej kolanami.

Wanna jest zabytkowa, porcelanową polewę przecina pajęczyna szaroniebieskich żyłek. Po urządzeniu kuchni zrobiło się u nas krucho z pieniędzmi, co najlepiej dostrzec, kiedy wstępuje się po schodach: im wyżej, tym niższy standard. Kuchnia od Terence'a Conrana, salon z Ikei. a łazienka to już zupełna prowizorka. Ale kiedy wyjmę szkła kontaktowe i przy blasku świec wodzę wzrokiem po tych obłazących z farby ścianach, czuję się jak westalka w rzymskiej świątyni i zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę warto wywalić pięć patyków na glazurę.

Na moich kłykciach, spod wyparowujących bąbelków wylaniają się złuszczone różowe wysepki. To samo robi mi się już za prawym uchem. Pielęgniarka powiedziała, że to egzema wywołana stresem.

— Żyjesz pod zbyt wielką presją, Kate. Przychodzi ci do głowy jakiś pomysł na zmianę tego stanu rzeczy?

Chwilę, niech się zastanowię: transplantacja mózgu, wygrana na loterii, takie przeprogramowanie męża, by dotarło do niego wreszcie, że to, co zniósł na dół, wypadałoby zazwyczaj odnieść z powrotem na górę.

Nie wiem, jak długo tak wytrzymam. Nie wiem też, jak się zatrzymać. Gnębnie wciąż, że chyba byłam dzisiaj za szorstka dla tej Lankijki. Momo Jak-jcj-tam? Nawet sympatyczna. Prosiła mnie o szczerść. Czy powinnam być z nią szczerą? Powiedzieć jej, że jedyny sposób dojścia do czegoś w EMF to zachowywać się jak faceci; ale kiedy zachowujesz się jak faceci, to zarzucają ci, że jesteś konfliktowa i trudna we współpracy, zaczynasz się więc zachowywać jak kobieta, a wtedy mówią, że jesteś emocjonalna i trudna we współpracy. Trudna we współpracy to ich określenie na wszystko, co nie jest nimi. No nic, sama z czasem do tego dojdzie.

Gdybym w jej wieku wiedziała to, co wiem teraz, to czy kiedykolwiek zdecydowałabym się na dzieci? Przemykam oczy i próbuję sobie wyobrazić świat bez Emily i Bena: to jak świat bez muzyki albo bez światła.

Zanurzam się znowu pod wodę i usiłuję odpędzić od siebie wszelkie myśli, ale te uczepliły się mego mózgu jak pąklc.

Do zapamiętania

Rozmówić się stanowczo z Paulą w sprawie fryzur dzieci. Rozmówić się stanowczo z Rodem Taskiem w sprawie mojej roli w kontaktach z klientami, tzn. NIE JESTEM ICH AWARYJNĄ GEJSZĄ. Podwyżka: powtarzać za mną, Żadnych Dodatkowych Obowiązków Bez Dodatkowego Wynagrodzenia! Odłożyć na nowy chodnik na schody. Kupić choinkę i stylowe lampki (John Levis czy Ikea?). Prezent dla Richarda (może Jak być boginką domowego ogniska?! dla teściów (gomulka sera albo te alpejskie rośliny reklamowane w kolorowym dodatku do Sun-

day Timesa: gdzie ja podziałam ten wycinek?). Prezenty do pończochy dla E i B. Galaretki owocowe Uncle Alfa. Pastylki na chorobę lokomocyjną? Poprosić Paulę o odebranie prania z pralni. Bóle w dole brzucha. Zrobić polewę na świąteczny tort: za późno, kupić w torebce. Znaczki na kartki pierwszej klasy x 30. Odzwyczaić Bena od smoczka! Pamiętać o Urze!! Zadzwożyć do tej beznadziejnej Jirmy prezenlowej KwikToy i postraszyć ich podjęciem kroków prawnych. Pieluszki, butelki, kaseta ze Śpiącą królewną. Wymaz!!! Chomik?

TLR

Wesołych świąt

Potrafię w pół godziny umyć, ubrać i przygotować do wyjścia z domu siebie i dwójkę dzieci, potrafię zonglować dziewięcioma różnymi walutami w pięciu różnych strefach czasowych, potrafię szczytować po cichu i mieć z tego satysfakcję, potrafię przyrządzić sobie i zjeść na stojąco kolację, rozmawiając jednocześnie przez telefon z Zachodnim Wybrzeżem, potrafię czytać Benowi „Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?“, przeglądając w tym samym czasie kursy na telegazecie, a nie potrafię załatwić taksówki na lotnisko?

W ramach programu cięcia kosztów firma Edwin Morgan Forster skończyła zwożeniem pracowników służbowymi samochodami i transport na Heathrow muszą sobie zorganizować we własnym zakresie. Taksówka, którą zamówiłam telefonicznie poprzedniego dnia wieczorem, dziś rano się nie pojawiła. Kiedy zadzwoniłam z reklamacją, usłyszałam od dyspozytora, że bardzo im przykro, ale wóz mogą mi podesłać najwcześniej za pół godziny.

— O tej porze zawsze jest urwanie głowy, kochana.

Sama wiem, że o tej porze zawsze jest urwanie głowy. I dlatego profilaktycznie zamówiłam taksówkę już wczoraj.

Facet mówi, że może uda mu się wygospodarować coś dla mnie za dwadzieścia minut. Unoszę się honorem, odrzucam tę uwłaczającą propozycję i trzaskam słuchawką. I zaraz tego żałują, bo inne firmy taksówkowe, które obdzwaniam, albo w ogóle nie mają w tej chwili wolnego wozu, albo proponują mi jeszcze dłuższy czas oczekiwania.

Cała w nerwach, dostrzegam brudnobrązowy bilecik wystający spod wycieraczki. To wizytówka firmy taksówkowej, o której nigdy nie słyszałam: „Pegaz — Twój Skrzydlaty Przewoźnik“. Dzwonię, i facet mówi, że już podjeżdża.

Ulga, jaka na mnie spływa, ma jednak krótki żywot. Taryfiarz, który puka do moich drzwi, to raczej Pegaz — Twój Przyćpany Przewoźnik. Rydwan Pegaza, zaparkowany pod kątem blisko czterdziestu pięciu stopni do krawężnika, to nissan sunny o mrocznym wnętrzu cuchnącym nikotyną i haszem. Wsiadam odważnie i stwierdzając, że oddychanie jest tu praktycznie niemożliwe, próbuję opuścić szybę, żeby wystawić głowę na zewnątrz jak pies.

— Okno zepsute — informuje mnie kierowca rzeczowo i bez cienia zażenowania.

—A gdzie pas bezpieczeństwa?

—Zepsuty.

—Zdaje pan sobie sprawę, że to wbrew przepisom. Pegaz rzuca mi za pośrednictwem wstecznego lusterka wiele

mówiące, pełne politowania spojrzenie.

Kłopoty z zamówieniem taksówki tak mnie wyprowadziły z równowagi, że nieopatrznie powiedziałam parę przykrych słów Richardowi. Znalazł czek ze świąteczną premią Pauli, który schowałam do pojemniczka na drugie śniadanie Emily. Spytał, dlaczego na gwiazdkową gratyfikację dla niańki przeznaczam więcej niż na prezenty dla całej rodziny razem wziętej.

Spróbowałam mu to wyjaśnić:

—Bo jeśli nie będę się Pauli podlizywała, to odejdzie.

—I to naprawdę byłaby taka strata, Katie?

—Jeśli chcesz wiedzieć, to większa niż gdybyś ty odszedł.

—Aha, rozumiem.

Nie powinnam była tego mówić. Cholerne zmęczenie. W tym stanie człowiek zawsze chlapnie coś, czego później żałuje. Richard siedział potem przy kuchennym stole, udając pochłoniętego jakimś fascynującym tekstem w „Architectural Digest”, ale po minie — buzia w ciup, zaszklone oczy — widać było, że wziął sobie moje słowa do serca.

Nie spojrział na mnie nawet, kiedy wychodziłam. Za to Ben stanął na swoim podwyższonym krzeselku i wyciągnął do mnie rączki, żebym go przytuliła. O nie! Przykro mi, ale nic z tego nie będzie. Ładnie by wyglądał mój czyściutki kostium po zetknięciu z buzią umazaną dżemem i serkiem fromage o smaku morelowym.

Taksówka, to zatrzymując się, to znów ruszając, pełźnie zrywami wzdłuż Euston Road. Jeśli tak wygląda jedna z głównych arterii Londynu, to Londyn znajduje się w stanie przed-zawałowym. Jego mieszkańcy siedzą w samochodach i zgrzytają w bezsilnej złości zębami.

Za King Cross zaczynani przeglądać pocztę. Znajduję list od mamy z bożonarodzeniowym dodatkiem do jakiegoś czasopisma: *26 przepisów na magiczne, bezstresowe święta!* Z rosnącym niedowierzaniem przewracam stronicę. Jak można bezstresowo karmelizować szalotkę?

Wlokąc się wciąż w kierunku zachodnim, mijamy wiadukt i wjeżdżamy między ceglasteróżowe bliźniaki, które przywodzą mi na myśl ciągnące się kilometrami rzędy rozdziawionych sztucznych szczęk. Kiedy mieszkałam w takim domu, święta Bożego Narodzenia były jeszcze całkiem prostą sprawą. Choinka, przyszczaty indyk, mandarynki w pomarańczowej siatce, czasem garść sklejonych daktyli i wielka puszka orzeszków, które cała rodzina chrupała przed telewizorem. Pod choinką czekały zawsze główne prezenty — domek dla lalek, wrotki, czasem rower z przerzutką i z dzwonkiem — w nogach łóżka zaś znajdowało się pończochy wypchane łakociami. Ale tak jak wszystko inne, święta Bożego Narodzenia nabrały ostatnio rozmachu. Teraz mamy inscenizacje *Dziadka do orzechów*, na które bilety trzeba rezerwować już we wrześniu, i Kelly Bronze. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę nazwę, myślałam, że chodzi o jakąś dziewczynę, okazuje się jednak, że to tylko gatunek indyka, który od innych odróżnia się tym, że można go od biedy uznać za zjadliwego. Po godzinie wydzwaniania na wiecznie zajęty numer supermarketu, żeby zapisać się na listę oczekujących na Kelly, trzeba jeszcze przywieźć ptaszysko do domu i nadzieć je farszem. Według mojego bożonarodzeniowego dodatku farsz, w którego skład wchodziły kiedyś usuwane okruszki chleba, pokrojona w plasterki cebula i łyżeczka pospolitej szalwii,

wywoluowało w kompozycję z „masła, czerwonego ryżu i żurawin, by dogodzić najbardziej wymagającym podniebieniom”.

W latach siedemdziesiątych nie mieliśmy chyba wymagających podniebień: miewaliśmy za to wzdęcia i zgagi, na które pomagało ssanie pastylek o barwie i teksturze płyt nagrobkowych. Jeśli się dobrze zastanowić, to coś tu jest nie tak, prawda? W miarę jak kobiety milionami uciekają od roli domowych kucharek, pojawia się coraz więcej wyrafinowanych przepisów na potrawy, którym trzeba poświęcić mnóstwo czasu. Pomyśl tylko, Kate, ileż smakowitych farszy mogłabyś przyrządzić, gdybyś tylko przysiadła fałdów w kuchni.

Godz. 8.43

Pegaz orzekł, że szybciej dojedziemy na Heathrow okrężną drogą. W związku z czym, na godzinę i dwadzieścia dwie minuty przed startem, tkwimy przy mięsnych jatkach w Sout-hall. Serce podchodzi mi do gardła; duszę stopą wyimaginowany pedał gazu.

— Panie, nie dałoby się szybciej? Ja muszę zdążyć!

Przed maskę wyłazi nam młodzieniec w białej bawełnianej piżamie, dźwiga na ramieniu jagnię wielkości kilkuletniego dziecka. Mój kierowca daje po hamulcach i słyszę jego lakoniczną odpowiedź:

— O ile mi wiadomo, proszę pani, przejeżdżanie ludzi nadal jest karalne.

Przymykam oczy i staram się zapanować nad nerwami. Może lepiej mi pójdzie, jeśli się czymś zajmę: dzwonię z komórki do KwikToy („Zabawa przez okrągłą dobę!”), żeby złożyć zażalenie w związku z opóźniającą się realizacją zamówionych przeze mnie ważnych prezentów gwiazdkowych.

„Dziękujemy za wybranie KwikToy. Niestety, wszystkie linie są w tej chwili zajęte. Prosimy czekać na zgłoszenie się operatora”. Typowe.

Zabieram się do przeglądania wydartych z książki telefonicznej kartek z adresami i telefonami sklepów zoologicznych w północnym Londynie. Nie jestem ani trochę zdziwiona, kiedy okazuje się, że w całym kraju zabrakło młodych chomi-

ków, chociaż w Walthamstow mógł się jeszcze jakiś ostać. Czy jestem zainteresowana? Jestem.

Kiedy wreszcie udaje mi się dodzwonić do KwikToy, operator idzie w zaparte i zarzeka się, że nie ma nigdzie odnotowanego mojego zamówienia. Mówię mu, że jestem właścicielką sporego pakietu akcji jego firmy i zamierzam właśnie weryfikować swoje inwestycje.

— No dobrze — spuszcza z tonu facet — są pewne kłopoty z realizacją zamówienia z uwagi na jego nietypowość.

Zauważam, że moje zamówienie trudno nazwać nietypowym.

— Narodziny Dzieciątka Jezus. Celebrowane od dwóch tysięcy lat. Zabawki i Gwiazdka. Gwiazdka i zabawki. Coś to panu mówi?

— Będzie pani prosiła o rachunek?

— Nie, nic będę prosiła o rachunek. Żądam bezzwłocznego dostarczenia zamówionych zabawek, żeby moje dzieci mogły w Boże Narodzenie znaleźć coś pod choinką.

Chwila ciszy, piśnienie, a potem roznoszący się echem krzyk:

— Hej, Jeff, jakaś pyskata baba robi mi przez telefon awanturę o serwis śniadaniowy dla lalek i zdalnie sterowanego owczarka. Co mam jej powiedzieć?

Gocłz. 9.17

Podjeżdżamy pod Heathrow ze sporym zapasem czasu. Czuję się w obowiązku zrekompensować kierowcy moje polajanki. Pytam go o imię.

— Winston — wymrukuje podejrzliwie.

— Dziękuję, Winstome. Dobrze się spisałeś. Ja jestem Kate. Bardzo ładne imię, Winston. To po Churchillu?

Zwleka chwilę z odpowiedzią, potem burczy:

— Po papierosach.

Godz. 9.26

Szarżując przez zatłoczoną halę odlotów, przypominam sobie nagle, że o czymś zapomniałam. Muszę zadzwonić do domu. Komórka nie działa. Wiadomo. Automat wrzutowy połyka trzy funtowe monety z rzędu i nie łączy. Powtarza tylko za każdym razem: „Dziękujemy za wybranie British Telecom”.

W końcu dodzwaniam się z telefonu na karty kredytowe przy stanowisku odpraw, podsłuchiwana przez trójkę pracowników lotniska w granatowych uniformach.

— Halo, Richard? Żebyś mi tylko nie zapomniał o pończochach.

— Jakich?

— Co jakich?

— Jakich pończochach. Chodzi ci o damskie, Kate? No wiesz, podwiązki, czarna koronka, trzy cale kremowego uda, czy o te zwyczajne, do których poczciwy Mikołaj wrzuca prezenty?

— Richard, ty piłeś?

— A wiesz, że to jest nawet myśl. — Mogłabym przysiąc, że zanim odłożyłam słuchawkę, słyszałam, jak Paula proponuje Emily hubbę bubbę.

MOJEJ CÓRCIE NIE WOLNO ŻUĆ BALONOWEJ GUMY.

Od: Kate Reddy, Sztokholm Do: Candy Stratton

Klient groził, że zerwie z nami współpracę, bo niepokoi go spadek efektywności funduszu. Byłam zmuszona wcisnąć im trochę kitu Porównałam menedżerów Edwin Morgan Forster do Bjórna Borga, powiedziałam, że tak jak on są genialnymi statecznymi profesjonalistami, którzy z zimnąkrwią prowadzą grę ukierunkowaną na trwałe zwycięstwa w dłuższej perspektywie i nie mają w sobie nic z tych efekciarzy osiągających szybkie zyski, by zaraz potem podwójnie stracić. Chyba to kupili. Bóg jeden wie dlaczego.

Co chwila wyskakiwałam z sali konferencyjnej Bengta Bergmana do łazienki dla kierownictwa, zamykałam się w kabinie i obdzwaniałam z komórki wszystkie sklepy zoologiczne w Walthamstow. W listach Emily do Świętego Mikołaja nie było do niedawna żadnej wzmianki o chomiku. Dopiero przed trzema dniami wskoczył ni stąd, ni zowąd na pierwsze miejsce listy.

Na nazwiskach tych Szwedów język można sobie połamać. Podczas lunchu Sven Sjostrom podbierał mi wciąż widelcem rolmopsy z talerza i powtarzał, że jest gorącym zwolennikiem „Więpszego zbliżenia między Europejczykami”.

Dwuznacznie mi to brzmiało.

Twoja Europejka Kate xxxxx

Od: Candy Stratton

Do: Kate Reddy

Svenowo się zapowiada.

korzystaj z okazji, kochanie, dobrze ci to zrobi!

co tam zapalenie pęcherza xxx

Od: Kate Reddy Do: Candy Stratton

To wcale NIE JEST ZABAWNE. Nie zapominaj, że jestem szczęśliwą mężatką. No, w każdym razie mężatką.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Spotkało mnie właśnie niebywale upokorzenie ze strony — a raczej z ust — zółzowatej sekretarki szkolnej z Piper Place (wiem, wiem, powinnam dać sobie spokój z tą edukacyjną paranoją). Tak, Ruby może się ubiegać o miejsce w 2002, „Ale muszę paniąprzedezić, pani Richardson, że na liście kandydatek mamy ponad sto dziewczynek, a podczas rekrutacji największy nacisk kładziemy na pochodzenia społeczne”.

Masz może trochę semteksu? Z tymi drobnomieszczańskimi krowami trzeba się w końcu rozprawić.

Co nowego??

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

Ja nie zapisałam jeszcze Em do żadnej szkoły. Kiedy już dojdzie co do czego, będę pewnie musiała pójść do łóżka z dyrektorem, żeby gdzieś ją upchnąć... Tymczasem mam na głowie bardziej palący problem: dwa dni na odzwyczajenie Bena od smoczka, bo teściowa uważa smoczek za narzędzie szatana akceptowane jedynie przez Cyganów i nałogowych palaczy z lumpenproletariatu, którzy „parkują swoje dzieci przed telewizorem”. A co innego można zaproponować dzieciom w Yorkshire?

Znalazłam chomika dla Emily. Podobno samiczki bywają humorzaste i czasami gryzą albo zjadają swoje młode. Ciekawe, skąd im się to bierze?

Godz. 2.17

Zamieć śnieżna. Start się opóźnia. Płyną cenne sekundy, które w Londynie mogłabym wykorzystać na ostatnie zakupy. Zaglądam do sklepu na sztokholmskim lotnisku. Może tu znajdę coś na gwiazdkowe prezenty. Co wolałby Rich? Dychawicznego renifera czy kasetę wideo z filmem pod tytułem „Szwedzkie lolitki na śniegu”? Nadal mam opory przed kupieniem Emily wulgarnej, rozmłanej siusiającej lalki-dzidziusia, którą widziała w śniadaniowej telewizji. Idę na kompromis i decyduję się na miejscową szwedzką barbiepodobną lalkę — za dbaną indywidualistkę, prawdopodobnie socjaldemokratkę w paramilitarnym wdzianku khaki.

*

Wigilia, biura Edwin Morgan Forster

Powinam się była domyślić, na czym się skończą moje negocjacje płacowe, kiedy Rod Task stanął za moim krzesłem i pogłaskawszy trzykrotnie po ramieniu jak weterynarz, który przygotowuje kota do zastrzyku, nazwał mnie „bardzo cennym członkiem zespołu”. Było to późnym popołudniem, zapadał zmierzch, niebo nad Broadgate miało kolor herbaty.

Rod oznajmił, że tego roku nie będzie premii: premii, na którą tak liczyłam i zamierzałam przeznaczyć na wykończenie domu oraz zaspokojenie tylu innych pilnych potrzeb. Powiedział, że czasy są ciężkie, ale na osłodę ma dla mnie wspaniałą wiadomość: przydzielają mi nowe odpowiedzialne zadanie.

— Uważamy, że ty najlepiej dogadasz się z klientem, Katie, bo nieraz już udowodniłaś, że jesteś w tym cholernie dobra. A poza tym masz z nas wszystkich najlepsze nogi.

Rod, przysadzisty tęgi Australijczyk o głosie, którym inni faceci porykują na barmana, trzy i pół roku temu został ściągnięty do EMF z Sidney na stanowisko dyrektora marketingu. Miał to być zastrzyk świeżej krwi dla naszej czysto angielskiej firmy. Z początku naprawdę nosiłam się z zamiarem złożenia wymówienia. Rod nic potrafił spojrzeć mi prosto w oczy — i to nie tylko dlatego, że jestem od niego o pięć centymetrów wyższa, komentował części mego ciała, tak jakby były w ofercie specjalnej, a każde spotkanie kończył zwrotem: „No, to do galopu, i żeby mi furczało!”. Kiedy po paru tygodniach Candy poprosiła go słodko o przetłumaczenie tej frazy na angielski, Rod podrapał się z zakłopotaniem po głowie, a potem z szerokim uśmiechem wypalił: „Doić klienta, ile wlezie!”.

Zamierzałam więc zrezygnować z pracy. Ale Emily weszła akurat w wiek Strasznych Dwójek i kupiłam sobie książkę pod tytułem *Oblaskawianie berbercia*. Była rewelacyjna. Zawarte w niej sugestie, jak sobie radzić z rozbisurmanionymi, niedojrzałymi ludzikami, które nic znają umiaru i bez ustanku testują swoją matkę, stosowały się do mojego szefa wprost idealnie. Wystarczyło widzieć w nim nie przełożonego, lecz krnąbrnego chłopczyka. Kiedy zaczynał na coś grymasić, robiłam co w mojej mocy, żeby zainteresować go czymś innym; kiedy chciałam go do czegoś nakłonić, starałam się wzbudzić w nim święte przekonanie, że dany pomysł wyszedł od niego.

Tak czy owak, Rod mówi, że od dzisiaj obejmuję Fundację Salingera. Z siedzibą w Nowym Jorku. Prezes nazywa się Jack Abelhammer. Interes wart dwieście milionów dolarów wymaga kogoś mojego kalibru. Oczywiście, podczas świąt będę się mogła zapoznać z dokumentacją. Na razie pozostanę też przy niańczeniu swoich starych klientów, dopóki Rod nie wynajdzie właściwej osoby, która ich ode mnie przejmie.

Pytam Roda, jaki jest Jack Abelhammer.

—Dobry zawodnik.

—W jakim sensie?

—Kuty na cztery nogi.

—Ach, w tym.

— A myślałaś, że o czym ja mówię, Katie, o sprawności seksualnej?

Tak naprawdę święta zaczną się dopiero po zamknięciu na dziś sklepiku, ale biuro już praktycznie opustoszało: nieoficjalnie znajdujemy się teraz w stadium przejściowym między zakrapianym lunchem a libacją przy herbatce. Kiedy wracam za biurko, zastaję Candy siedzącą w swobodnej pozie na pod-okiennym grzejniku. Wyciągnięte nogi trzyma na oparciu mojego fotela. Ma na sobie szarą szkarłatną bluzkę, purpurowe siatkowe pończochy, a w jej włosach połyskuje złota błyskotka.

—Chwilę, niech zgadnę — mówi. — Nasrał na ciebie, a ty mu podtarłaś tyłek?

—Wybacz. — Chwytam Candy za kostki i zrzucam jej nogi z oparcia. — Może cię zaskoczę, ale poszło bardzo dobrze. Rod wyraża się z uznaniem o moim podejściu do klienta i w dowód zaufania, jakim mnie darzą, dają mi na wyłączność tę dużą fundację.

—Tak, tak. — Kiedy Candy się śmieje, można sobie do woli podziwiać ten godny pozazdrosczenia garnitur amerykańskich zębów.

— Nie patrz tak na mnie.

— Kate, dobrze wiesz, że prawdziwym dowodem zaufania są tutaj co najmniej cztery zera po ostatniej cyfrze. Co jeszcze mówił?

Chcę już odpowiedzieć, ale Candy kładzie palec na ustach. Mija nas rozkołysanym krokiem nadworna gnida, Chris Bunce, zmierzający po obfitym lunchu do męskiej toalety. Bunce'owi jakimś niewytłumaczalnym sposobem udaje się wyglądać na chudego i nalanego zarazem. Po tym, jak dałam mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana zawartością jego bokserek, istniejące między nami napięcie seksualne ustąpiło miejsca złośliwym docinkom przetykanym od czasu do czasu, kiedy przydzielają mi transakcję, na której jemu zależało, serią ostrej amunicji. (Faceci pokroju Bunce'a uznają odtrącenie za obelgę, którą trzeba oddać z procentem składanym, jak dług Trzeciego Świata).

Candy wskazuje ruchem głowy jego oddalającą się postać:

— Dużo śmiecia dostaje się w taki czy inny sposób do EMF. Biuro też podjęłaś im się wysprzątać?

— Za kogo mnie masz? Rod powiedział, że w tym roku nikt nie dostaje premii.

— I ty mu uwierzyłaś? — Candy przymyka oczy, wzdycha i uśmiecha się. — Za to cię właśnie kocham, Kate. Wybitna ekonomistka, istna Maynard Keynes, a nie widzi, kiedy ją robią w konia. Mało, że tego nie widzi, to jeszcze jej się wydaje, że ją faworyzują.

— Candy, Maynard Keynes był mężczyzną.

Candy potrząsa głową, błyskotka we włosach rzuca wokół refleksy odbitego światła.

— Nieprawda. Był pedziem. Moim zdaniem, kobiety powinny zaliczać do swojej płci wszystkich facetów w dziejach, u których przejawiała się silna strona żeńska.

Godz. 18.09

Załadunek samochodu przed podróżą na północ do teściów zajmuje co najmniej dwie godziny. Przez pierwszą godzinę Richard układa w bagażniku łami-główkę dziecięcych rzeczy. (Nawet Ludwik XIV nic zabierał ze sobą w podróż tyle co Ben). Przychodzi wreszcie chwila, kiedy jest mu potrzebny kluczyk do pojemnika na bagaż zainstalowanego na dachu samochodu i przypominającego przewróconą do góry dnem łódkę.

— Gdzie go położyłaś, Kate?

Po dziesięciu minutach przeklinania i przekopywania się przez zawartość każdej szuflady w domu, Richard znajduje kluczyk w kieszeni swojej marynarki.

W końcu woła do mnie, żebym wsadzała dzieci do wozu „ale już!”, po czym przez dwadzieścia minut gorączkowo rozładowuje to, co przed chwilą załadował, bo „musi się upewnić”, czy nie zapomniał o sterylizatorze, który, „wie to na pewno”, wcisnął obok zapasowego koła. Upewnił się i wściekły upycha wszystko z powrotem, miotając „kurwami”, ilekroć coś nie chce wejść. Rzeczy, które tym razem nie zmieściły się w bagażniku, wrzuca do kabiny na podłogę. Łatwa w utrzymaniu mata do przewijania, łatwe do składania przenośne podwyższone krzeselko z pulpitem, cynobrowe łatwe w montażu przenośne łóżeczko dziecinne. Śliniaczki, melaminowe miseczki. Śpioszki. Kocyk Emily — żaloszny łachman z żółtej wełny, który wygląda tak, jakby ktoś po nim kilka razy przejechał. Podróżujemy zawsze z całym zwierzyńcem nocnych przytułank — ukochany Ur Bena, owieczka, hipopotam, wombat. Benowe smoczki (które za wszelką cenę trzeba będzie ukryć przed rodzicami Richarda). Chomik, o którego istnieniu Emily jeszcze nie wie, jedzie w bagażniku.

Zabawa w poszturchiwanie między Emily i Benem, którzy niczym kosmonauci czekający na start siedzą przypięci pasami na tylnym siedzeniu samochodu, przeradza się szybko w walkę wręcz. W chwili słabości — a kiedyż to ja miałam chwilę siły? — odpieczętowałam przewidzianą na bożonarodzeniowy poranek czekoladę, i dałam każdemu po dwa owinięte w sreberko kawałki, żeby im zatkać buzie. W rezultacie Emily, która jeszcze przed piętnastoma minutami miała na sobie białą piżamkę, jest teraz cała w kakaowych plamach i wygląda jak dalmatyńczyk.

Richard, któremu przez jedenaście i pół miesiąca tego roku kwestia czystości i ogólnej prezencji jego pociech była dokładnie obojętna, pyta mnie teraz ni z gruszki, ni z pietruszki, czemu Ben i Emily są tacy utyłani. Co sobie pomyśli jego matka?

Wycieram dzieciom buzie nawilżonymi chusteczkami higienicznymi. Przed nami trzy godziny podróży autostradą A1. Przeładowany samochód kołysze się jak statek na morzu.

— Jesteśmy jeszcze w Anglii? — odzywa się za mną niepewny głosik.

— Tak.

— A jesteśmy już pod domem babci?

— **Nic.**

— Ale ja chcę być u babci.

Pod Hatfield dzieci dają koncert wrzasków i pochlipywań. Wsuwam do radioodtwarzacza kasetę z kolędami i śpiewamy z Richem na całe gardło. Przed Peterborough, sto trzydzieści kilometrów od Londynu, spod sieczki, jaką mam aktualnie w głowie, wypelza niepokojąca myśl.

— Rich, pamiętałeś o zapakowaniu Ura?

— Pierwsze słyszę, że ja miałem pamiętać o Urze. Myślałem, że ty o nim pamiętasz.

Shattockowie, jak wszystkie szanujące się rodziny, mają i kultywują swoje bożonarodzeniowe tradycje. Tradycją stało się, między innymi, że to ja kupuję wszystkie prezenty dla mojej strony rodziny, ja kupuję wszystkie prezenty dla naszych dzieci i dwojga naszych chrześniaków, ja kupuję prezenty dla Richarda i prezenty dla rodziców Richarda, dla jego brata, Petera, i dla żony Petera, Cheryl, i dla trójki ich dzieci oraz dla wuja Richarda, Alfa, który przyjeżdża z Matlock w każdy drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i jest zagorzałym kibicem rugby. Ri-

chard, jeśli tylko nie zapomni i jeśli nie zamkną mu przed nosem sklepu, kupuje prezent dla mnie.

— To co mamy dla taty? — zapyta Rich dopiero w drodze do Yorkshire.

Ja kupuję papier do pakowania i taśmę klejącą, ja pakuję prezenty. Ja kupuję kartki świąteczne i całe arkusze znaczków pocztowych drugiej klasy. A zanim napiszę życzenia na wszystkich kartkach, podrobię na każdej podpis Richa i skreślę w postscriptum parę ciepłych, utrzymanych w lekkim tonie słów o upływającym czasie i konieczności spotkania się po Nowym Roku (na co wcale nie mam ochoty), jest już za późno na przesyłkę drugiej klasy i staję w urzędzie pocztowym w kolejce po znaczki pierwszej klasy. Potem tłoczę się jeszcze w delikatesach, żeby zdobyć ser i te małe florentynki, które tak lubi Barbara.

A kiedy przyjeżdżamy do Barbary i Donalda i wypakowujemy towar z samochodu, układając wszystkie prezenty pod choinką, żywność zaś i napoje wnosząc do kuchni, słyszę ich chóralne: „Och, Richardzie, jak to dobrze, że przywiozłeś wino. Że też robiłeś sobie tyle kłopotu”.

Czyż szlag nie może człowieka trafić na miejscu?

Pasterka, kościół św. Marii, Wrothly

Trawa na wioskowym skwerze jest dziś w nocy tak zmrożona, że przywodzi na myśl instrument muzyczny: chrzęści dźwięcznie i trzaska pod naszymi stopami, kiedy idziemy ze starego młyna, w którym mieszkają Shattockowie, do małego anglo-normańskiego kościółka. Na ławkach w środku ścisk, w gęstym, wilgotnym powietrzu wisi zapach nieprzetrawionego alkoholu. Wiem, że pijacy, którzy do kościoła zaglądają tylko ten jeden raz w roku, nie zasługują na sympatię, ale kiedy stoję tak obok Richa, czuję, że bardzo ich lubię, a nawet im trochę zazdroszczę. Wzruszają mnie ich nieporadne próby zachowywania ciszy, wzrusza świadomość, że przyszli tutaj szukać ciepła, światła i bliskości innych ludzi.

Trzymam się dzielnie, naprawdę się trzymam, ale kiedy kościółek rozbrzmiewa aż pod strop pierwszą kolędą, muszę zakryć rękawiczkami oczy. „Cicha noc, święta noc...”.

Boże Narodzenie

Godz. 5.37, Wrothly, Yorkshire

Za oknem jeszcze ciemno. Siedzimy na łóżku we czwórkę spletanym, wielko-kończynowym kłębowiskiem. Emily, dygocząc z podniecenia, zdiera niecierpliwie papier z paczek. Ben bawi się strzępami papieru. Obdarowuję Richarda paczką z dycha-wiecznym reniferem, dwiema parami szwedzkich skarpetek (prezent praktyczny), zaproszeniem na pięciodniowy kurs degustacji wina w Burgundii i książką pod tytułem *Jak być boginką domowego ogniska* (żart). Później Barbara i Donald obdarują mnie fartuchem ze Statuą Wolności oraz książką pod tytułem *Jak być boginką domowego ogniska* (to nie żart).

Od Richarda dostaję:

1. Bieliznę Agentki Prowokatorki — czerwony biustonosz w czarne atlasowe kropki, z miniaturowymi miseczkami, sponad których sutki sterczą niczym hełmy średniowiecznych wojów nad parapetem. Do tego pas do pończoch/figi obszyty czymś, co przypomina sieć rybacką.

2. Członkostwo Narodowego Funduszu Powierniczego.

Oba prezenty podpadają pod kategorię tych, które określam skrótem PZS: Proszę Zmień Się. Emily daje mi fantastyczny budzik podróżny. Zamiast alarmu, włącza się nagrane przez nią wołanie: „Zbudź się, mamusiu, wstawaj, śpieszku!”.

Emily dostaje od nas chomika (samiczkę, ale chce ją nazwać Jezus), rowerek dla Barbie, domek dla lalek, zdalnie sterowanego psa robota i mnóstwo innych plastikowych drobiazgów, które nie są jej do niczego potrzebne. Jest zachwycona paramilitarną Barbie ze sklepu wolnocłowego na sztokholmskim lotnisku, ale tylko do momentu odpakowania prezentu od Pauli: siusiającej lalki-dzidziusia, kupionej wbrew mojemu wyraźnemu zakazowi.

Ryzykując histerią, staramy się rozpakować większość podarków dla dzieci na górze, żeby nie gorszyć moich teściów beztroską wielkomięską rozrzutnością („Tak szastacie pieniędzmi”) i lekkomyślnym psuciem młodego pokolenia („Za moich czasów dziecko nie posiadało się ze szczęścia, jeśli dostało szmacianą lalkę i pomarańczę”).

Niektóre sprawy trudniej utrzymać w tajemnicy. Niełatwo, na przykład, wmawiać dziadkom, że ich wnuczka tylko sporadycznie ogląda telewizję, kiedy ta podczas śniadania śpiewa bez zająknięcia piosenki z *Małej syrenki* i oznajmia beztrosko, że na filmie w wersji na DVD jest o jedną piosenkę więcej. Kolejne zarzewie konfliktu pojawia się przy stole, kiedy upominam Emily, żeby nie bawiła się solniczką.

— Emily, dziadek prosił, żebyś to odstawiła.

— Nieprawda — zaprzecza Donald. — Ja *kazałem* jej odstawić. To właśnie różni nasze pokolenia, Kate: my każemy, wy prosicie.

Smażąc parę minut później jajecznicę, wyczuwam nagle, że przez ramię zagląda mi Barbara. Nie kryje zdumienia nad zawartością patelni.

—Boże drogi, takie ścięte jajka dzieciom robisz?

—Zawsze im takie robię.

—Ojej.

Barbara ma obsesję na punkcie odżywiania się mojej rodziny, nie podoba jej się brak warzyw w diecie dzieci i moja niechęć do pitraszenia trzech trzydaniowych posiłków dziennie.

— Musisz wziąć się w garść, Katharine. — Po każdym z rodzinnych spotkań u Shattocków pozostawałoby uczucie niedosytu, gdyby teściowa nic wciągnęła mnie do wnęki przy spiżarni i nie wysyczała: — Richard bardzo zeszczupłał, Katharine. Zauważyłaś, jak on zeszczupłał?

Słowo „zeszczupłał” brzmi w ustach Barbary jak zarzut, żeby nie powiedzieć, oskarżenie. Zaciskam powieki i staram się mobilizować rezerwy cierpliwości i wyrozumiałości, których mi brak. Stojąca przede mną kobieta przekazała moje-

mu mężowi w genach sylwetkę upodabniającą go do wkładu do długopisu, a trzydzieści sześć lat później ma o to pretensję do mnie. Czy to sprawiedliwe? Jestem ponad takie niuanse swojego żoninego losu.

—Przecież Richard z natury jest szczupły — oponuję. — Był jak patyk, kiedy się poznaliśmy. Między innymi tym zwrócił na siebie moją uwagę.

—Tak, zawsze był szczupły — przyznaje Barbara — ale teraz już na wiór wychudł. Cheryl, jak tylko go zobaczyła, kiedy wysiadał z samochodu, od razu powiedziała: Nic uważasz, że Richard zmizerniał, Barbaro?

Cheryl to moja szwagierka. Zanim wyszła za Petera, brata Richarda, pracowała w jakimś towarzystwie budowlanym z Halifax. Po urodzeniu pierwszego ze swoich trzech synów, a było to w roku 1989, zasiła szeregi potężnej, dobrze zorganizowanej kliki niepracujących mamusiek, którą moja przyjaciółka Debra nazywa Mamafią. Cheryl i Barbara traktują mężczyzn jak żywy inwentarz, który trzeba pieczołowicie doglądać. Po każdym świętach u Shattocków pozostawałoby mi uczucie niedosytu, gdyby Cheryl nie zapytała mnie, czy mój kaszmirowy golf od Josepha jest od Bhs albo czy to naprawdę wypada, żeby Rich był teraz na górze i *sam* kąpał dzieci.

Peter jest o wicie mniej przydatny w domu niż Richard, ale po latach obserwacji doszłam do wniosku, że Cheryl jest zadowolona z fajtlapowatości męża, a nawet sama go do niej popycha. Peter odgrywa w życiu Cheryl ważną rolę Krzyża, Który Ona Musi Dźwigać. Każda cierpiénica potrzebuje jakiegoś Petera, którego z czasem można tak wytresować, żeby nie rozpoznawał własnych gaci.

To co ja w Londynie uważam za coś naturalnego, tutaj postrzegane jest jako szalejący egalitaryzm.

—Bomba ekologiczna — oznajmia triumfalnie Richard, przeprowadzając przez kuchnię z wypchanym woreczkiem na zużyte pieluchy, którego morclowy zapach na próżno stara się przytłumić wydobywający się ze środka odorek. (Rich wypracował system kwalifikacyjny dla zawartości pieluszek Bena: lekki przypadek, to u niego Siubździu, średni ładunek to Krowi Placek, natomiast poważna spuścizna to Bomba Ekologiczna. Raz, ale tylko raz, zdarzył się Krakata.

—Za naszych czasów ojcowie nie wtrącali się w ogóle do tych spraw — komentuje Barbara, krzywiąc się. — Donald nawet się nie zbliżył do pieluch. Obchodził je szerokim łukiem.

—Richard jest fantastyczny — mówię ostrożnie. — Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła.

Barbara kładzie na desce czerwoną cebulę i zaczyna ją zawzięcie siekać.

— O mężczyzn trzeba stale dbać — mruczy. — To delikatne stworzenia. Możesz pomieszać ten sos, Katharine?

Wchodzi Cheryl i zaczyna rozmrażać serowe paluszki i foremki vol-au-vent na jutrzejsze przyjęcie.

Czuję się bardzo samotna przy szczebioczących między sobą w kuchni Barbarze i Cheryl. Tak jest chyba od niepamiętnych czasów. Wiecznie czymś zajęte kobiety, wymieniające konspiracyjne spojrzenia i pobłażliwe uwagi na temat mężczyzn. Aleja nigdy nie wstąpiłam do Mamafii; nie znam jej kodeksu, haseł, specjalnych gestów. Oczekuję od mężczyzny — swojego mężczyzny — że będzie mnie wyręczał w niektórych kobiecych obowiązkach, bo jeśli nie, to ja nic będę mu mogła pomagać w zarabianiu na dom. Ale tutaj, w Yorkshire, duma, że sobie radzę, że z moim udziałem wiążemy jakoś koniec z końcem, ścina się w uczucie niepokoju. Uświadamiam sobie nagle, że rodzina, aby funkcjonowała bez zarzutu, wymaga pielęgnacji, smarowidła; natomiast moje małe stadko coraz bardziej buksuje i zgrzyta.

Richard wraca do kuchni już bez pieluchy, obejmuje mnie w pasie, unosi, sadza na szafce, kładzie głowę na moim ramieniu i zaczyna bawić się włosami. Tak jak Ben.

— Dobrze ci, kotku?

Brzmi to jak pytanie, ale właściwie jest odpowiedzią. Widzę, że Rich, mając wokół siebie tę kobietą krzątanicę, zapach piekącego się ciasta i mnie nie biegnącą co pięć minut do telefonu, jest szczęśliwy.

— Richard to prawdziwy domator — mówi z dumą Barbara. Mówię Richowi, i nie do końca żartuję, że lepiej by zrobił, biorąc sobie za żonę jakąś Sloane biegłą w pieczeniu babeczek z leguminą.

— Być może, ale tego nie zrobiłem, bo umarłbym z nudów — odpowiada, gładząc mnie po policzku i odgarniając za ucho niesforny kosmyk włosów. — A jeśli przyjdzie nam ochota na babeczki z leguminą, to znam jedną niesamowitą kobietę, która świetnie je podrabia.

W dzień Bożego Narodzenia, po lunchu z Shattockami, mam ogromną ochotę usiąść przed telewizorem i obejrzyć *Titanica* z Leonardem DiCaprio, ale zamiast tego snuję się po salonie za Benem, który wspina się na meble, żuje sznury od lamp i garściami czerpie migdały z miseczki na stoliku. Zastanawiam się, czy warto odpędzać go zdecydowanie od tych migdałów, ryzykując, że zażenuje mnie napadem złego humoru („Czy ona już z własnym dzieckiem nic potrafi dojść do ładu?”), czy machnąć ręką i czekać, aż się udławi i narazi na szwank swoje życie oraz nowiutki dywan Barbary i Donalda.

Udaje mi się wreszcie wymknąć pod pozorem położenia Bena spać. Siadam na łóżku z laptopem na kolanach i układam e-mail do innego świata.

Od: Kate Reddy, Worthly, Yorkshire

Do: Debra Richardson

Najdroższa Debs, jak ty to znosisz?

Ja mam tu do czynienia ze wszystkimi składnikami tradycyjnego angielskiego Bożego Narodzenia: paszteciki z kielbaskami, kolędy, subtelne przytyki. Teściowa dwoi się i troi przygotowując awaryjne paczki żywnościowe dla synalka zaniedbywanego przez niewdzięczną miastową paniusię (czyli mnie).

Zawsze powtarzam, że chcę przebywać jak najwięcej ze swoimi dziećmi. Nieraz to ode mnie słyszałaś. I ja naprawdę tego chcę. Czasami, kiedy wra-

cam do domu późnym wieczorem i Emily już śpi, wyciągam kosz z rzeczami do prania i Wącham Ich Ubranka. Tak za nimi tęsknię. Nigdy nikomu tego nie mówiłam. A potem, kiedy z nimi jestem, tak jak teraz, zaczynają mnie męczyć. To jak cały romans wtłoczony w ramy jednego długiego weekendu — namiętność, pocałunki, lzy goryczy, kocham cię, nie opuszczaj mnie, weź mnie do łóżka, masz takie śliczne włosy, przytul mnie, nienawidzę cię.

Skonana, skołowana, pragnę wrócić jak najszybciej do pracy, żeby tam odpocząć. Co ze mnie za matka, że własne dzieci działają mi na nerwy?

Z Worthly Twoja Kate xxxxxx

Mam już wybrać *Wyślij*, ale w ostatniej chwili naprowadzam kursor na *Usuń* i kasuję tekst. Z pewnych spraw tylko w ten sposób można się zwierzyć, nawet najbliższej przyjaciółce. Nawet sobie samej.

TLR

Boxing Day

No cóż, święta już praktycznie za nami. Jeszcze tylko lunch w Boxing Day, Dzień Boksowania. Nie pamiętam, skąd się wzięła ta nazwa drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, ale chyba ma tu coś do rzeczy fakt, że człowiek ma wtedy ochotę wypraszać bliskich, jednego po drugim, na podwórko, żeby nakłaść tam każdemu po pysku.

Tak czy owak, Richard powiedział, że to wszystko była moja wina, i ma trochę racji, ale zostałam sprowokowana. Ilekroć jesteśmy u teściów, odnoszę wrażenie, że moje dzieci zmieniły się w granaty ręczne. Lada chwila zawleczka może się wysunąć i eksplodują, siejąc wokół zniszczenie. Uganiamy się za nimi z Richem, przechwytyjąc w locie spadające bibeloty, jak gracze w krykieta odbite piłki.

Godz. 12.03

Dziś Shattockowie urządzają tradycyjne doroczne przyjęcie. Barbara powierzyła mi pieczę nad orzeszkami — fistaszkami, pistacjowymi, ziemnymi dla starszych dzieci. Donald dorobił się niedawno, ma sieć sklepów ze sprzętem sportowym obejmującą swym zasięgiem północ kraju, ale jak na rasowego Anglika przystało, robi co może, by wyglądało, że jest zamożny z dziada pradziada. To tak, jakby sztucznie przyśpieszać porost mchu na świeżo położonej alejce. Chłopcy jako pierwsi w rodzinie Shattocków poszli do szkoły publicznej i to najlepszej.

Niezmiernie rada, że jest ze mnie jakiś pożytek, napelniam orzeszkami rodzinne kryształowe pucharki, ale jednocześnie coś mnie ściska w gardle. Coś jakby zgaga, ale przecież mc jeszcze nie jadłam. Święta Bożego Narodzenia u Shattocków to dla mnie zawsze ogniowa próba; znajduję się tu na łonie stosunkowo dobrze funkcjonującej rodziny i odczuwam w kościach każde święta z

dzieciństwa. Wystarczy, że usłyszę w Radiu 2 Harry'ego Belafontc śpiewającego „Mary's Boy Child” i już odzywają się wspomnienia. Widzę tatę wtaczającego się w stanie wskazującym do kuchni z jakimś pojednawczym prezentem dla mamy pod pachą — a to tandetną koronkową koszulą nocną niewłaściwego rozmiaru, to znów ze złotym zegarkiem, który kupił za bezcen od jakiegoś kumpla z bazaru. Mój ojciec zawsze miał efektowne wejścia godne filmowego gwiazdora. Julie i ja siedziałyśmy z zapartym tchem za kanapą i modliłyśmy się, żeby mama jeszcze raz mu wybaczyła, żeby nie wyrzuciła go za drzwi i żebyśmy miały miłe rodzinne święta, takie jak u rodziny Richarda.

Wchodzę z orzeszkami do dużego salonu w kształcie litery L, z którego do ogrodu prowadzą oszklone drzwi. Uśmiechnięty od ucha do ucha Donald bierze mnie pod rękę i przedstawia jednemu ze swoich kolegów od golfa. Jest po sześćdziesiątce, ma na sobie sportową marynarkę, czerwoną koszulę i wzorzysty krawat.

— Jerry, pozwól, że ci przedstawię moją synową Katharine. Katharine robi karierę zwodową. Zachowała swoje panięńskie nazwisko. To teraz w modzie.

Jerry ożywia się.

—To pewnie dużo podróżujesz służbowo, Katharine?

—Owszem, bywam często w Stanach i...

—A kto dba o Richarda, kiedy cię nie ma?

— Richard. Richard dba o Richarda. A co do dzieci, to mamy nianię, która się nimi zajmuje i... No, jakoś to leci.

Jerry kiwa z roztargnieniem głową, odnoszę wrażenie, że słucha mnie tylko jednym uchem.

—Och, to wspaniale. Znasz Anitę Roddick, kochana?

—Nie...

— Co za kobieta, nieprawdaż? Te włosy. Rewelacyjne jak na te latka. I ani grama zbędnego tłuszczu. A przecież one w tym wieku często tyją, nieprawdaż?

—Jakie one?

—Włoszki.

—Nic wiedziałam, że Anita Roddick jest Włoszką...

—A, jest, jest. To dopiero kobieta, przebija nawet młodą Claudię Cardinale z czasów, kiedy nie zdążyła się jeszcze upaść na makaronie. Donald mówił, że w jakiej branży pracujesz?

—Jestem doradcą inwestycyjnym, inwestuję pieniądze powierzane nam przez fundusze emerytalne i firmy w...

—Zawsze powtarzam, że z Bradfordem i Bingleym nie można stracić. Trzydziestodniowe konto lokacyjne ze stałym dostępem.

—Brzmi nieźle.

—To chyba wy chcecie nas wrobić w to diabelne euro, tak?

—Nie...

— Zanim się obejrzymy, Kathanne, Gordon Brown tak nas wykieruje, że będziemy spacerować po Londynie ze szwabskimi markami w kieszeniach. I po co wygrywaliśmy tę wojnę? No, sama powiedz.

To ten moment rozmowy, kiedy osoba, którą jesteś przez resztę roku, próbująca od jakiegoś czasu wydostać się na powietrze spod warstw papieru do pakowania i nasyconych tłuszczów, wyskakuje z ciebie w końcu niczym obcy z piersi Johna Hursta.

— Tak naprawdę, Jeny — mówię trochę głośniejszym głosem, niż zamierzałam — to nasze wejście do strefy euro zależy od poziomu deficytu budżetowego, zmian polityki fiskalnej, reform dostosowawczych. A zresztą ekonomią światową i tak zarządza Alan Greenspan i Rezerwa Federalna, a więc powinniśmy patrzeć raczej na Stany Zjednoczone niż na Europę.

Jeny cofa się i opiera plecami o kredens z chińską porcelaną. Filiżanki porzucają niczym wiatrowe dzwoneczki.

— No, no, cudownie się z tobą gawędzi, kochana. Szczęściarz z tego Richarda, nieprawdaż? Powtarzam zawsze, Barbaro, Richard nic mógł lepiej trafić. Wasza Kathenne ma głowę na karku, a do tego ładną buzię.

Wychodzę z kieliszkiem sherry przed dom i oddycham pełną piersią mroźnym ogrodowym powietrzem. Siadam w bujanym fotelu. No, przyznaj się, Kate, dlaczego akurat w tym momencie zostawiłaś tego dobrodusznego staruszka? To była demonstracja. Chciałam mu pokazać, że nie ma przed sobą jeszcze jednej głupiej blondynki łasej na komplementy. Ale przecież biedny Jeny nie mówił tego w złej wierze. Skąd miał wiedzieć, jakiego rodzaju kobietą jestem, jakim dziwnym nowym gatunkiem. W Londynie, u Edwina Morgana Forstera, uważają mnie za zwichrowaną, bo mam życie pozabiurowe. Tutaj ludzie mają mnie za dziwaczkę, bo pracuję, zamiast żyć.

Powiedziałam wczoraj Barbarze, że Emily przepada za brokułami. Nic mam pojęcia, czy tak naprawdę jest. Z kolei w EMF opowiadam, że codziennie rano, w drodze do pracy, czytam kolumnę prawną w „Financial Times”, chociaż gdybym to rzeczywiście robiła, nie mogłabym przez tych trzynaście minut jazdy autobusem przejrzeć zeszytów Emily, pogawędzić, potrzymać się z nią za rękę. Podwójny agent, żeby przeżyć, musi kłamać.

Godz. 15.12

Cała rodzina — Donald, Barbara, reszta dorosłych i reprezentacja wnucząt — bnie z chrzęstem przez pole, lawirując między krowami rasy fryzyjskiej. Siarczysty mróz ściął krowie placki w ozdobne serwetki; dzieci wskakują na nie, wyciskając na wolność uwięzioną pod spodem brudnozieloną maź. Ołowiane chmury rozstępują się na moment i pada na nas snop ostrych słonecznych promieni. Wystawiam z rozkoszą twarz do ciepła, które niosą, i w tym momencie odzywa się moja komórka. Krowy i Barbara jak na komendę otwierają szeroko ocienione długimi rzęsami oczy — wypisz wymaluj Elizabeth Taylor, której reżyser każe grać zdziwioną i wstrząśniętą.

—Co tak przeraźliwie piszczy, Katharine?

—Przepraszam, Barbaro, to mój telefon. Halo? Tak, słucham? W Parku Narodowym Yorkshire Doles odnajduje mnie odbity

od satelity męski głos. To Jack Abelhammer, amerykański klient, którego w charakterze nagrody pocieszenia za nicprzy-znanie podwyżki przydzielił mi Rod. Głos aż ocieka zjadliwą pogardą (Janke som nie mieści się w głowie, że można brać urlop na calutki tydzień dzielący Boże Narodzenie od Nowego Roku, jak to mają w zwyczaju ci leniwi Angole). Nie poznałam jeszcze pana Abelhammera osobiście, ale ten głos sugeruje, że współpraca z nim to nie przelewki.

—Pani Rceddy, na miłość boską, w waszym biurze nikt nie odbiera telefonu. Od dwóch godzin tam wydzwaniam. Widziała pani, co się stało z Toki Rubber Company?

—Chyba mi to umknęło, panie Abelhammer. Mógłby mnie pan oświecić?

Graj na zwłokę, Kate. Graj na zwłokę.

EMF kupił niedawno dla fundacji Abelhammera spory pakiet akcji firmy Toki Rubber z Japonii. Teraz okazuje się, że geniusz, który dokonał tej transakcji, przeoczył fakt, iż Toki Rubber jest właścicielem małej amerykańskiej firmy wytwarzającej materacyki do dzieciennych łóżeczek. Te same materacyki, które w Stanach wycofano ze sprzedaży, po tym, jak naukowcy ustalili, że prawdopodobnie mają związek z syndromem śmierci łóżeczkowej. Debil. Debil. Debil.

Abelhammer mówi, że wczoraj, na otwarciu tokijskiej giełdy, cena akcji spadła o 15 procent. Na łeb na szyję. Czuję, jak o tyle samo procent kurczy mi się żołądek.

— Gorąco polecaliście mi te akcje — cedzi Abelhammer. Widzę go oczyma wyobraźni jako nabzdżianego srebrnowłosego potentata siedzącego w jakiejś nowojorskiej wieży. — Co w tej sprawie zamierzacie? Pani Reddy, jest tam pani?

Tymczasem dwie wyrwane z marzeń na jawie czarno-białe fryzjki podeszły do mnie i zaaferowane obwąchują pożyczony sweter, który mam na sobie. Żeby nie wiem co, nie mogę dopuścić, by mój najważniejszy klient zorientował się, że jestem w tej chwili oblizywana przez krowy.

— Proszę się uspokoić, panie Abelhammer, przede wszystkim nie wolno nam popadać w panikę. Potrzebuję kilku dni na dogłębne przeanalizowanie sytuacji. Naturalnie, skonsultuję się również z naszym analitykiem rynku japońskiego. Zapewniam pana, że Roy nie ma sobie równych. (Kłamstwo: rzeczony analityk jest skończonym bęcwałem i łajdaczę się aktualnie w Dubaju z jakąś striptizerką, którą poderwał w nocnym klubie. Szanse wywleczenia go z łoża rozpusty: zero-we). — Zadzwońię do pana, kiedy będę już miała nakreślony plan działania.

Wprost z pola, w chłodne transatlantykic milczenie Abel-hammera wdziera się z donośnością kościelnego dzwonu głos mojej teściowej:

— Ci Amerykanie nic mają, doprawdy, krzty szacunku dla tradycji.

Godz. 19.35

Jestem z powrotem w domu i zeskrobuję zeschnięte krowie łajno ze spodenek Emily. Liliowych, włóczkowych. (Pauli coś się najwyraźniej pomyliło i spakowała ją na tydzień ferii na Florydzie nic w Yorkshire. Powinnam była sama się tym zająć). Do pomieszczenia gospodarczego wchodzi Cheryl i się krzywi. Jej dzieci noszą ubranka z brązowego poliestru, z którego wilgoć ścieka sama.

— Są bardzo praktyczne.

Godz. 2.35

Jakaś postać pochyła się nad naszym łóżkiem. Siadam, szukam po omacku kontaktu. To teść.

Katharine, dzwoni jakiś pan Hokusai. Z Tokio. Chce z tobą koniecznie rozmawiać. Mogłabyś odebrać w gabinecie?

Donald ma złowieszczo spokojny głos, zupełnie jakby tłamsił w sobie coś, co ma mi w tej chwili do powiedzenia. Unosi srebrzystą brew, kiedy półprzytomna wypełzam za nim w nocnej koszuli na korytarz. Zerkam w wiszące w holu lustro, i szok. Tylko mi się wydawało, że mam na sobie nocną koszulę. Jestem w samym biustonoszu Agentki Prowokatorki.

Godz. 3.57

Emily ma mdłości. Chyba zbyt wicie wrażeń: za dużo czekolady plus nadmiar obecności mamusi, do czego nie przywykła. Skończyłam właśnie rozmowę telefoniczną z japońską firmą gumową i wślizguję się do łóżka obok pochrapującego Richarda, kiedy z sąsiedniego pokoju dobiega wycie dręczonego we śnie zwierzęcia. Jestem tam w jednej chwili. Em siedzi na łóżku i trzyma się za lewe ucho. Wszędzie wymiociny: na nocnej koszulce, na kołdrze (Boże, to kołdra Barbary) na kocyku, na owieczce, na hipopotamku, nawet we włosach. Patrzy na mnie przerażona, z błaganiem w oczach: Emily jest bardzo czuła na punkcie swojej godności osobistej.

— Niedobrze mi, mamusiu, zrób, żebym już nie wymiotowała — prosi urywanym głosem.

Niosę ją do łazienki, stawiam przed muszlą klozetową, każę się pochylić i podtrzymuję, żeby nic musiała dotykać krawędzi, tak jak kiedyś mnie moja matka. Przykładam dłoń do jej czoła. Rozpalone. Obmacuję brzuszek. Napręża się pod moim dotykiem i zaraz rozkurcza — zawartość żołądka ląduje w sedesie. Potem rozbieram ją w milczeniu, sama też zrzucam z siebie wszystko, wchodzimy razem do wanny i wyczesuję jej żurawiny z włosów.

Znajduję w walizce czystą bieliznę, zmieniam pościel i kładę Em do łóżka, a sama wracam do łazienki, i z powłóczki na kołdrę, którą zostawiłam w wannie, żeby się namoczyła, spieram ręcznie pozostałości po rosyjskiej sałatce. Kładę się potem na podłodze obok łóżka mojego dziecka i szacuję straty, jakie poniesiemy, jeśli rozwścieczony Abelhammer zrezygnuje z usług naszej firmy Edwin Morgan Forster. Kierowana przez niego Fundacja Salingera ma na koncie dwieście milionów dolarów. Polecą głowy. Między innymi moja. Emily pokazała mi wczoraj mój portret, który sama narysowała.

—Och, to mamusia w ślicznym brązowym kapelusiku? — wykrzyknęłam.

—Nie, głuptasie, to włosy. Na górze brązowe, a na dole żółte.

Zaskoczona czuję, jak wielkie ciepłe dziecięce łzy zaczynają mi się toczyć po policzkach i skapywać do uszu.

Godz. 8.51

Wynurzenie. Czuję się jak nurek w ołowianych butach. Emily jeszcze śpi. Dotykam jej czoła, o wiele chłodniejsze. Schodzę na dół. Barbara, zaciskając usta, zerka znacząco na kuchenny zegar.

— Katharine, nie pomyśl sobie, że się czepiam, ale przed zejściem na dół mogłabyś się trochę ogarnąć. Chyba nie chcesz, by Richard pomyślał sobie, że zaczęłaś się zaniedbywać, prawda? Mężczyźni zwracają uwagę na takie rzeczy.

Przepraszam ją i mówię, że pół nocy czuwałam przy Emily i naprawdę niewiele spałam. Czuję na sobie jej wzrok: to samo chłodne, taksujące spojrzenie, jakim mnie zmierzyła, kiedy Rich po raz pierwszy przyprowadził mnie do domu; spojrzenie, którym ocenia się jałówkę na targu.

— Och, wiem, że jesteś, skromnie mówiąc, mizerna, kochanie — dodaje rozkosznie. — Ale szczypta rózu potrafi zdziałać cuda. Polecam Autumn Bonfire Heleny Rubinstein. Napijesz się herbatki?

Podczas lunchu w Boxing Day nie zamierzałam przypisywać sobie roli głównej żywicielki rodziny. Samo tak jakoś wyszło.

Rozmawialiśmy przy stole o noworocznych postanowieniach i Donald powiedział, że Katharine mogłaby przez dwanaście najbliższych miesięcy trochę mniej pracować. Uznałabym to za przejaw galanterii, sympatii, nawet troski z jego strony, gdyby moja szwagierka nie dorzuciła ironicznie:

— Żeby dzieci mogły ją rozpoznać na konfrontacji. Ufff. Cheryl najwyraźniej wypila o jeden kieliszek wina za

dużo i powinnam była puścić tę uwagę mimo uszu. Ale po trzech dniach ustawicznego upokarzania nie byłam już w stanie puszczać mimo uszu czegokolwiek. I to wtedy rozpoczęłam zdanie od słów: „Jako główna żywicielka ro-

dziny...". Zdania tego nie dokończyłam, bo widząc miny stołowników, uznałam, że tak będzie bezpieczniej.

Donald nałożył na nos okulary i zabrał się do pasternaku, którego, jak wiem, nie znosi. Barbara przyłożyła dłoń do gardła, tak jakby chciała osłonić rozlewającą się po nim pąsową falę wzburzenia. Podejrzewam, że nie wywołałabym takiego zgorzenia, oznajmiając, dajmy na to, że sztucznie powiększyłam sobie biust albo że jestem lesbijką.

Tymczasem Rich udawał bez powodzenia, że nic słyszał, co powiedziałam, i z zapalem rozdawał swoim krewnym pieczywo.

— Nie wiem, Kate, skąd u ciebie przekonanie — powiedział mi później, siedząc na łóżku, kiedy pakowałam w naszym pokoju torbę, by wrócić na kryzysową naradę do Londynu — że jeśli wyłożysz kawę na ławę, to ludzie to docenią. Zrozum, że oni tego nie chcą. Ludzie, rodzice, dożywają w końcu takiego wieku, kiedy wszelkie nowe informacje nie tyle poszerzają horyzonty, co przerażają. Oni nie chcą wiedzieć, że zarabiasz więcej ode mnie. Dla mojego ojca jest to zwyczajnie nie do pomyślenia.

— A dla ciebie?

Richard spuszcza głowę i wbija wzrok w swoje sznurowadła.

— Jeśli mam być szczery, to mnie też trudno się z tym pogodzić.

Godz. 13.06, 27 grudnia

W pociągu do Londynu wysiadło ogrzewanie, okna pustego wagonu pokrywa szron. Mam wrażenie, że podróżuję w gigantycznym opakowaniu gumy do żucia Winterfresh. Idę do bufetu i staję w kolejce. Wszyscy moi bożonarodzeniowi współpodróżni są spragnieni alkoholu. Albo nie mają rodzin, albo uciekają od nadmiaru rodzinnych wrażeń, w obu przypadkach człowiek z jednej strony czuje się samotny, z drugiej ożywiony.

Kupuję cztery małpki — whisky, baileys, baileys, tia mana. Wracam na swoje miejsce i kilka sekund później z torebki dobiega brzęczenie komórki. Z numeru

na wyświetlaczu wynika, że to Rod Task. Odbieram, profilaktycznie trzymając telefon w bezpiecznej odległości od ucha.

— No więc tak, czy możesz mi wyjaśnić, jak to się stało, że kupiliśmy te zasrane akcje jakiejś gównianej japońskiej fabryczki, która tłucze syfiaste materace, które, kurwa, zabijają dzieci? Jezus, Maria, Kate. Słyszysz mnie?

Mówię Rodowi, że bardzo bym chciała go słyszeć, ale niestety sygnał zanika, a pociąg wjeżdża zaraz do tunelu. Przerywam połączenie. Kiedy mieszam drugiego baileysa z whisky, przychodzi mi nagle do głowy, że być może powodem, dla którego przydzielono mi Salingera jako klienta, była czyjaś świadomość, że Toki Rubber ma się wyłożyć, i chęć zwałenia tego pasztetu na moją głowę. *Jakaś ty naiwna, Kate, jaka naiwna.*

Parę sekund później Rod znowu dzwoni. Wspólnie odbywamy telekonferencję ze wzbudzającym grozę Abelhammerem z Nowego Jorku. Karmiąc odległego o pięć i pół tysiąca kilometrów klienta rutynowymi zapewnieniami, że nie ma się czym denerwować, patrzę, jak moje słowa wznoszą się pod sufit wagonu pod stacją kółeczek pary. Palcem w rękawiczce wydrapuję na oszronionej szybie imię: RICH.

Do zapamiętania: Postanowienia na Nowy Rok Znaleźć równowagę między pracą zawodową a życiem osobistym, żeby zdrowiej i szczęśliwiej egzystować. Wstawać godzinę wcześniej, żeby mieć więcej czasu. Spędzać więcej czasu z dziećmi. Nauczyć się być przy dzieciach sobą. Nie traktować Richarda jako coś danego raz na zawsze! Więcej rozrywek — niedzielny lunch itd. Jakieś odprężające hobby?? Nauczyć się włoskiego. Korzystać z atrakcji Londynu — teatry, galerie itp. Przestać odwoływać zabiegi relaksacyjne. Spróbować dojść do rozmiaru 38. Osobisty trener? Obdzwonić znajomych, może cię jeszcze pamiętają. Zeńszeń, ryby, żadnego pieczywa. Seks? Nowa zmywarka do naczyń. Autumn Bonfire Heleny Rubinstein.

Sąd Macierzyński

Gęsta, kościelna cisza wypełnia salę wyłożoną dębową boazerią. W ławie oskarżonych stoi trzydziestoparoletnia blondynka w białej bawełnianej koszuli nocnej, spod której wyraźnie prześwituje czerwony biustonosz. Kobieta wygląda na wyczerpaną, postawę ma jednak wyzywającą. Patrząc na skład sędziowski, przekrzywia głowę niczym pies myśliwski, który wietrzy trop. Ale od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy drapie się za prawym uchem, sprawia takie wrażenie, jakby za chwilę miała się rozplakać.

— Katharine Reddy — grzmi sędzia — staje pani dzisiaj przed Sądem Macierzyńskim oskarżona o to, że jest matką pracującą, a co za tym idzie, gościem w domu, i usiłuje rekompensować swoim dzieciom ten fakt, obsypując je bez umiaru przedmiotami materialnymi. Czy przyznaje się pani do winy?

— Jestem niewinna — mówi kobieta. Oskarżyciel zrywa się z miejsca.

— Czy oskarżona Shattock, bo takie jest chyba prawdziwe nazwisko oskarżonej, byłaby łaskawa powiedzieć Wysokiemu Sądowi, co w tym roku podarowała swoim dzieciom, Emily i Benjaminowi, pod choinkę?

—No... nie przypominam sobie dokładnie.

—Nie przypomina sobie — szydzi oskarżyciel. — Ale prawdą jest, czyż nie, że na tę okoliczność nabyte zostały prezenty za sumę zbliżoną do czterystu funtów?

— Nie jestem pewna...

—Dwoje małych dzieci, pani Shattock. Cztery-sta FUNTÓW. A czy prawdą jest również, że powiedziawszy swojej córeczce Emily, że Święty Mikołaj przyniesie jej albo rowerek dla Barbie, albo domek dla lalek, albo chomika w klatce z

wymienialną miseczką na wodę, oskarżona poszła następnie na całość i kupiła jej wszystkie wyżej wymienione pozycje plus Beanie Baby, którą dziecko okazało zainteresowanie podczas krótkiego postoju na stacji benzynowej pod Newark?

—Owszem, ale domek dla lalek kupiłam najpierw, a potem ona napisała do Mikołaja list, w którym prosiła o chomika...

—Czy prawdą jest również, że kiedy teściowa oskarżonej, pani Barbara Shattock, spytała, czy Emily lubi brokuły, oskarżona powiedziała, że za nimi przepada, chociaż nie miała pojęcia, czy tak jest w istocie?

—Tak, to prawda, ale nie mogłam się przyznać matce mojego męża, że nie wiem, czy moje dziecko lubi brokuły.

—Dlaczego?

—Matka powinna takie rzeczy wiedzieć.

—Proszę głośniej! — wtrąca sędzia.

—Powiedziałam, że matka powinna wiedzieć takie rzeczy.

—A oskarżona nie wie?

Kobiecie ściska się krtań. Chce przełknąć, ale w ustach ma zupełnie sucho. Raz wypowiedzianych słów nie da się już cofnąć.

— Zdarza się, że nie wiem, co dzieci lubią — przyznaje. — Ich upodobania zmieniają się z dnia na dzień, nawet z godziny na godzinę. Ben nic znosił kiedyś ryb, a potem ni z tego, ni z owego... Nic zawsze zauważam te zmiany na bieżąco. Ale gdybym to powiedziała Barbarze, pomyślałaby sobie, że nie jestem dobrą matką.

Oskarżyciel zwraca się do sędziego. Na jego pociągłej bladej twarzy błąka się ironiczny uśmiezek.

— Proszę zwrócić uwagę, Wysoki Sądzie, że oskarżona gotowa jest skłamać, byle tylko nie znaleźć się w kłopotliwej sytuacji.

Kobieta kręci energicznie głową. Zwraca się do sędziego:

—Nie, nie, nie. To nie tak. Tu nie chodzi o unikanie kłopotliwych sytuacji, Wysoki Sądzie. Nie potrafię tego opisać. Do takich zachowań popycha mnie coś w rodzaju wstydu, głębokiego, zwierzęcego wstydu. To tak, jakbym nie potrafiła rozpoznać własnych dłoni albo twarzy. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Wiem na pewno, że Richard — to mój mąż — nie wie, czy Emily lubi brokuły, czy nie, ale jego niewiedza uznawana jest za całkiem naturalną, podczas gdy niewiedza matki wydaje się wszystkim nienaturalna...

—Otóż to — mówi sędzia, notując i podkreślając słowa „niewiedza”, „matki” oraz „nienaturalna”.

—Oczywiście — wyrzuca z siebie kobieta, chociaż obawia się, że może za dużo już powiedziała — oczywiście, nic chcę psuć swoich dzieci.

Wstrzymuje oddech. Chyba się zastanawia. Jasna sprawa, że chce psuć swoje dzieci. I robi to z całą determinacją. Wmawia sobie, iż choćby w ten sposób korzystają na tym, że nic ma jej wiecznie w domu. Chce, żeby Emily i Ben mieli wszystko, czego ona nie miała. Ale nie może tego powiedzieć sądzącym ją mężczyznom. Co oni wiedzą o pojawieniu się na uroczystości rozpoczęcia roku w szkole podstawowej w sweterku niewłaściwego odcienia, bo mama kupiła go z przeceny, podczas gdy cała reszta klasy przyszła w nowiutkich ciemnoszarych, nabytych u Wyatta & Moore'a? Nic. Ona wie, że oni nie wiedzą, co to znaczy nic nie mieć.

Kobieta odchrząkuje i sili się na chłodną, beznamiętną ripostę, którą, jak podpowiada jej doświadczenie, ci mężczyźni uszanują:

— Po co miałabym tak ciężko pracować, jeśli nie mogłabym kupować swoim dzieciom tego, co sprawia im przyjemność?

Sędzię łypie na nią sponad półksiężycowatych okularów:

—Pani Shattock, nie interesują nas tutaj meandry filozoficznych rozważań.

—A może powinny — mówi kobieta, drapiąc się zapamiętale za prawym uchem. — Dobra matka to nie tylko ta, która posiada dogłębną wiedzę na temat warzywnych preferencji swoich dzieci.

—Cisza! Cisza na sali! — krzyczy sędzia. — Wezwać na świadka Richarda Shattocka.

O, nie, błagam, tylko nie Richarda. Rich nie będzie chyba zeznawał przeciwko mnie?

TLR

Część druga

7

Szczęśliwego Nowego Roku

Poniedziałek, godz. 5.57

— Iiiii otwieramy świat. Iiii zamykamy świat. Iiiii otwieramy świat, iiii zamykamy świat.

Stoję pośrodku living roomu w szerokim rozkroku i z rękoma nad głową. W każdej dłoni trzymam piłeczkę. Mam zataczać tymi piłeczkami powolne kręgi w powietrzu.

— Iiiii otwieramy świat, iiii zamykamy świat.

Osobą wydającą mi te komendy jest ekscentryczna, trochę zbzikowana pięćdziesięcioparolatka z łańcuszkiem na szyi, na którego końcu dynda kryształek; prawdopodobnie przewodzi jakiejś organizacji na rzecz ochrony zwierząt, z wyginięcia których wszyscy inni byliby niezmiernie radzi — nietoperzy, szczurów, węży. Fay jest osobistą trenerką, którą wynajęłam w ramach wprowadzania w życie noworocznego postanowienia o zbitciu wagi poprzez uprawianie ćwiczeń gimnastycznych. Wynałazłam ją telefonicznie w Akademii Zdrowia i Kondycji Fizycznej. Nie jest tania, ale kalkuluję sobie, że sporo zaoszczędzę, jeśli zdołam się znowu zmieścić w przedciążowe ciuchy. Poza tym tańsze to od chodzenia do sal gimnastycznych, na co zresztą nie mam nigdy czasu.

— Cała twoja gimnastyka, Kate, to dźwiganie portfela wypchanego kartami członkowskimi fitness-clubów — mawia Richard.

To nie fair. Nie fair, ale prawda. Na basenie, na który się ostatnio zapisałam, byłam może ze dwa razy w ciągu roku.

Tak czy owak, otwierając drzwi, spodziewałam się hożej wysportowanej dziewczyny w różowym trykocie, a zobaczyłam drobną panią w więcej niż kwiecie wieku i w kapelusiku z piórkiem.

— Jestem Fay — powiedziała i wyjęła z parcianej siatki dwie piłeczki.

Powolne zataczanie piłeczkami kółek nie należy do ćwiczeń, o które mi chodziło. Pytam, czy nic mogłybyśmy przejść do następnego etapu i popracować trochę nad moim brzuchem.

— Bo widzi pani, miałam cesarskie cięcie i została mi po nim fałda skóry, której nie mogę się pozbyć.

Fay obrusza się.

—Moja metoda odwołuje się do całej osobowości, Katiu. Chyba mogę cię nazywać Katią? Kiedy uwolnimy umysł, będziemy mogły przejść do ciała i zapoznawać stopniowo ze sobą poszczególne jego części, dopóki nie nawiążą harmonicznej konwersacji.

—To wszystko takie piękne — mówię do Fay z całą harmonią, na jaką mnie stać — ale ja jestem strasznie zabiegana, jeśli więc mogłybyśmy po prostu powiedzieć: cześć, mięśnie brzucha, pamiętacie mnie? to byłoby wspaniale.

—Nie musisz mi mówić, że jesteś zabiegana, Katiu. Widzę przecież, jaką masz ciężką głowę. Bardzo ciężką. Biedna zestresowana główka. A te wiązadła szyi. Roozluźnijcie się! Roozluźnijcie! Rooozluźnijcic! Ledwie utrzymują twoją biedną głowę. To zaś pociąga za sobą łącie nieznośny ucisk na kręgi lędźwiowe.

A ja myślałam, że tym ludziom płaci się za to, by poprawiali klientom samopoczucie. Po trzydziestu minutach z Fay czuję się gotowa do balsamowania. Fay każe mi się teraz położyć na wznak na podłodze, wyciągnąć ramiona nad głowę i wyobrazić sobie, że leżę na drabinie. A mnie przychodzą na myśl zdrajcy brani w przeszłości na spytki w londyńskiej Tower przez osobistego kata, który za godziną pracy inkasuje 25 funtów. Fay zapewnia mnie, że to ćwiczenie odciąży mi kręgosłup, a ten kręgosłup to jeden z najżałośniejszych, najtragiczniejszych kręgosłupów, jaki zdarzyło jej się widzieć.

— O tak, Katiu, właśnie tak, wspaniale — zachwyca się. — Teraz powoli unieś w górę ramiona i powtarzaj za mną: „Kto wciąż konkuruje, ten siebie nie szanuje. Kto wciąż konkuruje, ten siebie nie szanuje...”.

Godz. 7.01

Fay wychodzi. Iście nieznośny ucisk natychmiast powraca. Siadam przy kuchennym stole i przysuwam sobie talerzyk z herbatnikami: nie mogę tego samego poranka ćwiczyć i się umartwiać. Naraz słyszę osobliwy dźwięk — suche, szeleszczące syczenie. Rozglądam się za jego źródłem. Po kilku sekundach już wiem: to cisza. Cisza szturmuje moje uszy. Mam pięć minut tylko dla siebie, rozkoszuję się nimi, potem do kuchni wpadają z piskiem Emily z Benem.

Zawsze po świętach wyczuwam u dzieci ten szczególny niedosyt. Spędziliśmy ze sobą mnóstwo czasu, ale im tego za mało, wciąż są jakieś wygłodniałe, spragnione mojej uwagi jak noworodki. Wygląda na to, że im więcej mnie mają, tym bardziej jestem im potrzebna. (Może to tak jak z apetytem, który rośnie w miarę jedzenia). Najwyraźniej moje dzieci nie rozumieją jeszcze, że wszystko ma swój czas. Od powrotu ze świąt u rodziców Richarda nie mogę spokojnie wyjść z domu. Buzia Bena wydyma się od razu w czerwony balonik udreki. A Emily zaczęła nocami brzydtko pokasływać — kaszle i kaszle, a w końcu wymiotuje. Kiedy dla spokoju ducha wspomniałam o tym Pauli, usłyszałam: „To ściąganie na siebie uwagi”. Zostało to wypowiedziane z lekką nutką triumfu w głosie. (Wyraźna sugestia, że zaniedbuję swoje dzieci).

Na dokładkę Emily molestuje mnie ustawicznie, żebym się z nią bawiła, a wybiera sobie na to zawsze najmniej odpowiedni moment, tak jakby poddawała mnie testowi, który z założenia mam oblać. Na przykład dzisiaj rano, kiedy bardzo mi się śpieszy, bo mam zamówioną wizytę u lekarza, podchodzi i czepia się mojej spódnicy.

— Mamusiu, wyszpiegowałam swoim małym oczkiem coś, co się zaczyna na B.

—Nie teraz, Emily.

—Oj, prooooszę. Coś, co się zaczyna na B.

—Budzik?

—Nie.

—Baranek?

—Nie.

—Braciszek?

—Nie.

—Nie wiem, Emily. Poddaję się.

—Bideo!

—Wideo nie zaczyna się na B.

—Zaczyna.

—Nie, nie zaczyna. Zaczyna się na W. W jak wiatr. W jak wulkan. W jak wi-
śnia. Gdybyś mi podała właściwą literę, Emily, na pewno bym zgadła.

—Katie, daj spokój, ona ma dopiero pięć lat — wtrąca się Richard, który
zszedł właśnie na dół z włosami mokrymi jeszcze po prysznicu.

Rzucam mu wściekłe spojrzenie. Rich nigdy mnie nie wesprze. Jest do nicze-
go, jeśli chodzi o tworzenie jednolitego frontu.

— Jeśli ja jej nie poprawię, to kto to za mnie zrobi? Przecież nie przedszkole.

— Kate, ona się tylko przekomarza.

Zauważam, że Rich nie patrzy już na mnie jak na wariatkę. Ten szczególny
błysk w oku i lekkie ściągnięcie brwi sugerują, że zastanawia się teraz, czy nie
powinien aby wezwać karetki.

— Ty bierzesz wszystko na poważnie, prawda, Kate? Dla ciebie świat to jed-
na wielka dżungla, w której trzeba bez ustanku walczyć, żeby przetrwać.

— Może tego jeszcze nie zauważyłeś, Rich, ale świat *jest* jedną wielką dżun-
glą. Ktoś chce zbić twojego pionka, ktoś chce mieć ładniejszą, nowszą Barbie,

ktos chce ci odebrać najlepszego klienta, żeby dowieść, że potrafi go lepiej od ciebie obsłużyć. Chwila nieuwagi i po tobie.

Kiedy opróżniam zmywarke, do naczyń, przypomina mi się Fay i jej mantra. Co to miało znaczyć? „Kto wciąż konkuruje, ten siebie nie szanuje”. Niechby tylko wyjechała z tą złotą myślą w biurach Edwin Morgan Forster. „Kto nie konkuruje, ten na bruk wylatuje. W gównie ląduje”.

—Mamusiu, mogę pooglądać bidco? Prooooooszę, mogę pooglądać bideo? — Emily wdrapała się na granitowy blat i wsuwa mi we włosy spinke Barbie.

—Ile razy mam ci powtarzać, że nie oglądamy bideo — Jezu, wideo — przy śniadaniu.

—Kate, daj spokój. Opuść sobie.

—Łatwo ci mówić, Richard. Mam umówioną wizytę u lekarza, na którą jestem już dziesięć minut spóźniona, a jeszcze bardziej spóźnię się na tlc-konferencję z Australią. Na stoliku przy telefonie leży wizytówka z numerem firmy taksówkowej Pegaza. Mógłbyś tam zadzwonić w moim imieniu? Tylko powiedz im, żeby nie przysyłali tego zbzikowanego nissana sunny.

Na pierwszy rzut oka widać, że Richard jest ode mnie łagodniejszy. Za to w przeżywaniu porażek, w czarnowidztwie, mam nad nim niekwestionowaną przewagę i noszę się z tą świadomością jak z nożem. Dlaczego jestem dla Emily o wiele bardziej szorstka niż on? Bo chyba się boję, że Rich, gdyby dać mu wolną rękę, przygotowałby nasze dzieci do życia w Anglii, która nie istnieje. Do życia w utopijnym kraju, w którym ludzie, zamiast rozpychać się łokciami, przepuszczają innych przodem, w kraju lepszym, przyjaźniejszym, to fakt, ale nie w tym, w którym ja się wychowałam i pracuję.

Rich miał szczęśliwe dzieciństwo, a szczęśliwe dzieciństwo to najlepsza i właściwie jedyna uznana gwarancja, że będzie się szczęśliwym dorosłym. Ale szczęśliwe dzieciństwa mają to do siebie, że pozbawiają siły przebicia i głodu

sukcesu; bieda, odtrącenie, moknięcie w deszczu na przystanku autobusowym, oto najlepsza szkoła życia. Weźmy, na przykład, tragiczny brak wyrachowania u Richarda, to powtarzające się litowanie nad klientami i inkasowanie od nich zanizonego honorarium, ten zwariowany optymizm wyrażający się w kupowaniu erotycznej bielizny żonie, która od urodzenia pierwszego dziecka kładła się do małżeńskiego łóża w rozciągniętym podkoszulku z wizerunkiem jamnika na piersiach.

Tak wpływają na rodziców dzieci. On jest teraz tatusiem, ja mamusią, i rzadko bywamy dla siebie dawnymi Kate i Richardem. Seks zdegradowany został do kategorii Wszystkich Pozostałych Spraw, gdzie sąsiaduje z takimi banałami, jak załatwienie abonamentu na parkowanie czy zakup nowego chodnika na schody. Emily — nie miała jeszcze wówczas trzech latek — zaskoczyła nas kiedyś na całowaniu się w kuchni i zareagowała niczym królowa Wiktorja, która przydybała lokaja na moczeniu palca w kieliszku z porto.

— Nie róbcie tak. Brzuszek mnie od tego boli — wysyczała.

No i przestaliśmy.

*

Godz. 8.17

Chociaż zaznaczyłam wyraźnie, że sobie tego nie życzę, firma taksówkowa Pegaz znowu przysłała mi nissana sunny. Tyłne siedzenie jest tak zawilgocone, że można by na nim hodować pieczarki. Napinając mięśnie obu ud i podciągając szarą wełnianą spódnicę od Nicole Farhi, staram się wisieć w pozycji kucznej parę centymetrów nad tą wylegarnią pleśni.

Kiedy proszę kierowcę, żeby zawiózł mnie jak najszybciej do przychodni, ten podkręca radioodtwarzacz na cały regulator i pod naporem decybeli zaczynają mi wibrować kości policzkowe. (Czy to gangsta rap?).

Po nieudanej próbie nawiązania z Winstonem przyjaznych stosunków, którą podjęłam przed Bożym Narodzeniem, nie wiem, jak z nim rozmawiać, w zwią-

ku z czym milczę. Kiedy jednak gramolę się z taksówki przed przychodnią, Winston odwraca się i zionąc z ust żółtym dymem, mówi:

— Mam nadzieję, że zaaplikują tam pani coś mocnego, co postawi panią na nogi.

Jasna ciasna. Co chciał przez to powiedzieć? Wchodzę do internisty po roczny zapas pigułek. Doktor Dobson przebiega palcami po klawiaturze komputera, ekran rozbłyskuje zielonym ostrzegawczym światłem, a ja czuję się jak zdemaszkowana kryminalistka poszukiwana listem gończym przez CIA.

—Ach, pani Shattock, widzę tu, że nie robiła sobie pani badania wymazu od... Ile to czasu minęło?

—No, ostatni raz w dziewięćdziesiątym szóstym i pan stłukł szkiełko. To znaczy, napisali do mnie, że stłukło się w transporcie i czy w związku z tym mogłabym przyjść jeszcze raz. Ale nie miałam czasu. Czy mogłabym prosić o moje pigułki?

—Przez cztery lata nie znalazła pani chwili czasu, żeby wpaść na powtórzenie badania? — Doktora Dobsona, basseta w ludzkiej postaci, cechuje to wilgotnokokie zatroskanie, spotykane u psów i rzetelnych profesjonalistów.

—No, nie znalazłam. Można dzwonić i dzwonić, żeby się zapisać na wizytę, i nikt nie podnosi słuchawki...

Jego palec zatrzymuje się na jakiejś dacie w połowie mojego dossier.

— A raz zapomniała pani odwołać wizytę. Dwudziestego trzeciego marca ubiegłego roku.

—A, Tajwan.

—Słucham?

— Byłam wtedy na Tajwanie. Trudno odwołać wizytę z drugiej półkuli, zwłaszcza kiedy jest środek nocy i ma się przed sobą perspektywę wiszenia godzinami na telefonie z cichą nadzieją, że rejestratorka z Drayton Lane raczy z czystej ciekawości podnieść słuchawkę.

Doktor poprawia nerwowo krawat — jest beżowy i wygląda jak upleciony ze sznurka.

—Rozumiem, rozumiem — mówi, chociaż widać, że wcale nie rozumie. — No cóż, nie sądzę, żebym mógł pani przepisać kolejną roczną porcję microgynonu, dopóki nie zrobi pani tego wymazu, pani Shattock. Rząd, jak pani może słyszała, postanowił włączyć się aktywnie w akcję przeciwdziałania zachorowalności na raka szyjki macicy.

— I w związku z tym rząd uważa, że lepiej by dla mnie było, gdybym urodziła jeszcze jedno dziecko?

Doktor kręci ze smutkiem głową.

—Tak bym tego nie ujął. Rząd chce tylko nakłonić kobiety do poddawania się prostemu profilaktycznemu badaniu, które pozwala wykryć we wczesnym stadium zagrażającą życiu chorobę.

—Urodzenie jeszcze jednego dziecka to dla mnie pewna mogiła. — Boże, samej nie chce mi się wierzyć, że to powiedziałam. *Co pod tym rozumiesz, Kate?*

— Po co tc nerwy, pani Shattock?

— Ja się nie denerwuję! — W moim głosie pobrzmiwają nutki hysterii. — Jestem po prostu kobietą pracującą i na razie nie chcę mieć więcej dzieci. Może więc byłby pan łaskaw przepisać mi te pigułki.

Doktor coś sobie notuje zabytkowym wiecznym piórem ze stalówką oblepioną zaschniętym glutem atramentu. Ten glut rozmazuje każde przelewane na papier słowo. Doktor pyta mnie, czy mam jeszcze jakieś objawy.

—Ale ja się na nic nie skarżam.

—A dobrze pani sypia?

Po raz pierwszy od szóstej rano, czyli od pojawienia się w moim domu zbzikowanej Fay, mięśnie twarzy rozluźniają mi się na tyle, że mogę się uśmiechnąć.

— Widzi pan, mam jedenastomiesięcznego synka, któremu zaczynają się wyrzynać ząbki. O wysypianiu się w tych warunkach nie może być chyba mowy, prawda?

Doktor Dobson patrzy na mnie, a w kącikach jego ust pojawiają się zmarszczki, które przypominają odwrócone przecinki i sugerują uśmiech. Uświadamiam sobie, że wyraz jego twarzy można opisać jako zboląły. Co u lekarza nie powinno chyba dziwić. Tyle się nasłucha, tyle napatrzy. Tak czy siak, doktor Dobson mówi, że mogę do niego przychodzić, ilekroć poczuję taką potrzebę. Jest zawsze do mojej dyspozycji. Mówi też, że zadzwoni zaraz na dół do pielęgniarki i każe jej pobrać ode mnie wymaz.

— Tych dziesięć minut może pani chyba poświęcić?

Prawdę mówiąc, nie mogę, ale poświęcam.

*

Biura Edwin Morgan Forster, godz. 9.06

Wpadam do pracy spóźniona i bardzo mi się chce do łazienki. Ale to będzie musiało poczekać. Do środy muszę przedłożyć siedem raportów dwunastu różnym menedżerom. Również na środę muszę przygotować dogłębną analizę okoliczności wpadki japońskiej Toki Rubber Company. Po chwili do mojego biurka podchodzi Rod Task i mówi, że jeśli chcę uratować skórę, to muszę lecieć do Nowego Jorku (a jakże, we środę) i postawić loda Jackowi Abelhammerowi. Nie mam pewności, czy rzeczywiście padło określenie „postawić loda”, ale na pewno powiedział „na kolanach, kochana”.

Od: Kate Reddy Do: Candy Stratton

Cudowny początek dnia. Pobranie wymazu. To jak mieć okoliczność z Błaszany Człowiekiem. Nie mogliby robić tych cholernych sond z gumy?

Spóźniłam się szesnaście minut i zastałam Guya siedzącego za moim biurkiem i powtarzającego wszystkim, że jest Niemal Pewien, że Kate W

Końcu Się Zjawi. Poczulałam się jak Mama Niedźwiedzica i chciałam już warknąć: „A kto siedzi na moim krzeselku?”. Ale nic nie powiedziałam. Nie dam temu padalcowi satysfakcji.

Do tego wszystkiego muszę lecieć do Nowego Jorku ugłaskiwać klienta. Nie miałam jeszcze okazji poznać Jacka Abelhammera, ale już go nienawidzę.

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Droga Desdemono, uważaj na tego Guya Jago" Chasea. Miej go ciągle na oku. On tak bardzo chce cię wysadzić ze stołka i zająć twoje miejsce, że aż go dźgała bola.

PS: Pieprzyłam się już z odmóżdżonym Strachem na Wróble i Tchórzliwym Lwem (w sobotę wieczorem, notabene), ale z Blaszanym Człowiekiem nie miałam jeszcze okazji.

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

Jak przetrwałaś te święta. Bo ja ledwie żyję. Przykro mi z powodu kolana Feliksa i infekcji ucha Ruby. Czy ktoś byłby tak dobry i na określenie świąt z dziećmi ukuł nowe słowo nie kojarzące się ze

a/ świątam^

b/ wypoczynkiem

c/ mile spędzonym czasem

może Kołowrót grudniowy?

K xxxxx

Godz. 14.35

Wybieram się właśnie na posiedzenie Grupy Europejskiej, kiedy dzwoni Paula. Mówi, że chyba coś złapała, bo źle się czuje. Czy w związku z tym mogłaby wyjść dzisiaj wcześniej? Myślę: Nie, to Absolutnie Nie Wchodzi W Rachubę, to twój pierwszy dzień w pracy po całych dwóch tygodniach wolnego. Mówię: Tak, naturalnie, biedactwo, co też ci się przytrafiło.

Dzwonię do Richarda do biura. Jest na spotkaniu z klientem w sprawie projektu jakiejś Pagody Pokoju dla British Nuclear Fuels. Zostawiam mu pilną wiadomość, żeby jak najszybciej wracał do domu i zluzował niedomagającą Paulę.

Godz. 20.12

Wracam do domu. Emily jest już w łóżku. Na korytarzu wpadam na Richarda. Nie, nie załatwił jeszcze nowego pozwolenia na bezpłatne parkowanie. Tak, umył dzieciom głowy. Wbiegam po schodach na górę. Muszę koniecznie zrekompensować Emily moją poramią szorstkość. Córeczka, rozkosznie ciepłutka, owija sobie dookoła paluszka kosmyk moich włosów.

—Który cukierek Tweenie lubisz najbardziej, mamusiu?

—Nie wiem, słoneczko.

—Milo jest największy.

—Aha. Co robiłaś dzisiaj w przedszkolu, kochanie?

—Nic.

—Oj, na pewno coś robiłaś. No, powiedz, Em?

— Wyszpicgowałam swoim małym oczkiem coś, co się zaczyna na W.

—Wanna'?

—Nie.

—Wycieraczka?

—Nie.

—Zaraz, zaraz, co to może być. Wagnetowid?

—Tak! Mądra jesteś, mamusiu.

—Staram się, kochanie. Naprawdę się staram.

Do zapamiętania

Listy z podziękowaniami. Rozebrać choinkę, porąbać ją i ukryć w workach na śmieci przed sennieciarzami, którzy nie zabierają choinek (To do nas nie należy, kochana). Zapłacić za lekcje tańca (94 funty za semestr — taniej wyszedłby chyba trening dla astronauty). Trykot dla Emily (niebieski nie różowy). Pójść do osteopaty z moją „ciężką głową”. Zadzwoić do mamy, oddzwonić do siostry, bo utwierdzi się w przekonaniu, że jestem nadętą krową, która odcina się od swoich korzeni. UWAGA! Kończy się ważność paszportu. Zapytać jakąś odjazdową znajomą, co to jest gangsta rap. Nie mam odjazdowych znajomych. Zapoznać kogoś odjazdowego. Zapłacić za gazety/przeczytać zaległe numery, zadzwonić do agencji zastępczych opiekunek do dzieci, jeśli Pauli nie przejdzie. Obejrzeć ten zachwycający nowy film o kung-fu — Siedzący Tygrys? Zaspany Smok? Obciąć Benowi paznokcie. Wizyta u dentysty, zadzwonić do Akademii Smukłej Sylwetki Juno i poprosić o osobistą trenerkę, która zamiast gimnastykować moją duszę, pomoże mi zrzucić brzuch. Teletubisiowy tort urodzinowy Bena, gdzie? Bóle w dole brzucha. Oddać Śpiącą Królową do wypożyczalni! ZORGANIZOWAĆ SIĘ. Być miłszą i cierpliwszą w stosunku do Emily, żeby nie wyrosła na niedopieczoną psychopatkę. ZAMÓWIĆ NOWY CHODNIK NA SCHODY. Zadzwoić do MII Cooper-Clark. Życie towarzyskie: zaprosić kogoś na niedzielny lunch — Simona i Kristy? Alison i Jona? Zaplanować ferie międzysemestralne. Co? Już? Tak, już. Częściej opróżniać pęcherz. Przygotować się na spotkanie z Jackiem Abelhammerem.

Kłopoty z ząbkowaniem

Wtorek, godz. 4.48

Z pokoju Bena dobiega krzyk. Przerażliwy krzyk. Trzeci raz tej nocy, a może czwarty? Znowu ząbkowanie. A przekroczyliśmy już dozwoloną dawką calpolu. Pewnie przedstawią mnie w „News of the World” jako Wyrodną Matkę, Która Struła Własne Dziecko. Słusznie nazywają to zarwaną nocą — ruina nic do naprawienia. Wali się człowiek do łóżka, leży i na próżno usiłuje ułożyć na powrót puzzle snu ze zdziesiątkowanego zestawu elementów. Może sam się uspokoi. Liłości, niech zaśnie. Tak jest ostatnio co noc. Kiedy pierwszy brzask zaczyna rozpraszać ciemności, przystępuję do dobijania rozpaczliwych targów z Panem Bogiem: „O Boże, jeśli sprawisz, żeby on sam zasnął, to ja...”.

To ja co? Będę lepszą matką, nigdy już się nie poskarżę na swój los, od teraz do grobowej deski będę się delektowała każdą chwilą spokojnego snu.

Nie, on się sam nic uspokoi. Próbne wrzaski „hej-jcstcś-tam” Benjamina przechodzą w istną arię Pavarottiego, która wprawia w vibracje mury. (*Nessun Dorma* znaczy Nikt Nic Zaśnie, o ile się nie mylę?). Książka radzi, żeby nie reagować na płacz dziecka, ale Ben tej książki nie czytał. Nie wie, że po około czterdziestu minutach nieprzerwanego płaczu dziecko się uspokaja. W książce jest napisane, że Ben może chce w ten sposób zwrócić na siebie moją uwagę: chyba niedawno wykombinował, że mamusia, której nigdy nie ma za dnia, w nocy jest na każde zawołanie.

Mobilizując całą siłą woli, zwlekam się z łóżka, choć ciało opiera się jak krnąbrny nastolatek. Richard leży obok mnie na wznak z dłońmi splecionymi na piersiach i oddycha głęboko. Śpi jak dziecko. (Skąd, u diabła, wzięło się to powiedzenie?).

Wspinam się po schodach, nogi mam jak z ołowiu. Z okna na podeście widać opadający tarasowo ciąg domów za naszym ogrodem. Jakiś ranny ptaszek zapala światło w kuchni i pomieszczenie rozbłyskuje niczym flara. Po oknach można określić zamożność lokatorów: nasza dzielnica leży na północny wschód od City, przeprowadziło się więc tutaj i zrujnowało, odremontowując zawilgocone, sypiące się wiktoriańskie rudery, wielu takich jak ja przedstawiciele branży finansowej. Nasze domy to te bez firanek w oknach — ich właściciele wolą odrestaurowane wielkim nakładem kosztów okiennice, podczas gdy nasi ubożsi sąsiedzi poprzestają na zwyczajnych zasłonkach, ewentualnie gęstych jak całuny siatkach. W latach siedemdziesiątych takie jak my małżeństwa odzierały swoje gniazdka w imię nowoczesności ze wszystkich wiktoriańskich atrybutów — kominków, gzymsów, wanien na powyginanych zwierzęcych łapach — teraz my, w imię nowego rodzaju nowoczesności, płacimy fortuny za przywracanie tego, co oni zniszczyli. (Czy to nie ironia, że wydajemy o wiele więcej niż kiedyś nasi rodzice, na odrestaurowanie i adaptację swoich domów — domów, w których spędzamy coraz mniej czasu, bo musimy pracować, żeby zarobić na francuskie chromowane baterie do wanien i podłogi z dębowych desek? To tak, jakby dom stał się czymś w rodzaju sceny, na której ustawiamy dekoracje do sztuki, żeby pewnego dnia, o ile wszystko pójdzie po naszej myśli, zagrać w niej główną rolę).

Docieram wreszcie na górę i zastaję Bena potrząsającego z zapalem prętami łóżeczka. Uśmiecha się na mój widok i ślini. Nitki śliny ściekają mu z kącików ust, podrygują na podbródku, skapują na krok śpioszków i połyskują tam, wirując w ciemnościach.

— Cześć. Jak myślisz, która to godzina, co? Wyciągam go z łóżeczka, mimo woli czując radość trzymania

go w ramionach. Ben wypróbówuje na mojej szyi nowiutki siekacz. Auuu.

Nie chciałam chłopca. Po urodzeniu Emily myślałam, że moje ciało potrafi wydawać na świat tylko tę jedną płeć. Spodziewałam się drugiej dziewczynki — ślicznej, statecznej, skomplikowanej jak zegarek — i byłam szczęśliwa. „Chłopaki to utrapienie” — oznajmiła Candy na babskim lunchu o tej porze zeszłego roku. Brzuch miałam taki, że kierownik winiarni musiał przystawić mi dodatko-

we krzesło, bo nie mieściłam się w boksie, w którym siedziały moje koleżanki. Śmiałyśmy się wszystkie. Był to nerwowy, niesubordynowany śmiech, zabarwiony jednak triumfem: śmiech Celtów wiedzących już, że dni Rzymian są policzone. I trzy dni później podano mi go na sali porodowej. Chłopiec! Był taki małejki, a czekało go ogromne, niewyobrażalne zadanie zostania mężczyzną, i pokochałam go. Pokochałam od pierwszego wejrzenia. A on nic mógł się mną nacieszyć. Nadal nie może. Matka jednorocznego chłopczyka jest gwiazdą filmową w świecie, w którym nie ma krytyków.

Staje się nagle strasznie ciężki: to drobne ciało wypełnia się chłopięcością. Udka nabite i pulchne zarazem jak boksyerska rękawica. Siadam z nim na niebieskim krzeselku, biorę za rączkę i zaczynam nucić naszą ulubioną piosenkę.

— *A-a-a, kotki dwa Szarobure obydwu...*

Matki śpiewają ją od stuleci, a po dziś dzień nikt nic rozgryzł sensu. Śpiewanie kołysanek związane jest nierozzerwalnie z macierzyństwem: robimy to instynktownie, bezwiednie, popycha nas do tego jakiś magiczny nakaz.

Czuje, jak Ben się stopniowo rozluźnia, wiotczeje, przelewa mi się przez ręce i w końcu Ignie całym ciałkiem do mojej piersi. To ważne, żeby precyzyjnie określić moment, kiedy pogłębiająca się drzemka przechodzi w sen. Wstaję, skradam się na palcach i wkładam go ostrożnie do łóżeczka. No! Alleluja! W chwili, kiedy przekonana, że mam to już z głowy, zaczynam się wycofywać do drzwi, oczka Bena otwierają się jak pchnięte sprężyną. Dolna warga drży mu jak Rickowi z *Casablanki*, kiedy odprowadza wzrokiem oddalającą się Ilse, potem usteczka układają się w melodyjne Ooo, a płucka wypełniają powietrzem, by wydać krzyk.

(Dzieci nigdy nic popuszczą. Są całkowicie pozbawione poczucia przyzwoitości. Nieważne, ile pieszczot wcześniej od was odebrały, nieważne, ile godzin spędziliście po ciemku przy ich łóżeczkach. Mogliście sto i jeden raz przybiegać do nich, kiedy płakały, a i tak postawią was przed sądem wojennym za dezercję).

— Dobrze już, dobrze. Mamusia tu jest. Spokojnie, nigdzie nie poszłam.

Wracamy na niebieskie krzeselko, biorę Bena za rączkę i rozpoczynamy od nowa rytuał usypiania.

Godz. 5.16

Ben w końcu zasypia. *Godz. 5.36*

Emily prosi mnie, żebym jej poczytała książeczkę pod tytułem *Panienka Pracusiówna*. Nic.

Godz. 7.45

Paula jednak dziś przyszła i czuje się lepiej. Dzięki Bogu. Proszę ją, żeby pamiętała o telctubisiowym torcie na piątkowe urodziny Bena, aha, i o świeczce. I żeby podała herbatniki w przypadku, gdyby inne mamusie okazały się być antycuk-rowymi ajatollahami. (W ubiegłym roku Angela Brunt wydała fatwę na *rodzynki*). Paula żąda na ten cel tyle gotówki, że starczyłoby chyba na wydanie przyjęcia w ogrodach pałacu Buckingham, ale nie śmiem się z nią targować.

Godz. 8.27

Dzisiaj wybiegam do pracy wcześniej, dzięki czemu mam jeszcze czas, żeby wpaść po drodze do Starbucks, gdzie zamawiam podwójną kawę z ekspresu i wychylam ją jak stopkę wódki. Czytałam gdzieś, że ludzie chronicznie niedospañi popadają w stan zwany hipnagogicznym — to coś w rodzaju czyśćca pomiędzy jawą a snem, w którym mózg generuje surrealistyczne wizje. To tak, jakby się utknęło na dobre w którymś z filmów Davida Luncha. Może dlatego w podchodzącym do mnie Rodzie Tasku nie widzę dziś irytującego, chamowatego Australijczyka, lecz Dennisa Hoppera, który nie mrugnawszy powieką, zanosi się śmiechem szaleńca. Siedzę za swoim biurkiem w starych okularach, które trzymam w szufladzie. Założyłam je na nos, żeby stwarzać wrażenie pochłoniętej bez reszty pracą, a w rzeczywistości robię najbezmyślniejszą rzecz pod słońcem, bo to nie grozi żadnymi konsekwencjami w przypadku ewentualnej pomyłki. Dopóki nic zabiorę się za sprzedawanie i kupowanie, powinno być okej. Mam w skrzynce dwadzieścia dziewięć e-maili. Pierwszy wprawia mnie w osłupienie.

Od: Jack Abelhammer, Fundacja Salingera

Do: Kate Reddy, EMF

Katharine,

Brak mi stów na opisanie ulgi, jakiej doznałem, dowiedziawszy się o zniknięciu problemu, który wynikł podczas świąt. Ty na pewno też to przeżywałaś.

Kamień spadł mi z serca na wieść, że Toki Rubber wprowadziła surowe normy profilaktyczne. Parkiet zareagował entuzjastycznie. Podziwiam twoją zimną krew w tak stresującej sytuacji. Może uczymy to, kiedy tu przylecisz we środę? Znam knajpkę, w której serwują wyśmienite kraby.

Najlepszego, Jack

TLR

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Może byśmy tak wpadły do Corny & Barrow na parę głębszych i dały się aresztować za sianie zgorszenia w miejscu publicznym? Wyglądasz jak z krzyża zdjęta. C xxxx

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Nie muszę się upijać, żeby siać zgorszenie. Najchętniej walnęłabym się na tydzień do łóżka, uściski i całusy Kate xxxxx

Od: Kate Reddy Do: Candy Stratton

PILNE! Czy przed chwilą dostałaś ode mnie wiadomość?

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy Jaką wiadomość?

Od: Kate Reddy Do: Candy Stratton

O pijaństwie i sianiu zgorszenia. Szybko. GAZEM!

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Niestety, słonko. Musiałaś ją wysłać jakiejś innej szczęściarce

Od: Kate Reddy Do: Candy Stratton

Klientowi z Nowego Jorku. Już nie żyje. Proszę o nieprzysyłanie kwiatów.

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Jasny gwint. Wysyłaj Szybko Sprostowanie.

Szanowny Panie, moja jędzowata, zdeprawowana siostra bliźniaczka, która też nazywa się Kate Reddy, chcąc mi zrobić głupi kawał, wysłała przed chwilą pana kretyński, nieprzyzwoity e-mail, i proszę go zignorować.

Ale nie przejmuj się tak. Ten Abelhammer to Amerykanin, prawda? Pamiętaj, że my, Amerykanie, Nie Mamy Poczucia Humoru.

Godz. 15.23

Kierownicy zespołów zbierają się w gabinecie Roda Taska na zwołaną przez niego naradę w sprawie strategii. Powieki mi opadają. Zasnąć nie daje mi tylko myśl, że Jack Abelhammer może mnie oskarżyć o molestowanie seksualne. Jankesi mają obsesję na punkcie „niestosownego zachowania”. Ale e-mail od niego jeszcze nic przyszedł. Nadzieja, że uzna mój za przejaw brytyjskiej ekscentryczności, gaśnie z każdą minutą. Pochłonięta rozpamiętywaniem otwierających się przede mną koszmarnych perspektyw, nic zauważam podchodzącej Cciii Harmsworth. Szefowa działu personalnego pokazuje kościstym palcem miejsce, w którym rano Ben zatopił swój ząbek. Mam wrażenie, że od tamtego incydentu upłynęła już cała wieczność.

—Co ci się stało w szyję, Katharine?

—A, to. Dziecko mnie ugryzło.

Dwóch facetów przy stole parska śmiechem w szklanki z wodą mineralną. Przez wargi Celi przemyka lodowaty uśmiezek. Z takim samym uśmiezkiem Zła Królowa wręczała zapewne Królowie Śnieżce zatrute jabłko. Przepraszam i zmykam do damskiej toalety. Za mną wpada tam Candy. Oświetlenie jest tutaj do niczego, ale spoglądając w lustro, widzę w połowie szyi dorodny siniec przypominający malinkę wyssaną przez namiętnego kochanka. Próbuje podkładu. Nic z tego.

Próbuje pudru. Cholera. Ślad po ugryzieniu jest zaogniony i rozlany — istna Etna oglądana z lotu ptaka.

Podchodzi Candy i zaczyna pacykować mi szyję sztyftem maskującym Touche Eclat.

—Ty, to Ślamazarny Richard tak cię urządził? Coś podobnego!

—Nic, ząbkujące dziecko. Mój najdroższy mąż przespał cały incydent. Ale sama o mało go nie ugryzłam, kiedy nie mogłam go dobudzić.

Kiedy wracam do gabinetu Taska, moi koledzy robią to, co mężczyźni lubią robić najbardziej: radzą. Jeśli narada ma szczególnie ożywiony przebieg, jeśli uda im się ją przeciągnąć dostatecznie długo, to jutro urządzią sobie w nagrodę kolejną naradę. Przy odrobinie szczęścia, brak postępów podczas Narady Numer Jeden będzie można jeszcze przeanalizować na Naradach Numer Trzy, Cztery i Pięć. Rozpoczynając staż w City, myślałam, że celem zwoływania narad jest podejmowanie decyzji; po kilku tygodniach zrozumiałam, że są to areny prezentowania swoich walorów, tutejszy odpowiednik tych gorylich sejmików znanych z filmów przyrodniczych. Czasami, obserwując podchody facetów zabiegających o stołki, mam wrażenie, że słyszę w tle szept Davida Attenborougha komentującego to walenie się pięściami w piersi i iskanie pcheł:

„I oto, w samym sercu miejskiej dżungli, widzimy, jak Charlie Bains, młoda małpa z działu amerykańskiego, zbliża się teraz do przywódcy stada, weterana Roda Taska. Zwróćcie państwo uwagę na służalczą postawę Charliego, która ma demonstrować bezwzględne podporządkowanie, a jednocześnie jest desperacką próbą zaskarżenia sobie przychylności starszego samca...”.

Większość znanych mi kobiet ma bardzo niską tolerancję na ten rodzaj zabiegania o względy. W naszym przypadku ze zrozumiałych względów odpada wspólne strząsanie fiutków przy pisuarach w firmowej toalecie, a kadzenie szefowi w winiarni po godzinach pracy nie leży w naszej naturze. Szczerze mówiąc, która z nas ma na to energię? Jak przystało na grzeczne pracowite dziewczynki, którymi byłyśmy w szkole, nadal uważamy, że jeśli rzetelnie i terminowo wywiązujemy się ze swoich obowiązków służbowych, to:

a/ powinno to zostać zauważone i docenione,

b/ możemy być w domu o dziewiętnastej.

Cóż, nie zostaje. I nie możemy.

Lekka wibracja telefonu w kieszeni żakietu informuje mnie, że dostałam SMS. Wyciągam aparat i naciskam View. To od Candy.

P: Ilu mężczyzn trzeba do wkręcenia żarówki? O: Jednego. Trzyma ją i czeka, aż świat się dookoła niego obróci.

Parskam śmiechem i od razu ściągam na siebie gniewne spojrzenia wszystkich obecnych przy stole. Wyjątkiem jest Candy, która udaje, że pilnie notuje propozycje Charliego Bainesa na temat jakiegoś usprawnienia organizacyjnego.

Zdawanie comiesięcznych raportów ciągnie się i ciągnie. Przegrywam właśnie kolejną walkę z sennością, kiedy nagle zauważam, że komputer Roda wyświetla wciąż świąteczny wygaszacz ekranu — bałwana znikającego powoli w śnieżnej zadymce. Jak dobrze byłoby teraz zagrzebać się w śniegu, zatonać w jego zimnej, przytulnej nicości. Przypomina mi się kapitan Oates na biegunie południowym: „Wychodzę, nic czekajcie na mnie”.

— Dopiero co wróciłaś, Katie — warczy Rod, celując we mnie niczym strzałką wiecznym piórem marki Mont Blanc.

Uświadamiam sobie, że musiałam wypowiedzieć na głos to, co pomyślałam. Jak ta wariatka, która snuje się po ulicach ubrana w worki na śmieci i prowadzi ożywione dyskusje ze swoim urojonym światkiem wewnętrznym.

— Przepraszam, Rod, to słowa kapitana Oatesa. Cytowałam go tylko.

Cały gabinet doradców inwestycyjnych jak na komendę zwraca na mnie oczy. Rasowe nozdrza mojego asystenta Guya siedzącego w drugim końcu stołu rozdymają się aprobuszując. Zwiertzył wpadkę.

—No wiesz — brnę dalej, zwracając się do Roda — tego kapitana Oatesa z wyprawy Scotta na biegun południowy, który wyszedł z namiotu na pewną śmierć.

—Typowa, pies ją trącał, bohaterzczyzna — prycha Rod. — Bezsensowne poświęcenie. Jak to nazywają, Katie, honorowym wyjściem?

Patrzą na mnie wszyscy, ciekawi są, jak z tego wybrnę. *No, dalej! Kate do mózgu, Kate do mózgu, odbiór.*

— Wspominam o tym dlatego, Rod, że ta wyprawa na biegun południowy podsunęła mi pewną myśl. A gdybyśmy tak zastosowali podobny wariant do funduszu, który ma najslabsze wyniki? Tego, który wysysa nasze środki? Może by tak wyprawić ten najgorszy fundusz na spacer po śniegu.

Każdą propozycję idącą w kierunku obniżenia kosztów Rod przyjmuje z otwartymi ramionami. W jego oczach zapala się chytry świński rozbłysłk.

— Ha. Nieźle, Kate, całkiem nieźle. Weź to na tapetę, Guy. Oczy odwracają się ode mnie. Mało brakowało.

Godz. 19.23

Wpłczam na ostatnich nogach do domu, a tu kolejny cios. Paula jest nic w humorze. Dąsy niańki pojawiają się tak samo nagle jak mgła nad morzem i są dwa razy zdradliwsze. Widzę, że to nie przelewki, bo Paula zapamiętała pucuje kuchnię. A ja marzę tylko o tym, żeby klapnąć na sofę z kieliszkiem wina i sprawdzić, czy znane mi postaci z serialu *Eastenders*, którego nie oglądałam od czerwca, jeszcze żyją. W ciągu tego czasu przez Albert Square mogły się przewinać całe dynastie, a Phil Mitchell spłodzić co najmniej dwoje nieślubnych dzieci z byłymi żonami swojego zmarłego brata. Zamiast tego muszę lawirować ostrożnie pośród wydarzeń dnia. Wychwalam pod niebiosa wartości odżywcze drugiego śniadania Emily, próbuję się podlizać, wspominając pewną gwiazdę mydlanej opery, która właśnie powiła, o czym donosi na całych siedmiu stronach najświeższy numer „Hello!”, ulubionego czasopisma Pauli.

Dwie ciąży nadwerężyły moją krótkoterminową pamięć, za to obdarzyły mnie dziwną, nieomylną pamięcią do imion dzieci wszystkich sław. Znajomość imion potomków Demi Moore i Bruce'a Wilisa (Rumer, Scout, Tallulah), albo Pierce'a Bros-nana (Dylan, notabene tak samo ma na imię pierwszy syn Zety-Jones i Mi-

chaela Douglasa oraz drugi Pameli Anderson) nie ma może specjalnie praktycznej wartości, ale przy kilku okazjach podniosła mnie w oczach Pauli.

— Dylan to teraz bardzo popularne imię — zauważa Paula.

— Tak — przytakuję — ale weź tę córeczkę Woody Allena i Mii Farrow. Dali jej na imię Dylan, a ona chce je teraz zmienić.

Paula kiwa głową.

—I drugą też tak jakoś głupio nazwali, prawda?

—Satchel!

—Właśnie, Satchel. — Paula śmieje się, a ja jej wtóruję: bezkarne naśmiewanie się z gwiazd to jedna z największych przyjemności demokracji. Widzę, że Pauli poprawia się humor, ryzykuję więc i pytam, czy udało jej się zdobyć tele-tubisiowy tort.

—Nie Mogę Pamiętać O Wszystkim — oznajmia i wychodzi z poszumem niewidzialnej czarnej peleryny. Drzwi frontowe jeszcze wibrują, kiedy odkrywam powód jej dąsów. To artykuł w rozpostartej na stole gazecie „Evening Standard”, donoszący o zarobkach i niewiarygodnych przywilejach londyńskich maniek — najwyższej klasy samochód, prywatna opieka zdrowotna, członkostwo fitness-clubów, prawo do korzystania z prywatnych samolotów, korzystania z koni...

Konic? A ja myślałam, że trochę przesadzamy, oddając Pauli do dyspozycji mój samochód, podczas gdy ja jeżdżę autobusami. Żeby nie wiem co, nie dam się zaszantażować i nie podwyższę jej pensji. I tak ledwie już zipiemy.

Godz. 20.17

Mówię Richardowi, że będziemy musieli dać Pauli podwyżkę. I ewentualnie zafundować lekcje jazdy konnej. Wybucho straszna awantura, podczas której Rich argumentuje, że od kiedy odprowadzamy za Paulę podatki i składkę na ubezpieczenie społeczne, ta zarabia więcej od niego.

—I czyja to niby wina? — pytam.

—Co chcesz przez to powiedzieć?

—Nic.

—Znam ja te twoje nice, Kate.

Siedzimy przy kuchennym stole kilka centymetrów od siebie, jemy kolację i gotujemy się w środku. Richard przygotował spaghetti oraz sałatkę z avocado i pomidorów. Nawiązujemy ostrożnie konwersację na temat dzieci — wilczy apetyt Bena, nowa obsesja Emily na punkcie Mary Poppins — i już znowu zaczynam go lubić, kiedy nagle, nawijając spaghetti na widelec, napomyka mimochodem, że pesto do makaronu zrobił po południu sam. To godne podziwu i zarazem strasznie demoralizujące. Nie wytrzymuję.

—To już nie miałeś nic innego do roboty, że zabrałeś się do pesto'? Jeśli cierpisz na nadmiar wolnego czasu, to dlaczego, u licha, nie zajmiesz się czymś naprawdę pożytecznym. Dajmy na to, załatwieniem nowego pozwolenia na parkowanie?

—Nowe pozwolenie na parkowanie znajdzie madame w samochodzie — mówi —jeśli tylko raczy wykroić kilka sekund ze swojego napiętego rozkładu dnia, i tam zajrzy.

— Ach tak, jesteśmy idealnym mężem, co? Richard odsuwa się z krzesłem od stołu.

— Poddaję się, Kate. Prosisz mnie, żebym ci pomagał, a kiedy to robię, pogardzasz mną.

Nie przychodzi mi do głowy żadna riposta. Kobiety żartują często, że przydałaby im się żona, która by o nie zadbała, i to racja: wszystkim nam przydałaby się żona. Ale nie oczekujcie od nas, że okazemy wdzięczność mężczyźnie, który bierze na siebie rolę gospodyni domowej, żeby nam ulżyć.

—Musimy porozmawiać, Kate.

—Nie teraz, Rich, muszę wziąć kąpiel.

Nadal nie ma płynu do kąpieli. Na dnie szuflady znajduję starą paczuszkę soli lawendowych. Producent zapewnia, że „koją nerwy i motywują”. Dodaję kryształków kąpielowych Bena, od których woda w wannie robi się granatowa.

Zanurzam się w gorącej niebieskiej lagunie ze swoją ulubioną lekturą — jeśli mam być szczerą, to jedyną od kilku lat. To lepszy od powieści *Przewodnik po wiejskich rezydencjach* Jamcsona, wydana na kredowym papierze broszura, pełna fotografii wszystkich posiadłości wystawionych aktualnie na sprzedaż na Wyspach Brytyjskich. Moglibyśmy zamienić Hac-kney Heap na, dajmy na to, zaadaptowany młyn w Cotswolds albo na miniaturowy zameczek w Peebleshire. (Gdzie jest to Peebleshire? Sądząc po nazwie, chyba gdzieś daleko). Ilustracje są wspaniałe, ale najbardziej podobają mi się opisy. Na stronie 18 zachwalany jest dom w Berkshire z gabinetem o beczkowanym suficie, otoczony ogrodem pełnym dojrzałych drzew owocowych. Co to jest beczkowany sufit? Nic wiem, ale chcę taki mieć. I te dojrzałe drzewa owocowe! Widzę już siebie, jak sunę przez wyłożoną drewnianą boazerią bibliotekę, między świeżo ściętymi kwiatami w wysokich wazonach, i wchodzę do wiejskiej kuchni, a tam staroświeckie kredensy, staroświeckie przybory kuchenne na ścianach i staroświecki piec. Staję przy tym piecu i naklejam karteczki z datami na słoiki z konfiturami z jabłek zerwanych z dojrzałych drzew owocowych rosnących w wielkim ogrodzie, a moje dzieci bawią się w najlepsze w jakimś przytulnym zakątku o ścianach wybitych gustowną tkaniną.

„Pomosik Kate”. Tak nazwał broszurę Jamesona Richard, kiedy znalazł ją upchniętą wstydlawie pod poduszkę po mojej stronie łóżka. Utrafił w sedno. Te ilustracje pobudzają do wzmożonej pracy gruczoły ślinowe i przenoszą w świat marzeń, gdzie można kosztować życia pośród takiej sielanki, w oderwaniu od trosk i kłopotów codzienności. Im bardziej dobija mnie mój własny dom, tym bardziej zżera mnie żądza wejścia w posiadanie takiej posiadłości.

Wystarczyło, że pomyślałam o Richardzie, a przypomina mi się nasza kłótnia o pesto i krzywię się z niesmakiem, zła na siebie, że ją wywołałam. Łagodne

usposobienie i zdrowy rozsądek Richarda działają mi na nerwy. Dlaczego? Richard uważa, że rozpuszczam Paulę, że przymykam oko na rzeczy, które hojnie opłacanej i dobrze traktowanej niańce nie powinny uchodzić na sucho. Uważa Paulę za stosunkowo rozgarniętą dwudziestopięcioletnią dziewczynę z Kentu, która, choć dla naszych dzieci jest bardzo miła, usiłuje naciągać nas na każdego pensa. Podejrzewa, że celowo dekompletuje mu skarpetki, kiedy poprosi ją, żeby zrobiła coś, co wykracza poza określony w umowie zakres jej obowiązków. Jest zdania, że ma w naszym domu za dużo do powiedzenia. To wszystko prawda. Ale Rich nie podchodzi do kwestii opieki nad dziećmi tak jak ja: mężczyźni myślą o opiece nad dziećmi swoimi portfelami, kobiety czują ją w łonach.

Ja, patrząc na Paulę, widzę w niej osobę, która spędza z moimi dziećmi cały ten czas, którego ja nie mogę im poświęcić: osobę, co do której muszę mieć pewność, że będzie je kochała, hołubiła i zauważy pierwsze objawy zapalenia opon mózgowych. Nie będę jej robiła awantur tylko o to, że czasem zostawi po sobie bałagan, że tłumaczy, iż nie włączyła zmywarki, bo ktoś włożył do niej hurtem naczynia dzieci i dorosłych, że nie oddaje mi co do pensa reszty z supermarketu i notorycznie „gubi” paragony, o nie.

Mawiają, że pracujące kobiety z mojego pokolenia nie bardzo wiedzą, jak postępować ze służącymi. Nieprawda. Pracujące kobiety z mojego pokolenia same są służącymi — wdzięcznymi niezmiernie za każdą pomoc w prowadzeniu domu, za którą płacą, zaciskając zęby, byle tylko nie stracić posad u swoich chlebodawców.

Wracając do pracy po pierwszym porodzie, umieściłam Emily w żłobku. Jest taki jeden dziesięć minut piechotą od naszego domu i spodobała mi się pogodna, energiczna Szkotka, która go prowadziła. Ale stopniowo zaczęły mi się rzucać w oczy rozmaite mankamenty. Sala niemowląt była mała, pod ścianami stało dwaście ściśniętych jedno przy drugim łóżeczek: oglądając ją pierwszy raz, wmaślałam sobie, że jest przytulna, ale z dnia na dzień coraz bardziej przypominała mi rumuński sierociniec stylizowany na ochronkę. Kiedy spytałam Moirę, jak maluchy mogą spać w harmiderze dobiegającym z sąsiedniej sali dla starszych dzieci, ta, wzruszając ramionami, odparła: „Och, z czasem do tego przywykają”. Zaczęły też wypływać na wierzch różne szczegóły, a w szczegółach, jak wiado-

mo, tkwi diabeł. Jeśli odbierało się dziecko ze żłobka po 18.30. to za pierwsze dziesięć minut spóźnienia płacono się karę w wysokości 10 funtów, za więcej — 50 funtów. Ja zawsze wpadałam po 18.30. Aż mnie w dołku ścisnęło ze wstydu, kiedy spóźniona cwałowałam z metra do żłobka.

Przebywając w otoczeniu trzydziestu innych dzieci, Emily łapała każdą możliwą infekcję. Pierwsze zimowe przeziębienie ciągnęło się od października do marca i przez cały ten czas z jej małego noska ciekły zielonkawe gile. Wyhodowawszy bakterie odpowiedzialne za infekcję, żłobek kazał zawsze trzymać chore dziecko w domu, ale opłaty nie obniżał. Ileż to godzin spędziłam przy telefonie i udając, że rozmawiam z klientem, obdzwaniałam agencje tymczasowych opiekunek do dzieci albo błagałam o pomoc znajomych. (A nie cierpię prosić o przysługi: nie cierpię zaciągać wobec kogokolwiek długu wdzięczności). Pewnego chłodnego poranka musiałam podrzucić gorączkującą Em do domu kogoś mieszkającego przy Crouch End, kogo znał ktoś z mojej poporodowej grupy matki i dziecka. Pod koniec dnia kobieta ta poinformowała mnie, że Emily płakała bez przerwy, nie licząc jednej godziny, kiedy oglądały na wideo *Śpiącą Królowną*. Tego dnia moja córeczka skleciła swoje pierwsze zdanie: „Ciem do domu”. Ale ja tego nie słyszałam, bo mnie tam nie było, nie było mnie też w domu, do którego tak bardzo chciała wrócić.

Podsumowując, nie uważam Pauli za idealne rozwiązanie. Ale co **to** jest idealne? Mamusia siedząca w domu i pozwalająca, by jej życie deptały małe stopki? Zdecydowałybyście się na to? Byłybyście do tego zdolne? Jeśli myślicie, że ja bym była, to mnie w ogóle nie znacie.

Wychodzę z wanny, smaruję kremem zaróżowione zniszczone miejsca na dłoniach, pod kolanami i za uszami, owijam się szlafrokiem i idę do gabinetu, żeby przed snem sprawdzić pocztę.

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Katharine, nie pamiętam, żebym wspominał o upijaniu się, ale sianie zgorzenia brzmi zachęcająco. Z tym tygodniem w łóżku mogą być proble-

my. Musiałbym odwołać kilka spotkań. Może poprzestaniemy na jednej nocy?

ucałowania, Jack

Ucałowania? Od najważniejszego klienta? Boże, Kate. Teraz sama widzisz, jak narozrabiałaś.

Do zapamiętania

Obciąć Benowi paznokcie, listy z podziękowaniami za święta? Ochrzanić też listownie administrację za niewywiezienie do tej pory choinki. Upokorzyć tego upiornego Guya przed Rodem, żeby pokazać, kto tu jest szefem. Nauczyć się wysłać SMS-y. Urodziny Bena — zamówić teletubisiowy tort. Trykot baletowy (różowy, nie niebieski!). Prezent — tańcząca Tinky Winky albo jakaś rozwijająca drewniana zabawka. I tańcząca Tinky Winky. i rozwijająca drewniana zabawka. Buciki/przybory szkolne dla Emily, nauczyć ją czytać. Zadzwonić do mamy, zadzwonić do Jill Cooper-Clark, KONIECZNIE oddzwonić do siostry — dlaczego słuchając Julie, odnoszę wrażenie, że jest na mnie obrażona? Jestem jedyną osobą w Londynie, która nie widziała jeszcze tego wspaniałego nowego filmu — Magiczny Tygrys? Nadęty Smok? Koniec semestru kiedy/co? Zaprosić znajomych na niedzielny lunch. Kupić orzeszki pistacjowe i bazylię na własne pesto. Prospekty z propozycjami letnich urlopów. Zamówić chodnik na schody. Żarówki, tulipany, krem do warg, botox?

Jak poznałam Jacka

Godz. 7.03

Chowam się z walizką w ubikacji na dole, żeby Ben mnie nie zobaczył. Jest z Richardem w kuchni obok i je śniadanie. Korci mnie bardzo, żeby tam wejść, ale tłumaczę sobie, że egoistyczne wyrywanie kilku minut jego towarzystwa, a potem zostawianie splakanego dziecka innym, byłoby nie w porządku. (W książce jest napisane, że dzieci w ciągu dwóch lat wyrastają ze stresu rozłąki, nie podają tam jednak, jak długo trwa to u matek). Lepiej, żeby w ogóle mnie nie widział. Siedzę skulona na koszu na brudną bieliznę, dla zabicia czasu rozglądam się po pomieszczeniu i zauważam farfocle czegoś szarego, jakby pajęczyny, majtające się wte i wewte po szybie okna. (Nasza sprzątaczką Juanita cierpi na zawroty głowy, jest więc zupełnie zrozumiałe, że nie uniesie ręki powyżej swojej talii). Majster kładący nam glazurę obraził się i przerwał robotę w połowie, kiedy odmówiliśmy wypłacenia którejś tam z rzędu zaliczki, w związku z czym syrena, która miała wyjść po przyklejeniu wszystkich kafelków mozaiki, ma tylko cy-cuszki, ogona się nic doczekała.

Przez zamknięte drzwi słyszę przytłumione brum-brum—brumanie, a zaraz potem gdakliwy chichot Bena. Rich zachęca go widocznie do otworzenia buzi, dając do zrozumienia, że łyżeczki z płatkami to wjeżdżające do garażu samochodu. Klakson na ulicy. To Pegaz obwieszcza swoje przybycie.

Kiedy jak złodziejka wymykam się z własnego domu, z volvo zaparkowanego po drugiej stronie uliczki dobiega donośne: „Ho-ho!”. To Angela Brunt, prowodyrka miejscowej Mamafii. Gęba jak ford anglia. Wyłupiaste reflektory oczu osadzone w trójkątnej czaszce, kwintesencja pospolitości. Dopiero siódma rano,

co ją wyгнаło z domu o tej porze? Pewnie odwoziła Davine na nocną lekcję japońskiego. Jeśli nic uda mi się przez trzydzieści sekund uwolnić od Angeli, zapyta mnie jak nic, czy zapisałam już Emily do jakiejś szkoły.

— Cześć, Kate, dawno się nic widziałyśmy. Zapisałaś już Emily do szkoły?

Piąć sekund! No proszę, i w ten sposób Angela pobiła własny rekord świata w edukacyjnej paranoi. Jakiś diabełek podszeptuje mi, żeby jej powiedzieć, że rozważamy posłanie Emily do lokalnej publicznej podstawówki. Przy odrobinie szczęścia rewelacja ta zaowocuje rozległym zawałem serca i Angela padnie na miejscu trupem.

—Zastanawiamy się nad St Stephen's.

—Naprawdę? — Reflektory wyłażą ze zdumienia z orbit. — A jaka przyzwolona szkoła potem ją przyjmie, kiedy skończy jedenaście lat? Pomyśleliście o tym? Widziałas, na którym miejscu jest St Stephen's w najświeższym rankingu szkół podstawowych?

—Nie, właściwie to...

—A wiecie, że po osiemnastu miesiącach nauki uczniowie szkół publicznych są o dwa i cztery dziesiąte roku do tyłu w stosunku do uczniów szkół sektora prywatnego, a w wieku dziewięciu lat już trzy i dwie dziesiąte?

—O kurczę, to niedobrze. Ale zastanawiamy się jeszcze z Richardem nad Piper Place, tylko że podobno straszny tam rygor. Bo wiesz, szkoła szkołą, ale ja bym wołała, żeby Emily miała szczęśliwe dzieciństwo.

Na dźwięk frazy „szczęśliwe dzieciństwo” Angela parska niczym kobyła spłoszona widokiem grzechotnika.

— Tak, słyszałam, że w szóstej klasie Piper Place one wszystkie popadają w anoreksję — mówi wesoło — ale ta szkoła gwarantuje gruntowne pod każdym względem wykształcenie.

No, pięknie. Zdobycie gruntownego pod każdym względem wykształcenia moja córka przypłaci anoreksją. Ważąc czterdzieści kilogramów, zostanie przyjęta do Oxfordu, zwlecze się ze szpitalnego łóżka i zadziwi wszystkich, kończąc

studia z pierwszą lokatą. Potem podejmie pracę zawodową, po sześciu latach zostanie matką, zrezygnuje z pracy, bo to będzie ponad jej siły, i zacznie spędzać poranki, plotkując przy kawie z władającą płynnie japońskim kurą domową, Davina Brunt. Jezu, co jest z tymi kobietami?

— Przepraszam, Angela, muszę już lecieć. Spieszę się na samolot.

Mocuję się jeszcze z klamką opornych drzwiczek taksówki, kiedy Angela odpala swoją pożegnalną salwę.

— Słuchaj, Kate, jeśli poważnie myślicie o zapisaniu Emily do Piper Place, to mogę wam dać numer dobrego psychologa. Wszyscy zwracają się do niego po poradę. Nauczy ją, co ma robić, żeby wywrzeć korzystne wrażenie na komisji rekrutacyjnej.

Biorę głęboki wdech i sztacham się mimowolnie słodkim oparem maryhy, który bucha z otwartych drzwiczek taksówki Winstona. Przypominają mi się szczęśliwsze czasy, czasy, kiedy nie miałam jeszcze dzieci i brak odpowiedzialności był niemal obowiązkiem.

— A co trzeba robić, żeby wywrzeć to korzystne wrażenie, Angela?

Bruntowa się śmieje:

— No wiesz, wykazać się wyobraźnią, ale bez przesady.

*

Boże, jak ja sobą pogardzam po każdej rozmowie z Angłą Brunt. Czuję, jak matczyne ambicje Angeli przechodzą na mnie niczym zarazki grypy. Stara się człowiek z tym walczyć, stara się sobie tłumaczyć, że jego dziecko wyjdzie na ludzi, nawet jeśli nie będą go karmić na siłę faktami jak tę gęś na pasztet strasburski. Ale przychodzi dzień, kiedy system odpornościowy troszeczkę niedomaga, i *bach!*, akurat wtedy zjawia się Angela ze swoimi rankingami, swoją prze-mądrzałością i swoim numerem telefonu psychologa. A wiecie, co jest w tym wszystkim najżałośniejsze? Że prawdopodobnie zapiszę w końcu Emily do tej

anorektycznej szkoły: nad lękiem przed tym, co zrobi z mojego dziecka propagowane tam obłędne współzawodnictwo między uczniami, przeważa lęk, że nie zapewnię jej odpowiedniego startu, że zostanie w tyle, i to będzie moja wina. A ten wyścig szczurów z roku na rok zaczyna się wcześniej: w naszej dzielnicy jest przedszkole z całą jedną ścianą poświęconą impresjonistom. Matki z oporami dały się w końcu przekonać, że za pieniądze nie da się kupić miłości, ale nadal uważają, że za pieniądze można sobie kupić Moneta, a to też nieźle.

Wyczerpane matki pracujące, które zapisują swoje córki do akademii stresu. Może już tylko to nam pozostało. Stres. Sukces. Te słowa nawet się rymują.

*

Godz. 9.28

— Tamta pani ma jakiś problem?

— Słucham?

Winston obserwuje mnie we wstecznym lusterku. W jego oczach, tak ciemnobrazowych, że niemal czarnych, igrają iskiereczki rozbawienia.

— Angela? Czy ja wiem. To sfrustrowana, niedopieczona kobieta, która próbuje się zrealizować poprzez swoje dzieci. Normalna sprawa.

Winston parska śmiechem. Ten głęboki, ziarnisty śmiech wprawia w vibracje mój splot słoneczny i na chwilę mnie uspokaja.

Droga na lotnisko jest tak zapchana, że mam mnóstwo czasu na rozmyślanie o czekającej mnie próbie ogniowej, czyli spotkaniu z Abelhammerem. Rod Task, gdy rozmawiałam z nim poprzedniego wieczoru, powiedział:

— Jack bardzo się cieszy, że cię pozna, Katie.

— On się cieszy, że Greenspan obciął o pół punktu stopy procentowe — zaimprowizowałam. Nie mogłam przecież wyznać szefowi, że wysłałam swojemu

klientowi e-mail, w którym obiecywałam sianie zgorszenia i tydzień w łóżku, o uściskach i całusach już nie wspominając.

Wciąż się drapię. Umyłam wieczorem włosy nowym szamponem: może to reakcja alergiczna? Albo to, albo podłapałam na tylnym siedzeniu Pegaza jakąś niższą formę życia: w tej prehistorycznej taksówce mogą się lęgnąć, jak to w bagnie, liczne bezkręgowce.

Z drugiej strony muzyka wydobywająca się z radioodtwarzacza pochodzi zdecydowanie z przeciwnego końca łańcucha ewolucji. Ta gorąca partia trąbek i synkopowany rytm perkusji przywodzą mi na myśl „Błękitną rapsodię”.

—To Gershwin, Winstonie? Kręci głową.

—Ravel. — Mój kierowca taksówki słucha Ravela? Mijamy właśnie fabrykę Hoovera, kiedy tempo zaczyna

spadać. To najsmutniejszy kawałek, jaki słyszałam. Wchodzi flet, w tle ledwie dosłyszalne pasażę fortepianu; przymykam oczy i widzę ptaka unoszącego się nad morzem.

Nowojorskie biuro Fundacji Salingera

Godz. 15.00 czasu Wschodniego Wybrzeża

Z mętlikiem w głowie wchodzę do biura Abelhammera Groźnego, które ma swoją siedzibę nieopodal Wall Street. Towarzyszy mi mój asystent Guy, po którym, w odróżnieniu ode mnie, zupełnie nie widać, że przed chwilą przyleciał zza oceanu. Wprost przeciwnie, Guy tryska obrzydliwą pewnością siebie, a fluktuacje indeksu Nasdaq zna lepiej niż własny puls.

Na pierwszą wizytę u Abelhammera wybrałam stosownie formalny strój. Cnotliwy, węglowoczarny, spódnica poniżej kolan, biała bluzka, buty sycylijskiej wdowy: wyglądam jak zakonnica w cywilu.

Moje silne postanowienie, że będę utrzymywała temperaturę tego spotkania na poziomie kilku stopni poniżej zera, topnieje, kiedy wchodzi Jack Abelhammer. Wyobrażałam go sobie jako siwowłosego patrycjusza. a widzę rozmarzone-

go, krótko ostrzyżonego przystojniaka mniej więcej w moim wieku, o uśmiechu, który dociera do oczu, zanim w pełni zdąży rozciągnąć wargi. O cholera. Jasna cholera.

— Miło mi cię poznać, Kate Reddy — mówi Abelhammer Groźny. — To prawdziwa przyjemność dopasować wreszcie buzię do tych wszystkich liczb, które mi przysyłasz.

Ufff. Referuję Fundacji Salingera imponujące wyniki naszego funduszu za ostatnie sześć miesięcy. I wszystko jest pięknie ładnie, dopóki głosu nie zabiera jedna z młodocianych konsultantek Jacka — popatrujący spode łba rudzielec w typie agentki Scully z *Archiwum X*:

— Jedno pytanie — mówi, poprawiając na nosie okulary w drucianej oprawce. — Skoro wasze zyski w Japonii są poniżej oczekiwań, to dlaczego z uporem inwestujecie w tamten rynek?

— Bardzo dobre pytanie. Guy, wyjaśnij to pani. Podrzuciwszy z gracją owo zgniłe jajo swojemu asystentowi, rozsiadam się wygodnie i zamieniam w słuch, ciekawa, jak ten żaloszny padalec z tego wybrnie. Odruchowo sprawdzam komórkę. Przyszedł SMS od Pauli:

Emly odstali z przedszkola z GNIDAMI, cała rodzina musi się poddać kuracji, pani też) do milego, paula

Nie wierzę własnym oczom. Nieświadomie przywlokłam do Stanów wszy zza Atlantyku. Przepraszam, wychodzę statecznym krokiem z sali i wpadam do kibla. W przyprawiającej o morską chorobą zieleni toalety dla kierownictwa przeglądam sobie włosy, unosząc je pasemko po pasemku. Jak te gnidy wyglądają? Widzę w przedziałku skupisko jakby jajeczek, ale to może być łupież. Gorączkowo szczotkuję włosy.

Nie mogę się wykręcić od umówionej kolacji z Abelhammerem. Przecież nie powiem, że muszę się pilnie odwszawić.

Restauracja Brody's Seafood, godz. 19.30

Podczas kolacji siedzę sztywno jak Maria Tudor, w pewnej odległości od sto-
lika. Oczywiście wyobraźni widzę, jak moje rozbrykane gnidzięta zeskakują klien-
towi do potrawki z małży.

— Odwieźć cię do hotelu, Kate? — pyta Jack.

— Mmmm, dobrze, ale czy moglibyśmy się zatrzymać po drodze pod apteką?
Muszę coś kupić.

Jack unosi pytająco brwi.

— Chodzi o szampon. Chcę umyć głowę.

— Teraz? O tej porze?

— Tak. Chcę zmyć z włosów Londyn.

Zdolna dziewczynka. Z wyobraźnią, ale bez przesady.

Powody, dla których nie powinnam nawiązywać romansu z Ahelhammerem:

1/ Od Halloween nie depilowatam sobie nóg.

*2/ Na tego nieskazitelnego absolwenta Harvard Business School mogłyby
przeskoczyć gnidy.*

3/ To najważniejszy klient, ergo, to nieprofesjonalne.

4/ Jestem zamężna.

Czy nie należałoby czasem zapisać powyższych punktów w innej kolejności?

Urodziny

Godz. Piątek, 6.02

Dziś są pierwsze urodziny mojego synka, a ja latam w kółko nad Heathrow. Samolot ma znaczne opóźnienie: zła widoczność, tłok na podejściach do lądowania. Krążymy tak już od czterdziestu pięciu minut na wysokości będącej odpowiednikiem płytkiej wody, w której można wymacać grunt pod nogami, i zaczynam się denerwować. Czuję, jak moje bosc stopy poruszają się pod kocem, tak jakby chciały pomóc maszynie w utrzymaniu się w powietrzu. Myślę o tych wszystkich jumbo jctach mijających się z cichym poświstem we mgle.

Przez interkom przemawia do nas pilot. Typowy brat lata, co to ze wszystkimi chce być na ty. Serce podchodzi mi do gardła. W zaistniałych okolicznościach nie chcę mieć brata łąty za pilota. Zdecydowanie wolałabym widzieć w tej roli jakiegoś weterana bitwy o Anglię, małowównego asa przestworzy, który jedną ręką sprowadzi nas na ziemię, drugą od niechcienia podkrecając wosa. Zrozumcie mnie, ja muszę żyć. Jestem matką.

Pilot informuje nas, że będziemy musieli lądować na Stans-ted. Kończy się nam paliwo. Nie ma powodów do zdenerwowania. Ależ skąd, żadnych. Dziś są urodziny Bena. Muszę szybko i bezpiecznie wylądować, żeby odebrać z cukierni teletubisiowy tort oraz ubrać synka na jego pierwsze urodzinowe przyjęcie w burgundowe sztruksowe spodenki i jasnokremową koszulkę, zanim Paula umunduruje go w swój ulubiony komplecik khaki, w którym Ben wygląda jak maruder z operacji Pustynna Burza. Moja tragiczna śmierć nie wchodzi w tej sytuacji w rachubę. Po pierwsze, Richard nigdy by się nie przemógł i nie powiedział Emily o miesiączkach; obarczyłby tym zadaniem swoją matkę, a Barbara uraczyłaby Em krótką pogadanką o „higienie osobistej” i podpaskach, a seks skwitowała eufemizmem „te sprawy”, dodając pewnie: w Tych Sprawach między mną a Donaldem nic nie ma, koniec kropka. Nic, nic, nie. Muszę żyć. Jestem matką. Daw-

niej śmierć była dla mnie pojęciem abstrakcyjnym; to znaczy, wiadomo, każdy unika jej jak może, ale od kiedy mam dzieci, wszędzie widzę kostuchę i coraz wyżej podskakuję, żeby uniknąć jej świszczącej kosy.

—Wszystko w porządku, madam? — W przytłumionym świetle kabinowym pociągnięte szminką usta stewardesy jawią mi się jako skrzynka pocztowa otaczająca lodową biel uśmiechu.

—Nie będę ukrywać — zwracam się do tych zębów — że dziś są pierwsze urodziny mojego dziecka i miałam nadzieję zdążyć do domu na śniadanie.

—Obiecuję, że będziemy się starali. Podać pani wodę?

—Ze szkocką. Dziękuję.

Lotnisko Stansted. godz. 8.58

Samolot już dotankował, ale nadal stoi na płycie lotniska. „Poncjusz” pilot oznajmia, że to nie jego wina, ale musimy wracać na Heathrow. Och, to cudownie. Wzbijamy się w powietrze, dwie puste małpki po whisky ześlizgują się z mojej tacy i lądują na kolanach kobiety po drugiej stronie przejścia między fotelami. Kobieta posyła mi zboląły uśmiech, wygładza miętowozieloną spódnicę i otwiera torbę podróżną od Gucciego. Wyjmuje z niej flakonik specyfiku do zapachoterapii i nakrapia sobie lawendą punkty węzłowe, sięga po butelkę wody Evian, spryskuje nią twarz, po czym pije długimi łykami. Na koniec odchyła głowę o połyskliwych, niezasiedlonych przez gnidy włosach, na szarą kaszmirową poduszczkę. Mam chęć wyciągnąć rękę, popukać ją w ramię i zapytać, czy nie odsprzedałaby mi swojego życia.

Nabrawszy pewności, że ta boginka już śpi, otwieram ukradkiem swoją torbę. Zawartość:

Dwie awaryjne saszetki calpolu

Nieumyta biała tyżeczka do lekarstw z lepłą obwódką Zapasowe pepigi dla Emily (na pływalnię) Grzebień na gnidy, który kupiłam w Nowym Jorku Jeden przybrudzony tampax

Szpetny ciemnobrązowy pokemon, pamiątka po zeszłotygod-niowej weekendowej „kryzysowej” wizycie w McDonalddie Pomarańczowy flamaster bez skuwki

Chusteczka higieniczna zafarbowana na pomarańczowo od flamastra

Napoczęta paczka herbatników (zostały tylko trzy) Miniaturowa eau de toilette Coco Chanel (z ułamanym rozpylaczem)

Książka o Paniencie Pracusiównie, którą Emily wcisnęła mi na podróż.

Między portfelem a chusteczką higieniczną znajduję wizytówkę Jacka Abellamera z jego domowym numerem telefonu i słowami: „O każdej porze dnia i nocy!” skreślonymi na odwrocie.

Na widok jego pisma ściska mnie w dołku. Czuję się znowu jak pensjonarka, dla której seks owiany jest jeszcze mgiełką tajemnicy, a już pociąga. Podczas kolacji w Nowym Jorku rozmawialiśmy z Jackiem o wszystkim — o muzyce, filmach, Tomie Hanksie, poezji Emily Dickinson, Apollo 13, Rzymie i Wenecji, tajemniczym oddziaływaniu Alana Greenspana, nawet o akcjach, które dla niego kupuję. O wszystkim, tylko nie o dzieciach. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz dzieci, Kate?

Godz. 14.07

Prosto z Heathrow pędzę do biura, żeby pokazać tam swoją twarz. Staram się robić wrażenie strasznie zajętej, układając na biurku stosy książek i czasopism finansowych, potem dzwonię z komórki na swój telefon stacjonarny i długo nie podnoszę słuchawki. W końcu odbieram, odbywam ze sobą ożywioną rozmowę na temat wyimaginowanej nowej emisji jakichś akcji i odkładam słuchawkę. Mówię Guyowi, że muszę wyskoczyć po jakieś bardzo ważne opracowanie. Łapię taksówkę, każę się wieźć do Highbury Corner, proszę taksówkarza, żeby za-

czekał pod cukiernią, a sama wpadam do środka, żeby odebrać teletu-bisiowy tort. Wyszedł całkiem niezłe, zwłaszcza Po, bo Laa-Laa ma kolor zbliżony bardziej do musztardowego niż żółty. Dziesięć minut później skręcamy już w moją ulicę i widzę niebieski balonik przywiązany do drzwi frontowych. Kiedy wchodzę do domu, Ben wytacza się do korytarza, na mój widok wydaje okrzyk radości, a zaraz potem zaczyna płakać. Padam na kolana i przytulam go do piersi.

W zeszłym roku o tej porze miał zaledwie kilka minut i był nagusieńki. Dzisiaj, ubrany przez Paulę, ma na sobie pasiastą koszulkę Arsenalu z napisem Adams na plecach. Nic daję po sobie poznać, jak mnie to wkurza. Ale kiedy Paula wychodzi z kuchni, wręczam Benowi kartonik soczku z czarnej porzeczki i patrzę z satysfakcją, jak pijąc, ochlapuje się na fioletowo od szyi po pępek.

— Ojej! — wołam głośno. — Zobacz tylko, co zrobiłeś. Poplamiełeś sobie soczkiem tę piękną piłkarską koszulkę. Chodźmy lepiej na górę. Przebierzemy się.

No!

Godz. 16.00

Na przyjęcie Bena przybyły tłumnie znajome Pauli, również niańki, ze swoimi podopiecznymi. Wiele z nich pierwszy raz widzę na oczy. Zapełniają tę część życia mojego synka, w której brakuje mnie. Kiedy jedna z tych nieznanomych dziewczyn zwraca się do niego po imieniu, a on się rozpromienia, czuję ukłucie... czego? Czyżby to były wyrzuty sumienia?

W salonie garstka niepracujących mamusí prowadzi ożywioną dyskusję o miejscowym żłobku. Na pozór nie zwracają uwagi na swoje dzieci, a przecież w jakiś godny pozazdrosczenia, niezauważalny sposób mają je wciąż pod kontrolą, w odróżnieniu od takich jak ja Gorszych Matek, które wobec swoich rozbrykanych latorośli grzeszą nadopiekuńczością.

Te dwa gatunki matek zachowują wobec siebie pewną rezerwę, co czasami utrudnia rozmowę. Podejrzewam, że matka niepracująca patrzy na tę pracującą z zazdrością i lękiem, bo myśli, że mamusia pracująca mimo wszystko daje sobie jakoś radę, mamusia pracująca zaś też patrzy na tę niepracującą z lękiem i za-

zdrością, bo wie, że tak nie jest. Żeby wytrwać w którejkolwiek z tych ról, trzeba sobie wmawiać, że alternatywa jest nie do przyjęcia. Matki pracujące twierdzą, że poczucie spełnienia na gruncie zawodowym pozwala im być lepszymi matkami dla swoich dzieci. I czasami nawet w to wierzą. Matka, która siedzi w domu, jest przekonana, że tak jest lepiej dla jej dzieci i może się tym pocieszać, kiedy brzdąc wyleje jej kubek soku na ostatnią czystą bluzkę.

W kuchni dochodzę wreszcie do siebie w towarzystwie kilku kobiet, które znam. To niedobitki mojej poporodowej grupy matki i dziecka. Aż się nie chce wierzyć, że to już pięć lat. Judith, pulchna brunetka przy mikrofalówce, była swego czasu rzecznikiem patentowym. Wróciła do pracy na dwa lata, ale pewnego dnia znalazła psią sierść w przestrzeni bagażowej rodzinnego peugeota. Trochę ją to zdziwiło, bo nie mieli psa. Wmawiała sobie, że nie ma się czym przejmować, do czasu kiedy jakieś przeczucie kazało jej się zwolnić wcześniej z pracy. Zaparkowała niedaleko domu i śledząc opiekunkę do dziecka, zawędrowała do mieszkania przy Holloway Road. Drzwi nie były zamknięte. Weszła do środka i zobaczyła Joshuę wciśniętego w kąt za kominkiem, pilnowanego tam przez ogromnego owczarka alzackiego. Niańka, Tara, zabawiała się tymczasem w sąsiednim pokoju z chłopakiem, który na jednym z pompujących pośladek miał wytatuowane słowo Metallica.

Tłumaczyłyśmy wszystkie Judith, że miała tylko niewiarygodnego pecha, trafiając na jedno zgniłe jabłko w całej populacji rzetelnych opiekunek do dzieci.

—A jak on ich podejrzwał, Kate? — wyszłochała przez telefon.

—Josh nic nie widział, Judy, a nawet jeśli, to on przecież nie ma jeszcze trzech latek. Dzieci poniżej piątego roku życia niczego nic zapamiętują.

Ale Judith nie zaryzykowała już powierzenia opieki nad dzieckiem obcej osobie. Wiedziałyśmy, że zadręcza się wspomnieniem psich szczęk tuż przy buzi synka, i było to dla nas w pełni zrozumiałe, bo w tamtym początkowym okresie macierzyństwa same doświadczałyśmy poczucia winy, ilekroć po powrocie z pracy znajdowałyśmy siniejący guz albo świeże zadrapanie u własnych pociech. Takie rzeczy się zdarzały, a najbardziej gnębiło to, że zdarzyły się pod naszą nieobecność. Byłam przeświadczona, że zdążyłabym chwycić córeczkę, zanim ude-

rzy główką o kant stołu, zanim przewróci się i zetrze sobie o beton małe kolanko. W lotnictwie wojskowym nazywają to chyba AWACS, prawda? Natura wyposa-
ża matkę w taki system wczesnego ostrzegania i matka jest przekonana, że żadna opiekunka, w ogóle żaden człowiek nie może się z nią równać, jeśli chodzi o szybkość reakcji i zdolność przewidywania.

Judith nie zgłaszała żadnych obiekcji, kiedy jej mąż, Nigel, oznajmił, że ma w banku bardzo stresującą pracę, w związku z czym będzie musiał wziąć kilka dni urlopu i pojechać na narty, żeby się zrelaksować, ma się rozumieć, bez niej. W jego mniemaniu siedzenie w domu z trójką dzieci, z których najstarsze nie miało jeszcze wtedy czterech latek (zaraz po odprawieniu niańki na świat przyszły bliźniaki), samo w sobie jest zajęciem relaksującym. Judith, którą poznałam w szpitalu, posłałaby mężulka do wszystkich diabłów, ale tamtej Judith już nie było.

Reszta naszej grupy przez jakiś czas stała twardo na stanowisku, że nie po to się uczyliśmy, żeby podgrzewać teraz zupki dla dzieci. Ale potem, jedna po drugiej, składałyśmy broń. Tak się mówi, prawda? „Składać broń”. Ale w tym przypadku nie jest to odpowiednie określenie. Składanie broni kojarzy się zbytnio z poddawaniem się bez walki, a to były przecież wielkie kampanie toczone bohatersko i z poświęceniem. Czy moje znajome świeżo upieczone matki rezygnowały z pracy z własnej woli? Nie, to praca z nich rezygnowała, jeśli nie wprost, to poprzez takie zatruwanie życia, że w końcu same składały wypowiedzenie. Karen, karmiąca teraz łyżeczką Elle, po urodzeniu Louisa wyczuła, że w biurze rachunkowym, w którym pracowała, zaczyna być spychana na boczny tor. Dawano jej wyraźnie do zrozumienia, że nie uważa już się jej za kandydatkę na partnerkę. Zszedłszy na kilka miesięcy ze Ścieżki Kariery, znalazła się automatycznie na Mamusiny Szlaku. (Mamusiny Szlak to taki rodzaj drogi, którą możemy wędrować i wędrować, i po przebyciu kilkuset kilometrów stwierdzamy, że zaprowadziła nas donikąd). Nic wytrzymała tego upokarzania i podziękowała za pracę.

Ja sama na początku zakładałam, że najgorsze będą pierwsze tygodnie macierzyństwa, że wystarczy przez nie przebrnąć, a wszystko wróci do normy. Myliłam się. Z upływem czasu robiło się coraz gorzej.

Pięć i pół roku po wydaniu na świat dzieci tylko trzy z naszej dziewięcioosobowej grupy pracują jeszcze zawodowo: Caroline jest projektantką graficzną i pracuje w domu, wykorzystując na to czas, kiedy Max przebywa w przedszkolu. Dziś nie mogła przyjść, bo dopieszcza jakąś broszurę dla IBM. Alice, ładna brunetka w skórzanej kurtce stojąca przy zlewie, jest reżyserem obsypywanych nagrodami filmów dokumentalnych, które demaskują korupcję na wysokich szczeblach władzy i ukazują smutną egzystencję ludzi z nizin społecznych. Każdego wieczoru, po powrocie ze studia, Alice przenosiła śpiącego już Nathaniela do swojego łóżka. Bo niby kiedy miałyby go przytulać, jeśli nie przez tę krótką chwilę, dopóki jest mały. Ale Nat nie rozumiał, że trafia do tego raju tylko na krótko: po chwili leżał już w poprzek łóżka, spychając matkę i ojca na boki. Kiedy urodził się Jacob, Alice jego też brała do łóżka. Wkrótce potem jej partner Don opuścił ją i związał się z dziewiętnastoletnią dziewczyną, przy której mógł przynajmniej wyspać się wygodnie.

Patrzę teraz na wymizerowaną jak narkomanka Alice. Z daleka wygląda młodo, ale z bliska widać, że macierzyństwo skradło jej świeżość: tak jakby chłopcy dosłownie wyskali z niej krew. Nie ma nawet czasu na szukanie sobie nowego partnera, nie wiadomo zresztą, czy znalazłby się mężczyzna skłonny wziąć na siebie obowiązek wychowywania nie swoich dzieci. Alice czyta chyba w moich myślach, bo odzywa się nagle ze smutnym uśmiechem.

— Teraz zostali mi tylko chłopcy, Kate.

Kładę dłoń na złotej główce mojego synka. Ucho ma umazane czekoladą. Pora zaśpiewać „Happy Birthday”. Paula wyciąga z kieszeni zapalniczkę i przypala stojącą samotnie pośrodku tortu świeczkę. (Jezu, ona chyba nie zaczęła palić!). Przenoszę tort na stół. Zachwyconemu Benowi oczka mało nie wyjdą z orbit, mnie robi się smutno na duszy: czy po raz ostatni widzę swoje dziecko kończące roczek? I ile z tego jego roku tak naprawdę widziałam?

— Och, Kate, nie trzeba sobie było robić tyle zachodu — mówi Alice, unosząc brwi na widok teletubisiowego tortu.

„Jestem złą matką” — mówię do niej, poruszając bezgłośnie ustami.

Śmiejąc się, odszeptuje:

— Ja też.

Do zapamiętania

Gnidy, ser, kartka walentynkowa.

TLR

Rozsądek, przeciw żądom

Trudno wyjaśnić, jak zaczął się mój związek z Jackiem. Ja naprawdę za nikim się nie rozglądałam. Nie byłam szczęśliwa, ale nieszczęśliwa też nie, wegetowałam w szarej strefie przetrwania, w której, jak podejrzewam, spędza większość życia większość z nas. Kiedy na izbę przyjęć przywożą ofiarę wypadku w ciężkim stanie, personel szpitalny przeprowadza procedurę zwaną w medycznym żargonie przesiewem. Przesiew to wstępne oględziny pacjenta, mające na celu określenie kolejności zajmowania się poszczególnymi ranami w zależności od stopnia zagrożenia dla życia. Podśluchałam ten termin, oglądając pewnego wieczoru odcinek serialu *Ostry dyżur* — był to ów krytyczny okres, kiedy wszyscy rozważali, jak się ułożą sprawy między Hathaway i Dougiem — i od razu skojarzył mi się z moim życiem. Ja też codziennie szacowałam, co w danej chwili najbardziej wymaga mojej uwagi — dzieci, biuro czy mąż. Zauważyliście pewnie, że nie wymieniłam tu siebie. Nie jest to bynajmniej przejaw szlachetności czy kokieterii z mojej strony. O, nie. Ja zwyczajnie nic miałam dla siebie czasu. Wracając w weekendy z supermarketu, zaglądałam często przez zaparowane witryny do kafejek i ilekroć zobaczyłam tam zakochanych trzymających się za ręce nad stygnącym cappuccino albo samotnego mężczyznę zatopionego w lekturze gazety, ogarniało mnie przemożne pragnienie, żeby wejść do środka, zamówić coś do picia i siedzieć tak, siedzieć. Ale nigdy nie uległam tej pokusie, nie mogłam. Cały wolny czas wypełniały mi obowiązki matki, a wykradając z niego parę chwil dla siebie, czułabym się jak złodziejka. I nie zmieniał tego fakt, że podobnych skrupułów nie miał żaden ze znanych mi mężczyzn. To jeszcze jeden obszar, w którym nadal nie ma mowy o równouprawnieniu płci. W związku z powyższym kochanek był mi potrzebny jak dziura w moście. I nagle zaczęły się te e-maile od Jacka.

A zaczęły się po pierwszej naszej wspólnej kolacji w Nowym Jorku. Najpierw przysyłał jeden dziennie, potem zaczął mnie nimi bombardować co godzinę. Czasami odpowiadaliśmy sobie w ciągu kilku sekund i przypominało to zażartą

wymianę piłek na korcie tenisowym. Z początku podchodziłam do tego z rezerwą, ale jego poczucie humoru i wytrwałość sprowokowały mnie w końcu do współzawodnictwa. Tak więc, nie, nie potrzebowałam go, ale udało mu się z czasem wytworzyć we mnie jakąś pustkę; pustkę, którą tylko on mógł zapełnić. Czy kobieta na pustyni zdaje sobie sprawę, jak jest spragniona, zanim nie przyłoży butelki do ust? Nawet nie wiem kiedy zaczęłam z niecierpliwością wyczekiwać na pojawienie się korespondencji od Abelhammera w mojej skrzynce pocztowej.

*

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy, EMF

Nasdaq poleciał na łeb na szyję. Duże straty, klient szuka rozsądnej, profesjonalnej opinii u szanowanego brytyjskiego doradcy inwestycyjnego, mam skoczyć z okna już teraz, czy lepiej wstrzymać się z tym do lunchu.

Jack

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Spokojnie. Jesteś pod stałą opieką szanowanego doradcy inwestycyjnego. Zaczekajmy na ogłoszenie decyzji Wszechpotężnego Greenspana w sprawie stóp procentowych.

Profesjonalna opinia: długookresowe zyski pewne jak w banku. Nie skacz

Opinia nieprofesjonalna: schowaj się pod biurko, przeczekaj najgorsze, a potem wyjdź i sprawdź, jak stoją akcje. Zjedz kanapkę z indykiem. Dopiero potem skacz.

Katharine xxxxx

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

czy wiesz, że żona Alana Greenspana powiedziała kiedyś, że on jest do tego stopnia nieprzenikniony, że nawet kiedy poprosił ją o rękę, ona tego nawet nie zauważyła? Tego gościa nie sposób przejrzeć.

Zaraz, czy ty aby nie powinnaś już leżeć w łóżku? Tam u was przecież środek nocy, prawda?

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Lubię noc. Czas płynie przyjemniej niż za dnia. Po co go marnować w łóżku? K xxxx

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Łóżko nie zawsze jest miejscem, w którym marnuje się czas. znasz tę kwestię, w której facet mówi swojej kochance, że dla niego jedna noc mogłaby trwać siedem lat. to chyba Szekspir, prawda?

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Siedem lat upchnięte w jedną noc to w sam raz tyle, ile mi potrzeba, żeby odrobić zaległości w śnie. To nie Szekspir. To chyba Marlowe. Dlaczego wszyscy się uwzięli na tego Szekspira — przypisuje mu się wszystko, co piękne, nawet jeśli tego nie napisał. Jest Billem Gatesem emocjonalnego oprogramowania.

A swoją drogą, jak to się stało, że czytałeś Marlowe'a? Czyżby Wall Street Journal przewidywał odrodzenie renesansowej dramaturgii?

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Nieładnie, milady, nieładnie, nie sądź człowieka po zawartości jego portfela akcji, był kiedyś ubogim, borykającym się z przeciwnościami losu an-

XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-
XX	XXX-

Godz. 7.01

Ben odkrył swojego siusiaczka. Leży na kocyku z rozanieloną, triumfującą miną kogoś, kto właśnie znalazł przejście do innego wymiaru, i zaciska małe paluszki na tym pierwowzorze joysticka. Jest nie na żarty rozsierzdzony i uderza w płacz, kiedy konfiskuję mu tę nową wspaniałą zabawkę, pakuję ją w pampersa i czym prędsiej zapinam rzepy po bokach.

— Nie, bądź grzecznym chłopczykiem. Musimy się z tym teraz rozstać, bo schodzimy na dół na śniadanko.

Jaka jest typowa reakcja matki na budzącą się seksualność syna? Oczywiście radość, że penis funkcjonuje. Jestem dumna, że potrafiłam wyhodować w swoim kobiecym ciele ten cud hydrauliki, a zarazem narzędzie rozkoszy, na razie wielkości gaśienicy. Ale widok tych zaczątków męskości ze wszystkimi tego implikacjami — samochody, piłka nożna, inne kobiety — wywołuje też we mnie pewne zażenowanie. Tak, przyjdzie dzień, kiedy w życiu Bena pojawią się kobie-

ty nie bądące mną, i igielka lodu wrażająca się w serce mówi mi już, co bądę wtedy przeżywała.

Schodzę na dół. W kuchni bałagan. Przy pojemniku na śmieci piętrzy się kupka rodzynek: to chyba nie te same rodzynki, które widziałam w tym samym miejscu przed Bożym Narodzeniem? Muszą powiedzieć Pauli, żeby nie pozwalała dzieciom rzucać ich na podłogę. (Sprzątacze nie ma sensu zwracać uwagi: Juanita ma problemy ze stawami i nie może kląkać). Richarda zastają wpatzonego w telewizor. Mój nieogolony, rozczochrany mąż wygląda jak wyjęty z suszarki wirnikowej. Chyba wpadła mu w oko ta presterka programu dla dzieci — Chloe? Zoe? Kiedy pytam, dlaczego ogląda program dla dzieci, wyburkuje: „to bardzo pouczające”, ale takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „nie-teraz-kobieto”. Chyba nie wybaczył mi jeszcze tamtej Wielkiej Awantury o Pesto.

Zauważam, że Chloe-Zoe ubrana jest bardziej na wieczór w dyskotece niż na rześki lutowy poranek. Ma na sobie pomarańczową kamizelkę, a pod nią obcisłą koszulkę z napisem: Co Ty Na To? wyszytym różowymi cekinami nad małymi, ale ponętymi piersiami. Od kiedy to presterki programów dla dzieci zaczęły wyglądać jak lolitki?

— Richard?

— Tak.

— Ben wciąż się bawi siusiakiem. Czy to trochę nie za wcześnie? Przecież ma dopiero roczek. To twoim zdaniem normalne?

Rich nawet nie podnosi na mnie wzroku.

— Najlepsza forma rozrywki znana mężczyźnie. Przed nim całe życie przyjemnych doznań. I to za darmo — mówi, przekrzywia głowę i odwzajemnia makabryczny wiewiórczy uśmiech Chloe-Zoe.

Pełne zachwyty gaworzenie każe mi się obejrzeć. Ben stoi przy otwartej lodówce, trzyma buteleczkę toothkind ribeny do góry dnem i polewa moje buty soczkiem z czarnej porzeczki. Wkraczam energicznie do akcji, usiłując zapobiec powodzi. Wołam do Richa, żeby podał mi więcej papierowych ręczników. Papierowe ręczniki się skończyły, a Ben siedzi teraz w fioletowej kałuży. Piszczy pro-

testacyjnie, kiedy podrywam go z podłogi za kołnierz piżamki i podstawiam pod kran.

Pytam Richarda, dlaczego nie kupił papierowych ręczników, pomimo że podkreśliłam (trzy razy) tę pozycję na piątkowej liście sprawunków. Tłumaczy się, że sam nie mógł znaleźć w supermarkecie papierowych ręczników Kitten Soft, a wstydził się kogoś zapytać.

— Wstydziłeś się?

— Istnieją sformułowania, które szanującemu się mężczyźnie nie przejdą przez gardło, Katie.

— Nie przejdzie ci przez gardło: „papierowe ręczniki Kitten Soft?”.

—Nie.

—Dlaczego, u licha?

— Sam nie wiem. Wiem tylko, że nie powiem tego głośno nawet na torturach. Wystarczy, że pomyślę...

Z teatralnym wzdrygnięciem Richard odwraca się z powrotem do telewizora i tonie znowu w czekoladowobrazowych oczach Chloe-Zoe.

—No i nie mamy papierowych ręczników, Rich, a jak może zauważyłeś, bardzo by się teraz przydały.

—Zauważyłem, ale nic na to nie poradzę. — Wzdycha głęboko. — Przepraszam.

Na wszelki wypadek pytam mojego męża, jakie jeszcze sformułowania nie przejdą szanującemu się mężczyźnie przez gardło. Oto niektóre z nich: WC-kaczka, po same końce, z siłą wodospadu, wiosenna świeżość, bogaty aromat, wash-and-go, dwa w jednym, jesteś tego warta.

Godz. 8.01

Muszę lecieć. Prowadzę dziś prezentację dla dyrektorów EMF. Okazja do za-błyśnięcia albo złamania sobie kariery. Szansa zaimponowania chłodnym profe-

sjonalizmem, niezrównaną wiedzą o świecie rynków, i tak dalej. Ścieram sok z porzeczek z butów, zostawiam Pauli karteczkę z prośbą, żeby kupiła papierowe ręczniki i KONIECZNIE odniosła *Śpiącą królową* do wypożyczalni. Kara za zwłokę przekroczyła już chyba koszty produkcji oryginalnego filmu Walta Disneya. Chwytam torebkę, cmokam na odległość lepiącego się Bena, który rwie się do mnie jak Daniel Day-Lewis do Madeleine Stowe w scenie pożegnania z *Ostatniego Mohikanina*.

W drzwiach drogę zastępuje mi Emily.

—Mamusiu, co to są zwłoki wczasowe?

—Nie wiem, kochanie. Miłego dnia. Na razie.

Godz. 15.26

Prezentacja idzie mi popisowo. Dyrektor naczelny, sir Alas-dair Cobbold, wyraził się przed chwilą z uznaniem o mojej znajomości problemów integracji europejskiej. I tutaj, w sali posiedzeń na siedemnastym piętrze, z Londynem rozpostartym jak miasteczko z klocków lego pode mną, przez jeden oszalamiający moment czuję się panią sytuacji.

Przechodzę właśnie do podsumowania, gdy od drzwi dolatuje znaczące pokasywanie. To Celia Harmsworth krygująca się w ten charakterystyczny sposób, który z ludzi starających się nie zwracać na siebie uwagi, czyni ośrodek powszechnego zainteresowania.

— Przepraszam, że przeszkadzam, Robin — mówi z zażenowanym uśmiechem — ale w recepcji jest jakiś pijany i ochrona nie może sobie z nim poradzić.

Robin Cooper-Clark unosi pytająco brew.

—A co nam do tego, Celio?

—On twierdzi, że jest ojcem Kate.

Poznajcie mojego tatę

Okoliczności moich spotkań z ojcem nie zmieniły się zbyt wiele przez ostatnie dwadzieścia lat. Przez wiele miesięcy nie daje znaku życia i tylko od siostry dowiaduję się sporadycznie o jego skandalicznych wybrykach i liście dolegliwości, które, zdawałoby się, umarły wraz z lordem Nelsonem — szczękoscisk, szkorbut, podagra. Aż tu nagle, kiedy już myślę, że więcej go nie zobaczę i kamień spada mi z serca, on zjawia się jak gdyby nigdy nic i zachowuje tak, jakbyśmy rozstali się zaledwie wczoraj, jakby łączyła nas więź, której tak naprawdę nigdy między nami nie było. Mój tato zawsze mieszał uczuciowość z poufałością. Dla niego jestem wciąż jego małą dziewczynką, chociaż kiedy byłam małą dziewczynką, stawiał mi zadania wymagające siły kobiety. Teraz, kiedy jestem już dorosła, szuka u mnie dziecięcej przymilności i łatwo wpada w gniew, gdy jej nie znajduje. Czasami jest w stanie wskazującym, trudno jednak stwierdzić, czy rzeczywiście pił; za to zawsze, ale to zawsze, chce pieniędzy.

Joseph Aloysius Rceddy wprowadza swoją osobą zgrzytliwy dysonans w aseptyczną chromowo-białą holę Edwin Morgan Forster, jest tu reliktem bardziej zacofanej, prymitywniejszej epoki. Faceci wbici w garnitury nie mogą oderwać od niego oczu. Chyba nawet brzydki zapach w salonie piękności nie wzbudziłby większej konsternacji. W tym podszytym wiatrem płaszczyku w jodełkę z trzeciej ręki, z wiechciem rozwichrzonych siwych włosów wygląda jak wędrowny druciarz, który przyszedł zaoferować swoje usługi załodze gwiazdolotu Enterprise z serialu *Star Trek*. Dwaj ochroniarze z trzeszczącymi krótkofalówkami próbują go nakłonić do opuszczenia budynku, ale Joe ani myśli wstawać z perforowanej stalowej ławeczki. Między kolanami ściska białą plastikową reklamówkę. Biję od niego urażona pijacka godność. Na mój widok ożywia się i triumfalnie pokazuje palcem:

— O, jest moja Kathy. A nic mówiłem?

— Dziękuję, Geraldzie — mówię szybko do ochroniarza. — Mój tato jest dzisiaj niedysponowany. Ja to załatwię. — Prowadząc ojca do głównych drzwi, nie rozglądam się na boki, żeby nie widzieć tych pełnych politowania uśmiezków, które towarzyszyły rodzinie Reddych odkąd pamiętam.

Kiedy jesteśmy już na zewnątrz, proponuję kafejkę położoną z dala od miejsc uczęszczanych przez znajomych z pracy, ale tato ciągnie mnie po schodach w stronę King's Arms, pubu, w którym bywał Dickens. Podłoga jest tu posypana wiórkami, a nastoletnia barmanka ma białą skórę i język nabity ćwiekiem. Siadamy przy stoliku w kącie, pod portretem jakiegoś rumianego lorda; ojciec z podwójną szkocką i paczką orzeszków ziemnych, ja z gorzką lemoniadą. Gorzką lemoniadę piła zawsze mama. Z początku bez domieszki alkoholu; dopiero później zaczęła nim poprawiać sobie nastrój.

— Co tam słyhać u małej Emmy? — pyta ojciec. Zalatuje od niego johnnym walkerem i jajami na twardo.

—Emily.

—A, rzeczywiście, Emily. Ma już chyba z siedem lat.

—Sześć, tato. Skończy w czerwcu.

Tato macha lekceważąco ręką. Widocznie dla niego sześć czy siedem lat to żadna różnica.

— A chłopaczek? Julie mówi, że skóra ściągnięta ze mnie. Jezu, czy wszyscy faceci, choćby byli najgorszymi, najbardziej obojętnymi ojcami i dziadkami, muszą się doszukiwać w potomkach swojej genetycznej spuścizny? Wpatruję się wściekła w swojego kwaśnego musującego drinka. Sama myśl, że jakaś spirala DNA z zakodowanym w niej Joem Reddym rozwija się teraz w moim ukochanym synku, napawa mnie zgrozą.

— Ben jest podobny do mnie, tato.

—Tak, ty też jesteś wykapany ja, Kathy, kaczuszeko. Oboje przystojni, zgrabni, oboje z temperamentem, dobrze mówię? — Pociąga sążnisty łyk whisky i

пча sobie do ust pełną garść orzeszków — on nigdy w niczym nie miał umiaru, przynajmniej pod tym względem jesteśmy do siebie podobni.

—No co, nie spytasz swojego taty, jak mu się wiedzie? Taki szmat drogi przejechałem, żeby się z tobą zobaczyć.

Akcent ma zdecydowanie północny, jednak z lekkim za-śpiewem z Cork, skąd pochodziła jego matka. Czy ja też tak kiedyś mówiłam? Richard twierdzi, że na początku naszej znajomości, ilekroć otworzyłam buzię, to jakby słyszał Monthly Pythona. Było to w czasach, kiedy mówiłam jeszcze piniądze zamiast pieniądze. Dopiero później wzięłam się w garść i nauczyłam prawidłowej wymowy.

Tato chce, żebym mu ułatwiła przejście do sprawy, z którą do mnie przybył. Ale ja mu tego nie ułatwię. Do tej pory pamiętam, jak w dzień mojej pierwszej wypłaty stał pod Abbey National w Holborn i śliniąc palec liczył dziesięciofuntowe banknoty, które mu wręczyłam. Mój rodzony ojciec. Jeśli chce ode mnie pieniędzy, niech o nie poprosi.

— Jeszcze raz to samo? — pyta barmanka, która podeszła, żeby zabrać puste szklanki.

— Nie.

— Tak, dla mnie to samo i sobie też strzel jednego na moje konto, kotku.

Tato uśmiecha się, a dziewczyna pąsowieje i sztywnieje, jak zwykły to swego czasu robić w jego obecności wszystkie kobiety. Ojciec był kiedyś pięknym mężczyzną — tak, nie przejęczyłam się, nie przystojnym, a właśnie pięknym — i dlatego zamiast dojrzeć, zgnił. „Tyrone Power” — wymrukiwała z rozrzewnieniem moja babka, ilekroć go zobaczyła. Byłam jeszcze mała i nie znałam dawnych hollywoodzkich gwiazd, zakładałam więc, że Tyrone Power to określenie tego elektryzującego wpływu, jaki miał mój ojciec na ludzi. Patrząc na niego teraz i próbując sobie wyobrazić, jak widzą go inni: twarz w kształcie spuchniętego serca, nos i policzki pocięte siateczką czerwonych żyłek przypominających deltę jakiejś rdzawej rzeki. Długie rzęsy okalające oczy, które moja matka zwykła nazywać najcudowniej błękitnymi, jakie w życiu widziała: jeziora koloru indygo, w których utonął cały urok osobisty i inteligencja. Mój pierwszy chłopak

nazywał go bawidamkiem. „Twój tato to pies na kobiety, Kath. Szkoda, że go nie widziałaś w sobotę w klubie z tą Christine”.

— Ciekawym, co na to powiesz. — Ojciec gmera pod stolikiem i wyciąga z reklamówki czarne pudełko, a z niego coś ryjkowatego i ze sterczącymi po bokach skrzydełkami. Latająca świnka? Obracam to w rękach.

—Co to jest?

—Pierwsza na świecie pielucha podlegająca biodegradacji.

—Przecież ty nic nie wiesz o pieluchach.

—Teraz już wiem.

Wypada tutaj nadmienić, że mój tato ma na tym polu spore osiągnięcia. Jest jednym z największych na świecie niedocenionych wynalazców i już prawie wszystko wynalazł. Kiedy byliśmy z Julie małe, z grudek żywicy fabrykował kamienie księżycowe, sprzedawane potem na straganie w Chesterfield jako pamiątki z lądowania Apollo 11: „Proszę tylko pomyśleć, madame, ma pani w ręku ten sam kamień, który ścisnął Neil Armstrong!”. Te kamienie księżycowe szły jak świeże bułeczki, a później, kiedy wyprawy kosmiczne spowszedniały, przeszły inkarnację i stały się specjalnymi pumeksami do szorowania stwardniałej skóry dla pracujących fizycznie pań.

Potem przyszła kolej na klapkę dla kota u dołu drzwi, tak zmodyfikowaną, żeby ten mały drapieżca nie mógł wnosić do domu łowieckich trofeów: pomyślałem sam w sobie dobry, ale mechanizm sprężynowy często przytrzaskiwał kotom łebki i to ze skutkiem śmiertelnym. Czasami okazywało się, że wynalazki taty zostały już przez kogoś wynalezione; tak było z przepaską na oczy dla pasażerów samolotów, którzy chcą się zdrzemnąć. Ale w tym przypadku usprawiedliwia go fakt, że wynalazł ją, nie postawiwszy nigdy nogi na pokładzie samolotu.

„Joe — zauważyła nieśmiało mama — takie klapki na oczy już chyba w samolotach mają”, ale tato nic był z tych, co biorą sobie do serca takie babskie gadanie. W naszym domu to tato był od wielkich przedsięwzięć: mama chodziła tylko ze zmiotką i szufelką i sprzątała ich odpryski. W rubryce „zawód” ojciec wpisywał zawsze „przedsiębiorca”.

Przebiegam wzrokiem jego biznesplan wdrożenia do masowej produkcji biodegradacyjnej pieluchy Reddy'ego, a on perroruje w najlepsze:

— Ten wynalazek wzbudził już spore zainteresowanie, jeśli chcesz wiedzieć. Derek Marshall z Izby Handlowej mówi, że jak żyje, jeszcze czegoś takiego nie widział. Ale trochę marnie u mnie z kapitałem, kochanie, a ty przecież obracasz się w tej branży. Potrzebny mi ten, no... jak mu tam... inwestor sporadyczny?

—Chyba strategiczny.

—O, właśnie.

Tato mówi, że tym razem nie chodzi o jakieś wielkie sumy; pieniążki na rozruch i tyle.

—Ile?

—Tyle, żeby rozkręcić produkcją.

—Ile?

— Dziesięć patyków plus koszt prac badawczo-rozwojowych, aha i jeszcze koszt pakowania. Powiedzmy trzynaście i pół. Nie zwracałbym się z tym do ciebie, kochanie, ale krucho u mnie w tej chwili z płynnością finansową.

Na mojej twarzy pojawiła się chyba czujność, bo tato poprawia się na krzeselku, co na ogół jest przejawem skrepowania. Myślę już, że dotarło do niego, jaką mam awersję do tego rodzaju transakcji, ale on wyciąga rękę nad stolikiem i przykrywa dłonią moją dłoń.

— Nie martw się, kochanie — mówi. — Jeśli nie masz tyle przy sobie, to może być czek.

Rozstaję się z ojcem na stacji Moorgate. Północną linią dojedzie do samego King's Cross, a tam złapie pociąg do domu. Daję mu pieniądze na bilety — jakąś astronomiczną sumę, teraz taniej jest dolecieć do Bostonu, niż dojechać do Doncaster — i dodatkowo na taksówkę, kiedy będzie już na miejscu. Tato trochę kręci, kiedy go pytam, gdzie aktualnie mieszka — bo mówiąc to, zdradziłby się, z

kim — ale obiecuje mi, że prosto tam pojedzie. Udaję, że wychodzę, i chowam się za budką fotograficzną. Kiedy odczekawszy kilka minut, wyglądam zza niej, ojciec prowadzi ożywioną konwersację z młodym ulicznym grajkiem. Od niechcienia, wielkopańskim gestem, wrzuca do otwartego futerału na gitarę dziesięć funtów z pieniędzy, które przed chwilą ode mnie dostał, ściąga płaszcz, układa go pieczołowicie na grzbiecie psa śpiącego obok grajka i... Boże jedyny, będzie śpiewał.

Szeroka woda, nie przeskoczą przez nią, Nie mam też skrzydeł, by przelecieć ją. Dajcie mi łódkę, co dwoje pomieści, Powiosłujemy razem z miłą mą.

To jego ulubiona ballada, drugi, zaraz po „Down by the Salley Gardens”, standard Reddy'ego. Garnitury śpieszące do schodów ruchomych zatrzymują się i oglądają, zaskoczone pięknym, dźwięcznym tenorem. Kobieta w płaszczu z wielbłądziej wełny pochyła się i wrzuca do futerału kilka monet, a tato salutuje jej do wyimaginowanego kapelusza.

W uszach rozbrzmiewa mi głos mamy, gniewny dyszkant wybijający się ponad tę smutną melodię:

— On może owinać sobie ciebie dookoła małego palca.

— Nie, nie może.

— Właśnie, że może. Zawsze to potrafił. Skoro ten twój tatulek wydaje ci się taki cholernie cudowny, to idź do niego. No dalej, idź.

— Nie chcę iść do niego, mamo.

— Zawsze patrzyłaś w niego jak w obraz. Byłaś córeczką tatusia.

Wychodzę na rojną ulicę, kupuję „Standard”, żeby nie paradować z pustymi rękami, i ruszam w stronę biura.

Dziecięca miłość do rodzica jest niemal niezniszczalna, ale z upływem lat krople topniejących złudzeń mogą ją nadwereżyć. Pamiętam, że na początku byłam z ojca dumna, rozpieierała mnie duma, że jest mój. Był ładniejszy od ojców innych dzieci i taki mądry, że potrafił dodawać w pamięci dowolne liczby oraz bezbłędnie cytować wyniki meczów piłkarskich zaraz po odczytaniu ich w sobotnie popołudnie z ekranu telewizora. W sobotnie poranki zabierał mnie i Julie do salonu bukmacherskiego, a my czepiałyśmy się kurczowo nogawek naszego idola i nie odstępowałyśmy go na krok. Pamiętam, jaka mała się tam czułam pośród lasu spodni i zapachu zmoczonych deszczem pilśniowych kapeluszy.

Pewnej zimy, było to chyba w 1975 albo 1976 roku, tato zabrał nas na sanki do Peak District. Inne dzieci miały sanki z prawdziwego zdarzenia kupione w sklepie: z siedziskami z listewek uniesionymi wysoko nad ziemię. Nasze sanki szorowały siedziskiem po ziemi: tato zbił je z surowych deseczek i przytwierdził od spodu płozy, które zrobił z metalowej taśmy oderwanej od drzwiczek wraku porzuconego samochodu. „Będą miały lepszy poślizg!”, powiedział, zacierając dłonie.

Julie, która zjeżdżała pierwsza, zleciała z tej tatowej konstrukcji tuż po starcie i prowizoryczne saneczki zjechały na dół same. Tato powiedział jej, że jest niezłama. Przyszła moja kolej. Usiadłam i wczepiłam się w deseczki, zdecydowana dowieść, iż nasze sanki, sanki zmajstrowane przez tatę, są tak samo dobre jak każde inne. Ale w połowie zjazdu sanki podskoczyły na jakimś wyboju, skrzyły ostro w prawo i poniosły mnie w kierunku stromego spadku zabezpieczonego niskim ogrodzeniem z drutu kolczastego. Płozy z metalowej taśmy przydały im takiego poślizgu, że o wyhamowaniu nie było nawet co marzyć. Sanki wbiły się pod ogrodzenie, przód zawisł nad urwiskiem, a ja, zaplątana w drut, leżałam na nich na wznak na wyciągnięcie ręki od krawędzi.

Tato, kiedy do mnie dopadł, dyszał tak ciężko, że myślałam, iż wyzionie ducha, ale on ukląkł na końcu sanek, żeby nie zsunęły się dalej, i zaczął wydłubywać kolce drutu z mojej kurtki, z moich rąk, z włosów. Wydłubawszy ostami, pociągnął mnie do siebie, a sanki runęły w dół. Dopiero po paru sekundach uszeliśmy trzask, z jakim rozbiły się o przebiegającą poniżej asfaltową ulicę. Przez dłuższy czas byłam przekonana, że pamiętam tak dobrze ten dzień, bo tato

ocalił mi wtedy życie; teraz wydaje mi się, że ów incydent zapadł mi tak w pamięć, ponieważ był to jeden jedyny raz, kiedy tato zrobił coś, żeby mnie chronić.

Ale nie zmienia to faktu, że tato był moją pierwszą miłością i zawsze stawiałam po jego stronie, nawet kiedy orzechowe oczy matki znikwały w napuchniętych czerwonych obwódkach, kiedy zaczynała nosić te zmechacone, odstręczające nylonowe nocne koszule i dostawała nieoczekiwanych napadów śmiechu. Pewnego dnia, w sklepie, jakiś mężczyzna zahaczył nogą o piramidę puszkowanego mleka. Piramida runęła i niebiesko—białe puszki potoczyły się z grzechotem po posadzce, a mama śmiała się i śmiała, i uspokoiła się dopiero, kiedy Linda, sprzedawczyni, przyniosła jej z zaplecza szklankę wody. Ale córki nie przyjmują do wiadomości sygnałów, którymi matki próbują dawać światu do zrozumienia, że są nieszczęśliwe; przymykają oczy na wszystko, co mogłoby rzucić cień na ich ojców i zrodzić wątpliwość, czy rzeczywiście są takimi ideałami.

Od czasu kiedy zrozumiałam, że Joseph Aloysius Reddy nie jest najważniejszym obiektem uwielbienia, upłynęło już wiele lat, a ja do tej pory nie mogę się uwolnić spod jego uroku. Co otworzyło mi oczy? Kiedyś przyniósł mamie do prania pościel z łóżka, które dzielił ze swoją nową przyjaciółką. Którejś nocy zniósł mnie zaspaną na dół, żebym powiedziała stojącemu we frontowym pokoju policjantowi, że on, Joseph Reddy, tego i tego dnia nic mszył się na krok z domu, i przysięgła, że doskonale to pamiętam. Przysięgłam.

— Nasza Kathy ma fotograficzną pamięć — powiedział tato do policjanta. — Prawda, kochanie? No, gdzie twój śliczny uśmiech?

Ojciec jest danym dziewczynie przez naturę wzorcem mężczyzny, a jeśli ten wzorzec jest zwichrowany albo spaczony, to... no właśnie, to co?

Wchodzę do gmachu Edwin Morgan Forster i jego chłodne, rozbrzmiewające echem przestrzenie, stukot marmuru pod obcasami, winda witająca mnie bez protestu w swoim wyłożonym lustrami wnętrzu, od razu poprawiają mi nastrój. Wole nie patrzeć na swoje odbicie: nie chcę widzieć siebie w tym stanie. Kiedy kabina zatrzymuje się na trzynastym piętrze, wymówkę mam już gotową. Za rozsuwającymi się drzwiami stoi Robin Cooper-Clark.

— Wspaniała prezentacja, Kate — mówi, kładąc mi dłoń na ramieniu. — Absolutnie pierwsza klasa. Musisz tylko dopieścić kilka szczegółów. Ale nie pali się. Zrobisz to w swoim czasie. Mam nadzieję, że to nie żadne rodzinne problemy.

Trudno mi sobie wyobrazić, jak zareagowałby dyrektor do spraw inwestycji, gdybym mu powiedziała całą prawdę. Cooper—Clarkowie są moimi przyjaciółmi od czasu, kiedy wspólnie z Jill przeżywałyśmy horror zorganizowanego przez firmę polowania na bażanty. Byliśmy z Richardem kilkakrotnie w ich domu w Sussex, ale nigdy nie wspominałam Robinowi o swoim ojcu: zależy mi na jego szacunku, a nie współczuciu.

—Nie. Wszystko w porządku.

—To się cieszę. Pogadamy później.

Z tego, co wyświetla ekran, wynika, że pod moją nieobecność, czyli w ciągu trzech godzin, FTSE poszedł w górę o 50 punktów, Dow Jones w dół o 100, a dolar o 1 procent. Spokojnie, w wielkim skupieniu, robię stosowne wyliczenia, żeby utrzymać swoje fundusze na kursie.

Zakupy

Gwałtowna zmiana strefy czasowej ma swój specyficzny mikroklimat; szary, duszny, singapurski. Wróciłam właśnie z krótkiego wypadu do Bostonu i w niemal tropikalnym letargu wloką się przez kłującą lutową mżawkę. Na Long Acre omal nie wpadam pod koła kuriera na rowerze. Przez wizjer kasku widzę jego pełne nienawiści oczy.

— Ty krowo głupia — cedzi przez zęby. — Uważaj, kurwa, jak chodzisz.

Za czternaście minut mamy z Rodem spotkanie z konsultantami w Covent Garden. Zdążę jeszcze wpaść do LK Bennetta na 50-procentową wyprzedaż butów.

Chyba już zapomniałam, jak się robi zakupy dla przyjemności. Nie dla mnie niespieszna gra wstępna, nie dla mnie nieszkodliwy flirt z kordonkiem i jedwabiem, zanim zdecyduję się w końcu na skromne płótno, albo wspaniałą, przytulną alpakę. Teraz kupuję jak szarańcza: wygłodniała, niszcząca, unosząca wszystko, czego potrzebuję i czego mi nie trzeba, ale zdecydowanie na to zasługuję, bo nigdy nie mam czasu wybrać się na normalne zakupy. Chwytam parę spartaczonych szpilek — dobre do deptania Guyowi po palcach — i długie do pół łydki botki. Po chwili zastanowienia biorę jeszcze jakieś czarne czółenka z tyłoma wytłoczonymi dziurkami, że wyglądają jak kawałek braille'a dla fetyszystki stóp. Ciekawa rzecz, dwie pary butów wydają się ekstrawagancją, ale trzy to już dobry interes.

W głębi sklepu spostrzegam brunetkę o lśniących włosach, triumf lakieru nad grawitacją, owiniętą w gołębioszary kaszmir. Ogląda każdy but niczym sędzina na wystawie kwiatów. Od razu widać, że czasu i pieniędzy jej nie brak. Przed nią zapewne cały dzień buszowania po sklepach — preria możliwości ze smakowitym lekkim lunchem pośrodku. Jej wzrok zatrzymuje się na parze pasiastych pan-

tofli rannych na półce z rozmiarem 6. Nicdoczekanie. Wykonuję piruet godny *Aniołków Charliego* i jestem tam przed nią.

—Przepraszam, ja już je wybrałam. — W głosie kobiety pobrzmiewa tłumiona irytacja.

—Przykro mi, ale ja byłam pierwsza — mówię, wbijając stopę w pantofel.

—Po cóż ta agresja. — Kobieta uśmiecha się i oddala, ciągnąc za sobą woń jo malonc tuberoze. Czyż nie pięknie pachnie? Jeszcze jak pięknie. Czy nie chciałoby jej się chwycić za tę anielsko gładką szyję bez jednej zmarszczki i udusić? Jeszcze jak by się chciało.

Sprzedawczyni przy kasie bierze pantofle i obraca je podeszwami do góry.

—To przecież nie pani rozmiar, madam.

—Wiem, ale biorę.

Czytnik kart kredytowych szumi pracowicie i w końcu się krztusi.

— Przykro mi, madam, pani karta dostała odmowę autoryzacji. Muszę zatelefonować.

—Nie mam czasu na pani telefony. Sprzedawczyni uśmiecha się krzywo.

—Może spróbujemy z inną kartą?

Godz, 10.36

Spóźniam się na spotkanie sześć minut i trzydzieści pięć sekund. Wchodzę na salę pełną garniturów, chowając za sobą błyszczącą reklamówkę. Rod Task podnosi wzrok znad notatek i wita mnie uśmiechem rekina.

— No tak, kiedy coś się nie układa, panie udają się na zakupy. Dobrze, że jesteś, Katie. Lepiej późno niż wcale.

Godz. 12.19

Cztery dni do zimowych ferii Emily, a ja nie miałam dotąd czasu załatwić jakiegoś wypoczynku. Na domiar złego, Paula wyjeżdża na tydzień do Maroka. Kiedy rano spytałam ostrożnie, czy nic mogłaby tak planować swoich urlopów, żeby nie zbiegały się z naszymi, rzuca mi to swoje spojrzenie Joanny d'Arc — odłóż-te-zapałki, mówią jej oczy. Deklaruję się więc szybko, że opłacę jej przełot. Aleś ty słaba, Kate, bardzo słaba.

Udając, że sprawdzam wyniki finansowe funduszu, dzwonię do biura podróży. Może Floryda?

W słuchawce rozlega się chichot hieny.

—Przykro mi, ale miejsc nie ma już od października.

—A Disneyland pod Paryżem?

Niestety. Eurostar pęka najwyraźniej w szwach od zapobiegliwych turystów. Agent mówi, że dysponuje jeszcze kilkoma wolnymi miejscami na Wielkanoc.

— A może Centerparcs, pani Shattock? — *Tak, już się rozpędziłam.*

Pytam o Komwalię, o Cotswolds i o Wyspy Kanaryjskie. Wszystko wykupione. W końcu docieram do firmy o nazwie Cymru Cottages. Váida, o dziwo, informuje mnie, że zwolniło się miejsce pod St David's. Po tej przytulnej stronie, ale trzeba tam uważać z otwartym ogniem.

Mam już wychodzić na lunch, kiedy do mojego biurka zbliża się niepewnie chłopak z działu pocztowego: niesie dwa bukiety walentynkowych kwiatów. Jeden to gardenie, lilie i białe róże wielkości pięści — wygląda jak ślubna wiązanka Grace Kelly; na drugi składają się tulipany z klombu przed garażem przybrane cmentarną paprocią. Odczytuję bileciki. Tulipany są od mojego męża.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Chciałam ci powiedzieć, żebyś się nie przejmowała tymi gnidami. Gnidy są teraz w modzie. W przedszkolu Feliksa ustanowiono ostatnio Dzień Gnidy, żeby „zdjąć z gnid odium!”.

Jak było z tym Abelhammerem w Nowym Jorku?

W naszej sytuacji dobre jest przynajmniej to, że jesteśmy Zbyt Zaganiane, żeby mieć czas na Skoki w Bok.

Lunch w czwartek aktualny, mam nadzieję?

Deb xxxx

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

Dobrze wiedzieć, że gnidy z pasożytów, które trzeba wyczesywać co wieczór z włosów postępujących dzieci, awansowały do roli prześladowanej mniejszości. (Próbowałam potraktować je olejkiem z krzewu herbacianego — nie działa. Teraz robię doświadczenia z jakimś chemicznym zajzajerem uwarzonym chyba przez samego Saddama Husajna. Zachodzi jednak obawa, że to świństwo prędzej zabije dzieci niż gnidy).

Przykro mi, ale z lunchu nici: zapomniałam, że to już ferie.

Wyobraź sobie, że ten Abelhammer przysłał mi piękny bukiet walentynkowy.

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Złe wieści, stara. Kiedy cię nie było, dzwonił twój Ślamazarny Richard i ta durna sekretarka powiedziała mu: „Och, pańskie kwiatki są o wiele ładniejsze od tych tulipanów, które od kogoś dostała”.

Szykuj sobie jakąś wymówkę.

PS: Dzięki za te zwariowane pantofle w zebnę. Sama je ustrzelilaś?

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Kate, jesteśmy zbyt zmęczone na skoki w bok, prawda? xxxxx

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Nie rób niczego brzydkiego ani niemoralnego. Bez opowiedzenia mi WSZYŚCIUTKIEGO. D xxxxx

Godz. 13.27

Pół godziny na błyskawiczny rajd kosztem lunchu po lśniącym elektronicznym imperium w okolicach Liverpool Street. W sklepie panuje deliryczna, mała-ryczna atmosfera. Wszyscy tu obecni mają za dużo pieniędzy i za mało czasu na ich wydawanie. Spostrzegam gościa z naszego działu technicznego, który z nabożną czcią, niczym relikwią, obraca w dłoniach cyfrowy aparat fotograficzny.

Po chwili znajdują to, po co tu przyszedłam. Najnowszy, najbardziej odjazdowy organizator osobisty. Rzecz doprawdy wspaniała — leciutki jak piórko, ale powalający profesjonalnym wyglądem, i jaki zmyślny. Ta Kieszonkowa Pamięć sprzedawana jest z imponującym pakietem obietnic:

Uprości ci życie!

Odgoni stres!

Ureguluje twoje rachunki!

Przypomni o urodzinach znajomych!

Pójdzie do łóżka z twoim mężem, a ty będziesz miała wreszcie czas na dokończenie tej wspaniałej powieści Carol Shields, którą zaczęłaś czytać kilka tygodni po zajściu w pierwszą ciążę!

Mówię, że go biorę. Nie pytam nawet, ile kosztuje. Było nic było, zarobiłam na niego.

Godz. 14.08

Rod Task dopada do mojego biurka, niczym żołnierz piechoty morskiej szturmujący plażę.

— Katie, w tobie jedyna nadzieja! — wrzeszczy mi nad uchem. Potem podwija złowieszczo górną wargę i szczyrzy zęby w wilczym uśmiechu. (Rod robi się naprawdę straszny tylko wtedy, kiedy próbuje być przymilny).

Od niechcenia poszturchując palcem żonkila w wazonie stojącym na moim biurku, mówi, że mam się zająć finalizowaniem pozyskania pewnego wartego 300 milionów dolarów etycznego funduszu emerytalnego. Finał pozyskiwania to coś w rodzaju konkursu piękności, w którym każdy z rywalizujących ze sobą menedżerów inwestycyjnych stara się przekonać potencjalnego klienta, że to właśnie on jest tym najwytrawniejszym graczem w mieście. Aha, Rod już jakiś czas temu słyszał, że ten fundusz emerytalny jest do wzięcia, ale jakoś wyleciało mu to z głowy i dopiero teraz sobie przypomniał, mam więc tylko dwanaście dni na przygotowanie się do rozmów, lecz teraz to moja broszka, bo gdyby było inaczej, cała wina spadłaby na Roda. A to przecież nie do pomyślenia, bo Rod jest mężczyzną.

Wszystko się we mnie burzy, chcę protestować, ale Rod nie daje mi dojść do głosu.

— Kazali mi skompletować zespół operacyjny, który byłby naocznym dowodem, że my tu w EMF stosujemy w praktyce zasadę dywersyfikacji zatrudnienia — mówi. — I od razu pomyślałem sobie, że w skład takiego zespołu mogłabyś wejść ty i ta Chinezka z działu analiz.

—Słucham?

—No, ta Moma czy jak jej tam.

—Momo nie jest Chinką. Jest Lankijką.

—Jeden pies — wzrusza ramionami Rod. — Grunt, że wygląda mi cholernie dywersyfikacyjnie.

—Rod, nie mogę się na to zgodzić. Momo nie ma żadnego doświadczenia. Nie, nie mogę...

Mój szef ściska teraz łodyżkę żonkila i duszony kwiat płacze żółtym pyłkiem na szary dywan.

— Hej, u nas nie ma „nie mogę”, żabko. Od kiedy to zaczęliśmy nie móc? Nie mogę jest dla niedopieszczonych cipek.

*

Czy byłam obruszona sposobem w jaki rozmawiał ze mną Rod? Pewnie was to obruszy, ale nie byłam. Na co dzień nurzam się w oparach szowinizmu, zalatujących dobrą wodą po goleniu zmieszaną z odorem potu wyniesionym z siłowni. Wystarczy znaleźć się w City, a zapach ten, podobnie jak aromat wydzielany przez odświeżacz powietrza, który Wmston zawiesza w swojej taksówce, otępia — odkłada się na przegrodzie nosowej, a stamtąd przesącza powoli do mózgu. Szybko staje się jedynym zapachem na świecie. Inne zapachy — mleka, jabłka, mydła — wydają się przy nim jakies mdłe i ulotne. Poczulałam ten charakterystyczny zapach, wkraczając po raz pierwszy do City, i natychmiast skojarzyłam go sobie z władzą.

Nic będę ukrywała, że jest mi to obojętne: niech tam sobie komentują moje nogi, skoro te nogi pozwalają mi utrzymać na przyzwoitym poziomie siebie i dzieci. Kobiety nie są traktowane w Edwin Morgan Forster na równi z mężczyznami, ale poprawiają wizerunek firmy na zewnątrz i firma jest im za to wdzięczna. To najstarsza forma handlu wymiennego i ja nawet nieźle na niej wychodzę. Ale czasami próbuję się wczuć w sytuację innych kobiet. Tych starszych, jak Clare Mainwaring z działu operacyjnego, które z racji siwych włosów są już w odstawce, i tych młodych, jak Momo, którym się wydaje, że swoim dyplomem MBA zniechęcą mężczyzn do zagładania im pod spódnicę.

Kobiety z City dzielą się na trzy gatunki. Wyjaśnił mi to kiedyś przy drinku w Corney and Barrow Chris Bunce. Było to w czasach, kiedy miałam jeszcze nadzieję, że coś w swoim zawodzie osiągnę: „Jesteś albo laseczką, albo mamuszką, albo babcią”. Wówczas zaliczałam się do laseczek.

A obowiązująca zasada równych szans? Nic a nic nie poprawia sytuacji; spycha tylko mizoginię do podziemia, do wilgotnych lochów Internetu. Bez przerwy żartujemy sobie w sieci z mężczyzn — to wymuszone żarty podszyte bezsilnością, wściekłością — ale kompletne nic w porównaniu z treściami, które zamieszczają tam niektórzy faceci: ginekolog by się zgorszył. I nie zmienia tego żadne prawne uregulowania. Czyż odgórnym zarządzeniem można odwieść koguta od piania?

Moim zdaniem, kobiety z City są jak pierwsze pokolenie imigrantów. Schodzisz ze statku na ląd, spuszczasz wzrok, harujesz ponad siły i starasz się nie przejmować przytykami od tubylców, którzy nienawidzą cię za to, że inaczej wyglądasz, inaczej pachniesz, a na dodatek pewnego dnia możesz odebrać im pracę. No i żyjesz nadzieją. Wiesz, że sobie życia raczej nic polepszysz, ale podnosi na duchu sam fakt, że tu jesteś, że musieli wstawić do toalety dozownik tamtaxów; to wszystko sprawi, że kobietom, które przyjdą po tobie, będzie już łatwiej. Przed laty, jeszcze w szkole, czytałam powieść Williama Goldinga o katedrze. Do wzniesienia średniowiecznej katedry trzeba było kilku pokoleń, i ludzie kreślący jej plany wiedzieli, że ani ich synowie, ani wnukowie, ani nawet prawnukowie nie doczekają końca budowy. Tak samo jest chyba z kobietami z City: jesteśmy kamieniami węgielnymi i wiemy, że kobiety, które przyjdą po nas, nawet o nas nie wspomną, ale stapać będą po naszych ścieżkach.

W ubiegłym roku, kiedy robiono zdjęcia do broszury reklamowej EMF, trzeba było „pożyczyć” pracowników z barn przekąskowego funkcjonującego w podziemiach i wypełnić nimi miejsca, w których powinny się znajdować kobiety oraz reprezentanci mniejszości etnicznych. Siedziałam na zainscenizowanej naradzie naprzeciwko kelnerki Kolumbijki, którą wbito w elegancki czerwony żakiet i kazano studiować jakiś raport.

Zszedłszy później na dół po kanapkę, próbowałam ściągnąć na siebie wzrok stojącej za ladą kelnerki, żeby wymienić z nią porozumiewawcze spojrzenia: Ci

mężczyźni! Co na to poradzić? Ale zajęta wyciskaniem topionego sera z tubki, nawet nie podniosła na mnie oczu.

*

Godz. 16.53

Muszę się zabrać do wypracowywania strategii negocjacji z tym etycznym funduszem, ale nie mogę się skupić; myślę wciąż o walentynkowym bukietcie od Jacka, no i jeszcze te urodziny Emily. Wypadają za trzy i pół miesiąca, ale moja córka już odlicza sekundy. (Dla dziewczynki kończącej piąty rok życia urodziny są wydarzeniem równie doniosłym, co dla kobiety trzydziestopięcioletniej przynębiającym). Czując się wreszcie jak dobrze zorganizowana matka, dzwonię do Rogera Rainbowa, kłowna cieszącego się doskonałą opinią wśród Mamafii. Automatyczna sekretarka Rogera informuje mnie, że jej właściciel jest w każdy weekend absolutnie zakorkowany, ale zostały mu jeszcze wolne terminy w Halloween. Cholerny świat, prościej byłoby zakontraktować Trzech Tenorów. Że też musiałam zostać matką w czasach, kiedy urodziny stały się konkurencją sportową.

— Przepraszam. Czy można? Kate Reddy?

— Tak. — Podnoszę wzrok. Przed moim biurkiem stoi ta sama piękna młoda kobieta, która tak mi wierciła dziurę w brzuchu podczas rozmowy wstępnej ze stażystami w okolicach święt Bożego Narodzenia. Teraz, tak samo jak wtedy, rumieni się, ale nie jest to bynajmniej przejaw wstydlivosti ani zahukania: jej skromność jest jakby odlana ze szlachetnego, a przy tym twardego kruszcu.

— Przepraszam — powtarza — ale podobno mamy współpracować przy, hmm, finalizowaniu pozyskiwania klienta. Pan Task powiedział, że jego zdaniem mogę odegrać ważną rolę w negocjacjach.

O, nic wątpię, że tak powiedział.

— Ach, tak, Momo. Momo, prawda? No cóż, nie przypuszczałam, że tak wcześnie przyjdzie nam współpracować, i to od razu przy tak trudnym wyzwaniu.

Daj spokój Kate, odpuść tej dziewczynie. To nie jej wina, że ci ją podrzuciono.

— Dużo dobrego o tobie słyszałam, Momo.

— I vice versa — odpowiada z wdzięcznością i siada. — My tu wszyscy, to znaczy, wszystkie kobiety — zatacza ręką szeroki łuk — zastanawiamy się, jak pani to robi. Och, to pani?

Nurkuje pod moim biurkiem i wynurza się po chwili z żonkilem w ręku.

— Ojej, jaka szkoda, złamany.

Do zapamiętania

Listy z podziękowaniami, zadzwonić do mamy, zadzwonić do siostry. Wypełnić formularze zeznań podatkowych. Lista zadań do wykonania dla Momo. Zaliczyć ten wspaniały nowy film — Siedzący Tygrys? Śpiący Smok? Obciąć Benowi paznokcie. Zadzwonić do Akademii Smukłej Sylwetki Juno i poprosić o inną osobistą trenerkę, Bóle w dole brzucha. Zapisać Emily do szkoły. 65. urodziny teścia — bilety na Ayckbourn? Zadzwonić do Jill Cooper-Clark. Życie towarzyskie: zaprosić kogoś na niedzielny lunch — Simona i Kirsty? ZAMÓWIĆ CHODNIK NA SCHODY! Liścik do Juanity. Spakować się na ferie: Ur!!, dodatkowe ręczniki, pieluchy, butelki, calpol, przenośne łóżeczko, chusteczki do nosa, kalosze.

Ferie

— Kate, ja nie mam do ciebie pretensji o te kalosze.

— Ale ja mam o nie pretensję do ciebie. Emily jest cała przemoczona. Spójrz tylko na jej spodenki. O wszystkim muszę pamiętać. O wszyściutkim. A nie mam w głowie komputera. Przecież prosiłam, żebyś sprawdził, czy kalosze są w samochodzie.

— Przepraszam, zapomniałem. Wielkie mi rzeczy.

— Owszem, wielkie. Na tobie już w niczym nie można polegać.

Ile, waszym zdaniem, może spamiętać ludzki mózg? Czytałam gdzieś, że nasza długoterminowa pamięć to w zasadzie gigantyczny magazyn, gdzie, niczym butelki dojrzewającego wina, leżakują wszystkie wspomnienia o osobach, miejscach, żartach i piosenkach, jakie kiedykolwiek poznaliśmy, jeśli jednak nie za często odwiedzamy ten magazyn, droga do niego zaciera się, zarasta. Jak ścieżka prowadząca do zamku Śpiącej Królowej. Może dlatego we wszystkich bajkach pojawia się motyw szukania drogi powrotnej?

Tak czy owak, od kiedy mam dzieci, moja pamięć nie jest już taka jak dawniej, ale staram się ją ćwiczyć. Muszę. Ktoś musi. Jak brzmi to okropne słowo? Wielozadaniowość. Kobiety są w niej podobno niezrównane. Za to Rich... gdybyście mu kazali myśleć o więcej niż trzech rzeczach naraz, chyba dym by mu poszedł uszami: przepaliłyby mu się obwody. Słyszałam w radiu, jak kilka kobiet spierało się o to, czy aby mężowie nie udają takich ofiar losu, żeby żony niczego od nich nie wymagały. Niestety, szeroko zakrojone badania naukowe prowadzone w domu Shattocków wykazały, że niezdolność do zapamiętania, iż trzeba odebrać pranie z pralni, kupić tabletki do zmywarki do naczyń i film do aparatu, jest w istocie wadą wrodzoną, podobnie jak daltonizm czy słabe serce. To nie lenistwo, to biologia.

W niedzielę, podczas niekończącej się podróży do Walii, obserwowałam ukradkowo Richarda i zauważyłam, że kiedy musi, kiedy ma w tym swój cel, potrafi postępować z dziećmi. Życie jest dla mężczyzny drogą, dla kobiet mapą — myślimy zawsze kategoriami bocznych dróg, ścieżek i objazdów, oni gnają przed siebie pasem szybkiego ruchu. Czasami tylko wpadną na genialny pomysł skorzystania ze skrótu i w większości przypadków okazuje się, że to trasa dłuższa i bardziej zdradliwa od tej szybkiej.

Może dlatego mężczyźni potrafią się cieszyć chwilą, podczas gdy my myślimy już, co będzie za dwa tygodnie we wtorek?

Ileż to kłótni, które wybuchają ostatnio między mną i Richem, dotyczy zapamiętywania czy raczej zapominania. Na przykład ta na plaży w Pembrokeshire, pierwszego popołudnia urlopu, kiedy wyszło na jaw, że Rich nie spakował kaloszy dzieci. Sama nie wiem, co mnie tak rozjuszyło. Owszem, dzieci miały prze-moczone nogi, ale przecież tak dobrze się bawiły.

*

Ben i Emily, okutani w trzy warstwy odzieży, bawią się w najlepsze nad brzegiem strumienia koloru mlecznej czekolady, który spływa ze zbocza w głębi zatoki Whitesands i pieniać się na kamieniach, wpada do morza. Ona zbudowała zamek z piasku z wodnymi ogrodami i fontanną z muszelki, on podnosi kamyk, idzie z nim nad brzeg, wrzuca do wody i wraca ponastępny. Takich szczęśliwych i zaaferowanych jeszcze ich nie widziałam. Ale psuje się pogoda. A jakże, pogoda musi się popsuć. Przecież jesteśmy na urlopie w Walii. Wilgotnej Walii. Wcześniej świeciło słońce, świeciło na tyle długo, iż na buzi Emily zaczęły występować piegi, ale teraz niebo zasnute jest deszczowymi chmurami. Postanawiamy dmuchać na zimne i zanim lunie, wracać z dziećmi do oddalonej kilka kilometrów od wybrzeża chaty, którą wynajęłam. Odciągnięcie ich od wody i wsadzenie do samochodu zajmuje mniej więcej pięćdziesiąt minut: najpierw prosimy, potem grozimy, a kiedy nie przynosi to rezultatu, uciekamy się do przekupstwa.

Obiecuję Emily, że mamusia w końcu się przełamie i poczyta jej *Panienkę Pracusiównę*. I tak, po ściągnięciu z dzieci przemoczonych ubranek, napojeniu obojga gorącą herbatą, wykapaniu w maleńkiej, zimnej łazience, gdzie naścienny grzejnik wydziela odór spalenizny, i położeniu Bena do przenośnego łóżeczka, rozsiadamy się z córeczką przed kominkiem, na którym zawzięcie dymią dwa polana.

— „Panienka Pracusiówna nade wszystko lubiła ciężko pracować, robota wprost paliła jej się w rękach. Wstawała codziennie o trzeciej nad ranem. Potem czytała jeden rozdział ze swojej ulubionej książeczki. Książeczka ta nosiła tytuł *Bez pracy nie ma kołaczy*”... Nie mogłybyśmy poczytać czegoś weselszego, Em?

— Nie. Chcę to.

— No dobrze. Gdzie to przerwałyśmy? Już mam. „Panienka Pracusiówna była bardzo nieszczęśliwa, kiedy nic miała nic do zrobienia”.

— Mamusiu, ty byłaś na urodzinowym przyjęciu Bena.

— Tak, byłam. — Widzę, że Emily myśli intensywnie. U pięcioletnich dzieci proces myślenia jest widoczny jak na dłoni, nie nauczyły się go jeszcze maskować. Ten objawia się teraz drobną zmarszczką na jej gładkim czółku.

— Poprosiłaś nauczyciela, żeby cię puścił wcześniej do domu? — pyta w końcu.

— Nie, skarbie, mamusia nie ma nauczyciela. Ma... eee... ma szefa, takiego pana, który wszystkim kieruje. I jego musi prosić o pozwolenie, jeśli chce wcześniej wyjść z pracy.

— A mogłabyś poprosić tego pana, żeby w inne dni też cię wcześniej wypuszczał?

— Nie. To znaczy, mogę, ale nie za często.

— Dlaczego?

— Widzisz, mamusia musi być w biurze, bo inaczej... rozmaici ludzie mogliby się na nią pogniewać. Dokończmy tę historyjkę, Em. „Panienka Pracusiówna...”.

—A mogłabyś wrócić wcześniej do domu w czwartek i zawieźć mnie na balet? Mogłabyś, mamusiu?

—Na balet wozi cię Paula, kochanie, i mówi, że bardzo dobrze ci idzie. A mamusia obiecuje, że tym razem postara się przyjść na twój występ na koniec semestru.

— Ale ja tak nie chcę. Ellę przywozi na balet mamusia.

— Emily, ja naprawdę nie mam czasu ani nerwów, żeby się z tobą chandryczyć. Kończmy to opowiadanko, dobrze? „I Panienska Pracusiówna przez calutki dzień nie przysiadła nawet na minutkę, nawet na sekundkę”.

Kiedy późnym wieczorem leżeliśmy już na górze w łóżku, Rich zarzucił mi, że nie potrafię się wyluzować i strasznie mnie tym wkurzył. Kiedy tu jechaliśmy, przez bite trzy godziny bez słowa skargi słuchałam w samochodzie ścieżki dźwiękowej z musicalu *Oliver!* Lionela Barta, zgadza się?

„Wh-e-e-e-e-ere is love? Does it fall from skies above?”.

Szlag by to trafił. A kiedy skończył się *Oliver!*, odśpiewaliśmy chórem dwadzieścia zwrotek „Kółek autobusu”, i nie dałam nic po sobie poznać, chociaż ta idiotyczna piosenka doprowadza mnie do szału. A kiedy pod Swansea Ben zymiotował na siedzenie, bez mrugnięcia okiem zabrałam go do łazienki na stacji benzynowej, obmyłam w miednicy, wytarłam jakoś jedynym papierowym ręcznikiem i przebrałam, a potem kupiłam jeszcze wszystkie podstawowe rzeczy, których potrzebowaliśmy w naszej chacie — herbatą w saszetkach, mleko, pokrojony chleb na tosty. Uosobienie mamusi na urlopie, nieprawdaż?

Ale Rich miał rację. Nocami sen z powiek spędzała mi świadomość zbliżającego się finału pozyskiwania kolejnego funduszu emerytalnego, w który wrobił mnie Rod. Wyjechałam sobie na urlop, obarczając zadaniem zbadania etycznego sektora farmaceutycznego Momo, która nie miała w tym przecież żadnego doświadczenia i na pewno nie zdąży się przekopać na czas przez cały materiał. Dzwoniłam do niej dwa razy dziennie, a to z budki telefonicznej, którą wytropi-

łam w uliczce biegnącej wzdłuż szpaleru wysokich żywopłotów, a to z jakiejś kamienistej plaży, gdzie sygnał mojej komórki na przemian zanikał i wracał niczym fala pływowa. Podpowiadałam Momo, na co ma zwracać szczególną uwagę, jak porównywać kryteria oceny, i udzielałam jej mnóstwa innych praktycznych rad, ale Momo nadal znajdowała się w sytuacji deskorolkowca, któremu kazano przycumować do stacji kosmicznej. Przed wyjazdem poinstruowałam specjalnie Guya, żeby też jej pomagał, ale on był teraz pewnie zajęty czymś zupełnie innym, a mianowicie przymierzaniem swojego chudego, machiawelicznego tyłka do mojego fotela. Nie, Guy nie kiwnie palcem, żeby uchronić mnie przed daniem plamy.

Na dokładkę miejscowa centrala telefoniczna była chyba zabytkiem z wieku pary i nie mogłam odbierać e-maili. Czterodniowy brak kontaktu z Abelhammerem uświadomił mi, jak ważną rolę zaworu bezpieczeństwa zaczął spełniać w moim życiu ten mężczyzna; bez jego uspokajających zalotów byłam bliska wybuchu.

Czwartek, Parking przed katedrą św. Dawida, godz. 15.47 Wyciągam właśnie wózek Bena z bagażnika samochodu, a tu jak nie lunie — istne oberwanie chmury. Usiłuję zaprząć synka w szelki wózka — on się pręży i opiera, mnie kończy się cierpliwość. Czuję się jak sanitariuszka z domu wariatów ubierająca czubka w kaftan bezpieczeństwa. Richard podaje mi osłonę przeciwdeszczową; to diabelska kombinacja samo przylegającej folii z uprzężą alpinisty.

Zdecydowanym ruchem przekładam wielki kabłąk nad głowę Bena i usiłuję zapiąć zatrzaski folii, ale te nie dają się wcisnąć na pręty ramy wózka, przyszczypuję je więc bezpośrednio do materiału. Wszystko pięknie ładnie, ale w ręku zostały mi jeszcze dwa elastyczne kabłąki. Do czego, u diabła, służą? Drapuję nad nóżkami synka nadmiar plastikowej płachty, ale ta poderwana podmuchem wiatru chlasta mnie w twarz. Cholera. Zaczynam od początku.

— Szybciej, Kate — ponagla Richard — przemokniemy tu do nitki. Przecież chyba umiesz zakładać tę osłonę.

Akurat, umiem. Skąd mam umieć? Miałam z tym przeklętym ustrojstwem tylko jeden fizyczny kontakt. Było to przed trzynastoma miesiącami w sklepie

Johna Lewisa. Ze słowami „Dziękuję, biorę” wyrwałam wtedy osłonę przeciwdeszczową sprzedawczyni, która chciała mi zademonstrować, jak **sieją** rozpina nad wózkiem, i wcisnęłam jej w dłoń kartę Visa. (Przecież nie zadzwonię teraz do Pauli do Maroka, żeby mi powiedziała, jak się z tym obchodzić).

Ben drze się już wniebogłosey. Krople deszczu mieszają się z gilem, który ścieka mu po wargach, i tworzą wodospad nędzy i rozpaczy. Zwróciliście uwagę, że wszystkie dziecięce akcesoria opatrzone są zapewnieniem „łatwe w montażu”? Być może, z tym że producenci sprytnie nie dodają, iż „tylko dla osób ze specjalistycznym przygotowaniem technicznym”.

—Na miłość boską, Kate — syczy Richard, który zniesie wszystko, tylko nie robienie z siebie widowiska w miejscu publicznym.

—Przecież próbuję. *Próbuję*. Emily, nic podchodź do jezdni. EMILY, WRA-CAJ TU W TEJ CHWILI!

Z autokaru, który zatrzymał się obok nas, wysypuje się siedemdziesięciokilkuosobowa wycieczka emerytek z ondulacjami prosto od fryzjera, w krótkich wywatowanych kurteczkach, które nadają ich przysadzistym sylwetkom kształt kociołków w otulinie termoizolacyjnej. Jak na komendę sięgają do torebek i wyciągają plastikowe paczuszki, które po błyskawicznym rozwinięciu stają się przezroczystymi pelerynami. Otaczają mnie rozgęganym przyjaźnie kręgiem i kibicują moim wysiłkom.

— Ojoj, biedny dzidzius — szczebiocze jedna, pochylając się nad wyjąłym Benem. — Mokniemy, biedulku, taaak? Już, już. Mamusia zaraz cię uratuje.

Palce grabieją mi z zimna. Ledwie mogę utrzymać ten przeklęty zatrask, a co dopiero go rozewrzeć. Spod niesfornej plastikowej płachty przeziera purpurowa buzia wrzeszczącego Bena i całość przywodzi na myśl paczkę mrożonych bu-raczków ćwikłowych.

—Nowy nabytek — mówię głośno, zwracając się do pań z wycieczki. Wszystkie uśmiechają się współczująco i kiwają ze zrozumieniem głowami nad tym beznadziejnym męskim wynalazkiem.

— Takie sztywne teraz je robią, prawda? — Kobieta w spodniach w kratkę odbiera ode mnie osłonę przeciwdeszczową, rozpiną ją zgrabnie nad wózkiem i mociuje wprawnymi ruchami. — Moja córka ma taką samą — mówi, poklepując mnie po ramieniu. — Jest lekarką w Bridgend. Ma dwóch chłopaczków. Ale praca ciężka. Piątek i świętek od rana do wieczora.

Potrząsam głową i próbuję się uśmiechnąć, ale wargi mam zeszywniałe z zimna. Dłonie kobiety są czerwone i żylaste. To dłonie matki — matki, która pierze trzy razy dziennie w balii, obiera warzywa i miesza kijanką tetrowe pieluchy gotujące się w zarosłym kamieniem kotle. Takie dłonie w następnym pokoleniu odejdą już w zapomnienie wraz z wiązаныmi na biodrach fartuszkami i niedzielnym pieczeniem.

Richard zgięty przed deszczem we dwoje pcha wózek dróżką w kierunku katedry. Przemoczona Emily wygląda jak wyciągnięty z wody krasnoludek.

— Mamusiu?

— Tak, Emily?

— Dzieciątko Jezus ma dużo domów, prawda? Czy na ferie przyjeżdża do tego tutaj?

— Nie wiem, rybko. Spytaj tatusia.

*

Katedry budowane są po to, by wzbudzać zachwyt i bojaźń Bożą. Te święte fortece górują zawsze nad okolicą i patrząc na nie, odnosi się wrażenie, że zostały tam opuszczone wprost z niebios. Katedra św. Dawida jest inna. Przycupnęła sobie na skraju małego walijskiego miasteczka — miasteczko to za dużo powiedziane — i skrywa swoje wspaniałości w dolince, tak idealnie wtapiając się w krajobraz, że wygląda omal jak twór natury. Bydło pasie się pod samymi jej murami.

Uwielbiam to miejsce. Ten wiekowy chłód, który wypełnia płuca po pchnięciu drzwi, zawsze kojarzył mi się z uwięzionym we wnętrzu tchnieniem świętych. Miałam chyba siedem czy osiem lat, kiedy po raz pierwszy tu przyjechałam. Od tamtego czasu widziałam wiele okazalszych katedr: Notre Dame, katedra w Scvilli, katedra św. Pawła. Ale wielkość tej świątyni tkwi właśnie w jej skromnych rozmiarach: jest niewiele większa od typowej stodoły. Nikogo nie zdziwiłby widok wołu i osiołka przy chrzcielnicy.

Katedra św. Dawida to jedno z tych nielicznych miejsc, których atmosfera sprawia, że choć na chwilę muszę zastygnąć w bezruchu. Stojąc teraz w nawie, uświadamiam sobie, że bezruch jest dla współczesnego człowieka czymś nietypowym, nawet męczącym. Katedra jest odwieczna, a moje życie... moje życie to tylko upływający czas. Puch zabrał Emily i Bena do stoiska z pamiątkami. Zostałam sama i naraz moje usta zaczynają się bezgłośnie poruszać, formułują słowa, których nikt nie słyszy: „Pomóż mi”.

Zwracając się z tą prośbą do Boga nie mam wcale pewności, czy naprawdę wierzę, że potrafi mnie wyciągnąć z matni, w której coraz bardziej grzęznę. No pięknie, Kate, pięknie.

W przeciwległą ścianę wmurowano tablicę upamiętniającą miejscowego wielmożę. Thomasa Jakiegoś-tam i relict po nim, Anghardę. Relict? To to samo, co relikw? Będę musiała spytać Richa, on jest dobry w łacinie. Odebrał rzetelne wykształcenie, podczas gdy ja mam w głowie jeden wielki śmietnik wykutej wiedzy encyklopedycznej.

Strome, rozchwierutane schody na zewnątrz łączą katedrę z miasteczkiem na wzgórzu. Wciągam wózek po stopniach tyłem i każdy kolejny wstrząs odczuwam w dole brzucha. Rich niesie marudzącą Emily na barana. To jej i Bena pora na herbatę. Niedobra matka. Wciąż zapominam, że dzieci są jak samochody; bez regularnego zastrzyku paliwa buntują się i stają.

Idziemy ulicą pełną kafejek i zaglądamy przez okna do wnętrza, oceniając każdą pod kątem przyjazności dla dzieci. Czy jest miejsce na wózek? Czy siedzą tam ludzie starsi, którzy nie będą się raczej dzielić nadgryzionymi grzankami ze śliniącym się Benem?

Decydujemy się w końcu na przytulny lokalik wypełniony innymi feryjnymi rodzicami, tak samo nerwowymi i zmęczonymi jak my, i zajmujemy stolik w kącie. Nasze mokre płaszcze przewieszane przez oparcia krzeseł parują jak krowy. Odczytuję menu i Emily oznajmia głośno, że nie odpowiada jej nic z oferty. Ona chce makaron.

— Mamy mrożone kluseczki. Możemy ci je odgrzać, chcesz? — proponuje kelnerka.

— Nie chcę kluseczek — wyje Emily. — Chcę makaron. Miejskie dziecko. To moja wina, że od maleńkości wszystkim

ją karmiłam. Ja swój pierwszy makaron zjadłam w wieku dziewiętnastu lat. W Rzymie. Było to spaghetti alle vongole — nieapetyczna potrawa składająca się z rozgotowanych muszelek i uciekających z widelca nitek.

Czasami nachodzi mnie obawa, że z tego mojego tłuczenia się po świecie, z tych starań, żeby dojść do czegoś w życiu, wyniknie tylko tyle, iż moje dzieci wyrosną na równie zblazowane i zepsute co ludzie, wśród których obracałam się w college'u.

Rich kroi właśnie dzieciom walijskie grzanki z serem, kiedy z cichutkim świergotem budzi się moja komórka. To SMS od Guya.

W Turcji kryzys Rod & R C-C wyjechali. Dewaluacja? Tureckie akcje spadają. Co robić?

O cholera. Zrywam się z krzesła, szarżuję między posilającymi się rodzinami, następuję na ogon czyjemuś labradorowi, wypadam na ulicę. Próbuję się połączyć z komórki, ale słyszę tylko inny rodzaj pisku informujący mnie, że wyczerpały się baterie. Nie mogę złapać sygnału. Oczywiście, że nie mogę, jestem przecież w Walii. Wbiegam z powrotem do kafejki.

—Mogę skorzystać z telefonu?

—Słucham? — Kelnerka patrzy na mnie tępo.

—Macie tu automat telefoniczny?

—A tak, jest, ale zepsuty.

—A faks?

—Jaki faks?

—Telefaks. Muszę przesłać pilną wiadomość.

—Och. Mają chyba coś takiego w kiosku z prasą. Kioskarz nie ma faksu, ale wydaje mu się, że jest taki

w aptece. Aptekarz ma faks. W faksie skończył się papier. Wracam do kiosku. Już zamknięty. Walę pięścią w drzwi. Błagam. Muszę kupić całą ryżę, czyli 500 arkuszy, z których potrzebny mi jest dokładnie jeden. Z powrotem do apteki. Chwytam firmowy długopis przytwierdzony łańcuszkiem do lady i kreślę wiadomość do Guya.

Guy, musisz oszacować ryzyko załamania się tureckiej gospodarki i drastycznej zmiany stóp procentowych — mogłoby to nas kosztować kupę forsy — wobec możliwości spadku wartości akcji, jeśli dojdzie do dewaluacji pieniądza. 1/ Ile zainwestowaliśmy w Turcji?

2/ Jak reaguje rynek — efekt domina w innych regionach? Odpowiedź chcę mieć na biurku jutro o 8.30. Natychmiast wracam, Kate.

Godz. 21.50

Na autostradzie M4 w obu kierunkach potężne zatory. Reflektory tworzą pięciokilometrowy diamentowy naszyjnik. Siedzący za kierownicą Rich rzuca mi spod oka pytające spojrzenia. Jak to dobrze, że jest ciemno: mogę udawać, że nie widzę tych spojrzeń, przynajmniej do czasu, kiedy poczuję się gotowa.

—Nadal uważam, że to trochę dziwaczne, Kate — odzywa się w końcu Rich.
— Sama wysyłasz sobie kwiaty na walentynki. Co cię napadło?

—Chciałam podnieść sobie morale. Zdziwiło mnie, żeby ludzie z biura zobaczyli we mnie osobę, która dostaje na walentynki kwiaty. A bałam się, że ty zapomnisz. Żałosne, fakt.

Kłamać nie jest trudno. To łatwiejsze od przyznania, że kwiaty przysłał mi klient, z którym jadłam niedawno kolację, klient, który od tamtego czasu okupuje moje myśli na jawie, jak również włamuje się brutalnie do moich snów. Pora zmienić temat.

—Rich, co to jest relict? Widziałam to słowo dzisiaj w katedrze na płycie pamiątkowej. „I relict po nim, Angharda”.

—Relict to w języku prawniczym wdowa. A dosłownie, to, co pozostało.

— A więc żona jest czymś, co zostaje po mężu?

— Tak, Kate. — Rich się śmieje. — Naturalnie, w przypadku naszego małżeństwa to ja będę czymś, co zostanie po tobie.

Powiedział to z taką nonszalancją, że naprawdę zrobiło mi się przykro. Czy faktycznie tylko tyle dla niego znaczę? Tak mało. Przemierzamy kilometr za kilometrem, a ja obmyślam liczne plany, strategie naprawy tego, co się między nami popsulo. Doprowadzenia wszystkiego do ładu. Ale kiedy trzy godziny później przejeżdżamy przez Reading, zaczynam odczuwać grawitacyjne przyciąganie Londynu i nie jestem już taka pewna, czy chcę w swoim życiu cokolwiek zmieniać.

*Powody, dla których powinnam zrezygnować z pracy i przenieść się na wieś:
1/ Lepsza jakość życia.*

2/ Za psie pieniądze można kupić rezydencję z galerią dla minstreli.

3/ Mogłabym tam być prawdziwą matką, która ma czas kochać męża, poznawać sekrety dziecięcych serduszek i zgłębiać tajniki rozpinania nad wózkiem tych przeklętych osłon przeciwdeszczowych.

Powody, dla których nie powinnam zrezygnować z pracy i przenosić się na wieś: 1/ Zbikowałabym. 2/ Jak wyżej. 3/ Jak wyżej.

Część trzecia

15

Gołębie

Gdzie podziewają się ptaki drapieżne, kiedy ich potrzeba? Dzisiaj od samego rana na parapecie okna mojego biura siedzą dwa gołębie. To najwyraźniej ich pierwsza randka. Przez pierwszą godzinę samiec kłaniał się w pas samiczce, drepcząc przed nią jak kelner. Zakładam, że to samiec, bo drugi gołąb jest koloru pomyj i spuszcza nieśmiało łepki niczym księżna Di, a ten stroszy pióra na szyi we wspaniałą kryzę, mieniającą się szmaragdem i purpurą jak plama po rozlanej benzynie.

Dopóki samiec szeptał słodkie banały, nie było jeszcze tak źle, ale teraz stąpa dumnie z rozpostartym w wachlarz ogonem, sycząc i pogruchując przeciągle, by ściągnąć na siebie uwagę wybranki. Niemożliwie hałasuje. Pukam kilkakrotnie w okno, żeby przepłoszyć ptaszyska, ale flirtująca para świata poza sobą nie widzi.

Dzwonię do Guya, żeby zatelefonował zaraz do Zarządu Miasta i poprosił o zrobienie porządku z tymi gołębiami.

Po chwili Guy wsuwa do mojego pokoju swoją wredną gębę:

— Mam im powiedzieć, żeby je odstrzelili, Kate?

— Nie, Guy, do załatwiania takich spraw mają jastrzębia. Spytaj, kiedy złożą nam wizytę.

Mało kto wie, że londyńskie City zatrudnia sokolnika, który wraz ze swoim krogulcem z zapalem godnym lepszej sprawy kontroluje populację gołębi. Kiedy zawitał tu ostatnim razem, wychodziłyśmy właśnie z Candy na lunch i moją niewzruszoną skądinąd nowojorską przyjaciółkę zdumiał widok wielkiego chłopiska ze skórzaną rękawicą na jednej dłoni, wypuszczającego w powietrze pierzasty pocisk.

—Jeśli zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego trotuary w City są takie czyste w porównaniu z resztą Londynu, to masz tu też odpowiedź — powiedziałam.

—Ach, rozumiem — uśmiechnęła się Cindy. — W ten sposób całe gówno pozostaje w murach budynków.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Jak SAMOPOCZUCIE? Bo mnie te 3 dni ferii tak zdołowały, że chciałam wstąpić do klasztoru. Czy jest jakiś program odwykowy dla takich żalonych pracoholiczek jak my? Zatrzymaliśmy się w „przyjaznym dla dzieci” hoteliku w Somerset. Wykopali nas stamtąd jeszcze tego samego wieczoru, po tym jak Feliks zrobił spięcie w instalacji elektrycznej. Wetknął widelec do tosteru w jadalni i w całym hotelu zgasło światło. Ruby mówi, że mnie nienawidzi.

Jak myślisz, narażamy się swoim dzieciom tylko na krótko, czy czeka nas z czasem wielki proces? Lunch we środę, tak? Twoja D xxx

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Temat: Kryzys w japońskim sektorze bankowym Pani klient odnotowuje z rosnącym niepokojem przeciągające się zawirowania w sektorze dalekowschodnim. Słyszę, że zwinął się Origami Bank, Sumo Bank leży do góry brzuchem, a Banzai Bank planuje cięcia po kilku mniejszych oddziałach, co pani na to, proszę pani? xxxxx

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Temat: Kryzys w japońskim sektorze bankowym.

Nie ma pan już nic lepszego do roboty, sir? Żarty na temat plajt naszych przyjaciół z Orientu są w złym guście, chociaż mnie też obilo się o uszy, że akcje Kamikaze Bank zanurkowały na leb na szyję, a 500 osób z administracji Karate Bank uderzono po kieszeni.

Katharine xx

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Hej, brakowało mi ciebie. Przyzwyczailem się do twojego tempa. Jak udał się urlop? Mam nadzieję, że był gorący i odprężający.

Widziałem wczoraj ten wspaniały film o facecie, który stracił pamięć i wszystko, o czym chce pamiętać, musi zapisywać na własnym ciele. Pomyślałem o tobie — powiedziałaś mi, że masz zawsze tyle do spamiętania, prawda?

Jack xx

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Ani gorący, ani relaksujący. U nas wciąż zimno — dziś rano, na ślizgawce niedaleko biura, widziałam faceta: robił kółka i zawijasy, tak jakby pisał na lodzie swoje imię. Albo czyjeś — romantyczne, prawda?

Co do tego filmu, to ciało mam już w większości pokryte szczegółowymi notatkami, ale pod lewym kolanem zostawiłam miejsce dla ciebie.

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Jeżdżę trochę na łyżwach — a ty? Moglibyśmy któregoś dnia poćwiczyć parę figur na cienkim lodzie.

Co do tego miejsca pod kolanem, to niech na mnie czeka. Ostrzę już swoje gęsie pióro.

Godz. 10.23

Ten cholerny gołąb zaczął teraz kłapać skrzydłami. Zupełnie jakby bił sobie brawo zadowolony, że taki z niego wspaniały zalotnik. Tymczasem samiczka też

odprawia jakiś rytuał, który jest chyba ptasim odpowiednikiem kładzenia się na plecach i przebierania nogami w powietrzu. Nie wytrzymam. Udaje mi się otworzyć okno i próbuję je przegonić. Okazuje się jednak, że miłość jest w równym stopniu ślepa, co głucha.

Zaloty na parapecie trwają w najlepsze, a ja za dwa dni mam finał pozyskania etycznego funduszu emerytalnego wartego trzysta milionów dolarów. Będę go prowadziła w asyście dwudziestoparoletniej stażystki po studiach, która ma wszelkie kwalifikacje do tej pracy — nie jest biała, nie jest mężczyzną — tylko że nie została do niej stworzona. Mówiąc między nami, Momo Gumeratne i ja mamy być naocznym dowodem, że EMF hołduje zasadzie dywersyfikacji zatrudnienia, chociaż do tej pory jedynym wyraźniejszym tego przejawem było wprowadzenie tacos do menu w stołówce. Do tego nie załatwiłam jeszcze kłowna na przyjęcie urodzinowe Emily. Do tego muszę jeszcze odebrać z pralni chemicznej rzeczy na ostateczną rozgrywkę. Do tego z pewnością jest jeszcze mnóstwo innych „do tego”.

Cholera. Tego mi tylko brakowało. Na moim biurku leży memo od Robina Cooper-Clarka. Z treści dowiaduję się, że trwa międzynarodowe śledztwo w sprawie sprzedaży przez EMF jakiegoś pakietu akcji, który do nas nie należał. Podsuwam karteczkę Momo i mówię, żeby ją położyła na biurku Chrisa Buncc'a.

— Tylko zrób to tak, żeby cię nie zobaczył, dobrze? Momo, mrużąc oczy w kształcie liści, przebiega wzrokiem tekst.

— Sprzedaliśmy akcje, które do nas nie należały, i teraz jest pozew przeciwko nam i Robin chce wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny?

—Zgadza się.

—Czyli mamy ustalić, czyja to wina?

— Nie, Momo. To taka gra, zwana psychologią. Naszym zadaniem jest puszczenie tego gorącego kartofla w obieg. Ostatnia osoba, do której trafi, znajdzie się po uszy w gównie. Nieś więc ten świstek na biurko Bunce'a. Migiem.

Niezdecydowana mina mojej asystentki mówi sama za siebie: Momo ma skrupuły, a jednocześnie bardzo chce mi się przypodobać.

— Przepraszam, Kate, ale skąd wiadomo, że to Chris Bunce zawinił?

Odwracam się na obrotowym fotelu plecami do niej, bo czuję, że zaczynam tracić cierpliwość. Za oknem trwają gołębie umizgi. Jak tu wybielać Chrisa Bunce'a, mężczyznę, który w trakcie rozmowy co chwila chwyta się nieświadomie za krocze, jakby sprawdzał, czy ma tam jeszcze swoją męskość, albo pociera je z podniecenia, kiedy wydaje mu się, że bierze nad kimś górę. Zwłaszcza jeśli tym kimś jestem ja.

— Posłuchaj, Bunce to obibok-artysta. Nie lubi się przemęczać i wszelką nudną papierkową robotę, której wymaga od nas zwierzchność, zwała na sumienne dziewczynki, takie jak ty i ja. Uchodzi mu to na sucho, bo jest mistrzem psychologii. Czy jasno się wyrażam?

— Przepraszam — wymrukuje ni w pięć, ni w dziewięć Momo (każdy inny na jej miejscu powiedziałby „W porządku”) i rusza przez biuro, trzymając karteczkę z mcmo daleko przed sobą, niczym saper niczobrojoną minę.

— Będą z niej ludzie?

Przy moim biurku stoi Candy w spódniczce króciutkiej jak SMS. Nie słyszałam, kiedy podeszła.

— Nie wiem. Na razie staram się oswoić ją z myślą, że nie każdy jest idealnym.

— Boże. Aż tak z nią źle?

— Obawiam się, że tak.

Candy kręci głową z niedowierzaniem i współczuciem.

— Biedactwo. Ona nigdy do niczego nie dojdzie.

Godz. 11.25

Zapałam się, że nie spocznę, dopóki nie uruchomię swojego osobistego organizera. Kieszonkowa Pamięć zrewolucjonizuje moje życie! Kieszonkowa Pamięć odegna stres! Kieszonkowa Pamięć oszczędzi mi czas!

Po dziesięciu minutach studiowania skróconej instrukcji obsługi dowiaduję się, że Kieszonkowa Pamięć nie jest kompatybilna z moim komputerem. Dzwonię do serwisu technicznego producenta. Jakiś wagarowicz po tamtej stronie recytuje mi wykuty na blachę tekst. Nic z tego nie rozumiem.

—Ma pani duży port szeregowy z tyłu?

—Swojego czy komputera? Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

—Musi pani mieć przejściówkę.

—Nie, ja muszę zaprząć swój osobisty organizator do organizowania.

—Może pani od razu zamówić przejściówkę. Proszę mi podać swoje...

—Przepraszam, czy to jeszcze jeden punkt waszego programu ułatwiania mi życia? Nie mogę zwyczajnie pójść do sklepu i kupić tej przejściówki?

—Nie znajdzie jej tam pani. Są tylko na specjalne zamówienie. Dostanie ją pani pocztą za pięć, góra dziesięć dni.

—Nie mogę czekać dziesięciu dni. Za dwadzieścia cztery godziny wylatuję do Stanów.

—Przykro mi, ale nie możemy...

—Nie możemy jest dla niedopieczonych cipek.

—Słucham?

— To takie stare australijskie powiedzonko. Przekaż swojemu szefowi, że mam kilka milionów akcji jego firmy, a z ostatnich badań rynku wynika, że nie stoją najlepiej. Czy jasno się wyrażam?

Słyszę głośnie przelknięcie.

— Muszę zamienić słowo z kierownikiem.

Wtorek, godz. 8.11

A więc stało się. Wieczorem dyskutowaliśmy z Richardem w łóżku, czy seks nas jeszcze bawi. Nie bardzo pamiętam, do jakiego doszliśmy wniosku, ale wstając rano, zauważyłam, że charakterystyczna lukrowata warstewka skleja mi lekko uda.

Nie było to najmądrzejsze w obliczu czekającej mnie ważnej prezentacji. Tacy, dajmy na to, sportowcy powtarzają do znudzenia, że na czas przygotowań do ważnego wyścigu albo meczu rezygnują całkowicie z seksu, prawda? Nie słyszy się jakoś, żeby na ten temat wypowiadały się uprawiające sport kobiety, a przecież dotyczy to je chyba w równym, o ile nie większym stopniu. Niewiele rzeczy potrafi tak zbić człowieka z nóg, jak kobiecy orgazm. Kilka godzin po tym trzęsieniu ziemi macki głębokiego wyczerpania wciąż ciągną cię do ziemi: po szczytowaniu, mam tu na myśli rzeczywiste szczytowanie, jedyne czego pragniesz, to paść plackiem i leżeć tak do Bożego Narodzenia. Podejrzewam, że w ten sposób Natura wystawia spermie jajeczka na możliwie najłatwiejszy odstrzał. (Jeśli się dobrze zastanowić, niemal wszystko w kobiecej biologii jest przez Naturę tak urządzone, że chcemy zajść w ciążę albo, jeśli już zaszliśmy, pragniemy ją chronić). Do zeszłego roku miesiączki przebiegały u mnie łagodnie; owszem, nie czułam się najlepiej, ale nic dało się tego porównać z piekłem, przez które przechodzą niektóre kobiety. Ledwie jednak skończyłam trzydziesty piąty rok życia, rozpoczęła się wojna. Teraz co miesiąc hormony wylegają hurmem na ulice, wymachują transparentami i wrzeszczą: „Chroń nasze jajeczka!”. Moje ciało jakby wiedziało, że czasu zostało niewiele i bezproduktywne wydalenie każdego jajeczka jest opłakiwane jak strata drogiego kamienia.

Ale po co mam rodzić jeszcze jedno dziecko, skoro prawie nie widuję tych, które już mam? Od kilku dni prawie nie bywam w domu. Kiedy spoglądam na biurowy zegar i widzę, że jest po ósmej, wiem, że dzieci poszły już spać i równie dobrze mogą zostać w pracy na noc. Momo zamawia pizzę albo przynosimy sobie ze stołówki coś zdrowego w styropianowym pojemniku. Przeważnie jest to coś niejadalnego i zmuszone jesteśmy poprzestać na płatkach kukurydzianych i czipsach z automatu popijanych dietetyczną colą.

Wczoraj udało mi się wreszcie wyrwać do domu. O 23.55 zadzwonił telefon. Odebrałam, myśląc że to Momo z jakimś pytaniem. I kogo usłyszałam? Barbarę, swoją teściową. Nie do wiary, że zadzwoniła o tak późnej porze.

— Pomyślisz pewnie, że wtykam nos w nie swoje sprawy, Katharine, ale rozmawiałam wcześniej z Richardem i odniosłam wrażenie, że jest bardzo zmęczony. Mam nadzieję, że wszystko u was w porządku.

Według niej to *on* jest zmęczony?

Godz. 10.07

Spotkanie z Rodem, Momo i Guyem. Po raz trzeci przeprowadzamy próbę finału. Rod i Guy wcielają się w role klientów. Wtem do pokoju zagląda Lorraine, sekretarka Roda.

— Przepraszam, że przeszkadzam, Kate, ale telefon do ciebie na trzeciej linii. On mówi, że to bardzo pilne.

— Jaki on?

Lorraine jest wyraźnie stropiona. Przez chwilę przestępuje w progu z nogi na nogę, w końcu scenicznym szeptem wydusza z siebie:

— Percy Pincapple.

Guy przewraca oczami tak widowiskowo, że praktycznie zagląda sobie do środka głowy. Momo spuszcza wzrok.

— Co to, kurde, za jeden, ten Percy Pineapple? — pyta uprzejmie Rod.

Postanawiam nadrabiać bezczelnością.

— Ach, tak, Percy Pineapple, sektor rozrywkowy, z Fruits-cape.com. Wchodzą właśnie na rynek i chce się mnie poradzić.

Dobry Boże, nie załatwiłam jeszcze kłowna na przyjęcie Emily. Obdzwoniłam wszystkie uznane znakomitości — Rogera Rainbowa, Zce-Zee, Katie Cupcake. Wszyscy już zajęci — ten ma występ w Monako, inny w Las Vegas, jesz-

cze innego jakaś zapobiegliwa mamuśka zamówiła na siódme urodziny swojej pociechy, zanim jeszcze odeszły jej wody.

Zsuwając się coraz niżej wzdłuż łańcucha pokarmowego, wkroczyłam na terytorium ogłoszeń drobnych, gdzie swoje usługi w tym zakresie oferują brodate indywidua o gębach do złudzenia przypominających te z fotografii publikowanych w ramach demaskatorskiej kampanii antypedofilskiej. W poniedziałek zaświecił mi promyk nadziei, kiedy Percy Pineapple z Gravesend oznajmił, że za 120 funtów chętnie przyjedzie swoją furgonetką i urządzi dziewczynce piękne przedstawienie. Ale dziś rano przyszła pocztą ulotka reklamowa Percy'ego. Zobaczyłam na niej pucołowatego humunkulusa skrecającego z długich różowych balonów jakieś pokracczne figury.

Emily wymarzyła sobie, naturalnie, przyjęcie urodzinowe na pływalni, ale to zupełnie nie wchodzi w grę. W basenach, które wynajmuje się na takie okazje, woda jest letnia jak zupa, bogata w bakterie i w odróżnieniu od wody jako takiej — nieprzezroczysta. Poza tym nie mam kostiumu kąpielowego, a nie pokazałabym się przecież publicznie goła.

Godz. 23.19

Wchodzę do domu, a tu niespodzianka. Na stoliczku w holu leży sobie przejściówka do Kieszonkowej Pamięci. Richard rozwalony na sofie ogląda mecz Arsenalu. Zostawił mi na kuchence trochę makaronu: ma toto teksturę i zapach niemytych nóg.

— Czy korona by tu komuś spadła z głowy, gdyby zamiast zostawiać wszystko na dole, zaniósł to na górę?

Rich nie odrywa oczu od telewizora.

—O, cioteczka znowu z wizytą. To już ta pora miesiąca?

—Masz do mnie pretensję, że miewam miesiączki? Rich wzdycha ciężko i odkłada pilota.

— Boże, Kate, z nostalgią wspominam twoje okresy napięcia przedmiesiączkowego. Teraz mamy napięcie pomenstruacyjne, śródmenstruacyjne. Mamy na-

pięć przez dwadzieścia cztery minus siedem godzin na dobę. Wyłączysz się po położeniu do łóżka czy jeszcze przez sen będziesz nadawać?

Otwieram zmywarę do naczyń. Na talerzach, które powinny być czyste jak łoża, widnieją szare zacieki osadu. Cholera, ktoś włączył maszynę na mgnienie oka.

—Może uniknęło to twojej uwagi, Richard, ale ja mam ważną prezentację...

—Żeby to umknęło mojej uwagi, musiałbym spoczywać zabalsamowany w mauzoleum w Ulan Bator.

— Przecież wiesz, że robię to dla nas.

— Dla jakich nas, Kate? Dzieci nie widziały cię od powrotu z Walii. Może powinnaś zostać prezenterką telewizyjną; oglądałyby cię przynajmniej raz dziennie na ekranie.

Stoję w drzwiach, patrzę z dystansem na utyskującego męża i myślę sobie, jak dobrze znam takie sytuacje i sposoby ich rozgrywania: albo wyjadę skoro świt na lotnisko, zostawiając na ziemi szron i licząc, że do mojego powrotu stopnieje, albo zrzucę od razu ubranie i przypomnę nam obojgu, że można się jednak kochać. Jestem tak skonana, że dosłownie lecę z nóg. Ale nie mogę go tak zostawić, a istnieją rodzaje seksu, które nie zabierają tyle znowu czasu i energii.

— Nie bądź przeciwko mnie, Rich — mówię, wstając kilka minut później. — W biurze jestem sama przeciwko nim wszystkim: nie mogę być osamotniona również w domu.

Godz. 1.01

Kończę już prawie wprowadzanie wszystkich potrzebnych mi danych do Kieszonkowej Pamięci, kiedy z góry dobiega płacz.

Godz. 4.17

Emily wymiotowała już trzy razy. Rozczesuję jej wilgotne włosy, które przyśychają pozlepianymi strąkami do pobladłych policzków. Nie potrafi mi powiedzieć, co jej jest. Jak mogła mi to zrobić akurat dzisiaj w nocy? Za trzy godziny

muszę wyjść z domu, żeby zdążyć na lotnisko. Robi mi się wstyd, że w ogóle mogłam tak pomyśleć. Potem, kiedy jestem już prawie pewna, że karze mnie w ten sposób za to, że znowu ją zostawiam, Emily — jak kotka wyczuwa, że wyjeżdżam, zanim jeszcze zacznę pakować walizkę — jęczy:

— Mamusiu, psi-psia mnie boli.

Nalewam jej szklankę soku żurawinowego i przez dwadzieścia minut próbuję się dodzwonić do dyżurującej dzisiaj przychodni. Lekarz radzi mi podać małej calpol i przynieść rano próbkę moczu do analizy. Zbiegam na dół i szukam czegoś małego, szczelnego, w co można by swobodnie nasiusiać. Prócz buteleczki lalki Barbie niczego, co by się nadawało do tego celu, nie znajduję. Trudno, niech będzie. Wracam na górę, klękam przy muszli klozetowej, ale nie udaje mi się sprowokować skrzywionej Em do nasiusiania do buteleczki.

—Mamusiu?

—Tak, kochanie.

—Będę miała przyjęcie na pływalni?

—Oczywiście, słonko.

Buteleczka momentalnie napęlnia się po samą szyjkę.

Południe, Nowy Jork, lotnisko Kennedy 'ego Korpulentny celnik, łudzaco podobny do Sipowicza z *Nowojorskich policjantów*, grzebie w moim podręcznym bagażu. Przyglądam się obojętnie, jak wyjmuje mój telefon komórkowy i zapasowe rajstopy. Potem zanurza rękę w bocznej kieszeni torby i wyciąga stamtąd buteleczkę lalki Barbie. O kurczę. Miałam ją zostawić na stole w kuchni: skoro buteleczka przyleciała tu ze mną, to gdzie jest Kieszonkowa Pamięć? Celnik odkręca buteleczkę i wacha zawartość.

—Co to za płyn, proszę pani?

—Mocz mojej córeczki.

—Pani pozwoli ze mną.

Do zapamiętania

Wszystko, cholera, absolutnie wszystko.

TLR

Finał

Środa, Fairweather Inn, Shanksville, New Jersey Mój zegar biologiczny, dezorientowany gwałtowną zmianą strefy czasowej, budzi mnie o czwartej rano. Obsługa hotelowa rozpoczyna pracę dopiero o szóstej, przynoszę więc sobie kawę z automatu na korytarzu; ta lura o metalicznym posmaku robi się zdatna do picia dopiero po doprawieniu odrobiną whisky z miniatutki, którą znalazłam w minibarku. Zerkam na starą kobietę w łazienkowym lustrze i czym prędzej odwracam wzrok.

Tego poranka gotuję się do bitwy, wdzierając pełną zbroję od Armaniego — śnieżnobiała bluzka, herbatnikowobrazowy żakiet i spódnica o szwach tak ostrych, że można by nimi wycinać wyrostek robaczkowy. Do tego szpilki od LK Bennetta z białym ścięciem i noskami w szpic.

Na dwie godziny przed finałem do mojego pokoju zagląda Momo. Jest w niebieskim jedwabnym kostiumie, ciemne włosy ma upięte w kok. Może się i denuruje, ale na zewnątrz tego po niej nie widać.

Tak czy owak, dzisiaj pewności siebie musi mi starczyć za nas obie, muszę się wcielić w jowialną gospodynię gry, która nie wątpi, że kontrakt ma już w kieszeni. Ćwiczyłyśmy tę prezentację już z pięćdziesiąt razy, ale nie zaszkodzi przypomnieć o podstawowych zasadach.

— Jeśli zaproponują ci drinka, odmów, rozumiesz? W żadnym przypadku nie zwracaj się do nich po imieniu. Tym ludziom wydaje się, że lubią, kiedy im się Greguje i Hannahuje, ale jeśli zaczniesz ich „tykać”, uznają to za zbyt poufale. Mają nam powierzyć kupę forsy, a więc cały czas „proszę pana” i „proszę pani”. I pamiętaj, występujemy tu w roli zalotnic. Przysięgamy wierność po grób. Przewędrujemy boso milion mil, byle tylko dogodzić klientowi, i tak dalej. A przede wszystkim przypominamy im na każdym kroku, że chociaż pracują u nas setki białych facetów, którzy praktycznie wymyślili bankowość, to jesteśmy jed-

nocześnie niedoścignieni we wprowadzaniu w życie zasady dywersyfikacji zatrudnienia. Etycznym funduszom emerytalnym zależy na pewnych zyskach: są za dywersyfikacją, ale nie mają zaufania do Trzeciego Świata. A więc ani słowa o inwestowaniu na tamtejszych rynkach.

— Czy to nie jest trochę nieetyczne, Kate?

Tyle tygodni napromieniowywania moim radioaktywnym cynizmem, a ona nadal zadaje takie pytania? I co ja mam począć z tym dzieciakiem?

— Mówiąc im całą prawdę, Momo, przegrałybyśmy. Owszem, miałybyśmy tę satysfakcję, że postąpiłyśmy etycznie, tylko co by nam to dało? Z drugiej strony, jeśli będziemy blefować i wygramy, to pomyśl tylko: dwie kobiety, w tym jedna biała, pozyskujące dla Edwin Morgan Forster klienta wartego trzysta milionów — niezbity dowód, że dywersyfikacja naprawdę się opłaca. I nadejdzie może taki dzień, kiedy zamiast dekorować wystawę, zaczniemy kierować całym tym sklepikiem. I to już będzie bez dwóch zdań etyczne, a nas będzie stać na mnóstwo eleganckich butów. Następne pytanie.

— Czyli kłamanie podczas finału jest dopuszczalne?

— Tylko jeśli się to dobrze robi.

Momo parska śmiechem i rzuca się na wznak na łóżko. Jeden but zsuwa jej się przy tym ze stopy i upada ze stukotem na podłogę. (Muszę zapamiętać, że trzeba coś zrobić z jej obuwem: te granatowe czółenka tylko szpecą jej kształtne, drobne jak u baleriny stopki). Leżąc na skotłowanej pomarańczowej kołdrze, Momo spogląda na mnie i wzdycha:

— Nie rozumiem cię, Kate. Raz wydaje mi się, że masz to wszystko głęboko gdzieś, innym razem odnoszę wrażenie, że ty naprawdę bardzo, ale to bardzo chcesz wygrywać.

— Boja bardzo, ale to bardzo chcę wygrywać. Dobrze mnie tylko obserwuj. W dzieciństwie, grając w monopol, chowałam zawsze hotel w skarpetce. Kiedy lądowałam na Park Lane, wyciągałam po kryjomu ten hotel. Pewnego razu tato mnie na tym przyłapał i oberwałam dziadkiem do orzechów za oszukiwanie.

Widzę, że Momo ma trudności z wpasowaniem tego dickensowskiego epizodu w beztroskie, uładzone dzieciństwo, będące udziałem każdej dziewczynki z dobrego domu. Nie połapała się jeszcze, że podróżuję na fałszywym paszporcie. Bo i jak miałyby się połapać? Sama miałabym teraz trudności ze zdemaskowaniem siebie jako intruzki w światku City.

—To okropne — mówi w końcu Momo. — Mieć takiego ojca. Współczuję ci.

—Nie ma czego. Współczuj lepiej przegranym. A teraz przećwiczmy jeszcze raz ten moment, kiedy podajesz mi listę klientów.

W tym momencie coś zaczyna płaczliwie chlipać i przez kilka sekund żadna z nas nie kojarzy tego obcego dźwięku z dzwonkiem telefonu. To Rod z ostatnimi sugestiami. Odkładam słuchawkę i spoglądam na Momo.

— No, zgadnij, co powiedział.

Momo ściąga brwi, udając, że się zastanawia, a potem pyta niewinnie:

— No to do galopu, i żeby mi furczało?

I już wiem, że wcale nic jest z nią tak źle.

— Bardzo dobrze. Widzisz, z Rodem da się wytrzymać, trzeba tylko wiedzieć, jak z nim postępować. Wystarczy tak mu przedstawiać swoje pomysły, żeby je uznał za własne, a natychmiast znajdzie się w siódmym niebie.

Momo znowu ściąga brwi.

—Mówisz o mężczyznach, tak jak byśmy były ich matkami?

—Bo *jesteśmy* ich matkami. Czepiają się spódnicy w pracy, czepiają się w domu. Lepiej do tego przywyknij. No, ćwiczmy jeszcze raz to otwarcie.

Znowu odzywa się telefon. Tym razem to Paula. Dzwoni, by mi powiedzieć, że w korytku na warzywa znalazła mój organizer. Ben zaczął teraz chować do lodówki, co mu podleci pod rączkę. Wszystkie niezbędne mi informacje od dwunastu godzin leżą sobie wśród selerów. Poza tym u Emily stwierdzono infekcję dróg moczowych i zapisano jej antybiotyk. Ma podwyższoną temperaturę, ale chciałyby ze mną porozmawiać, jeśli to możliwe.

W słuchawce rozlega się podniecony, przejęty głosik Emily. Ilekroć słyszę swoją córeczkę przez telefon, robi mi się jakoś dziwnie na duszy: to niesamowite, że coś, co jeszcze nie tak dawno rozwijało się wewnątrz mnie, gawędzi teraz ze mną w najlepsze, nie wspominając już, że poprzez satelitę.

—Jesteś w Ameryce, mamusiu?

—Tak, Em.

—Jak Woody i Jessie z *Toy Story Dwa!*

—Tak, jak oni. A ty jak się czujesz, skarbie?

—Dobrze. A Ben nabił sobie guza. Strasznie mu krew leciała.

Czuję, jak moja własna krew ścina mi się w żyłach. Cała drętwieję.

— Em, możesz mi dać znowu Paulę? Poproś ją do telefonu, kochanie.

Staram się panować nad głosem i udawać, że sprawa be-nowego guza specjalnie mnie nie obeszła, chociaż gdyby to tylko było możliwe, wparowałabym teraz do swojej kuchni ognistą kulą, szczerząc matczyne kły i potrząsając grzywą syczących węży.

— Ach, to — prycha lekceważąco Paula. — Uderzył się głową o stół, i tyle.

O ten metalowy stół z ostrymi kantami, który już dawno chciałam znieść do piwnicy, przewidując, że Ben może na niego wpaść? Tak, o ten. Ale nic wielkiego się nie stało, zdarza się, rzecz Paula, słyszę jednak w jej tonie, że skoro chciałam go znieść, to powinnam to była zrobić. Zresztą szwów chyba nie trzeba będzie Benowi zakładać.

Szwów! Boże jedyny. Odchrząkuję i staram się dostroić głos do tej liberalnej tonacji, w której rozkaz brzmi jak sugestia. Może Paula raczyłaby przejechać się z Benem do chirurga? Tak na wszelki wypadek. Głębokie westchnienie, a zaraz potem ostra reprimenda **pod** adresem Bena, żeby coś tam odłożył. Na tę odległość opiekunka mojego dziecka wydaje mi się karygodnie sardoniczna, niezaangażowana. A najbardziej dobija mnie to, że mnie tam nie ma. Słyszę Bena — jest chyba przy oknie i wydaje te swoje wrzaski, które brzmią jak okrzyki bólu, ale u

niego są wyrazem zachwytu. Paula mówi, że **jest** coś jeszcze. Z przedszkola dzwoniła Alexandra Law w sprawie zebrania rodziców. Czy przyjdę?

—Co?

—Czy będzie pani na zebraniu rodziców?

—W tej chwili nie mam do tego głowy.

—To mam jej powiedzieć, że nie?

—Nie. Powiedz jej, że zadzwonię... jak tu skończę.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

P: Dlaczego tak trudno znaleźć mężczyznę wrażliwego, czutego i przystojnego?

O: Bo oni wszyscy mają już chłopców. Co u ciebie?

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

Jestem kłębkim nerwów. Dosłownie. Życie cielesne odległym wspomnieniem. Jestem teraz mózgiem na patyku.

Mam skaptować klienta z taaaką kašą, mając do pomocy przerażoną, zupełnie zieloną praktykantkę. Do tego Emily chora, a Ben o mało nie został bez główki, podczas gdy Pol Pocica słuchała sobie Kiss FM.

Nie chcę już być dorosła. Kiedy to ubzdurałyśmy sobie, że musimy być dorosłe?

K xxx

Godz. 14.57

Biura naszego potencjalnego klienta urządzone są w stylu, który określam natychmiast jako urzędowo-przytulny. Fotele z obiciami w kratę, mnóstwo drewna tekowego i etnicznych wisiorków kupowanych na metry. Wszystko to mówi: tak,

prorowadzimy tutaj interesy, ale jeśli komuś przyjdzie ochota stanąć na głowie, to proszę bardzo.

Do sali konferencyjnej wprowadza Momo i mnie największa kobieta, jaką w życiu widziałam. Carol Dunstan jest bezsprzecznie główną beneficjentką zasady dywersyfikacji zatrudnienia, sekcja puszystych. Zasapała się, idąc tu z holu; człowiek patrzy na nią i zachodzi w głowę, jakiegoż to rodzaju strapienie wymaga zagłuszania go taką obfitością jedzenia. Carol dokonuje prezentacji, oprowadzając nas wokół stołu, przy którym siedzi osiemnaście osób. Słyszę, jak Momo grzecznie odmawia przyjęcia drinka. Pojętna dziewczynka.

— I na koniec nasz szanowny kolega z Fundacji Salinger. Pan Abelhammer zasiada w zarządzie krajowym, pani Reddy.

I to rzeczywiście on we własnej osobie. Siedzi w najdalszym kącie, a od innych garniturów odróżnia go swobodna postawa i szeroki uśmiech. Jego widok deprymuje mnie i cieszy zarazem. Jack.

Prezentacja przebiega dobrze. Może za dobrze. W połowie czuję już prawie na języku uzdrawiające szczypanie dzinu z tonikiem, sączonego w samolocie do domu. Staram się ignorować to, że mój e-mailowy kochanek znajduje się fizycznie na sali, chociaż czuję jego obecność, tak jak się czuje słońce na skórze.

Prezentuję naszym potencjalnym klientom broszurę zawierającą facjaty gości z Londynu, którzy zarządzają poszczególnymi portfelami. To galeria typów z City, typów, które w ciągu ostatnich trzystu lat niewiele się zmieniły: zażywni jegomości o nadętych minach. Mężczyźni, którym spod ostatnich kępek włosów prześwituje różowa łysina. Kandydaci do zawału z chorobliwymi wypiekami na przedwcześnie postarzałych twarzach. Młodzi ludzie o tym maślanym, nieco błędnym spojrzeniu, którego dostaje się od ślęczenia godzinami przed ekranem. Ze szczególną dumą prezentuję naszego genialnego specjalistę od transakcji terminowych, doradcę inwestycyjnego, Chrisa Bun-ce'a, który swoje oczka szczura laboratoryjnego i odpowiadające im maniery zawdzięcza uzależnieniu od koki. Galerię otwiera fotografia Robina Cooper-Clarka, wysokiego jak brzoza, z za-

gadkowym półuśmiechem na wargach. Wygląda jak Pan Bóg, o ile Pan Bóg też nosi koszule od Turnbulla & Asscra.

Carol Dunstan odchrząkuje:

— Pani Reddy, New Jersey przystąpiło niedawno do Zasad McMahona. Czy nie stworzy to wam problemów przy alokacji aktywów?

Spoko, Kale, nie panikujmy. Zbierzmy myśli. Skupmy się!

—Żadnych. Jestem przekonana, że jeśli otrzymamy listę akcji, którymi obraca się w myśl Zasad Mc ...eee... Mahona...

—Nie mamy takiej listy, pani Reddy — wpada mi w słowo grubaska. — Chcemy właśnie, żeby Edwin Morgan Forster sporządził listę, która spełnia Zasady McMahona. Zasady, które, oczywiście, są pani znane.

Czuję na sobie osiemnaście par oczu. Dziewiętnaście, jeśli liczyć Momo, która wpatruje się we mnie ufnymi oczami spanielki. Pierwsze słyszę o jakimś McMahonie, a co dopiero o jego zakichanych zasadach. Sekundy, które normalnie biegną w ciszy, skromne, szczęśliwe, że upływają niezauważone, wydłużają się nagle, stają się głośnie i bezlitosne. Zaszło mi w gardle, krew uderza do skroni, oblewam się szkarłatnym pąsem, który może wywołać tylko seks albo skrajne zażenowanie. Szum klimatyzacji rozbrzmiewa mi w uszach jak skarga kobiety rozdzielanej z kochankiem. Nie! Nie myśl o kochankach. Myśl o McMahonie. Kimkolwiek jest. Pewnie jakimś przewrotnym, wrednym Celtem, który szuka zemsty na anglosaskich kapitalistycznych ciemnych ciemnych. Staram się nie patrzeć w stronę drugiego końca stołu, gdzie siedzi Jack.

Zaciśnięte w wąską kreskę usta Carol Dunstan znowu zaczynają się otwierać, i nagle odzywa się męski głos:

— Myślę, Carol, że zważywszy na szerokie doświadczenie pani Reddy w dziedzinie funduszy etycznych, możemy być pewni, iż jest ona na bieżąco z polityką zatrudnienia w irlandzkich firmach.

Ułga, której doznaję, uderza do głowy jak tlen. Jack otworzył luk awaryjny i wskazał mi drogę ewakuacji. Kiwam skwapliwie głową.

— Pan Abelhammer ma rację. Powołaliśmy specjalne zespoły, których zadaniem jest przyglądanie się polityce zatrudnienia. Od siebie pragnę dodać, że sama, będąc Irlandką, jestem całym sercem za Zasadami McMahona.

Słyszę za sobą trzask. To Momo upuściła teczkę, ale ten incydent ginie w ogólnym pomruku aprobaty dla moich etnicznych listów uwierzytelniających. Płynę na tej fali życzliwości i docieram do zamknięcia. Zaniknięcie to etap prezentacji, na którym mówi się: No, to dawajcie te pieniądze. Z tym że w zawołanej formie. I wystrzegając się jak ognia słowa „pieniądze”.

Godz. 17.11

Pakujemy się z Momo do taksówki, kiedy za naszymi plecami rozlega się skrzyp skórzanej podeszwy.

— Muszę przyznać, pani Reddy, że jestem pod wrażeniem pani zdolności przekonywania.

— Dziękuję, panie Abelhammer. Jestem panu dozgonnie wdzięczna za ten wtęret.

Momo, pochwycona w przebiegające między mną a Jackiem prądy wyładowań elektrostatycznych, sprawia wrażenie trochę zdezorientowanej.

Jack kładzie dłoń na krawędzi drzwiczek taksówki.

—Może przyjmiecie panie zaproszenie na drinka? Dajmy na to do Shanksville? W Sinatra Inn podają koktajl o nazwie Come Fly With Me.

—Przepraszam, ale jesteśmy z panną Gumciatnc bardzo zmęczone.

Jack kiwa ze zrozumieniem głową.

—Cóż, może innym razem. Odpocznijcie panie. W drodze powrotnej do hotelu Momo pyta:

—Przepraszam, Kate, ale znasz tego faceta?

—Nie, nie znam. — I to prawda. Nie znam Jacka Abelham-mera, ale kto wie, czy nie jestem w nim zakochana. Jak można się zakochać w kimś, kogo się nie

zna? Jeśli się dobrze zastanowić, to chyba łatwiejsze. Pusty ekran, na którym można wypisywać wszystkie swoje tęsknoty.

—Przystojny — wzdycha Momo. — Moim zdaniem, trzeba było przyjąć to zaproszenie.

—Nie. Postąpiłybyśmy bardzo nieprofesjonalne, bo jeszcze nie zapadła ostateczna decyzja. Ale same możemy uczcić drinkiem nasz dzisiejszy występ. Byłaś bezapelacyjnie gwiazdą.

—Przepraszam, Kate, ale to ty błyszczałaś. Ja bym tak nie potrafiła. — Momo pozwala sobie na uśmiech i dopiero teraz widzę, jakie napięcie malowało się dołą na jej twarzy. — Nie wiedziałam, że jesteś Irlandką.

—Tylko częściowo. Ojciec jest Irlandczykiem.

—Jak McMahan?

—Tak, z tym że on nie ma zasad. Momo chichocze.

—Czym zajmuje się twój ojciec?

—Działa w tej samej branży, co ja.

— Jest doradcą inwestycyjnym?

—Nie, ale podobnie jak my stawia często na niepewne konie, wmawiając sobie, że podchodzi do tego naukowo, i pokłada w Bogu nadzieję, że dobiegną do mety, a kiedy nie dobiegają, zmienia adres.

—Wielkie nieba. — Momo jest tak zaszokowana, że po raz pierwszy odkąd się poznałyśmy zapomina powiedzieć przepraszam. — Wygląda mi na barwną postać.

Ilekcroć rozmawiam z ludźmi o swoim ojcu, przyłapuję się na tym, że bezwiednie głos mi się zmienia, przybierając niedbały, nonszalancki, ironiczny ton. Ton, którym opowiada się zabawne historyjki. Barwne postaci dobre są u Dickensa albo w filmowych epizodach, zwłaszcza kiedy grają je lubiani aktorzy cha-

rakterystyczni, którym te role przynoszą często nagrodę Akademii dla najlepszego aktora drugoplanowego. Nie życzę nikomu obcowania z taką barwną postacią w realnym życiu.

— Udawaj, że mamy dużo forsy, kaczuszeko Kathy — poinstruował mnie pewnego razu tato. Siedzieliśmy w piwnym ogródku na samym końcu długiego ciągu bezbarwnych miasteczek gdzieś na północy. Ja i Julie popijałyśmy z półpintowych szklanek dandeliona & burdocka — napój, który smakuje jak pepsi zmieszana z kreozotem, ale wmawiałyśmy sobie, że to nektar dla dam z wyższych sfer. Miałam wówczas dwanaście lat i byłam zbyt oszołomiona przeprowadzaniem się co sześć miesięcy z miasta do miasta, by dopatrzeć się w tym poleceniu czegoś niestosownego, i zbyt zapatrzona w ojca, by protestować. Pieniądzy, rzecz jasna, nie mieliśmy, a jeśli się już jakieś trafiły, to znikwały w niewyjaśnionych okolicznościach z torebki mamy i szły na sfinansowanie kolejnego niewydarzonego projektu Joego.

Udawałam jednak, że mamy pieniądze. Chyba już wtedy wyczuwałam oblepiającą ojca jak pleśń depresję i chciałam go przed nią chronić. Depresja tak od-mężczyźnia mężczyznę.

Kobiety z jego otoczenia muszą wciąż udawać, że niczego nie zauważają, a on siedzi przygarbiony, ręce tak mu się trzęsą, że nie może utrzymać szklanki, i zarzeka się, że szafa gra.

A przy tym ciekawa rzecz. Wszystkie znane mi kobiety z City są w taki czy inny sposób córeczkami swoich tatusiów. (Tato Candy odszedł, kiedy ona miała pięć lat, a mnie się wydaje, że Candy jeszcze teraz próbuje go odszukać; ojciec Debry prowadzi jakąś fabrykę silników na zachodzie środkowej Anglii i Deb z siostrami widują się z nim od czasu do czasu w weekendy, między partiami golfa). Córki starają się zastąpić ojcom synów, których ci nie mają, córki przynoszą ze szkoły same oceny celujące, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, który traktuje je jak powietrze, córki, niczym biedna, szalona Antygona, gonią wciąż za nieuchwytnym duchem ojcowskiej miłości. Dlaczego więc my wszystkie, Córki Tatusiów, podejmujemy pracę w tak nieprzyjaznych kobietom środowiskach? Bo jedyną prawdziwą satysfakcję przynosi nam aprobata mężczyzny. Smutne, prawda? Cholernie smutne.

Zamykam oczy i próbuję wyrzucić z myśli swojego własnego stukniętego oczulka. Od czasu kiedy zjawił się w biurze z tą wynalezioną przez siebie pieluchą, wydzwania do mnie niemal codziennie. Wczoraj wieczorem zostawił na automatycznej sekretarce wiadomość, że pieniędzy, które ode mnie dostał, nie wystarczy.

— Ile mu dałaś? — spytał ze ściągniętą twarzą Rich. Wymieniłam sumę nie będącą nawet jedną trzecią tej, którą wypisałam wtedy w pubie na czeku, i Rich się spenił.

— Jezu, kiedy ty zmądrzejesz, kobieto?

Dobre pytanie. Bo współczucie nie podlega chyba przedawnieniu, prawda?

*

Godz. 18.18

Położyłam się i pewnie przysnęłam. Budzi mnie dzwonek telefonu. To Richard. Słyszę po głosie, że jest nie na żarty wkurzony. Mówi, że nie może znaleźć proszku do prania. Paula powiadomiła go telefonicznie, że jest chora i nie przyjdzie, Ben paradował bez pieluszki i przytrafiło mu się na kołdrze. Rich ściągnął powłóczkę, wrzucił ją do pralki, ale nie może znaleźć proszku.

Mówię mu, że pudełko z proszkiem zaplątało się pewnie w pościel; niech zajrzy do kosza na rzeczy do prasowania.

— A gdzie ten kosz?

— Kosz na rzeczy do prasowania to ten przy desce do prasowania, wyładowany z czubem szmatami. Nie zapytasz nawet, jak mi poszło, Rich?

—Co?

—Finał.

—Potrzebuję ciebie.

—Oj, nie przesadzaj, Rich, nic ci się nie stanie, jeśli raz coś sam wypierzesz.

—Kate, to nie ma nic wspólnego z praniem, ja cię po prostu potrzebuję. Dlaczego nie możesz wrócić dzisiaj?

—Nie mogę, i już. Ale obiecuję, że jutro rano wsiadam w pierwszy samolot.

Znowu telefon. Długo nie odbieram. To pewnie Rich z pytaniem, gdzie jest pokarm dla chomika, gdzie stoi mikrofalówka albo gdzie jego dzieci mają uszy. W końcu przychodzi mi jednak na myśl, że może naprawdę chodzi o dzieci, i podnoszę słuchawkę.

—Dobrze wiedzieć, że jesteś Irlandką. Tam, na sali, był taki moment, że omal nie wziąłem cię za Katharine Reddy, która opiekuje się moim funduszem i powiedziała mi, że jest Francuzką.

—Nie powiedziałam, że jestem Francuzką, Jack. Powiedziałam, że płynię we mnie francuska krew.

Jack się śmieje:

— Za kogo podasz się następnym razem? Za Czirokezkę? Ale z ciebie numer, Kate.

Słyszę głos — odpowiedzialny, trzeźwy, głos kobiety odpowiadającej stanowczo swojemu klientowi, że pod żadnym pozorem nie skosztuje koktajlu Come Fly With Me w jakiejś szykownej przydrożnej knajpce.

— Nie ma sprawy — pada odpowiedź. — Ale serwują tam też Bewitched, Bothered and Bewildered.

Przypomina mi się linijka tekstu z tej piosenki i śpiewam ją:

— „Horyzontalnie rzecz ujmując, on przechodzi sam siebie”. Abelhammer gwizdnął cicho.

— A więc to prawda, ty znasz się na wszystkim.

— Nie znam drogi do Sinatra Inn.

Night and Day

Sinatra Inn ma w sobie coś z wymuszonej pogody ducha gasnącej gwiazdy kabaretu. Pod ścianami boksy obite czerwonym aksamitem, siedzenia wyświecone, pamiętające jeszcze eleganckie kolacje sprzed pięćdziesięciu lat. Cała jedna ściana przeznaczona na fotografie miejscowego chłopaka, któremu się powiodło (Frank pochodził z pobliskiego Hobokem). Wisi tam, między innymi, zdjęcie Sinatry z Lauren Bacali, Sinatry z zespołem Rat Pack, Sinatry stojącego przy fortepianie, uchwyconego snopem reflektora punktowego — poluzowany krawat — śledź, szyja napięta dawno przebrzmiałą nutą. Jest też Sintara z Avą Gardner — lata pięćdziesiąte, on wygląda na wygłodniałego, ona na nienasyconą: ilekroć widzę tych dwoje razem, zawsze próbuję wyobrazić ich sobie w łóżku.

Każdy boks wyposażony jest we własną miniszafę grającą, z której po wrzuceniu dwudziestopięciocentówki można wybierać do woli spośród największych przebojów Franka. Tyle tytułów, w tyłu powtarza się słowo „ty”. Siadamy z Jackiem Abelhammrem w narożnym boksie, pod plakatem przedstawiającym Franka jako Maggia w *Stąd do wieczności* Freda Zinnemana. Kelnerowi, zabieganemu, znękanemu mężczyźnie ze sporą nadwagą, wydajemy się pewnie parą, która przekomarza się nad listą koktajli. (Witchcraft źle mi się kojarzy, wolę Night and Day). A prawda jest taka, że czujemy się tu z Jackiem nieswojo. Niczym astronauta powracający po latach z międzygwiazdnej podróży, staramy się przestawić z nieważkości świata e-maili, gdzie można wygadywać, co się człowiekowi żywnie podoba bez oglądania się na konsekwencje, do realnego świata, gdzie każde słowo ubrane w kontekst gestu, grymasu, spojrzenia, ma swój ciężar.

Nie widziałam jeszcze Jacka bez garnituru. Efekt jest tylko o włos mniej alarmujący, niż gdyby przyszedł w ogóle bez niczego. Śmieję się, piję i czuję, jak przesywa mnie szpila zwątpienia. Znam Jacka Abelhammra, tak jak zna się po-

stać literacką. Jest mi potrzebny do urobienia rzeczywistości w bardziej znośną, a nie do jeszcze większego jej skomplikowania.

— No i co my tu sobie zażyczymy, signora? — Jack studiuje menu. — Cielecinę z marsalą, cielecinę z mascarpone czy cielecinę z naszą smakowitą siekaną cieleciną? Nie lubisz da veal? Trudno, mamy jeszcze przepyszną *scaloppina d la limone*.

Wrzuca ćwicrédolarówkę w szczelinę szafy grającej i chce już nacisnąć klawisz „Where or When”.

—Nie, nie to.

—Przecież to piękny kawałek.

—Rozplączę się. Popłakałam się na wieść o śmierci Sinatry.

— Hej, ja też uwielbiam Franka, ale umierając, miał już swoje lata. Czemu płakałaś?

Sama nie wiem, ile chcę powiedzieć temu najbardziej znajomemu z nieznanymi. Wersję z barwną postacią czy prawdę. Tato trzymał w kredensie całą kolekcję płyt Sinatry w brązowych kopertach. W dzieciństwie byłyśmy nimi z Julie zafascynowane. Brązowy papier pachniał jak starzy ludzie, ale same płyty zdawały się odmładzać każdego, kto ich słuchał. Miały ten ebonitowy połysk karalucha i wspaniałe naklejki z wydrukowanymi srebrną farbą tytułami piosenek, przywodzące na myśl zaproszenia na bal. Ojciec na rodzinnych spotkaniach wcielał się po mistrzowsku w Sinatrę — włożył na stół i śpiewał „Schick-kargo, Schick-cargo, that toddlin town!”. Ale najbardziej lubił utwory nastrojowe. „Ali the Way” i „Where Or When”. „Frank jest świętym patronem nieodwzajemnionej miłości — mawiał tato — słyszałaś kiedyś taki głos, Katherine?”.

— Kate?

— Frank potrafił uszczęśliwić moich rodziców — mówię, studiując menu. — Swoim śpiewem wprowadzał do naszego domu zawieszenie broni. Kiedy tato nastawiał „Come Fly With Me”, można było bezpiecznie wyjść z ukrycia. Chyba zamiast cieleciny wezmę sobie jeszcze jeden koktajl. Co by, twoim zdaniem, wyszło ze zmieszania „Love and Marriage” ze „Strangers in the Night”?

Jack chwyta za czubek noża, którym się bawię, i trzymamy go teraz z obu końców.

— Nic strasznego. Może obcy posmak w ustach. W najgorszym przypadku lekkie wyrzuty sumienia rano. Pobrudziłaś się.

—Gdzie?

—Na palcu.

Spuszczam wzrok. Rzeczywiście u nasady kciuka widnieje kropka od długopisu. Ma mi przypominać o urodzinach Emily. No i mam teraz zgryz: powiedzieć mu, że jestem matką czy nie powiedzieć.

—Sama to sobie zrobiłam. Żeby nie zapomnieć o urodzinach córeczki. W tym natłoku zajęć mogłyby mi wylecieć z głowy.

—Masz dziecko? — pyta Jack, bardziej z zainteresowaniem niż zawodem.

—Dwoje, o ile mi wiadomo. Widuję je rzadziej niżbym sobie życzyła. Emily kończy w czerwcu sześć lat i uważa się za Śpiącą Królową. Ben ma roczek z kawałkiem i jest jak żywe srebro... jak to chłopiec.

Jack kiwa z powagą głową.

Po cielecinie na stół wjeżdża tiramisu przypominające piankę do golenia nadziewaną orzechami. Po posiłku taniec. Dużo tańca. Pamiętam też, że chyba śpiewałam, ale pewna nie jestem. W jakim stanie musiałabym się znajdować, żeby śpiewać publicznie?

Jakiś głos powtarza we mnie: Ty, ty, ty w noc i za dnia tylko ty Tylko ty w poświacie księżycy i blasku dnia Nie ważne czyś blisko mnie, czy daleko Myślę o tobie. W noc i za dnia.

Godz. 2.34

— Zbudź się, mamusiu, wstawaj, śpieszku!

Siadam na łóżku w ślepej panice. Zakrywam dłońmi gołe piersi i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że jest ciemno. Emily? Tutaj, w New Jersey? Kilka sekund zabiera mi wymacanie wyłącznika światła, jeszcze kilka uzmysłowienie sobie, że głosik wydobywa się z budzika, który Emily podarowała mi na Boże Narodzenie. W Londynie to pora wstawania.

— No, mamusiu, spóźnisz się, leniuszku.

W głosie Emily pobrzmiewa duma: udatnic naśladuje rozkazujący ton swojej matki.

Rozglądam się po pokoju, szukając śladów popełnionego cudzołóstwa. Sukienka na wieszaku, buty pod krzesłem, na krześle porządnie złożona kupka białizny. A więc Jack odholował mnie do hotelu, rozebrał do naga i położył do łóżka. Jak dziecko. Co by to było, gdyby tu został i rozlegający się w ciemnościach głosik Emily przerwał nam...

O Boże, moja głowa. Muszę się napić wody. Do łazienki, zapalić światło. Światło razi. Zgasić światło. Wychylam jedną szklankę wody, potem drugą. Za mało. Włączę pod prysznic i stoję pod nim długo z otwartymi ustami. W drodze powrotnej do łóżka zauważam, że na wierzchnim arkuszu hotelowej papeterii coś jest napisane. Zapalam nocną lampkę:

Bywa, że coś się zdarza po raz pierwszy, A jakby już się kiedyś zdarzyło. ...Ale kto wie gdzie albo kiedy?

Godz. 10.09

Lotnisko w Newark. Start się opóźnia i nie wiadomo, czy kiedykolwiek nastąpi. Siedzę w poczekalni dla VIP-ów. Za oknem mgła porównywalna z watą,

która wypełnia mi głowę. Wspominam poprzedni wieczór, starając się jednocześnie wyrzucić go z myśli. Niewierność w stylu Reddy: wyrzuty sumienia z powodu zdrady, której nie było. Pięknie, Kate, po prostu pięknie.

Uchlałaś się z klientem, a ten odstawia cię do hotelu, rozbiera do rosołu, a potem wychodzi sobie jak gdyby nigdy nic. I jak tu się czuć: pałać świętym oburzeniem, że się zostało seksualnie wykorzystaną, czy ubolewać, że do tego wykorzystania nie doszło? Może Abelhammera zniechęciły te figi i biustonosz nie od kompletu, a może czmychnął na widok brzucha Reddy, który po dwóch ciążach i cesarskim cięciu przypomina ryżowy pudding jej babki — cienka błonka, którą wypycha od spodu ziarnista papka. Problem w tym, że będąc nieprzytomną w obecności ewentualnego kochanka, nie jest się w stanie zastosować do rady osobistej trenerki i wciągnąć brzuch.

Na samą myśl o rozbierającym mnie Jacku czuję się jak pończocha zsuwająca się jedwabście po nodze.

— W porządku, Kate? — Wróciła Momo z czarną kawą i angielskimi gazetami.

— Nie. Czuję się okropnie. Coś ciekawego w gazetach?

— Tylko torysi skaczą sobie do gardeł. I pracujące matki się wykruszają. Podobno siedemdziesiąt osiem procent, gdyby tylko mogło, zrezygnowałoby jutro z posad.

— Akurat! Te z nas, które naprawdę gonią resztkami sił, nie mają czasu na wypełnianie tych idiotycznych ankiet. A co ty o tym myślisz. Momo?

Momo marszczy nosek:

— Przepraszam, ale ja nie zamierzam mieć dzieci. Naprawdę nie wiem, jak ty to robisz, Kate.

— Szufladkowanie, ot, cała tajemnica. Dzieci w jednej szufladce, praca w drugiej: i nie wolno dopuścić, żeby zawartość jednej mieszała się z drugą. To nie takie proste, ale wykonalne. Jesteś ładna i inteligentna. Musisz mieć dzieci, do-

syć już na świecie tych rozmnażających się bez opamiętania beznadziejnych kretyńców.

Momo kręci głową.

— Lubię dzieci, naprawdę lubię, ale chcę coś w życiu osiągnąć, a sama mówiłaś, jak City patrzy na matki. Zresztą — ciągnie beznamiętnie — nie po to się kształciłam, żeby teraz niańczyć dzieci.

Jak jej przemówić do rozsądku? Tyle kobiet w wieku Momo, obserwując takie jak ja, zaganiane, miotające się między pracą a domem siostrzyce, postanawia odwlekać macierzyństwo jak długo się da. Widzę to u moich koleżanek. Po trzydziestce panika, łapanie pierwszego lepszego faceta — wtedy dobry jest każdy dawca spermy — a tu siurpryza: okazuje się, że nie mogą zajść w ciążę, a więc zapłodnienie in vitro, bolesne i wycieńczające. Czasami się udaje; ale najczęściej nie. Wydaje nam się, że potrafimy przechytrzyć Matkę Naturę, ale Natura nie na darmo nazywana jest Matką. Ma swoje sposoby na skarcenie, na wymierzenie nam klapsa. Koniec świata nic nastąpi w mgnieniu oka i z wielkim hukiem, to powolny proces, który już się rozpoczął, a pierwszą tego oznaką jest kobieta patrząca przez szybę na swoje zamrożone jajeczka i martwiąca się, czy aby zdąży je jeszcze odmrozić. Usiłuję odciąć się od harmideru lotniska i przeanalizować, czym są dla mnie Emily i Ben, potem zbieram resztkę sił i przekazuję Momo wyniki tej analizy.

— Dzieci są śladem, który po sobie pozostawiamy, Momo, to w nich będziemy żyły po śmierci. Są czymś najlepszym, a zarazem najbardziej nieprawdopodobnym, co mogło nam się przytrafić, bo poza nimi nic nie mamy. Wierz mi. Życie jest wielką zagadką, a dzieci jej rozwiązaniem. Jeśli istnieje jakiegokolwiek rozwiązanie tej zagadki, to one nim są.

Momo sięga do torebki i podaje mi chusteczkę. A ja nie wiem, czy te łzy wycisnęło mi wspomnienie dzieci, czy świadomość, że wczoraj wieczorem zupełnie o nich nie myślałam.

Lot z Newark na Heathrow, godz. 20.53

Adrenalina zawsze dodaje skrzydeł, ale w drodze powrotnej do domu fakt, że w ogóle go opuszczałam, przyprawia mnie o moralnego kaca. Dom. Z jednej strony czuję się jego podporą — jak daliby sobie radę beze mnie — z drugiej, muszę to z bólem serca przyznać, czymś, bez czego też by istniał: jakoś sobie beze mnie radzą.

Kiedy jestem za granicą, siadam często w hotelowym pokoju przed laptopem i wykorzystując funkcję zdalnego dostępu, ściągam c-maile, które w tym czasie do mnie napłynęły. Słyszę, jak laptop łączy się z moim domowym komputerem gdzieś po drugiej stronie wszechświata. Przez kilka sekund odbieram tylko bruchitową chrypkę zakłóceń elektrostatycznych, potem dociera do mnie wyraźny, odbity od satelity sygnał. Zdalny dostęp. Czyż nie w ten sam sposób porozumiewam się ze swoimi dziećmi? Łączę się z nimi, kiedy muszę, ale poza tym trzymam je na dystans. Kiedy zdarza się, że jestem z Emily i Benem przez kilka dni i nocy z rzędu, nie mogę wyjść z podziwu, że oboje są tak żywotni. W niczym nie przypominają tych wstydliwie uśmiechniętych dziewczynki i chłopczyka ze zdjęcia, które noszę w portfelu i właśnie pokazałam Momo. Są mnie spragnieni jak wody albo światła i taka jest prawda, czy się to komu podoba, czy nie. Na nic wszystkie teorie układania sobie życia przez kobiety: wydumane książkowe teorie wysnuwane przez osobniczki, które nie mają dzieci, a jeśli nawet, to wychowują je tak jak ja swoje — na zasadzie zdalnego dostępu. Dzieci zmieniają nasze serca: o tym nigdy nic piszą w książkach. Siedząc teraz ze szklaneczką dużego dżinu w pierwszym rzędzie foteli klasy biznesowej, czuję jak ten absurdalny organ w mojej piersi wzbiera i ciąży niczym dynia.

Obok siedzi Momo. Od tamtych łez na lotnisku moja asystentka jest wobec mnie uprzedzająco grzeczna; deprymuje ją ta smutna obca kobieta prawiąca o sensie życia, i nie może się doczekać powrotu normalnej Kate. Ja sama też tego pragnę.

— Kate, zamieńmy się. Ja ci dam „Harvard Business Review”, a ty mnie „Vanity Fair”. — Podaje mi suplement wydrukowany dostojną szarą czcionką.

— A są tu zdjęcia Johnny'ego Deppa?

—Nie, ale drukują bardzo ciekawy artykuł o zalecanych sposobach prowadzenia prezentacji kinetycznej. Zgadnij, jak brzmi pierwsza zasada.

—Rozepnij dwa guziki bluzki więcej niż to dopuszczają normy przyzwoitości?

—Nie, Kate, poważnie. Zadbaj o to, by gesty, które wykonujesz, sygnalizowały klientowi twoje intencje".

—Przecież mówiłam. Dwa guziki bluzki. — (Dlaczego czuję się w obowiązku pozbawić tę śliczną, poważną dziewczynę złudzeń? Może to podświadomość podpowiada mi, że lepiej zrobić to zawczasu, zanim zostanie z nich odarta przez mężczyzn).

Po drugiej stronie przejścia między fotelami wymizerowana brunetka w workowatym różowym swetrze stara się uciszyć wrzeszczące dziecko. Wstaje i potrząsa niemowlakiem. Siada znowu i próbuje wcisnąć rozwrzeszczaną dziecięcą główką pod pachę; w końcu podciąga sweter i obnaża pierś. Garnitur z fotela obok, rzuciwszy okiem na to nabrzmiące pokarmem wymię, zrywa się z fotela i pędzi do toalety.

Istnieje takie mało znane Uniwersalne Prawo Płaczącego Niemowlęcia: im większa desperacja i skrepowanie matki, tym głośniejsze wycie. Nawet bez rozglądania się wiem, jaką reakcję wywołują te mechaniczne wrzaski u moich współpasażerów. Atmosfera w kabinie aż trzeszczy irytacją: mężczyźni, którzy próbują pracować, mężczyźni, którzy próbują odpoczywać, kobiety, które być może delektują się ostatnimi kilkoma godzinami wolności i nie życzą sobie przypominania, co je czeka w domu, kobiety odseparowane od swoich dzieci i dręczone poczuciem winy.

Nieszczęsna matka ma minę, którą znam aż za dobrze. To dwie piąte obłędnej skruchy („Przepraszam wszystkich za to!") i trzy piąte wyzwania („Zapłaciliśmy tak samo jak wy za bilety, a to jeszcze maleństwo, o co wam chodzi?"). Dziecko nie ma więcej jak dwa, trzy miesiące; puszek kiełkujących włosów tworzy aureolę wokół główki kształtnej i pięknej niczym jajo. Kiedy wrzeszczy, widać pulsowanie w błękitnych zagłębieniach skroni.

— Nie, Lauro, nie malutka, to boli — strofuje matka niemowlę, które szarpie ją wściekle za drugie ciemne włosy. Z rozrzewnieniem wspominam Bena. On też tak robi, kiedy jest bardzo zmęczony: rozdrażnienie dziecka, które chce zasnąć a nie może, jest porównywalne z furią alkoholika, którego nic wpuszczają do knajpy.

Momo przygląda się temu przerażona, z niezrozumieniem dwudziestoparolatki. Pyta mnie przyciszonym głosem, dlaczego matka nie potrafi zamknąć buzi temu bachorowi.

— Bo dziecko jest śpiące, ale nie może zasnąć, bo skok ciśnienia sprawia mu prawdopodobnie ból w uszkach. Jedyne rozwiązanie temu to dać się maleństwu czegoś napić, ale ono jest zbyt zmęczone, żeby dobrać się do sutka i ssać.

Na dźwięk słowa „ssać” Momo wzdryga się z odrazą. Mówi, że dla niej całe to karmienie piersią to zabobon. Próbuję wyprowadzić ją z błędu.

— Kto wie, czy to nie jedyna w życiu okazja, kiedy możesz poczuć sens swojej cielesności. W szpitalu, kiedy Emily po raz pierwszy się do mnie przyssała i popłynęło mleko, pomyślałam sobie: jestem ssakiem!

— Obrzydliwe — wstrząsa się Momo.

— To nie było wcale obrzydliwe, wprost przeciwnie, przyjemne. Przez całe życie próbujemy usilnie tłamsić swoje instynkty, a ten akurat sprawia, że kobieta zaczyna się czuć częścią natury.

Chyba za bardzo podniosłam głos, bo Różowy Sweter usłyszał i chyba myśli, że sobie z niej pokpiwam. Próbuję zatrzeć to wrażenie uśmiechem, który w moim zamyśle ma mówić: „Nie przejmuj się, ja też przez to przeszłam”. Ale wyleciało mi z głowy, że jestem w mundurku. Widząc mój kostium i laptop, kobieta bierze mnie najwyraźniej za bezdzietnego wroga i piorunuje pogardliwym spojrzeniem.

Muszę się trochę przespać, ale w mojej głowie szaleje burza myśli. Ilekroć pomyślę o Jacku, czuję — właśnie, co czuję? Czuję się idiotycznie — zresztą kim on jest i czego chce ode mnie albo ja od niego? Ale głównie czuję podniecenie, czuję się jak w potrzasku. Wokół mojego serca gromadzą się jakieś siły i

krzyczą, żebym wyszła z podniesionymi rękami. To chcę im się poddać, to znów myślę o dzieciach, które, niczym te sowiátka z książeczki Bena, czekają z utęsknieniem na powrót mamusi z polowania. Wiem to na pewno.

„I sowiátka pozamykały oczka i bardzo chciały, żeby ich Mama Sowa już wróciła. I WRÓCIŁA. Miętko, cicho przy-szybowwała między drzewami do Sarah, Percy'ego i Billa. Mamusia! — zakrzyknęły chórem sowiátka i zaczęły trzepotać skrzydełkami, tańczyć i podskakiwać na gałęzi.

O CO TEN CAŁY RWETES? — zdziwiła się Mama Sowa. Przecież wiadomo było, że wrócę”.

— Momo, myślisz, że dadzą nam tu jeszcze dżinu? Wygląda na to, że wciąż jestem w radiowym kontakcie ze swoim sumieniem.

W dole przesuwa się Atlantyck, a ja próbuję sklecić e-mail do Jacka, który wyprostowałby znowu sprawy między nami.

Godz. 13.05 Od: Kate Reddy Do: Jack Abelhammer

Nie przywykłam, żeby obcy mężczyzna rozbierał mnie, kiedy jestem wstawiona...

Nie. Za frywolne. Kasujemy. Spróbujmy tradycyjnego formalnego podejścia.

Godz.: 13.11 Od: Kate Reddy Do: Jack Abelhammer

Nawiązując do naszego ostatniego spotkania, noszę się z zamiarem okresowego zwiększenia obrotów funduszu. Gdybyś chciał jeszcze raz...

Gdybym ci była potrzebna...

Jestem gotowa...

Wiesz, że zrobiłabym wszystko...

Przychodzą mi do głowy pewne opcje, ale lepiej się z nimi prześpijmy...

Jasna cholera.

Godz. 13.22 **Od. Kate Reddy Do: Jack Abelhammer**

Jack, chcę cię tylko zapewnić, że moje wczorajsze skandaliczne zachowanie było zupełnie nie w moim stylu i mam nadzieję, że ten godny pożałowania incydent w żaden sposób nie odcisnie się na naszych zawodowych relacjach, które tak wysoko sobie cenię. Nie bardzo pamiętam, co się działo, ale mam nadzieję, że nie sprawiałam ci większych kłopotów, kiedy wielkodusznie odwoziłeś mnie do hotelu.

Mam też nadzieję, że nie wpłynie to w przyszłości na twoje interesy z firmą EMF, której jesteś najbardziej cenionym klientem.

z poważaniem, Katharine

I ten tekst wysłałam zaraz po powrocie do domu.

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

U nas, w Stanach, kiedy kobieta całuje mężczyznę w usta i proponuje, żeby zabrał ją na bezludną wyspę, ten ma prawo uznać, że jest to zachęta do wprowadzenia jakiejś „zmiany w zawodowych relacjach”, chociaż może teraz to jedna ze standardowych technik obsługi klienta wykładanych na wazszych brytyjskich kursach MBA?

Wieczór w Sinatra Inn był wspaniały. Nie przejmuj się, proszę, tym, co działo się w twoim hotelowym pokoju: przez cały czas miałem zamknięte oczy i otworzyłem je tylko na moment, kiedy poprosiłaś mnie, żebym ci wyjął szkła kontaktowe. Lewe oko masz bardziej zielone.

Kiedy wróciłem do siebie, w telewizji leciał Butch Cassidy. Pamiętasz, Kate, zakończenie tego filmu, kiedy Sundance'a i Butcha oblega meksykań-

**ska armia? Wiedzą że to nic nie da, ale wybiegają, waląc ze wszystkich luf.
Przez chwilę wydawało mi się, że mamy kłopoty.**

Jack.

Do zapamiętania

Dzieci, urodziny Emily, foremki na galaretki, mąż.

Do zapomnienia: Ty, Ty, Ty.

TLR

Sąd Macierzyński

Kobieta, po wielekroć wzywana przed Sąd Macierzyński, nigdy nie uważała się za winną. Nie rozumiała, czego od niej chcą. Mogła wymienić tyle uzasadnionych powodów, dla których pracuje zawodowo, tyle płynęło stąd korzyści zarówno dla niej, jak i dzieci, miała na podorędziu cytaty z Glorii Steinem, że mężczyzna nigdy nie musi się głowić, jak pogodzić ojcostwo z karierą. Argumentami mogła sypać jak z rękawa, kiedy jednak przychodziło co do czego i wstawiała z ławy oskarżonych, żeby zabrać głos, wszystkie one obracały się w jej ustach w popiół, a w głowie powstawała pustka.

Podejrzewała, że ma to coś wspólnego z porą, o jakiej odbywają się rozprawy. Było to zawsze nocą, podczas snu, kiedy umysł nie pracuje jak należy. Swoje robiła też sama sala rozpraw — duszna, o wyłożonych dębową boazerią ścianach, pod którymi siedziały rzędem posepne postaci w perukach i w czerni. Odnosiła wrażenie, że zeznaje w gigantycznej trumnie, obserwowana przez grabarzy, którzy czekają, aż sama wykopie sobie grób. I nienawidziła sędziego. Miał co najmniej sześćdziesiąt pięć lat i kłopoty ze słuchem.

— Katharine Reddy — grzmi sędzia — stajesz tej nocy przed Sądem Macierzyńskim pod zarzutem udania się w służbową podróż do Stanów Zjednoczonych Ameryki i pozostawienia w Londynie chorego dziecka. Co masz na swoją obronę?

O Boże, tylko nie to.

—To prawda, Wysoki Sądzie, zostawiłam Emily w Londynie z podwyższoną temperaturą. Ale gdybym w ostatniej chwili odmówiła przeprowadzenia tego finału, firma Edwin Morgan Forster już nigdy nie powierzyłaby mi żadnego odpowiedzialnego zadania.

—Co to za matka, która wyjeżdża, zostawiając chorą córeczkę? — pyta sędzia, patrząc na nią groźnie z góry.

—To ja, ale...

—Głośniej!

—To ja, Wysoki Sądzie. Tak, zostawiłam Emily, ale wiedziałam, że jest odpowiednio leczona, dostawała antybiotyki i rozmawiałam z nią codziennie przez telefon, i zamierzam jej urządzić przyjęcie urodzinowe na pływalni, i naprawdę uważam, że kobiety powinny być wzorami dla swoich córek, i... bardzo ją Kocham.

—Pani Shattock. — Oskarżyciel zerwał się na nogi i mierzył w nią palcem. — Sąd słyszał, jak zwierzała się pani swojej koleżance, pannic Candance Stratton, że uwalniając się od swojej rodziny po feriach zimowych i wracając do biura, odczuwa pani coś, co określiła pani jako „niemal orgazmiczną ulgę”. Jak to pani skomentuje?

Kobieta śmieje się. Niewesołym, gorzkim śmiechem.

—To chwyt poniżej pasa. Fakt, dobrze się znaleźć z dala od kogoś, kto chodzi wciąż za człowiekiem, krzycząc: „mamusiu, kupę!”. Nie przeczę. Ludzie w biurze rozumieją przynajmniej, że jestem zajęta, i nie nudzą, żebym im zrobiła tosta albo kupiła loda na patyku, albo ściągnęła pepegi. Jeśli uznawanie tego za ulgę jest przestępstwem, to przepraszam: jestem winna zarzucanego mi czynu.

—A więc przyznaje się pani do winy? — ożywia się sędzia.

—Proszę wziąć pod uwagę — podejmuje kobieta — świadczący na moją korzyść fakt, że w St Davids zbudowałam trzy zamki z piasku i pozwoliłam Emily wpleść sobie we włosy kawałki skorupy zdechłego kraba, które ona nazywała klejnotami syrenki. Śpiewałam też dzieciom piosenki i robiłam im kanapki. Codziennie dwa rodzaje, chociaż one i tak jadły tylko chrupki...

— Pani Shattock, czy przyznaje się pani do winy! — ryczy sędzia. — Tak czy nie? Sądu Macierzyńskiego nie interesuje, co pani porabiała nad morzem.

Kobieta przekrzywia głowę i w jej oczach zapala się jakiś przekorny, niemal buntowniczy ogień.

—A czy istnieje coś takiego, jak Sąd Ojcostwa, pszešana? Głupie, doprawdy, pytanie. Pomyśleć tylko, ile czasu by zajęło rozpatrzenie spraw, które się do tej pory nawarstwiły. Spraw wszystkich tych modeli, którzy po pracy wpadają do pubu, a do domu ściągają późnym wieczorem. No, ile by to trwało, dwa tysiące lat?

—Cisza! Cisza, mówię! Jeśli dalej będzie się pani tak zachowywała, pani Shattock, każę panią zamknąć w celi.

—Nic mam nic przeciwko. Może nareszcie bym się wyspała.

Sędzia wali swoim młotkiem w stół. Pęcznieje w oczach, a na jego starczą twarz występuje szkarłatny rumieniec. Tymczasem podsądna wyraźnie się kurczy. Nie większa od lalki Barbie, przesuwając się na skraj ławy dla oskarżonych, zatrzymuje tam, przestępuje przez chwilę z nogi na nogę na wysokich obcasach, a potem zaczyna krzyczeć piskliwym głosem, zwracając się do sędziego:

— W porządku, chcesz pan znać prawdę? Oto ona: jestem winna. Niewiarygodnie, neurotycznie, patologicznie winna zarzucanych mi czynów. A teraz proszę o wybaczenie, ale na mnie już pora. Na miłość boską, spójrz pan tylko, która to godzina.

Miłość, kłamstwa, krwawienie

Czy potraficie wyczuć zdradę na odległość? Jestem przekonana, że Richard to potrafi. Kiedy wróciłam z New Jersey, nie odstępował mnie na krok. Siedział na krawędzi wanny, kiedy spłukiwałam z siebie kurz podróży, upierał się, że umyje mi plecy, chwalił moją fryzurę, chociaż od trzech lat jej nie zmieniałam. I przypatrywał mi się podejrzliwie, tak jakby coś mu nie pasowało, tylko nie wiedział co, a kiedy nasze oczy się spotykały, szybko umykał wzrokiem. Po raz pierwszy wyczuwam między nami dziwne skrepowanie; pod koniec czerwca siódma rocznica ślubu, a my zachowujemy się wobec siebie ze sztuczną uprzejmością, jak dobrze wychowani goście na prozanej kolacji.

Kiedy Rich schodzi zamknąć drzwi wejściowe, wskakuję do łóżka i udaję głęboki sen, żeby uniknąć zbliżenia. Leżę obok niego z zamkniętymi oczami, a pod powiekami przelatuje mi film sklecony z luźno powiązanych ze sobą fragmentów. Czegóż tam nie ma: poczucie winy, praca, pożądanie, zakupy, chleb, ciasteczka ryżowe, uśmiech Jacka, tuńczyk w puszcze, czekające na sprawdzenie salda funduszy, sok jabłkowy, arkusze kalkulacyjne, słowo „pocałunek” wymawiane z amerykańskim akcentem, ogórki, galaretki w kształcie króliczków, z zieloną galaretką udającą trawę.

O pierwszym brzasku, kiedy dzieci na górze zaczynają się już wiercić w łóżkach, dochodzi jednak między nami do zbliżenia. Jest w tym akcie jakaś zawziętość, zaborczość, jakby mój mąż, działając pod wpływem głęboko zakorzenionego instynktu terytorialnego, brał mnie na powrót w posiadanie i zatykał swoją flagę. I w pewnym sensie jestem mu za to wdzięczna; to bezpieczniejsze od wypuszczania się w obcą krainę, gdzie panują dziwaczne zwyczaje i obowiązują nieznane symbole.

Richard ogarnia mnie jeszcze swoim bezwładnym ciałem, wyczerpany, kiedy do sypialni wpadają z piskiem dzieci. Pierwsza reakcja Emily na mój widok to wybuch radości, ale po kilku sekundach Em wydyma usteczka, a w jej zielonych

oczach pojawia się spojrzenie Otella. Ben jest tak zachwycony, że wybucha płaczem i klapie na wymoszczoną pieluszką pupę; jego małe ciało nie potrafi jeszcze udźwignąć siły uczuć, które nim miotają. Gramolą się oboje do naszego łóżka, Emily siada Richowi okrakiem na piersi, Ben kładzie się na wilgotnym odcisku, który pozostawił na moim nagim ciele jego ojciec. Unosi główkę i pokazuje paluszkami, jeden po drugim, elementy mojej fizjonomii.

—Oćko.

—Tak, oczko, bardzo ładnie.

—Noś.

— Nos, zgadza się, Ben, mądry chłopczyk. Uczyłeś się słówek, kiedy mamusi nie było?

Jego paluszek wskazujący, cieniutki jak ołówek, trafia między moje piersi.

—A to, młody człowieku — odzywa się Richard, unosząc się na łokciu i delikatnie odsuwając rączkę synka—jest damski biust, a u swojej mamusi możesz podziwiać jego szczególnie dorodny okaz.

—Mamusia jest do mnie podobna, prawda? — wtrąca się Emily, włączając na mnie i spychając Bena na mój brzuch, którego łagodny wzniesienie pamięta jeszcze, jak nosił ich oboje.

— Ja — szczebioce radośnie Ben. — Ja, Ja, Ja — popiskują dzieci, zagarniając we władanie matkę, z której krwi i kości powstały.

*

Moim zdaniem, każda kobieta mająca dziecko popełniła już rodzaj zdrady. Nowa miłość w gnieździe jest tak żarłoczna, że wszystkim innym pozostaje tylko czekać cierpliwie na okruchy, których przybędą w swej kukułczej zachłanności nic zdoła skosztować. A drugie dziecko jeszcze bardziej wyciska z matki nektar miłości.

Przez kilka dni po powrocie z każdej kolejnej podróży obiecuję sobie, że to był już ostatni raz. Widzę wtedy wyraźnie, że praca zawodowa i wychowywanie

dzieci nie idą ze sobą w parze. Emily i Ben potrzebują mnie, właśnie mnie. Och tak, kochają Richarda, oczywiście, że kochają, ale on jest dla nich towarzyszem zabaw, kolegą, ja wręcz przeciwnie. Tatuś jest oceanem, mama portem: bezpieczną przystanią, w której chronią się, by zebrać odwagę przed kolejnymi, coraz to dalszymi wyprawami. Aleja nie stanowię dla nich takiego portu; czasami, kiedy sprawy przybierają naprawdę zły obrót, kładę się i myślę, jestem statkiem żeglującym przez noc, a moje dzieci krzyczą jak mewy, kiedy obok nich przepływam.

Wyciągam więc swój kalkulator i znowu liczę. Gdybym rzuciła pracę, moglibyśmy sprzedać dom, spłacić hipotekę i kredyt na remont, który zaciągnęliśmy, kiedy wyszło na jaw, że ściany chłoną wilgoć jak gąbka i trzeba je osuszać oraz że budynek nierównomiernie osiada i wymaga podstemplowania. Wyprowadzić się z Londynu, kupić domek z ogródkiem, liczyć, że Richard będzie dostawał więcej zleceń na projekty architektoniczne, może podjąć jakąś pracę na niepełny etat. Żadnych urlopów za granicą, żadnych ekstrawagancji, żyć z ołówkiem w ręku.

Czasami niemal do łez wzrusza mnie wizja oszczędnej, odpowiedzialnej gospodyni domowej, którą mogłabym się stać. Ale na samą myśl, że po tylu latach przestałabym zarabiać, ogarnia mnie lęk. Własne pieniądze są mi potrzebne jak płuca. („Twoja biedna mama nigdy nie miała pieniędzy dla siebie” — powiedziała ciotka Phyllis, osuszając mi twarz chusteczką). I jakby to było, gdybym całymi bożymi dniami siedziała w domu sama z dziećmi? Potrzeby dzieci są jak studnia bez dna. Możesz przelewać na nie swoją miłość i cierpliwość, i nigdy nie ma temu końca, a wiąże się to zawsze z wyrzeczeniami. Podziwiam kobiety, które są do nich zdolne, jednak sama myśl, że i ja miałabym się czegoś wyrzec, napęła mnie paniką. Nigdy się głośno do tego nie przyznam, ale moim zdaniem, rezygnując z pracy, człowiek staje się jakby osobą zaginioną bez wieści. Powiększa rzeszę tych, którzy wyszli z domu i przepadli. Urzędy pocztowe w Anglii powinny być oblepione obwieszczeniami o poszukiwaniu kobiet, które poświęciły się swoim dzieciom i słuch o nich zaginął. Kiedy więc moja dwójka skacze po ciebie, które wydało je na świat, popiskując swoje „Ja”, głos wewnętrzny we mnie stara się je przekrzyknąć, wołając: „Ja, Ja, Ja”.

*

Godz. 7.42

Za cholere nie wyjdę dzisiaj z domu. Emily oznajmia, że nie włoży żadnego z trzech kompletów ubrań, które jej proponuję. Okazuje się, że jej nowym ulubionym kolorem jest żółty.

—Przecież do tej pory chciałaś się ubierać tylko na różowo.

—Różowy jest brzydki.

—Przestań, kochanie, daj, mamusia podciągnie ci spódniczkę. Taka ładna spódniczka.

—Nie chcę różowej — rzuca mi w twarz Emily. — Nienawidzę różowego.

—Tylko nie tym tonem, Emily Shattock! Myślałam, że kończysz niedługo sześć lat, a nie dwa.

— Nieładnie tak mówić, mamusiu.

No i co począć z dzieckiem, które w ciągu dwudziestu sekund potrafi przejść od tupania nóżkami do pouczania starszych, że zachowują się niestosownie. Zmierzając do drzwi, krzyczę jeszcze do niewidocznego Richa, żeby wezwał fachowca do zmywarki do naczyń. Wręczam Pauli listę zakupów, wszystkie pieśniadze, jakie mam przy sobie, i nic zapominam powtórzyć cztery razy „proszę”. Kiedy jestem już przy drzwiach, Emily uderza w płacz. Stoi u szczytu schodów i z tego końca holu przypomina nic tyle rozżaloną małą dziewczynkę, **co** uskrzydloną furię. Gniew mnie opuszcza, w miejsce po nim wsącza się poczucie winy. Wracam i przytulam córeczkę, zdjawszy uprzednio żakiet, żeby nie wysmarować go sobie gilem dyndającym u małego noska.

—Mamusiu, byłaś w Egg Pie Snake Building?

—Słucham?

—Chcę z tobą pójść do Egg Pie Snake Building. To w Ameryce.

—Ach, Empire State Building. Tak, skarbie, mamusia kiedyś cię tam zabierze, jak będziesz starsza.

— Jak skończę siedem lat?

— Tak, jak skończysz siedem lat. — Buzia wypogadza jej się szybko, jak niebo po burzy.

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Wielki zlot konsultantów u nas w maju. Stop. Uprasza się o przybycie niezrównanego brytyjskiego doradcę inwestycyjnego. Stop.

Wspaniały bar ostrygowy na Grand Central Station. Stop. Potrafisz pokłnąć tuzin ostryg? Ja nie. Stop.

Godz. 14.30

Wsiadam na King Cross do pociągu. Jadę na konferencję do York. Pozwalam sobie pomyśleć o Jacku tylko dwa razy na godzinę. To akt nieprawdopodobnej

samodyscypliny lekko nadwreżonej faktem, że wykorzystałam już ten limit, zanim ruszyliśmy ze stacji. Kiedy wspominałam, jak całowałam jego, a on mnie w Sinatra Inn, coś się we mnie topi. Czuję się pełna złota.

Szarpnięcie, i pociąg odbija z przeciągłym jękiem od peronu. Rozkładałam na stoliku swoje zabawki: chociaż raz mogę posiedzieć w spokoju i poczytać gazetę. Nagłówek na stronie 2: DLACZEGO DRUGIE DZIECKO MOŻE ZNIWECZYĆ TWOJĄ KARIERĘ. Tego zdecydowanie nie przeczytam. Przysięgam na Boga, że od przyjscia na świat Emily co miesiąc natykam się na jakiś nowy naukowy wywód, że dziecko niszczy moje perspektywy na osiągnięcie czegoś w pracy zawodowej albo, co bardziej bolesne, moja praca niszczy perspektywy dziecka. Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, nie jest dobrze.

Otwieram gazetę na stronic dla kobiet i przystępuję do rozwiązywania tak zwanego quizu stresowego.

Czy cierpisz na którąś z poniższych dolegliwości?

a/ bezsenność

b/ nerwowość

Na miłość boską, czego tam znowu? Cholerna komórka. To Rod Task z biura.

—Katie, słyszę, że finał z Moo Moo poszedł jak z płatka.

—Momo.

— Przecież mówię. Tak sobie myślę, że mogłybyście się na stałe spiknąć i zająć jeszcze innymi funduszami etycznymi.

Rod mówi, że musi zajrzeć do pliku Salingera. Ale mój komputer odmawia dostępu. Chce, żebym mu podał hasło.

— Ben Pampers.

— Pampas? Nie wiedziałem, że masz słabość do Argentyńczyków, Katie.

— Nie rozumiem.

— No, pampasy. To takie łąki w Ameryce Południowej, dobrze mówię?

— Nie, P.A.M.P.E.R.S. to rodzaj... eee... kosmetyku.

Kiedy ostatni raz znalazłaś czas na przeczytanie książki?

a/ nie dalej niż miesiąc temu

b/ dawniej niż...

Znowu komórka. Moja matka.

—Bardzo jesteś zajęta, Kath, kochanie?

—Nie, słucham, mamó.

Opieram głowę o zagłówek i nastawiam się na długą rozmowę. Nie powiem przecież matce, że „być zajęta” to już nie to samo, co w jej czasach, kiedy mówiło się tak, mając na myśli robienie przepierki albo kanapek z serem i dżemem dla wracających ze szkoły dzieci. Określenie to nabrało o wiele szerszego, globalnego wręcz znaczenia.

Mama mówi, że dzwoni, bo chce się dowiedzieć, jak Emily czuje się w przedszkolu, odkąd jej koleżanka Elle już tam nie chodzi.

Oj, niedobrze. Pierwsze słyszę, że Elle nie chodzi już do przedszkola. Nie zjechałam tam od czasu, kiedy zaczęłam się przygotowywać do finału.

— O, świetnie. Przeszła jakoś nad tym do porządku dziennego. I świetnie jej idzie na lekcjach baletu. — Pociąg wjeżdża do tunelu. Połączenie urywa się.

Ściśnięty żołądek nie pozwala mi się skupić na quizie stresowym. Kiedy zaczęłam okłamywać matkę? Nie mam tu na myśli obligatoryjnych przeinaczeń w kontaktach matka-córka: — Ani trochę, nigdy tego nic próbowałam, trzy cole, ale wszyscy je noszą, on spał na podłodze, tak, kolega Deb, nie, nie przepłaciłam, na wyprzedży, tak, niepowtarzalna okazja, świetnie, lepiej nie mogłoby być.

Nie, nie chodzi o kłamstewka, które są po prostu wzajemnym ubezpieczeniem. Kiedy jesteś młoda, matka osłania cię przed światem, bo uważa, że jesteś za młoda, żeby go zrozumieć, a kiedy ona się starzeje, ty osłaniasz ją, bo ma za wiele lat, żeby go rozumieć. Tak przebiega krzywa życia: chcesz wiedzieć—dowiadujesz się—nie chcesz wiedzieć.

Ja mam na myśli okłamywanie mojej matki, że jestem matką z prawdziwego zdarzenia. Zapewniam ją, że Emily dobrze zniosła rozstanie z najlepszą koleżanką, chociaż nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. Prędzej zwierzyłamby się mamie, że nie wie mi się w pracy, niż przyznała, że jestem obcą osobą dla własnych dzieci. Mama myśli, że u mnie wszystko się układa, i cieszy się z tego. Nie mogę jej przecież powiedzieć, jak jest w rzeczywistości, prawda? Bo wyobraźcie sobie, jak byście zareagowali, dowiadując się, że Kopciuszek po zjawieniu się w pałacu został odesłany przez Księcia do wybierania popiołu z paleńska.

The Cloisters Hotel, York, godz. 19.47

Oddzwaniem do matki. Odbiera, głos ma jakiś nieswój. Kiedy naciskam, **przyznaje**, że przez tę pogodę nie najlepiej się ostatnio czuje, co, jak wiem, oznacza, że nic ma czucia w kończynach i narządy wewnętrzne odmawiają posłuszeństwa. O Boże.

Natychmiast po zakończeniu rozmowy wybieram numer swojej siostry Julie, która mieszka kilka kroków od mamy. Odbiera Steven, najstarszy syn Julie. Informuje mnie, że mama ogląda akurat odcinek *Coronation Street*, ale zaraz ją zawoła.

Głos mojej młodszej siostry Julie wciąż mnie zaskakuje: zniknęła z niego niegdysiejsza pogoda, stał się spięty, burkliwy. Ilekroć teraz rozmawiamy, odnośną wrażenie, że ona żywi do mnie jakąś urazę.

Ja wyjechałam, Julie została. Julie, mając dwadzieścia jeden lat zaszła w ciążę, wyszła za męża i w wieku dwudziestu ośmiu lat była już matką trójki dzieci, a ja nie. Mąż Julie jest elektrykiem, mój architektem. Julie mieszka półtora kilometra od naszej matki i stara się do niej codziennie zaglądać, a ja nie. Żeby związać

koniec z końcem, Julie, która ma zdolności manualne, musi dorabiać sobie szyciem malutkich firaneczek i majstrowaniem miniaturowych mebelków dla miejscowej firmy produkującej domki dla lalek, ja, pracując głową, nie muszę. (Do tego, niewykluczone że pośrednio inwestuję pieniądze swoich klientów w dalekowschodnie manufaktury, które wypychają z rynku pracodawcę Julie). Julie tylko raz była za granicą — w Rimini, a i wtedy pogoda jej nie dopisała — podczas gdy dla mnie takie wojaże, nierzadko nawet dwa razy w tygodniu, są chlebem powszednim. I nic z powyższego nie jest niczyją winą, ale między mną i moją siostrą utrzymuje się teraz napięta atmosfera będąca mieszaniną współczucia i nieuzasadnionych pretensji.

Pytam Julie, czy nie wypadałoby nakłonić mamy, żeby poszła do lekarza, i słyszę wymowne westchnienie.

— Mama mnie nie posłucha — mówi Julie. — Jeśli tak się o nią troszczysz, to przyjedź i sama jej to powiedz.

Tłumaczę, jaka jestem zaganiana, ale Julie wpada mi w słowo:

— Tak czy siak, fizycznie nic jej nie dolega. To przez tych facetów, którzy ją wciąż nachodzą. Podobno tato jest im winien jakieś pieniądze.

— Dlaczego mi o tym nic powiedziałaś?

Z pokoju dziennego mojej siostry dobiegają żałobne tony tematu przewodniego z serialu *Coronation Street*. W dzieciństwie uwielbiałyśmy z Julie tę mydlaną operę. Był nawet taki okres, kiedy kochałyśmy się obie na zabój w Rayu Langtonie, mechaniku o ciemnych falujących włosach. Skończyło się to, kiedy Ray został przygnieciony przez jeden ze swoich samochodów. Od dwudziestu lat tego nie oglądałam.

— Nagrałam się parę razy na tę twoją automatyczną sekretarkę, Kath — mówi moja siostra — ale widocznie jej nie odsłuchujesz.

Godz. 20.16

Konferencja dotyczy sklepów internetowych, a ściślej rzecz biorąc, tego, co z nich zostało. Faceci, którzy przekonali City, że do nich należy przyszłość, okaza-

li się. gadającymi kryształowymi kulami. Nie uwierzylibyście, ile kapitału wpompowano w firmy, które zamierzały handlować markową odzieżą poprzez sieć. Ale wiecie co? Ludzie wolą chodzić po sklepach i przymierzać, zanim coś kupią. (Doradcy inwestycyjni kobiety od początku nieufnie podchodziły do tego pomysłu, dzięki czemu nie osmaliły sobie tak skrzydełek. Lepiej oszacowałyśmy ryzyko i zainwestowałyśmy w te niepewne akcje o wiele mniej od naszych kolegów. Ludzie mówią, że miałyśmy szczęście; nie zgodzę się z tym. Według mnie, my mamy to we krwi: lubimy trzymać w spizarni trochę żelaznych racji, żeby mieć czym karmić młode, kiedy wejście do jaskini zatarasuje tygrys szablasto-zębny).

Rozpakowując walizkę przed zejściem na kolację, znajduję dużą kopertę z napisem: „Otworzyć dopiero w niedzielę!”, skreślonym ręką Richarda. Otwieram. To laurki z życzeniami dla mnie z okazji Dnia Matki. Na jednej odcisnięta czerwona farba dłoń Bena. Na wpół się uśmiecham, na wpół krzywię, wyobrażając sobie, ile bałaganu musiało kosztować jej wyprodukowanie. Emily narysowała mnie en face. Mam koronę na głowic, trzymam zielonego kota i jestem tak wysoka, że góruję nad pobliskim pałacem. W środku napisała: „Koham swoją mamusię całym serduszkim i jeszcze bardziej”.

Nie do wiary. Zapomniałam o Dniu Matki. Mama nigdy mi tego nie wybaczy. Dzwonię do recepcji.

— Możecie mi podać numer do sieci kwiaciarni Interflora?

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Przylecisz do Nowego Jorku? Czy ja mam przylecieć do ciebie. Stop.

Myślę o tobie. Stop.

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Nie. Stop.

Do zapamiętania

Naprawić zmywarę do naczyń. Chodnik na schody? Zadzwoić do JM Cooper-Clark. Zapisać Bena do żłobka? PILNIE wybrać szkołę dla Emiły! Zapłacić za balet. Przypomnieć Richowi, żeby podjął gotówkę na wypłatę dla Pauli. PIENIĄDZE DLA JUANITY! Zmienić hasło w komputerze. Urodziny Pauli — bmw? Bilety na koncert George'a Michaela? Zadzwoić do taty i pogadać o jego długach. Znaleźć chwilę czasu i odwiedzić mamę. Kupić płytę Sinatry. Żeń-szeń na poprawienie sobie pamięci?

TLR

Jacy byliśmy

Godz. 3.39

Budzi mnie dzwonek do drzwi. To Rob, nasz sąsiad mieszkający trzy domy dalej. Mówi, że usłyszał jakieś hałasy, wyrzał i zobaczył grupkę, wyrostków przy naszym samochodzie. Uciekli, kiedy krzyknął. Richard wychodzi oszacować szkody. Boczna szyba rozbita w drobny mak, tylna cała spękana. Alarm się oczywiście nie włączył. Samochodowe alarmy, reagujące zazwyczaj na byle podmuch wiatru, milczą jak zaklęte, kiedy naprawdę dochodzi do włamania.

Rich idzie zakleić okno folią, a ja dzwonię do Prontoglass Usługi Przez Całą Dobę.

— Przepraszamy, ale wszystkie nasze linie są w tej chwili zajęte. Prosimy czekać na połączenie.

Zajęte'? Wszystkie'? O czwartej rano?

— Jeśli znasz numer wewnętrzny, z którym chcesz się połączyć, naciśnij jeden. Jeśli chcesz rozmawiać z operatorem, naciśnij dwa.

Naciskam 2.

— Prosimy czekać na połączenie z operatorem. Dziękujemy za wybranie Prontoglass! Jeśli chcesz rozmawiać z operatorem, naciśnij trzy.

Naciskam 3.

— Niestety, połączenie nie może być w tej chwili zrealizowane. Prosimy zadzwonić później!

Strach pomyśleć, ile czasu traci się codziennie w tych rozbrzmiewających echemi wirtualnych przedpokojach, czekając na połączenie rozmowy. Szlag człowieka trafia, kiedy wyczekując pokornie, aż ktoś z tamtej strony raczy łaskawie podnieść słuchawkę, zmuszony jest przez siedem minut wysłuchiwać Vivaldiego w instrumentacji na fletnie Pana. Nie ma już sensu wracać do łóżka. Postanawiam się ubrać i czymś zająć. To dobra pora na telefon do Tokio. Ledwie jednak kończę zapinać po omacku bluzkę w ciemnej wciąż sypialni, z góry dobiega wrzask. Kiedy tam docieram, Ben stoi w łóżeczku i robi awanturę potworowi, który wyrwał go ze snu. Paluszkami wskazującym wytyka oskarżycielsko niewidzialnego prześladowcę.

— Wiem, kochanie, wiem, jacyś brzydki panowie pobudzili nas wszystkich.

Ben jest tak wystraszony, że sam już nie zaśnie. Przenoszę go na sąsiadującą z łóżeczkiem sofę i kładę się obok niego.

— Ur — jęczy Ben. — Ur.

Wstaję, wyjmuję z łóżeczka obszarpanego małego kangura i wpycham mu go pod paszkę.

Dzieci mają między brwiami takie magiczne miejsce. Wystarczy potrzeć je palcem, a oczka automatycznie się zamykają. Mój synek nie cierpi spać, bo sen odcina go od świata realnego, który tak zachłannie chłonie, zaczyna jednak odpływać, jego indygowo-oczek zachodzą mgiełką. Leżę obok i kontempluję splekany sufit i płatki odłóżonej farby wokół oprawy oświetleniowej. Nawet mój sufit cierpi na wywołaną stresem egzemę. Wyobrażam sobie palec masujący to miejsce między moimi brwiami i całkowicie ubrana zapadam w niespokojny sen.

Godz. 6.07

Do pokoju Bena wchodzi Richard, żeby mnie zmienić. Ben leży płasko na brzuszku jak szczeniaczek. Rozmawiamy szeptem.

— A mówiłem, żeby nie kupować volvo, Kate.

— Czyli to moja wina, że jacyś gówniarze włamali się do naszego samochodu?

—Nie, ale w tej okolicy taki wóz to czysta prowokacja, nie uważasz?

—Daj spokój, Rich, nawet Tony Benn nie uważa już wszelkiej własności za kradzież.

Richard śmieje się cicho.

— A kto kiedyś powiedział, że przestępczość to po prostu kara za niesprawiedliwość społeczną?

— Ja to powiedziałam? Kiedy?

— Wkrótce po wejściu w posiadanie swojego pierwszego golfa kabrioletu, pani Engels.

Teraz ja się śmieję. Zachęcony tym Rich zaczyna całować mnie po włosach i powoli wsuwa mi dłoń pod spódnicę. To zadziwiające, jak szybko twardnieją sutki, nawet jeśli nie jest się w nastroju. Rich ściąga mnie właśnie na dywanik z Kubusiem Puchatkiem, kiedy Ben siada jak pchnięty sprężyną, obrzuca rodziców zgorzonym spojrzeniem i pokazuje na siebie. (Czy wspominałam już, że dzieci są również zagorzałymi przeciwnikami seksu? Wydawałoby się, że powinny odnosić się z nostalgią do aktu, w wyniku którego powstali; ale nie, one zdają się mieć jakiś wbudowany alarm połączony z zapinką biustonosza, ostrzegający je wyciem o każdej próbie zbliżenia). Rich bierze synka na rękę i schodzi z nim na dół na wcześniejsze dzisiaj śniadanie.

Zamykam znowu oczy, ale myśl o tym, jak się z Richardem zmieniliśmy, nie daje mi zasnąć. Poznaliśmy się przed piętnastu laty na uniwersytecie; uczestniczyłam kiedyś w pikiecie przed Barclays Bank, a on otwierał tam właśnie konto. Krzyczałam coś o Afryce Południowej: „Jak śmiecie inwestować w brutalność?”, a kiedy Rich mijał naszą gromadkę sprawiedliwych, wręczyłam mu ulotkę, którą on z grzeczności przestudiował. „No, no, niewesoło się to przedstawia” — powiedział i zaprosił mnie na kawę.

Richard Shattock był najwytworniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam. Kiedy się odzywał, odnosiło się wrażenie, że to mówi Kenneth Branagh, który połknął Kennetha More'a. Uzbrojona w stereotyp, że uczniowie szkół publicznych są emocjonalnymi kalekami, zupełnie nie wiedziałam, co robić, kie-

dy nie ulegało już wątpliwości, że Richard potrafi obdarzyć mnie uczuciem, jakiego dotąd nic zaznałam. Rich, w odróżnieniu od moich idealistycznych znajomych, nie zamierzał ratować świata; on go ulepszał samą swoją na nim obecnością.

Po raz pierwszy kochaliśmy się sześć dni później, w pokoju jego kolegi na poddaszu. Słońce wpadało zakurzoną złotą smugą przez świetlik, a on z powagą odpiął mi plakietkę „Cykliści przeciwko bombie” i powiedział:

— Jestem przekonany, Kate, że Rosjanie będą spali spokojniej, kiedy się dowiedzą, że zdałaś już egzamin na kartę rowerową.

Czy wcześniej zdarzało mi się śmiać z samej siebie? Dźwięk, który tamtego wieczoru wydałam, przypominał gulgot długo zaczopowanego źródła budzącego się wreszcie do życia.

— Za ten śmiech mam ochotę cię zjeść — powiedział Richard.

Pamiętam, jak zachwycało mnie jego ciało, ale jeszcze bardziej zachwycała reakcja na nie mojego ciała. Kostki jego kręgosłupa kojarzyły mi się z kamiennymi stopniami, które prowadzą do pieczary rozkoszy. Za dnia jeździliśmy na rowerach po Fens i krzyczyliśmy „Górka!”, ilekroć wyczuliśmy w pedałach najmniejsze wzniesienie, ale nocami penetrowaliśmy zupełnie inne okolice.

Kiedy zaczęliśmy ze sobą sypiać — mam tu na myśli sypianie jako takie, nie seks — kładliśmy się pośrodku łóżka twarzami do siebie; tak blisko, że czuliśmy swoje ciepłe, nocne oddechy. Napierałam piersiami na jego tors, a moje nogi, do tej pory nie wiem, jak to było możliwe, znikały pod jego nogami niczym ogon syreny. Kiedy wspominam teraz tamtą łóżkową pozycję, przed oczyma staje mi kształt konika morskiego.

Z czasem zaczęliśmy sypiać odwróceniami do siebie plecami. Wydaje mi się, że tę naszą pierwszą symboliczną separację można datować na koniec lat osiemdziesiątych, kiedy to zakupiliśmy u Heala małżeńskie łóżko. A potem, wraz z przyjściem na świat naszego pierwszego dziecka, rozpętała się wojna o sen. My, dla których łóżko było dotąd areną wspólnych miłosnych igraszek, strzegliśmy teraz zazdrośnie swoich miejsc wypoczynku. Jeżyłam się na całym ciele w reak-

cji na wszystko, co przeszkadzało mi w zapadnięciu w błogi letarg. Wystarczył zabłąkany łokieć czy kolano, by wybuchła bitwa o granice. Pamiętam, że zaczęło mnie drażnić głośne, ekscentrycznie artykułowane kichanie Richarda. „Aaaaa-PSIA!” — ryczał. — „Aaaa-PSIA!”

W studenckich latach podróżowaliśmy pociągami po Europie. Pewnego wieczoru wylądowaliśmy w małym hoteliku w Monachium. Łóżko wyglądało na podwójne, ale po odrzuceniu pościeli okazało się, że ma dwa materace odgrozdzone cienką drewnianą deską, która skutecznie przeszkadza w spotkaniu się pośrodku. Ależ to było teutońskie. „Ty będziesz Niemcami Wschodnimi, a ja Zachodnimi” — powiedziałam do Richa, kiedy w poświęcie ulicznych latarni kłaliśmy się, każde na swojej połowce. Śmieliśmy się wtedy, ale po jakimś czasie zaczęłam się zastanawiać, czy ten monachijski mebel nie był aby małżeńskim łóżem z prawdziwego zdarzenia: praktycznym, bezpłciowym, rozłączającym to, co Bóg połączył.

Godz. 7.41

Pod dom zajeżdża Winston i Paula siłą odrywa ode mnie opierającego się Bena w zapaćkanym resztkami śniadania śliniaczku pod szyją.

— Już dobrze, skarbie, już dobrze — słyszę jeszcze głos Pauli, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

Usadowiona na tylnym siedzeniu Pegaza, próbuję czytać

„Financial Times”, żeby rozgrzać się przed czekającą mnie prezentacją, ale nie mogę się skoncentrować. To ta muzyka. Jazzowa aranżacja na fortepian kawalka, którego tytuł mam na końcu języka — „Someone To Watch Me”? Brzmi to, jakby pianista rozbiwszy oryginalną linię melodyczną na tysiąc okruchów, podrzucał je teraz w powietrze i patrzył, gdzie spadną. Riffy przywodzą na myśl tasowanie talii kart. Winston nuci pod nosem temat przewodni i od czasu do czasu cmoka z zachwytu nad jakimś szczególnie odkrywczym udziwnieniem. Tego poranka luz i dobry humor mojego kierowcy są dla mnie jak obelga, jak wyrzut sumienia. Niech przestanie!

— Nie moglibyśmy dzisiaj objechać światła na New North bocznymi uliczkami, Winstonie? Tak będzie chyba szybciej.

Nie odpowiada od razu. Zwleka do końca kawałka i odzywa się dopiero, kiedy w powietrzu cichnie ostatni akord:

— Wie pani, tam, skąd pochodzę, ludzie mawiają: śpiesz się powoli.

— Kate, mam na imię Kate.

— Wiem, jak pani ma na imię — mówi. — Według mnie, pośpiech to zguba ludzkości. Co nagle, proszę pani, to po diable.

Mój śmiech brzmi bardziej ponuro niż zazwyczaj.

— I to mówi kierowca taksówki?

Winston nie odgryza się, spogląda tylko przeciągle we wsteczne lusterko i mówi:

— Myśli pani, że chciałbym się znaleźć w pani skórze? Pani sama źle się w niej czuje.

No właśnie.

— Słuchaj, nie płacę ci za psychoterapię. Chciałam, żebyś mnie jak najszybciej dowiózł do Broadgate, ale widzę, że to wyczyn ponad twoje siły. Jeśli pozwolisz, wysiądę tutaj i pójdę dalej piechotą. Będzie szybciej.

Kiedy wręczam Winstonowi dwudziestkę, ten, sięgając do kieszeni po drobne, zaczyna śpiewać: „There's somebody I'm longing to see/I hope that he/Turns out to be/Someone to watch over me”.

Godz. 8.33

Wyskakują z windy i wpadam na Celię Harmsworth.

—Pobrudziłaś sobie czymś żakiet, moja droga. — Szefowa działu personalnego uśmiecha się ironicznie.

—Też coś. Dopiero odebrałam go z pralni. — Zerkam na swoje ramię i widzę rozmazaną plamę, epolet z bananowej owsianki Bena. *O, nie. Boże, jak mogłeś mi to zrobić?*

—Nie mogą wyjść z podziwu, jak ty dobrze sobie radzisz, Katharine — cedzi Celia, wyraźnie zachwycona jeszcze jednym dowodem na to, że wcale sobie nie radzą.

(Celia należy do tych starych panien, które do niedawna cieszyły się statusem jedynej kobiety w męskim świątku, co pozwalało jej czuć się ładną; potem pojawiły się młode dzierlatki jak ja i odebrały jej monopol).

— Z taką gromadką dzieci musi ci być ciężko — dodaje tonem wyjaśnienia. — Kiedy cię nie było, wyjeżdżałaś z dziećmi na ferie, o ile się nie mylą? Mówiłam Robinowi Cooper—Clarkowi, że doprawdy nie pojmuję, jak ty to robisz.

—Z dwojgiem.

—Słucham?

— Z dwojgiem. Wspomniałaś o gromadce dzieci. Ja mam ich dwoje. O jedno mniej niż Robin.

Odwracam się na piacie, podchodzą do swojego biurka, ściągam zaplamiony zakiet, wrzucam go do dolnej szuflady. Za oknem nieopisany harmider. Gołębie z parapetu postanowiły się tam osiedlić na stałe. Samczyk siedzi z gałązką w dziobku i sprawia wrażenie trochę ogłupiałego. Skąd ja to znam? Tak samo wygląda Rich, kiedy przynosi do domu paczką z półkami do samodzielnego montażu. Tymczasem samiczka pracowicie układa z kupki zgromadzonych patyczków podobną do tratwy konstrukcją wielkości talerza. No nie, one wiją sobie gniazdo!

— Guy, dzwoniłeś do Zarządu Miasta, żeby przysłali tego gościa z jastrzębiem? Te cholerne gołębie przymierzają się do przedłużania gatunku.

Wyciągam z torebki kieszonkowe lusterko i oglądam sobie szyję. — czysta, ani jednego śladu po ząbkach Bena — po czym udaję się na naradę z udziałem Robina Cooper-Clarka i kadry kierowniczej. Prezentacja idzie mi nad podziw dobrze. Wszyscy obecni wlepiają we mnie oczy, zwłaszcza ten sukinsyn Chris

Bunce. Najwyraźniej zaczynam wzbudzać szacunek: taktyka zachowywania się po męsku, nie wspomniania o dzieciach itp, przynosi widać efekty.

Wyłączam rzutnik przezroczy, zapalam górne światło i nagle dociera do mnie, że jestem na sali jedyną osobą bez penisa. Nie najodpowiedniejszy moment na takie refleksje, Kate. Ale czyż można nie myśleć o kutasach, mając przed sobą audytorium złożone z siedemnastu mężczyzn? Z drugiej strony, czy oni muszą tak wybałuszać na mnie gały? Spuszczam wzrok. Spod białej przejrzystej bluzki prześwituje stanik Agentki Prowokatorki. Kiedy o 4.30 wyjmowałam go po omacku z szuflady komody, było jeszcze ciemno. Jezusiczku, wyglądam jak Pamela Anderson na wręczaniu Oscarów.

Godz. 11.57

Siedzę w kabinie damskiego kibelka i przyciskam rozpalony policzek do chłodnej ścianki działowej. Ścianka, wyłożona czarnym marmurem w białe gwiazdki, jest jak mapa wszechświata: mam wrażenie, że wsysa mnie kosmiczna pustka, a ja jestem jej za to niezmiernie wdzięczna. Gdyby tak można było zniknąć na parę mileniów w czarnej dziurze i przeczekać tam, aż zatrze się wspomnienie publicznego upokorzenia. Kiedyś rozładowywałam tu stresy, kopiąc papierosy; od kiedy rzuciłam palenie, śpiewam sobie pod nosem. „Jestem silna. Jestem niewidzialna. Jestem Kobietą”.

To piosenka Helen Reddy z moich szkolnych czasów. Byłam wniebowzięta, że nosi to samo co ja nazwisko, a tekst napełniał mnie pewnością, że kobiety potrafią sobie poradzić z każdą kłódą, jaką życie rzuci im pod nogi. W college'u, przygotowując się z Debrą do wieczornego wyjścia w miasto, w kółko puszczałyśmy sobie ten kawałek z magnetofonu, żeby podbudować się psychicznie.

O, tak, jestem mądra

Ale to mądrość zrodzona z bólu,

Tak, drogo mnie to kosztowało,

Ale spójrzcie, ile zyskałam!

Jestem silna. Jestem nie-wi-dzial-na.

Jestem Kobieta.

Czy wierzę w równość płci? Trudno powiedzieć. Kiedyś wierzyłam, z całym przekonaniem młodej dziewczyny, która wie absolutnie wszystko, a w rezultacie nie wie nic. Była to szlachetna i bezdyskusyjnie sprawiedliwa idea. Ale jak, u diabła, miała działać w praktyce? Dobra praca i urlop macierzyński to nie wszystko. Kobiety noszą w głowach wizję życia rodzinnego, takie już są. Co wieczór, w drodze z City do domu, obserwuję kobiety przemykające w blasku ulicznych latarni z neseserem w jednej i wypchaną siatką z zakupami w drugiej ręce. Albo przestępujące z nogi na nogę na przystankach autobusowych jak nakręcane zabawki.

Nie tak dawno moja przyjaciółka Philippa zwierzyła mi się, że postanowili spisać z mężem testament. Phil chciała umieścić w nim punkt, w którym Mark zobowiązałby się, że w przypadku jej śmierci będzie obcinał dzieciom paznokcie. On uznał to za żart. Ona wcale nie żartowała.

Pewnej soboty, pod koniec ubiegłego roku, wróciłam z podróży służbowej do Bostonu i zastałam w holu Richa, wychodzącego z naszą dwójką na jakieś przyjęcie. Emily włosy miała w nieładzie, a na policzku czerwoną szramę — po bliższej inspekcji okazało się, że to zaschnięty ketchup jeszcze z lunchu. Zgięty we dwoje Ben był ubrany w coś bardzo ciasnego w morelowe kropki. Przyjrzawszy się lepiej, rozpoznałam skafanderek jednej z lalek Emily.

Kiedy zwróciłam mężowi uwagę, że nasze dzieci wyglądają tak, jakby szły z nim zebrać do metra, Rich obruszył się i powiedział, że łatwiej jest krytykować, niż samej coś zrobić.

*

Od: Kate Reddy Do: Candy Stratton

Dzień, jak dotąd, cudowny. Pokazałam właśnie niechący biust szefowi do spraw inwestycji i jego kompanii Chris Bunce podszedł do mnie później i powiedział:

— Zrobiłaś to jak rasowa profesjonalistka, Kate, bez zahamowań. — Zarechotał sprośnie i dodał jeszcze, że umieści mnie w swojej witrynie. JAKIEJ WITRYNIE??

Do tego Abelhammer zaprosił mnie na seksrandkę do Nowego Jorku.

Dlaczego wszyscy mężczyźni to buhaje i koguty?

Od: Candy Stratton Do: Kate Reddy

Nie przejmuj się, skarbie. Cycuszki masz jak malowanie. Kompleks penisa odchodzi w zapomnienie.

Czas na kompleks cycków!

Bunce to kupa gówna. A w swojej witrynie może się brandzlować.

Chyba spotkasz się z tym Abelhammerem z Nowego Jorku, wygląda mi na faceta do rzeczy.

Nie cierpię, kiedy jesteś taka brytyjska. Candida Thrush xxx

Godz. 13.11

Lunch z Robinem Cooper-Clarkim i nowym klientem, Jere-mym Brownin-giem, w Tartuffe. Wewnątrz restauracji usytuowanej na dachu budynku, z którego widać Royal Exchange, panuje dostojna, niemal klasztorna cisza. Niskie siedzenia obite są brązową skórą, a kelnerzy poruszają się bezszelestnie. Menu zupełnie mi nie odpowiada — nie uwzględnia wcale kobiecego podniebienia. Kiedy pytam kelnera, czy mają jakąś sałatkę, mówi „*Jvlais oui. Madame*” i oferuje mi coś faszerowanego jakimis *gésiers*.

Kiwam niepewnie głową, a Robin odchrząkuje i mówi.

— To chyba pieczone ptasie żołądki.

Ptasie żołądki? Jak można coś takiego przełknąć'?

Mówię, że może być ta sałatka, ale bez żołądków. Przez wargi Robina prze- myka cień uśmiechu, ale kelner zachowuje kamienną twarz.

— Ma pani jakieś koligacje z tymi Reddymi z Worcesters-hire? — pyta Jere- my, kiedy Robin przegląda listę win. Nasz klient jest po pięćdziesiątce, ale nieźle się trzyma i wie o tym: od szyi w górę opalenizna z nart, wyrobione na siłowni bary, wprost bije od niego aura sukcesu.

—Nic, raczej nic. Urodziłam się trochę dalej na północ.

—The Borders'?

— Nie, bardziej Derbyshire i Yorkshire. Często się przeprowadzaliśmy.

— Ach, rozumiem.

Ustaliwszy, że nie jestem warta zainteresowania i raczej nie znam nikogo, kto byłby go wart, nasz nowy klient zaczyna traktować mnie jak powietrze. W ciągu ostatniego dziesięciolecia w moim kraju zatarł się podział na klasy społeczne, ale nie dotarło to jeszcze jakoś do jego właścicieli. Dla ludzi takich jak Jeremy, An- glia kończy się na Hyde Parku, no i jest jeszcze Szkocja, gdzie udają się gremial- nie we wrześniu zabijać zwierzęta. The North, rozległa połać ziemi między Lon- dynem a Edynburgiem, to dla nich obcy kraj, który najlepiej przebyć samolotem albo nocą w wagonie sypialnym ekspresowego pociągu. Jeremy Browning, po- dobnie jak jego przodkowie, którzy podbijali być może Indie, nadal nie wychyla nosa poza swój zaścianek.

Robin nigdy nie potraktowałby mnie tak jak Jeremy, nie potrafiłby, ale prze- cież Robin jest od dwudziestu lat z Jill, która żywi wrodzoną pogardę, dla sno- bów. Serce mi rośnie, kiedy obserwuję swojego szefa przy takich okazjach. Jest wesoły, jowialny i chociaż o niebo przerasta inteligencją swoich klientów, potrafi w nich wzbudzić przekonanie, że to oni są górą. Widząc, że Browning spycha mnie poza linię autową wydarzeń, łagodnie, ale stanowczo próbuje włączyć mnie z powrotem do konwersacji:

— Kate będzie prowadziła twój fundusz — oświadcza. — To z nią będziesz konsultował strukturę swoich portfeli i tak dalej. Potrafi ci wyjaśnić nawet tajemnicze posunięcia Banku Rezerwy Federalnej.

A po kilku minutach, zaskakując naszego klienta z pełnymi ustami gołąbka, dodaje:

— Zdradzę ci, Jeremy, że fundusze, którymi zarządza Kate, przyniosły nam największy zysk za ostatnie sześć miesięcy, a nie był to najlepszy czas dla inwestorów, prawda, Kate?

Kocham go za to, chociaż jego wysiłki spełzają na niczym. Istnieją mężczyźni, którzy bez względu na wszystko wolą mieć do czynienia z innym mężczyzną, jakimkolwiek mężczyzną, niż z kobietą, i Jeremy Browning do nich się zalicza. Widzę, że nie bardzo wie, jak mnie zaszufelkować", nie jestem jego żoną ani matką, nie chodziłam do szkoły z jego siostrą i pewnie jak diabli, że nie pójdę z nim do łóżka. Przeżuwa w milczeniu gołąbka, a ja czytam w jego myślach: Co w takim razie robi tutaj ta dziewczyna? Po co nam ona?

Jestem świadkiem takich rozterek już od dobrych dziesięciu lat i wciąż nie rozumiem, co je wywołuje. Lęk przed nieznanym? Było nie było, Jeremy'ego w wieku lat siedmiu wyprawiono do szkoły dla chłopców, potem poszedł do jednego z ostatnich męskich college'ów, jego żona Annabel siedzi w domu z synami i dziedzicami, a on prywatnie uważa, że każde inne rozwiązanie byłoby rodzajem zbrodni przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy.

— Przepraszam, ale to moje wino.

Jeremy pociąga mnie za rękaw. Uświadamiam sobie, że machinalnie popycham jego kieliszek w kierunku środka stolika: odruch bezwarunkowy, którego nabawiłam się podczas posiłków w towarzystwie Emily i Bena.

— Ojej, strasznie przepraszam. Mam dzieci, które ciągle coś rozlewają albo strącają ze stołu.

—Och, a więc ma pani dzieci — powiada.

—Tak, dwoje.

—Więcej pani nie planuje, mam nadzieję?

Słowa te zawisają w powietrzu. On najwyraźniej obawia się, że moja płodność może zaszkodzić jego interesom, uważa, że skoro mi płaci, to mam być tylko jego, a nie zajmować się młodymi jakiegoś samca rywala. Mam ochotę kopnąć go pod stołem tak, żeby sam nie mógł już mieć więcej dzieci. Ale określenie „zmiażdżone jądra” nie wyglądałoby dobrze w raporcie ze spotkania z klientem.

— Skądże znowu — mówię, odchrząkując, bo w krtani uwięzła mi sałata. — Pan będzie u mnie na pierwszym miejscu, panie Jeremy.

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddly

Nawiązując do twojej korespondencji dotyczącej POŻYCZEK, zataczam kilka przemyśleń na ten temat. Nie są niestety moje, chociaż dosyć dokładnie oddają to, co myślę o osobie, która zarządza moim funduszem.

Niczego nie darowuję, Pożyczyć tylko mogę, Lecz nie miej mi tego za złe: Człowiekiem tylko człowiek. Nie można żądać więcej, Niż ktoś pożyczyć jest w stanie; Nie skończy się to już jutro, Lecz koniec kiedyś nastanie.

Choć śmierć i czas są silniejsze, I miłość silna być może; I mimo że świat przetrwa dłużej, Jej też nic długo nie zmoże

Od: Kate Reddy

Do. Jack Abelhammer

Dziękuję za przemyślenia o POŻYCZKACH. Jako twój doradca finansowy powinnam cię uprzedzić, że wartość twoich inwestycji może zarówno wzrosnąć, jak i spaść. Rynek jest w tej chwili dosyć rozchwiany, ale będę niedługo w Stanach i wtedy podyskutujemy o rosnącym poziomie ryzyka.

Wiersz piękny

Kate xxxxx

Godz. 3.44

Zostawiłam śpiące dzieci same w domu i wyskoczyłam na chwilę do pracy. Mam coś do zrobienia. Coś pilnego. Nie zajmie mi to dużo czasu. Dwadzieścia, góra czterdzieści minut. Nawet nie będą wiedziały, że wyszłam.

W biurze jest cicho, nie licząc westchnień i posapywań maszyn uprawiających ze sobą w półmroku maszynową miłość. Nic mnie nie rozprasza, pracuję więc z niespotykaną wydajnością; liczby wymaszerowują mi spod palców niczym armia mrówek podzielonych na plutony. Zapamiętuję kwartalny raport z wyników funduszu, wygaszam ekran i wymykam się z budynku. Przedświt. City jak po ataku nuklearnym — ani żywego ducha, gdzieś tam śmieć tańczący w ciepłych podmuchach wiatru, niebo koloru przypalonego rondla. Jest taksówka — zamazane żółte światełko na horyzoncie. Zbliża się. Macham. Nie zatrzymuje się. Mija mnie druga taksówka ciemna jak karawan. Zaczynam się denerwować. Nadjeżdża trzecia. Wybiegam na środek ulicy, żeby ją zatrzymać. Kierowca omija mnie ostrym skretem. Przez przednią szybę widzę jego kostropatą gębę, z poruszających się bezgłośnie ust odczytuję: „Gdzie leziesz, ślepa krowo?”.

Siedzę na krawężniku i szlocham w bezsilnej frustracji. Ulicą mknie wóz strażacki na sygnale. Zatrzymuje się i strażacy pomagają mi wdrapać się do kabiny. Jestem im tak wdzięczna, że zapominam powiedzieć, dokąd chcę się dostać, ale oni i tak pędzą znajomymi ulicami, by w końcu skręcić w moją. Już z daleka widzę tłumek zgromadzony przed moim domem.

Z okna sypialni — sypialni Emily — wydobywają się kłęby dymu.

— Spokojnie, proszę pani, zajmiemy się tym — mówi jeden ze strażaków.

Walę pięściami w drzwi. Wołam dzieci po imionach, ale zagłusza mnie wycie syreny. Nie słyszę własnego krzyku. Wyłączcie tę syrenę. Błagam, czy ktoś mógłby wyłączyć tę przeklętą syrenę...

—Kate! Kate, obudź się! Już dobrze! Już dobrze.

—Co?

—Już dobrze, kochanie. Miałaś zły sen.

Siadam. Przepełniona nocna koszula lgnie mi do ciała. Jakiś ptaszek próbuje wyrwać się na wolność z mojej klatki piersiowej.

—Zostawiłam dzieci, Rich. Wybuchł pożar.

—Wszystko w porządku. Naprawdę w porządku.

—Nie, zostawiłam je same w domu. Poszłam do pracy. Zostawiłam je...

—Nie. Nikogo nie zostawiłaś. Posłuchaj, to Ben płacze. Posłuchaj tylko.

Rzeczywiście. Z góry dobiega wycie syreny — wycie ząbkującego dziecka, jednoosobowej drużyny strażackiej.

TLR

Dzień odpoczynku, a w praktyce dzień niemającej końca fizycznej harówki. Zaczynam od wyrzucenia z lodówki przeterminowanych gotowych dań. (Czyli „żelaznych porcji Reddych”, jak zwykle je nazywać moja szwagierka). Wycieram szmatką szklane półki z dziwnego, alopodobnego nalotu. Wywalam gomułkę parmezanu, który cuchnie starymi skarpetkami. Pozbywam się czerstwych minipączków, którymi Paula dokarmia dzieci; ukrywam je przezornie na samym dnie worka na śmieci. Dla moich wrażliwych pociech tylko produkty pierwszej świeżości. Ile razy mam jej to powtarzać?

Trzy razy napełniam i opróżniam pralkę. Juanita ze swoimi chronicznymi bólami krzyża (uskarża się na nie od trzech i pół roku) nie może dźwigać ciężkiego kosza z praniem. Pranie rzeczy dorosłych domowników nie wchodzi w zakres obowiązków niańki, chociaż Paula łamie sporadycznie tę zasadę i wrzuca do pralki moje sweterki przeznaczone tylko do prania ręcznego. (Za każdym razem zamierzam jej zwrócić uwagę, by więcej tego nie robiła, i zawsze odkładam tę rozmowę ad acta).

Zaprosiłam dzisiaj Kirsty i Simona na „relaksujący” lunch. Trzeba spotykać się z przyjaciółmi, pamiętać, że życie to nie tylko praca, utrzymywać kontakty towarzyskie, bo to umacnia poczucie wspólnoty itd., itp. Poza tym dzieci muszą od czasu do czasu zobaczyć mamusię na luzie w kontekście domowych pieleszy. Nie może pozostać w ich wspomnieniach z dzieciństwa jako ta kobieta w czerni, która wybiegając z domu, wyrzaskiwała jeszcze przez ramię ostatnie polecenia.

Wszystko jest pod pełną kontrolą. Książka kucharska, otwarta na właściwej stronie, spoczywa niczym Biblia na specjalnym pulpicie, składniki przygotowane, ułożone we właściwej kolejności. Jest też bardzo fikuśna buteleczka oliwy z oliwek przepasana jedwabną wstążeczką. Ja w przepięknym retrofartuszkę w kwiatki, który jest ironicznym ukłonem w stronę gospodyni domowej z lat pięć-

dziesiątych, a jednocześnie symbolizuje dystans wobec zatrwazającej domowej służalczości kobiet w rodzaju mojej mamy. Przynajmniej w założeniu. Przygotowałam też sobie swobodny weekendowy strój pani domu, w który przebiorę się tuż przed przybyciem gości: dzinsy i różowy kaszmirowy sweterek. Postępując ściśle według przepisu na krem do placuszków, siekam kozieradkę i por, ucieram podpuszczkowy twardy ser. Gdyby jeszcze nie ten Ben, który czepia się mojej nogi jak pijany płota, wbijając w nią nieobcięte paznokietki. Ilekroć próbuję go od siebie odstawić, wyje jak strażacka syrena.

Niektóre gospodynie same robią ciasto do placuszków, ale z nimi jest tak, jak z kobietami, które w sypialni stają się niewolnicami — podziwia się ich wysiłek i technikę, ale niekoniecznie chce się naśladować. Wyjmuję gotowe placki z opakowania i nacieram jeden roztopionym masłem. Do kuchni wchodzi Emily z wydętą dolną wargą.

— Gdzie Paula?

— To niedziela. Paula ma dzisiaj wolne, kochanie. Emily i mamusia zrobią pyszne placuszki.

— Nic chcę. Ja chcę Paule.

Przysięgam, że kiedy pierwszy raz to od niej usłyszałam, serce o mało mi nie pękło, i nadal nic nie sprawia mi większego bólu, niż zdrada pierwородnej.

— Ale ja naprawdę chcę, żebyś mi pomogła przy tych placuszkach. Będzie fajnie.

Emily mierzy wielkimi oczami swoją matkę, która stara się odstawić matkę.

— Tatuś powiedział, że mogę pooglądać bajkę na wideo.

— Dobrze, pooglądaj, bylebyś się przebrała w tę granatową sukieneczkę przed przyjściem Kirsty i Simona.

Godz. 11.47

Wszystko pod kontrolą. Wracamy do przepisu. „Utrzeć twarde ser z dodatkiem soku cytrynowego na zimny sos beszamelowy”. Co to, u licha, jest sos beszamelowy?

Przewracamy kartkę. „Sos beszamelowy — patrz strona 74”. Co? Dopiero teraz mi to mówią? Dzwoni komórka. To Rod Task.

—Nie przeszkadzam, Katie?

—Ależ skąd. Auć! Przestań, Ben. Przepraszam, Rod. Mów.

— Przesyłam ci faksem szczegóły jutrzejszego spotkania, Katie. Dobrze się przygotuj. Alokacja i przypisanie aktywów, zarys strategii. Sama wiesz, to twoja działka. W piątek wieczorem Guy piał z zachwytu, kiedy rozmowa zeszła na twoją prezentację, opowiadał, jak pięknie się spisałaś, mimo wszystko.

—Mimo jakie wszystko?

—Oj, no wiesz, o czym rozmawiają faceci przy curry. Nie, nie wiem. Chętnie poszłabym w piątek wieczorem

z Rodem i całą resztą do hinduskiej restauracji, choćby tylko po to, żeby mieć na oku Guya, który przymierza się do mojego stołka, ale musiałam wracać do domu i czytać *Harry'ego Pottera*.

W tym momencie w nozdrza uderza mnie złowieszczy swąd wydobywający się z kuchenki.

—Spokojna głowa, Rod. Wszystko pod kontrolą. To do jutra.

—Trzymaj się, słonko!

Otwieram drzwiczki piekarnika. Katastrofa. Ciasto spalone na żużel. *Tylko bez paniki. Myśl, Kale, myśl.* Wybiegam na korytarz, wyrzaskując polecenia. Czy Rich byłby łaskaw ubrać Bena i posprzątać w kuchni?

Godz. 12.31

Wracam z supermarketu. Ben już ubrany, ale kuchnia wygląda jak po nalocie.

— Richard, prosiłam chyba, żebyś posprzątał.

Spogląda na mnie zdziwiony znad gazety.

— Sprzątałem. Właśnie skończyłem układać płyty w porządku alfabetycznym.

Zmiotam nogą szyny kolejki elektrycznej pod sofę, resztę zabawek wrzucam do schowka na szczotki i zatraskuję drzwi. Katastrofę z kozieradki i twardego sera zastąpi gotowy placek M&S. Jeszcze tylko przybranie. Fikuśna buteleczka oliwy z oliwek zatkana jest na amen woskowym korkiem w karmazynowym kolorze. Próbuję go usunąć otwieraczem do butelek, ale ten wyproszą tylko czerwone wiórki, które lecą do sałatki. Próbuję zębami. Ani drgnie. *O żesz ty. O, ty skubany.* Atakuję korek ostrym nożem. Nóż ześlizguje się po butelce i kaleczy mi dłoń. Wyglądam jak po próbie samobójstwa w pijanym widzie. Wyciągam szufladkę ze środkami pierwszej pomocy. Znajduję tylko plaster: Mister Bump. Wbiegam po schodach na górę, żeby się przebrać w swobodny strój pani domu. Wciągam na siebie nowe dzinsy, ale gdzie różowy kaszmirowy sweterek od Donny Karan? *Dlaczego w tym domu nic nie leży nigdy na swoim miejscu?*

Godz. 12.58

Jest sweterek. Paula upchnęła go w sam koniec szuflady, i nic dziwnego. Najwyraźniej trafił do pralki wraz z rzeczami dzieci. Tak się skurczył, że chyba tylko Ally McBeal by się w niego wcisnęła. Zbiegam na dół, a tam Ben kończy właśnie faszerowanie kieszeni magnetowidu resztkami utartego twardego sera. Emily podnosi wrzask, bo zacięła się kasetą z jej bajką. Richarda ani śladu. Dzwonek do drzwi.

Kirsty i Simon Bingowie są tak jak Richard architektami. W naszym wieku. Dzieci nie mają, mają za to wyjątkowego szarobłękitnego kota, który dryfuje niczym obłoczek dymu między japońską porcelaną na ich poddaszu w Clerkenwell. Kiedy jesteśmy u Bingów z wizytą, muszę co chwila pokrzykiwać na Bena, który podpełza do kręconych, niezabezpieczonych żadną barierką schodów i zagląda ciekawie w otchłań otwierającą się za krawędzią podestu. Między małżeństwami bezdzietnymi a tymi obciążonymi potomstwem występuje jakieś trudne do zwerbalizowania napięcie. Kiedy Emily nie było jeszcze na świecie, wspólnie z Kirsty i Simonem wynajmowaliśmy przez tydzień willę pod Siena, i teraz

ochładzające się stosunki między nami ocieplamy od czasu do czasu wspomnieniami z tamtych słonecznych wakacji. Teraz, jeśli w ogóle prowadzimy z Richardem jakieś życie towarzyskie, to preferujemy raczej ludzi, którzy też mają dzieci. Bo oni rozumieją. Nagłą potrzebę podgrzania pizzy i wyciągnięcia chusteczek higienicznych, często równocześnie; nieoczekiwane zapachy i pieluszki. Nastroje, które zmieniają się jak w kalejdoskopie.

Kirsty i Simon witają nas zawsze serdecznie, ale zauważyłam, że szczególnie wylewnie się z nami żegnają. Podejrzewam, że to preludium do eksplozji ulgi, z jaką opadają oboje na niewysmarowaną gilami sofę, ledwie drzwi się za nami zamkną. Ale dzisiaj przyszli do nas, a u nas praktycznie każdy sprzęt jest w zasadzie wielką chusteczką do nosa. W porównaniu ze stanem, w jakim zwykle znajduje się kuchnia, dzisiaj panuje tu nieskazitelny porządek, widzę jednak, jak Kirsty spogląda z pobłażliwym uśmieszkiem na przeoczony klocek walający się pośrodku podłogi i nie wiem czemu, ale mam ochotę ją spoliczkować.

Lunch przebiega bez zakłóceń. Przyjmuję bezwstydnie zachwyty nad placikiem M&S — mimo wszystko nic tak łatwo było go zdobyć. Konwersacja z Bingami zatacza szerokie kręgi. Czy to naprawdę dobry pomysł, żeby Wielka Sala British Museum była otwarta wieczorami? Według Simona, którego by chyba zatkało, gdyby się dowiedział, że zapomniałam, gdzie w ogóle mieści się British Museum, to „nieudany eksperyment”.

Następnie bierzemy na tapetę stagnację, w jaką popadło współczesne kino. Kirsty i Simon widzieli jakiś francuski film o dwóch dziewczętach pracujących w fabryce i są nim absolutnie zachwyceni. Rich wyjawia, że też go widział. Kiedy on znalazł czas na pójście do kina?

—Kate też pracowała kiedyś w fabryce, prawda, kochanie?

—Och, jakież to fascynujące — chwali Simon.

— Nic powiedziałabym. Plastikowe kapturki do puszek z dezodorantem w aerozolu. Robota nudna, śmierdząca i bardzo marnie opłacana.

Trochę niezręczne milczenie, jakie zapada, przerywa Kirsty.

—No a ty, Kate? — pyta rozkosznie. — Widziałaś ostatnio jakiś dobry film?

—O, tak. Byłam na Przyczajonym Tygrysie. — Zawieszam głos. — I Przyczajonym Smoku.

— Ukrytym — mruczy Rich.

— Ukrytym Tygrysie — poprawiam się. — Bardzo mi się podobały... eee... te chińskie numery. Mike Leigh był bardzo dobry, prawda?

—Ang — mruczy Rich.

—A mnie się podoba *Mary Poppins* — szczebioce Emily, i chwala jej za to, podbiegając do nas z drugiego końca kuchni. Jest nagusieńka, wlecze tylko za sobą zielony jedwabny ogon Małej Syrenki. — A Jane i Michael chodzą ze swoim tatą do pracy do banku. To niedaleko pracy mamusi i jest tam dużo gołębi. — Zaczyna śpiewać głośno i fałszywie z dziecięcą nieustraszoną: „Pokarm dla ptaszków, dwa pensy torebka, dwa pensy, dwa pensy, dwa pensy torebka”. A ty karmisz ptaszki, mamusiu?

Nie, ja napuszczam ludzi, żeby je tłukli.

—Tak, oczywiście, kochanie.

—Zabierzesz mnie do swojej pracy?

—Nie.

Kirsty i Simon śmieją się. Kirsty wydłubuje okruszek placka, który utkwił między zębami widelca, i zastanawia się, czy na nich już pora.

Do zapamiętania

Unikać kontaktów towarzyskich z ludźmi, którzy przywiązują wagę do schludności stroju albo czystości mebli. Lista rzeczy do spakowania na wycieczkę do Disneylandu. Chleb? Mleko. Chodnik na schody. Zadzwonić do taty. Zapisać Be-na do żłobka. Zadzwonić do JM Cooper-Clark!! Czekoladowe kaczuszki!

Ile to kosztuje?

Środa, godz. 22.35

Debra dzwoni do mnie do domu, co jest o tyle dziwne, że ostatnio rzadko ze sobą rozmawiamy, od dłuższego czasu kontaktujemy się wyłącznie za pośrednictwem e-maili. Z jej głosu domyślam się natychmiast, że stało się coś niedobrego. Pytam więc, co u niej. Wyrzuca z siebie jednym tchem: Och, po staremu: Jima nic będzie w domu na Wielkanoc, bo dopina jakiś interes, a ona musi odwieźć dzieciaki do rodziny do Suffolk, jej ojciec miał zawał, a jej mama udaje, że sobie radzi, ale sobie nie radzi, a nie chcą prosić o pomoc Deb i robić jej kłopotu, bo ona jest taka zapracowana i ma takie odpowiedzialne stanowisko, a ona, oczywiście, chętnie by im jakoś pomogła, ale ma takie urwanie głowy w pracy, gdzie wciąż zwlekają z przyjęciem jej na partnerkę, bo ten sukinsyn Pilbutt twierdzi, że „są pewne znaki zapytania co do jej zaangażowania”, a ona uczciwie sobie zapracowała na to partnerstwo, naprawdę na nie zasługuje, a do tego Anka, niańka, którą zatrudnia od czasu, kiedy Feliks był jeszcze jedynakiem, kradnie. Wspominała już o tym podkradaniu?

Nie, nie wspominała.

No tak, jeśli ma być szczerą, to zorientowała się tego lata, ale nie dopuszczała do siebie myśli, że jest okradana, nie chciała wiedzieć. Z początku były to małe sumy pieniędzy, a ona wmawiała sobie, że gdzieś jej się zapodziały i w końcu się znajdują. Potem zaczęły ginąć przedmioty — a to walkman, a to srebrna ramka do zdjęć, a to cyfrowa kamera, którą Jim przywiózł z Singapuru. Cała rodzina żartowała, że to sprawa jakiegoś niesfornego ducha, który nawiedził dom, ale Deb na wszelki wypadek kazała wymienić zamki w drzwiach na lepsze. Bo nigdy nic nie wiadomo. Potem, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, zawieruszyła się

jej skórzana kurtka, prześliczna, maślanego koloru, od Nicole Farhi, na którą właściwie nie było jej stać, a dałaby sobie głowę uciąć, że nigdzie jej nic została. Obdzwoiła jednak wszystkie restauracje, w jakich ostatnio bywała; przetrząsnęła dokładnie garderobę. Kamień w wodę. Kiedy półzartem powiedziała do Anki, że ma pewnie początki Alzheimera, ta zaparzyła jej herbatę, osłodziła ją trzema kostkami cukru — nic dziwnego, że Słowacy nie mają zębów — i powiedziała słodko: „Pani jest tylko trochę przemęczona. Nie wariatka”.

I Debra nigdy nie odkryłaby prawdy, gdyby któregoś popołudnia, w okienku między jednym klientem a drugim, nie wpadła niespodziewanie do domu. Grzebiąc kluczem w zamku drzwi frontowych, obejrzała się odruchowo, i co widzi? Anka nadchodzi ulicą, pchając przed sobą wózek z Ruby w środku, a na sobie ma skórzaną kurtkę. Deb z wrażenia odebrało władzę w członkach. Na szczęście zdążyła ochłonąć i schować się za baniakami na śmieci, zanim Anka ją zobaczyła.

I ostatniej soboty, kiedy Anki nie było, Deb zakradła się do jej pokoju. Czowała się we własnym domu jak włamywacz. I w szufladzie komody, nawet niespecjalnie ukryta, leżała kurtka oraz dwa lepsze sweterki Deb. W drugiej szufladzie znalazła kamerę i pamiątkowy zegarek po babci, taki ze srebrną wskazówką minutową w kształcie rybki.

—I co jej powiedziałaś?

—Nic.

—Jak to, Deb, musiałaś coś powiedzieć.

—Anka jest u nas od czterech lat. Kiedy rodziłam Ruby, przyjechała do szpitala z Feliksem. Traktujemy ją jak członka rodziny.

— Ładny mi członek rodziny, który cię okrada, a potem obłudnie współczuje i pociesza.

Szokuje mnie bezbarwność głosu przyjaciółki: nie ma w nim ani krzty woli walki.

—Wiem, myślałam o tym, Kate. Ale Feliks jest i tak wystarczająco znerwicowany przez to, że mnie wiecznie nie ma w domu. Coraz gorzej z jego egzema... I kocha Ankę, naprawdę ją kocha.

—Daj spokój, to złodziejka, a ty jesteś jej szefową. Ciebie za takie coś od razu wywaliliby z roboty.

—Jakoś przeżyję to okradanie, Kate. Najważniejsze jest dobro dzieci. No, daj się o mnie. Mów, co u ciebie?

Biorę głęboki wdech, ale w ostatniej chwili gryzę się w język.

— U mnie? Wszystko w porządku.

Umawiamy się na kolejny lunch i Debra się rozłącza. Wiem, że z tego lunchu jak zwykle nic nie wyjdzie, ale mimo wszystko zapisuję go sobie w terminarzu, a obok rysuję uśmiechniętą buźkę, taką samą, jaką Debra rysowała zawsze na marginesie przy każdej wzmiance o wpływie Józefa Stalina na naszą wspólną europejską historię. (Jedna z nas musiała chodzić na wykłady, druga odsypiała zaległości).

Ile kosztuje płacenie komuś za to, żeby był matką waszym dzieciom? Czy ktoś to obliczył? Nie mówię tu o pieniądzech. Pieniądze też są ważne, ale co z innymi rzeczami?

Czwartek, godz. 4.05

Emily budzi mnie i mówi, że nie może spać. No i jesteśmy już dwie. Przykładam dłoń do jej czoła. Nie ma temperatury. Jest po prostu podniecona wycieczką do podparyskiego Disneylandu, którą obiecałam jej dzisiaj, jeśli tylko uda mi się wyrobić na czas z tym, co mam do zrobienia. Moja córka marzy o odwiedzeniu Disneylandu od czasu, kiedy dowiedziała się, że zamek Śpiącej Królowej, który widziała na filmie, naprawdę istnieje.

Teraz kładzie się obok mnie i szepce: — Czy Myszka Miki będzie wiedziała, jak mam na imię, mamusiu?

Mówię, że na pewno, i Emily, wtulając się we mnie, w końcu zasypia. A ja leżę rozbudzona i staram się przypomnieć sobie wszystko, o czym nie wolno mi

zapomnieć: paszporty, bilety, pieniądze, peleryny (na pewno będzie padało, przecież to święto), układanki/kredki/papier na wypadek gdybyśmy utknęli w tunelu pod kanałem, suszone morele na przegryzkę, galaretki na bakszysze, czekoladowe batoniki, które na pewno się roztopią.

Czy niejaka pani Pankhurst nie powiedziała kiedyś, że kobiety muszą się wreszcie zbuntować i przestać usługiwać mężczyznom? Cóż, Emmeline, posłuchałyśmy cię, i jak na tym wyszłyśmy? Kobiety wykonują teraz tę samą pracę co mężczyźni, i to równie dobrze, jeśli nie lepiej. Ale przez cały czas myślą o sprawach do załatwienia, których nikt za nic nie załatwi. Głowa pracującej matki to codziennie istne lotnisko Gatwick. Szczepienia ochronne (kłuć czy nie kłuć), plany lekcji, rozmiary bucików, pakowanie na wakacje, niańka, żłobek, przedszkole — a wszystkie te dylematy krążą w powietrzu i czekają na dalsze instrukcje z wieży kontroli lotów. Jeśli kobieta nie sprowadzi ich bezpiecznie na ziemię, to cały świat się zawali, nieprawdaż?

Godz. 12.27

Gołębica zniosła dwa jajka. Są eliptyczne i nieprawdopodobnie białe, z leciutkim błękitnym odcieniem. Mama i tato wysiadują je na zmianę. Obserwuję gołębic i przypomina mi się, jak zmieniamy się z Richem przy dzieciach, kiedy któreś z nich zachoruje.

Jeszcze dzisiaj muszę napisać cztery raporty, sprzedać ogromną liczbę akcji (kiedy rynki siadają, trzeba z nich ściągać gotówkę) i kupić stadko czekoladowych kaczuszek w Thorntons. Poza tym pracujemy z Momo nad pozyskaniem pewnego włoskiego funduszu etycznego. Od samego rana nic miałam wiadomości od Jacka i czekam z utęsknieniem na pojawienie się w prawym górnym rogu ekranu małej koperty, która powie mi, że on też o mnie myśli.

(Jak to było dawniej? Zanim zaczęłam czekać na e-maile od niego? Och, to czekanie. Albo czekanie, albo czytanie po raz kolejny jego ostatniej wiadomości, albo układanie swojej odpowiedzi i potem znowu czekanie. W stanie zawieszenia, w stanie oczekiwania. Niecierpliwość jest jak głód. Wpatrujesz się w ekran i usiłujesz siłą woli przywołać na niego słowa, nakłonić, żeby przemówił).

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Jack, jesteś tam?

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

CO TY SOBIE WYOBRAŻASZ? Odezwij się do cholery"

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Obrazileś się o coś?

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

halo?

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Co ty tam takiego robisz, że nie raczysz się nawet odezwać?

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Cóż miałbym robić, twój sługa niewolny, Jeśli wspomnień o tobie nie snuć kolorowych? Z kąta w kąt się snuję, zając czymś niezdolny. Na jedno twe skinienie pośpieszyć gotowy.

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Dobrze, wybaczam ci. Urocze. To sonet Billa Gatespaera, tak? Ale jedno sobie wyjaśnijmy: jeszcze jedno takie długie milczenie, a jesteś w Wielkim Kłopotcie. Jednym słowem, trup.

To nie przelewki xxxxx

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy

Stwierdziłem, że Bill Gatespaere ma oprogramowanie emocjonalne przydatne na każdą okazję... A skoro o tobie mowa, Katharine. to już jestem w Wielkim Kłopotcie. Jeśli nie da się inaczej i mam przyplacić życiem przywilej oglądania tu mojej doradczynie inwestycyjnej we własnej osobie, to gotów jestem zginąć z podniesionym czołem jak mężczyzna.

Wiedziałem, że wybierasz się z dziećmi do Disneylandu, pomyślałem więc sobie, że lepiej ci się nie narzucać ze swoją osobą bo przeszkodzę w przygotowaniach. Staram się pogodzić z myślą że możesz być szczęśliwa beze mnie.

Wzbraniam się dociekać swą zazdrosną myślą, Dokąd się udałaś, ni z kim tam przebywasz, Lecz, niewolnik żaloszny, myślę tylko o tym Gdzieś jest teraz, jak innych sobą uszczęśliwiasz.

Tak ładnie piszesz o swoich dzieciach — o Emily, która już czyta, o Benie, który próbuje z tobą rozmawiać — że nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś wspaniałą mamą. I taką uważającą. Moja mama przesiadywała całymi dniami w domu, grała z przyjaciółmi w brydża i popijała wódkę z martini, a naszą trójką nigdy się nie zajęła. Nie gloryfikuj niepracujących matek — schrzanić można wszystko, czy to z bliska, czy z daleka.

Mam cię wciąż w myślach. Przyłapałem się na tym, że przez cały czas z tobą rozmawiam. I zaczynam podejrzewać, że ty możesz mnie słyszeć.

Jack xxxxxxxx

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Słyszę cię.

TLR

Sobotni lunch, restauracja Toad Hall, podparyski Disneyland

Entuzjastyczny francuski pocałunek i namiętny uścisk wysokiego, śniadego nieznajomego. Jaka szkoda, że ma na imię Goofy. Emily, onieśmielona i przytłoczona zbiorowiskiem ucieleśnień postaci ze swoich ulubionych kreskówek, chowa się za nogami matki i nie chce powiedzieć „Cześć”.

Mija parę sekund i do restauracji wkracza nabzdyczona Paula. Jej pojawienie jest niczym uderzenie wibrującego uraza gongu. „Zgodziła się” towarzyszyć nam w wyprawie do Disneylandu z taką samą ochotą, z jaką Brytyjczycy „zgodzili się” oddać Indie. Zdaję sobie sprawę, że krótkookresową korzyść z jej pomocy przebiję z nawiązką długoterminowa taktyczna.

Ja chyba bez ustanku przepraszam za coś, czego nie zrobiłam. Przepraszam, że wczoraj w nocy Ben pobudził wszystkich swoim chrapaniem, przepraszam za niemrawą obsługę w hotelu, przepraszam, że Francuzi nie znają angielskiego. Aha, i zapomniałam jeszcze przeprosić, że pada. A z tego ostatniego powodu naprawdę mi przykro.

Paula tymczasem siada i przygląda się mojemu matkowaniu z pogardliwą wyższością instruktora nauki jazdy, który tylko czeka, kiedy początkującemu kursantowi powinie się noga.

Odstawszy swoje piętnaście minut w kolejce do baru przekąskowego w Toad Hall — parodia pałacowego przepychu, gargulce z szarego polistyrenu — docieramy wreszcie do lady i Paula zamawia dla siebie, Emily i Bena medaliony z kurczaka. Ponieważ słyszałam gdzieś, że kurczaki karmi się okruchami chleba z dodatkiem antybiotyku, ośmielam się zaprotestować. Sugeruję, że dla dzieci lep-

sze byłyby może placuszki lotaryńskie. Tu jest przynajmniej szansa, że ich składniki pochodzą z farmy, nic z próbówki.

— Skoro tak pani uważa — mówi rozkosznie Paula. Siadamy przy stoliku. Benowi usta wyginają się w podkówkę, kiedy podsuwam mu lotaryńskiego placuszka. Zaczyna przeraźliwie szlochać, zapowietrza się i nic może złapać tchu. Francuskie rodziny siedzące przy sąsiednich stolikach ze swoimi *enfants* w granatowych albo szarych ubrankach, zajadającymi *haricots verts*, oglądają się i patrzą ze zgorzaniem na anglosaską barbarzynekę. Emily odgryza jednego kęsa i z pełną jeszcze buzią oświadcza, że nie chce lotaryńskiego placuszka, bo smakuje jak jajko. Chce medalion z kurczaka. Paula, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna, nie mówi „a mówiłam”. Bez słowa bierze Bena na kolana, całuje go pocieszająco w policzek i karmi frytkami ze swojego talerzyka.

(Kiedy jestem z Paulą i dziećmi, czuję się czasami jak kiedyś w szkole, kiedy trzy dziewczyny z mojej paczki z dnia na dzień bardziej się do siebie zbliżyły. Jak to możliwe, że się nie załapałam, że zostałam pominięta? Ja, która zawsze wracałam ze szkoły pod rękę ze śliczną, lubianą przez wszystkich Géraldine — blondynka w typie Sarah Fawcett, bransoletka na kostce, biust; ja, która prowadziłam się pod pachę z Helgą — okularnica, alpejski wzrost, Austriaczka. Należałam nadal do paczki, ale funkcjonowałam jakby na jej marginesie. I te chichoty, które cichły, kiedy podchodziłam. Miałam nieodparte, okropne wrażenie, że się ze mnie śmieją).

— Przestań, Emily, proszę cię.

Em rozsypuje na stoliku cukier z cukiernicy. Zawieramy układ: może usypać z cukru górkę do zjeżdżania dla swojego breloczka na klucze w kształcie Myszki Miki, jeśli zje lotaryński placuszek i trzy zielone groszki. Nie, pięć zielonych groszków. Umowa stoi?

Wyluzowałabym się bardziej, gdyby nie ten dzwoneczek w głowie, który ostrzega mnie, że o czymś zapomniałam. *O czym? Co by to mogło być?*

Godz. 19.16

Nadmiar wrażeń daje o sobie znać. Emily, zamiast zasnąć, chce posłuchać jeszcze raz wielkanocnej opowieści. Dostała na jej punkcie obsesji przed tygodniem, kiedy to dowiedziała się, że Dzieciątko Jezus, o którym śpiewała kolędy w święta Bożego Narodzenia, wyrosło na mężczyznę, którego przybito do krzyża.

— Dlaczego zabili Pana Jezusa? *O Boże.*

— Bo... bo ludziom nie podobało się to, co mówi, i chcieli, żeby przestał.

Widzę, że Emily myśli intensywnie. W końcu pyta:

— Nic chcieli go słuchać?

— Tak, nie chcieli.

— A Pan Jezus umarł i poszedł do nieba.

— Tak.

— Ile miał lat, kiedy go rozkrzyżowali?

— Ukrzyżowali. Miał trzydzieści trzy lata.

— A ile ty masz lat, mamusiu?

— Trzydzieści pięć, kochanie.

— Niektórzy ludzie mogą żyć sto lat, prawda, mamusiu?

— Tak, mogą.

— Ale potem i tak umierają?

— Tak. — (Na pewno czeka, aż ją zapewnię, że ja nic umrę. Ale nie mogę tak powiedzieć).

— Smutno jest umierać, bo potem nie można się już bawić z koleżankami.

— Tak, Em, smutno, bardzo smutno, ale zawsze będą ludzie, którzy cię kochają...

— W niebie jest bardzo dużo ludzi, prawda, mamusiu? Bardzo, bardzo dużo.

— Tak, skarbie.

Jako umiarkowani agnostycy, którzy w niedzielę rano wolą się porządnie wyspać niż dreptać do kościoła, po ślubie postanowiliśmy z Richardem, że kiedy doczekamy się własnych dzieci, nie będziemy im mącić w głowach obietnicą życia po śmierci. Żadnych aniołów ani archaniołów, żadnych harf, żadnych Pól Elizejskich, gdzie faluje tłum ludzi, których się nie cierpiało za życia. Trzy sekundy po tym, jak moja córeczka po raz pierwszy wypowiedziała słowo „umierać”, złamałam to postanowienie. Jakże ja, która umieściłam na czarnej liście jej lektur bajki braci Grimm, wychodząc z założenia, że są zbyt okrutne, miałabym teraz otworzyć drzwiczki rozpalonego pieca i zachęcać ją do kontemplacji odchodzenia w niebyt każdego, kogo kiedykolwiek pozna i pokocha?

—A jest w niebie Wielkanocny Króliczek?

—Nie, Wielkanocnego Króliczka tam nie ma. Na pewno.

—Ale Śpiąca Królowa jest.

— Nie, Śpiąca Królowa mieszka w swoim zamku i zobaczymy ją tam jutro.

*

Pytania Emily wprawiają mnie często w konsternację, ale jeszcze bardziej konsternujące jest to, że mogę jej odpowiadać, co mi się żywnie podoba. Mogę jej, dajmy na to, powiedzieć, że Bóg istnieje albo że Boga nie ma, mogę jej powiedzieć, że zespół Oasis był lepszy od zespołu Biur, chociaż kiedy dorośnie do wieku, w którym kupuje się płyty, płyt już nie będzie, a Madonna stanie się postacią z zamierzchłej przeszłości i mało kto będzie pamiętał, co to za jedna. Mogę jej powiedzieć, że Cary Grant idzie łeb w łeb z Williamem Szekspirem w wyścigu o tytuł Najwybitniejszego Anglika, mogę ją zachęcać do kibicowania jakiejś drużynie piłkarskiej albo wmawiać, że sport to nudy na pudy, mogę jej doradzić, żeby rozważnie wybierała tego, komu odda swoje dziewictwo albo przybliżyć pokrótce najskuteczniejsze metody antykoncepcji. Mogę jej zasugerować, żeby od samego początku odkładała ćwierć rocznej pensji na przyszłą emeryturę,

albo powiedzieć, że najważniejsza jest miłość. Mogę jej wmówić dosłownie wszystko, i ta swoboda wyboru jest zachwycająca, ale i przerażająca zarazem.

Szpital, wypisując mnie przed sześcioma laty do domu z noworodkiem, zapomniał dołączyć instrukcję Sensu Życia. Pamiętam, jak Richard przyniósł Em z samochodu w nosidełku z wielką rączką, i postawił z przesadną ostrożnością na podłodze w salonie. Wydawała nam się wówczas taka krucha. Popatrzyliśmy z Richem na swoją córeczkę, potem na siebie, i pomyśleliśmy: „I co dalej?”.

Żeby prowadzić samochód, trzeba najpierw zdobyć prawo jazdy, za wychowywanie dziecka bierzesz się z marszu, bez żadnych uprawnień. Stawanie się rodzicem to jak przystępowanie do budowania łodzi, kiedy jest się już na pełnym morzu.

Szpital dał nam ciekawą broszurkę w niebieskiej plastikowej okładce — kilka stron, na każdej kilka rysunków, każdy przedstawiający dwoje rodziców w usztywnionych pozach. Usztywnieni rodzice z przejęciem maczający kanciaste łokcie w wanience z wodą do kąpieli albo sprawdzający temperaturę mleka w butelce poprzez wykapanie paru kropel na grzbiet kwadratowej dłoni. Była tam też tabelka z godzinami karmienia, wskazówki na temat przechodzenia z pokarmów płynnych na stałe oraz, o ile dobrze pamiętam, wykaz powszechnie spotykanych wysypek. Ale ani słówka o tym, jak przygotować dziecko do myśli, że kiedyś śmierć mu cię zabierze.

Kiedy tak teraz patrzę na buzię Em, promienną i zakłopotaną zarazem, natchodzi mnie to zapierające dech w piersiach uczucie, uczucie, którego doświadczały przede mną setki milionów innych matek, kiedy ze ściśniętą krtanią starały się odpowiadać swojemu dziecku na to najstarsze pytanie świata.

—Ty umrzesz, mamusiu?

—Kiedyś tak. Ale jeszcze nieprędko.

—A kiedy?

—Kiedy nie będziesz już potrzebowała mamusi.

—Ale kiedy?

— Kiedy sama będziesz już mamusią. No, dosyć tego, Em. Zamykaj oczka.

—Mamusi?

—Śpij, kochanie. Śpij. Jutro czeka nas dzień pełen wrażeń.

No i dobrze to rozegrałam? Tak im się to powinno tłumaczyć? Tak?

Niedziela, godz. 15.14

Piszcząc przeraźliwie, pędzimy z Emily wagonikiem diabelskiej kolejki, żółdki podchodzą nam do gardeł. Zaciskam mocno powieki i utrwalam sobie w pamięci migawkowe zdjęcie tej chwili: bawię się z moją cudowną córeczką. Jej włosy targane przez pęd powietrza, jej rączka wciśnięta w moją. Ale nawet tutaj mnie dopada: jest w tej szalonej jeździe coś, co przypomina mi o pracy. Ceny akcji na rynkach też pną się w górę, w górę, w górę i nagle buch; aż mnie ściska w dołku.

Och, Kate, ty głupia, durna, beznadziejnie bezmyślna... babo... Boże, nie... Zapomniałam dokonać we czwartek kilku transakcji. Miałam sprzedać pięć procent akcji — kiedy rynki siadają, Edwin Morgan Forster woli mieć więcej gotówki, a mniej akcji. Docieramy na szczyt, a mnie przed oczyma miga północna Francja i cała moja kariera. EMF wstrzymał już nabór nowych pracowników. Teraz kolej na zwolnienia. A kto pójdzie na pierwszy ogień? Jasna sprawa — doradca inwestycyjny, osoba, która zapomniała sprzedać akcje swoich klientów, bo kupowała te cholerne kaczuszki wielkanocne w czekoladzie.

— No, to jestem ugotowana — jęczę, kiedy gramolimy się z Emily z małej kolejki.

— Słucham? — pyta czekający na nas Richard.

— Wyleciałam z roboty. Zapomniałam. Staralam się o wszystkim pamiętać i zapomniałam.

—Zwolnij, Kate. Mów po kolei.

—Tatusiu, dlaczego mamusia płacze?

— Mamusia nie płacze — mówi Paula, która wyłoniła się z tłumu i wzięła Emily na ręce. — Mamusia tak się dobrze bawi i tak się uśmieła, że łyzy same poleciały. No dobrze, kto chce ciastko? — Zerka na mnie. — Mogę je zabrać Kate?

Kiwam tylko głową, bo głos mi odebrało. I Paula oddała się z dziećmi, pchając przed sobą wózek z Benem i prowadząc za rękę Emily. Co ja bym bez niej zrobiła?

Godz. 16.40

Jestem już spokojniejsza. To spokój kobiety skazanej i pogodzonej z losem. Absolutnie nic się nie da już zrobić; banki są dzisiaj pozamykane. Do wtorku niczego nie sprzedam. Nie ma sensu psuć reszty naszej wycieczki. Wyłączając z jednej z Tańczących Filiżanek, zauważam w kolejce mężczyznę, który wydaje mi się dziwnie znajomy. To Martin, mój dawny chłopak. Znacie to osobliwe uczucie, jakie potrafi wzbudzić widok kogoś, z kim się kiedyś chodziło? Doświadczam go teraz. Wspomnienie namiętności, trzepot serca. Odwracam się szybko i poprawiam szelki, którymi przypięty jest do wózka Ben.

Pierwsza myśl — powody, dla których lepiej, żeby Martin mnie nie poznał:

a/ Mam na sobie żółte plastikowe poncho przeciwdeszczowe, nabyte w disneylandowym sklepie, ozdobione podobizną Myszki Miki i cuchnące luźno zwiniętym kondomem.

b/ Moje włosy, suszone rano suszarką w hotelowej łazience, przylegają do głowy jak wełniana czapka pensjonariuszki domu spokojnej starości.

c/ Znajduję się w przededniu dyscyplinarnego zwolnienia z pracy, trudno by więc było zademonstrować, jak wspaniale ułożyło mi się życie bez niego.

Druga myśl:

a/ On mnie nie poznaje. ON MNIE NA WET NIE POZNAJE. Tak strasznie zbrzydłam, pomarszczyłam się, że nie budzę już pożądania u mężczyzny, który miał kiedyś na moim punkcie obsesję seksualną.

Ponad pastelową gromadą wirujących filiżanek napotykam spojrzenie mężczyzny. Uśmiecha się do mnie. To nie Martin.

Godz. 20.58

Wracamy pociągiem Eurostar do Londynu. Ben śpi na moich kolanach. Rzęsy ma długie, rączki dziecinnie pulchne, dołeczki w kostkach przywodzą na myśl pęcherzyki powietrza w cieście. Kiedy dorosnie, nie będę potrafiła mu powiedzieć, jak uwielbiałam te jego rączki. Może nawet nie będę już tego pamiętała. Chcę sięgnąć po laptopa, ale Ben przekręca się i wzdycha, tak jakby miał się obudzić. Zresztą i tak wolę nie sprawdzać swojej poczty; znalazłabym tam prawdopodobnie nuklearny opeer Roda i obłudne „słowa pocieszenia” autorstwa upiornego Guya. Najlepiej nastawić się już psychicznie na los domowej kury bez pensa przy duszy i nabyć, najlepiej na wyprzedaży, pokutny podkoszulek w kolorze khaki.

I z powyższego powodu nie przeczytałam tego wieczoru e-maila od Roda. E-maila, z którego dowiedziałabym się, że wszystko jest w porządku, a nawet lepiej niż w porządku.

Od: Rod Task Do: Kate Reddy

Kate, GDZIE CIĘ, KURDE, WCIĘŁO? Fed znowu tnie stopy. Reszta zespołu umoczona po pachy. Ty jedna nie sprzedałaś. Na czym polega twoja tajemnica, geniuszko? Szlajasz się z Greenspanem czy co?

Pluń na tego starego pryka i wracaj. Stawiam ci piwo.

Zdrówka Rod

Kate triumfująca

Biura Edwin Morgan Forster, wtorek, godz. 9.27 Alleluja! Jestem guru. Moje genialne wyczucie rynku — innymi słowy karygodne roztrzepanie, w wyniku którego zapomniałam dokonać kilku transakcji i tylko dzięki temu nie padłam ofiarą niespodziewanego cięcia stóp procentowych — przyniosło mi chwilowo status bogini biura. Kręcę się przy automacie do kawy i zbieram hołdy od z pozoru zachwyconych kolegów, których w środku, aż skreca z zawiści.

—Chyba tylko ty przewidziałaś, że Fed tnie i rynek się odbije, Kate — zachwyca się Dandruff Gavin. Przywołuję na twarz minę, która w założeniu ma wyrażać skromność i skrywaną dumę.

—Cholera jasna, zaskoczyło mnie z sześcioma procentami kapitału płynnego. Jesteśmy przez to kilka punktów bazowych do tyłu — jęczy różowolicy Ian. — A Brian został na lodzie z piętnastoma procentami. To kolejny gwóźdź do jego trumny. Szkoda chłopca. — Kiwam współczująco głową i mówię od niechcienia: — Ja miałam tylko jeden procent gotówki. — Delektuję się sukcesem, czuję go na języku, smakuje jak szampan.

Chris Bunce, mijając mnie w drodze do toalety, wyraźnie ucieka wzrokiem. Podchodzi Momo i cmoka mnie lekko w policzek, mniej więcej w tym samym momencie czuję na plecach spojrzenie Guya, które wraza się między łopatki niczym harpun.

Z drugiego końca biura zmierza w moim kierunku Robin Cooper-Clark, uśmiechając się z daleka pobłaźliwie jak biskup do świeżo upieczonego wikarego.

— I na trzeci dzień zmartwychwstała — mówi Robin. — No, no, pani Reddy, i kto powiedział, że w Wielkanoc cuda się nie zdarzają?

On wie. Wie. Pewne jak diabli, że wic. To najbystrzejszy człowiek w Układzie Słonecznym.

—Miałam tylko nieprawdopodobne szczęście, Robin. Alan Grcenspan odważył kamień z wejścia do grobowca.

—Miałaś wiele szczęścia, Kate, i jesteś bardzo dobra w tym, co robisz. A właśnie takim szczęście sprzyja. A przy okazji, czy Rod już ci mówił, że chcemy cię wysłać do Frankfurtu?

Wracam za swoje biurko cała w skowronkach, czuję się tak lekko, że fotel mi praktycznie niepotrzebny. Przeglądam kursy walut, sprawdzam sytuację na rynkach, potem wywołuję na ekran swoje emaile. Stwierdzam z uśmiechem, że nadawczyniami dwóch pierwszych są moje najlepsze przyjaciółki.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy, EMF

Potrzebna mi na gwałt nowa niańka. Anka obraziła się i wyniosła z humorem, kiedy napomknęłam jej o tych kradzieżach. Na razie zastępuje ją mama Jima, ale ona w piątek musi wracać do siebie do Surrey. Ratuj!!! Przychodzi ci coś do głowy? Okazuje się, że większość kandydatek nie może się obejść bez samochodu do swojej dyspozycji, cała reszta dobija czterdziestki i cierpi chyba na poważne zaburzenia osobowości, bo żąda pensji, jakiej redaktorka naczelna „Vogue” by się nie powstydziła.

Powód, dla którego powinnam zrezygnować z pracy. Bo już mnie nie stać na chodzenie do pracy!

Kiedy wreszcie zaczniemy się cieszyć życiem? I będziemy sobie mogły powiedzieć: „Aha! A więc po to była ta cała szamotanina!”.

Lunch w czwartek?????

PS: Muszę się przemóc i spojrzeć na życie bardziej pozytywnie. Wiem, że są ludzie, którzy żyją w skrajnej nędzy i nie mają nawet na buty et cetera.

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

A ja się tam cieszę, że ona się wyniosła. Dobrze zrobiłaś, że jej powiedziałaś. Nie panikuj, znajdziesz kogoś! Słyszałam, że bardzo dobre są Australijki. Prześlę ci telefony do paru agencji i spytam Paulę, czy nie słyszała o kimś, kto szuka pracy. Dzisiaj noszą mnie w biurze na rękach. Zupełny odlot.

Jeśli nie straszne ci Triumf ani Katastrofa

I potrafisz sprzedać to drugie jakby było pierwszym

— TO musisz być kobietą, dziewczyno!

A co w nagrodę? Wycieczka do Niemiec najtańszą linią lotniczą. Nazwy nie pamiętam.

Auf Wiedersehen Pet. Możemy przelożyć ten lunch?

Przepraszam, uściski, K xxxxx

Od: Candy Stratton

Do: Kate Reddy

O, kurwa. Jestem w ciąży.

Natychmiast spoglądam w kierunku siedzącej kilka stanowisk dalej Candy. Wyczuwa na sobie mój wzrok, ogląda się i macha mi samymi palcami. Jest to dziecinne pozdrowienie, śmieszne i smutne zarazem.

*

Candy jest w ciąży. To nie spóźniający się okres, to najprawdziwsza ciąża. Prawie piąty miesiąc. Tak jej powiedziano wczoraj w przychodni przy Wimpole Street. Miesiączki miała nieregularne od dobrych dwóch lat — najprawdopodobniej na skutek zażywania narkotyków — i nie zauważyła dotąd niczego niezwy-

kłego, poza tym, że ostatnio przybrała nieco na wadze i piersi zrobiły jej się jakieś wrażliwe, ale składała to na karb wyrafinowanego seksu, który uprawiała z Darrenem, specjalistą z Ministerstwa Skarbu, poznanym niedawno na nartach.

—Muszę się tego pozbyć.

—No i dobrze.

Siedzimy w Corney and Barrow na swoich ulubionych stołkach z widokiem na arenę, gdzie w zimie wylewana jest ślizgawka. Candy zamówiła sobie kieliszek szampana, przede mną stoi butelka wody Evian.

— Nie wciskaj mi kitu, Kate, wiem, że wcale tak nie myślisz.

—Daję ci tylko do zrozumienia, że bez szemrania zaakceptuję każdą twoją decyzję.

—Decyzję? Jaką tam decyzję, kochana? Toż to kosmiczna katastrofa.

—No cóż, myślę, że aborcja w tak zaawansowanym stadium to nie zabawa.

—A wychowywanie samej dzieciaka przez dwadzieścia lat to zabawa?

—Nie, ale można sobie poradzić, a ty masz już trzydzieści sześć lat.

— We czwartek kończę trzydzieści siedem, jeśli chcesz wiedzieć.

—No, to czasu masz jeszcze mniej.

—Pozbędę się tego.

—No i dobrze.

—Co powiedziałaś?

—Nic.

—Już ja znam te twoje „nice”, Kate.

— Myślę sobie tylko, że możesz tego kiedyś żałować. Candy gasi w popielniczce jednego papierosa i przypala drugiego.

— Jest takie miejsce w Hammersmith. Biorą drogo, ale usuwają nawet zaawansowane, bez zbędnych pytań.

— No i dobrze. Pójdę z tobą.

—Nie.

—Samej cię nie puszcza.

—To nie spacerek do parku, to aborcja. Przyglądam się twarzy przyjaciółki.

—A jeśli zapłacze?

—Co z tobą, Kate, od kiedy to stałaś się obrończynią życia poczętego?

—Wiadomo nie od dzisiaj, że płód w tym stadium rozwoju już płacze. Wiem, że jesteś twarda, ale mnie by serce pękło.

—Można prosić jeszcze kieliszeczek? — Candy kiwa na barmana. — No, dalej, opowiadaj.

—O czym?

—O dzieciach.

—Nie potrafię. Musisz czuć to sama.

— Daj spokój, Kate, ty potrafisz sprzedać wszystko każdemu. Spróbuj.

Ta jej mina. Wyzywająca i jednocześnie zboląta; mina siedmiolatki, która spadła z trzepaka, na którym zabroniono jej się bawić, i teraz całą siłą woli powstrzymuje się od łez, chociaż bardzo boli. Objęłabym ją najchętniej i przytuliła, ale na pewno odtrąciłaby moją ręką, pomimo że bardzo jej tego potrzeba. Jedyne sposoby na nakłonienie jej do czegokolwiek to przedstawić to jako niepowtarzalną okazję, którą tylko ostatni głupiec by zaprzepaścił.

— Pamiętasz te dwa dni, kiedy rodziłam swoje dzieci? Candy kiwa głową.

— To ci powiem, że gdyby mi kazano wybrać tylko dwa dni z całego mojego życia, wybrałabym właśnie tamte.

—Dlaczego?

—Błogostan.

— Błogostan? — Candy parska śmiechem. — Nie może pić, nie może palić, nie może wyrwać się wieczorem z domu, jej cycki wyglądają jak dwa zdechłe szczury, tyłka dostała takiego, że nie wcisnęłaby się do Holland Tunnelu, i wyjeżdża mi tu z błogostanem. Jezu, masz jeszcze coś do dodania, mamuśka? Nie udało się.

— Muszę już lecieć, Cand. Prześlij mi c-mailem. datę i godzinę, to pójde z tobą.

—Pozbędę się tego.

—No i dobrze.

TLR

Znowu do przedszkola

Godz. 8.01

— No, Emily, idziemy. Pośpiesz się. Mamusia spóźni się do pracy. Spakowałaś drugie śniadanie? Dobrze. Książeczki z biblioteki? Nie, nie będę ci plotła warkoczy. Ząbki? Och, na miłość boską. Myj szybko ząbki, błagam. Migiem. Ale najpierw wyjmij z buzi tego tosta. To nie tost? Przecież mówiłam, że wielkanocne jaja nie są do jedzenia... No, to tatuś powinien ci powiedzieć. Nie jestem okropna. No już, lecimy.

Pierwszy dzień do przedszkola po feriach; dzieci są rozkapryszone i rozgądkowane jak cyrkowe kucyki przed występem. Emily jakby cofnęła się w rozwoju. Tak jest zawsze, kiedy wracam z podróży służbowej albo kiedy się w nią wybieram. Gaworzy jak małe dzidzi i doprowadza mnie tym do szewskiej pasji.

— Mama, kto ci siem najbajdziej podoba w *Niedźwiedziu i Duzim Błękitnym Domu*?

— Nie wiem. Eee... Tutter.

—A mnie najbajdziej siem podoba Ojo. — Emily naburmuszą się, zgorszona moim sprzeniewierzeniem.

—Nie wszystkim musi się podobać to samo, Em. Gusta są różne. Na przykład tatusiowi podoba się ta głupia Zoe z telewizji śniadaniowej, a mamusia nie może na nią patrzeć.

— Ona nie nazywa się Zoe, tylko Chloe — mruczy Rich, nie racząc nawet oderwać oczu od telewizora. — I jeśli chcesz wiedzieć, to ta Chloe skończyła antropologią.

—I dlatego musi paradować goła od pasa w górą?

—Ale dlaczego nie podoba ci się Ojo, mama?

—Podoba mi się Ojo, Em, on jest naprawdę fantastyczny.

— Ona nie paraduje goła, tylko nie nosi stanika, bo ma niespotykane jędrne piersi.

— Ojo to nie chłopcyk. Ojo to dziewczynka.

Godz. 8.32

Chcemy już z Em wychodzić, kiedy Rich, który jest nadal w samym podkoszulku i bokserkach, wypęła z pokoju do sieni i zaczyna się głośno zastanawiać, kiedy byłoby mu najwygodniej pojechać na pięciodniowy kurs degustacji win do Burgundii.

Do Burgundii? Na pięć dni? Chce mnie zostawić samą z dziećmi i rynkami harującymi jak ta diabelska kolejka w Disneylandzie?

—Nie do wiary, że akurat teraz mnie o to pytasz, Rich. Skąd, u licha, przyszedł ci do głowy ten pomysł?

—Ty mi go podsunęłaś. Sama dałaś mi na Gwiazdkę to skierowanie, Katie. W prezencie, nic pamiętasz?

O Boże, rzeczywiście. Już pamiętam. Ta chwila dojmującego poczucia winy, które trzeba było czym prędzej zneutralizować jakimś wspaniałomyślnym gestem. Muszę się nauczyć tłumienia podobnych impulsów w zarodku. Obiecuję Richowi, że nad tym pomyślę, uśmiecham się i kwalifikuję tę obietnicę do szufladki „Do zapomnienia”.

W samochodzie Em kopie z bezmyślną furią oparcie przedniego fotela. Nie ma sensu mówić jej, żeby przestała; sama nie wie, że to robi. Ciała kilkulatków są czasami za małe, by pomieścić emocje, które nimi targają.

—Mama, mam pomysł.

—Jaki, słonko?

— A żeby tak weekendy były psieś ciałą tydzień, a tygodnie w weekendy?

Czekam na zmianę świateł, a w klatce piersiowej coś mi trzepoce, zupełnie, jakby jakiś ptak chciał się stamtąd wyrwać na wolność.

—Wtedy wszystkie mamusie i tatusie mogliby być wiecej ze swoimi dziećmi.

—Emily, zacznij mówić normalnie. Nie jesteś już małym dzidziusiem.

Przechwytyuję we wstecznym lusterku jej spojrzenie i szybko odwracam wzrok.

— Mamusiu, brzusek mnie boli. Mamusiu, położysz mnie dzisiaj do łóżeczka? Położysz?

— Tak, obiecuję.

*

Nie wiem zupełnie, co za licho mnie podkusiło, żeby się zgodzić, kiedy Alexandra Law, Przeorysza pośród Matek Przełożonych, zaproponowała mi wejście w skład komitetu rodzicielskiego. Nie, to nieprawda. Bardzo dobrze wiem, co sobie wtedy pomyślałam: pomyślałam sobie, że co jakiś czas chociaż przez jedną godzinkę będę mogła udawać w jakiejś skąpo oświetlonej, dusznej salce matkę z prawdziwego zdarzenia. Kiedy przewodnicząca zebrania wspomni o Royu, niesfornym podopiecznym, na usta zacnie mi się cisnąć pobłażliwy uśmiezek. W piersiach wzbierze mi jęk, kiedy ktoś poruszy kwestię festynu na powitanie lata — to już znowu ta pora roku! Potem, po przegłosowaniu wysokości składki na komputer dla przedszkola oraz zwiększenia liczby godzin zajęć z rytmiki, będę miała ochotę zacisnąć palce na białym plastikowym kubku z pomarańczowym wrzątkiem i poklepując się znacząco po brzuchu, podziękować za

pączka, ale w końcu pomyślę sobie: „A co mi tam, raz się żyje!”, tak jakby spożycie jednego ciastka w lukrowej polewie było nie lada wyczynem.

Ale, realistycznie rzecz biorąc, czy istniała szansa, że będę się wyrabiała na zebrania komitetu rodzicielskiego, które miały się odbywać w każdą środę o 18.30? Według Alexandry Law było to „po pracy”, ale z jakiej pracy puszczają teraz do domu przed 18.30? Kiedy byłam dzieckiem, ojcowie wracali z pracy, kiedy było jeszcze widno, w letnie popołudnia mieli jeszcze czas skosić trawnik, a wieczorem, po podlaniu kwiatów na klombie, zasiadali z całą rodziną do kolacji. Ale tamte czasy — czasy, kiedy pracowało się, żeby żyć, a nie żyło, żeby pracować — bezpowrotnie minęły. Nikt z mojego biura nie jada teraz w tygodniu posiłków ze swoimi dziećmi.

Nie, nie myślałam racjonalnie, godząc się wejść w skład komitetu rodzicielskiego. Należę do niego już trzeci miesiąc, a nie byłam jeszcze na ani jednym zebraniu. Z tego powodu, odwożąc Emily do przedszkola, staram się nie nadziać na Alexandre Law. A to nie takie proste. Spotkania z Alexandra Law niełatwo unikać.

— Och, Kate, jesteś... — grzmi z drugiego końca sali. Jest dziś w sukience tak wzorzystej, że wygląda, jakby w pośpiechu, przez nieuwagę, narzuciła na siebie obicie fotela. — Chciałyśmy już wysłać za tobą ekspedycję poszukiwawczą. Ha-ha-ha! Nadal pracujesz na pełnym etacie? Boże. Naprawdę nic wiem, jak ty to robisz. Och, Diano, mówiłam jej właśnie, że nic wiemy, jak ona to robi, prawda?

Diana Percival, matka Olivera, kolegi Emily z grupy, podaje mi wąską opaloną dłoń z szafirem wielkości brukselki na serdecznym palcu. Na pierwszy rzut oka widać, że należy do tych kobiet, które nie szcędzą czasu ani starań, żeby pozostać atrakcyjnymi dla swoich mężów. Gimnastykują się, dwa razy w tygodniu chodzą do fryzjera, w pełnym makijażu grają w tenisa, a kiedy to przestaje wystarczać, z własnej nieprzymuszonej woli idą pod nóż chirurga plastycznego. „Te nadziane niepracujące mamusie biegają, żeby utrzymać się na powierzchni” — mawia Debra i ma rację. One nie robią tego z miłości, lecz ze strachu: nie opuszcza ich obawa, że mężowska miłość w każdej chwili może ulecieć i osiąść na jakiejś młodszej, bardziej pociągającej i reprezentacyjnej rywalce.

Podobnie jak ja handlują aktywami, z tym że ich aktywa to one same — produkt śliczny, ale zagrożony utratą wartości. Nie zrozumcie mnie źle. Przyjdzie pewnie taki czas, kiedy, tak jak wszystkie Diany tego świata, też podciągnę, sobie skórę z szyi za uszy, i też zrobię to dla kogoś; różnica polega na tym, że tym kimś będę ja sama. Chociaż zdarzają się chwile, że wolałabym być kimś innym niż jestem, to za nic nie zamieniłabym się miejscami z Dianą.

Nigdy dotąd nie zamieniłam z Dianą Percival więcej niż kilka zdawkowych słów, a mimo to na samą myśl o niej przechodzą mnie ciarki. Diana należy do tych matek, które rozsyłają liściki. Liścik z zaproszeniem twojego dziecka na przyjęcie urodzinowe jej dziecka, liścik z podziękowaniami za przybycie twojego dziecka na przyjęcie urodzinowe jej dziecka. (Doprawdy, nie było za co dziękować). W ubiegłym tygodniu, w spektakularnym porywie tej liścikomani, Diana przysłała liścik, w którym Oliver dziękował Emily za zaproszenie na podwieczorek. W jakim trzeba żyć świecie, żeby wysyłać liścik dotyczący tak błahego zdarzenia, które na dokładkę nic miało jeszcze miejsca? Wiele niepracujących matek dzieci z przedszkola mojej córeczki wynajduje sobie bzdurne testy, których jedynym celem jest zawracanie głowy innym matkom mającym coś lepszego do roboty.

„Dziękuję za Twój liścik z podziękowaniami, z niecierpliwością oczekuję liściku potwierdzającego odbiór mojego liściku. Jeszcze raz dziękuję i spadaj”.

Novalis Hotel, Frankfurt, godz. 20.19

Cholera. Nic położę dzisiaj Emily do łóżka, tak jak obiecałam. Spotkanie z niemieckim klientem przeciągnęło się i nic zdążyłam na samolot. Zresztą było to do przewidzenia. Blago-wałam i blagowałam, i chyba wytargowałam jeszcze dwa miesiące, w ciągu których uda nam się może poprawić wyniki funduszu.

Po powrocie do hotelu robię sobie dużego drinka i mam się już z nim zanurzyć w wannie, kiedy dzwoni telefon. Jezu, a to kto znowu? Po raz pierwszy w życiu odbieram w łazience: na ścianie, obok wieszaka na ręczniki, wisi kremowy aparat telefoniczny. To Richard. Ma zmieniony głos.

— Kochanie, złe wieści. Przed chwilą dzwonił Robin.

Śmierć matki

Jill Cooper-Clark umarła w poniedziałek nad ranem we własnym łóżku. Miała czterdzieści siedem lat. Nowotwór, zdiagnozowany na początku ubiegłego lata, trawił jej organizm jak pożar lasu. Do akcji wkroczyli najpierw chirurdzy, po nich antyterrorystyczna brygada farmakologów i radioterapeutów. Starali się opanować żywioł. Ale rak był nie do ugaszenia — piersi, płuca, trzustka. Można by pomyśleć, że cała energia Jill — była najenergiczniejszą osobą, jaką znałam — obróciła się przeciwko niej. Tak jakby wolę życia można było porwać, przeorientować i oddać pod rozkazy śmierci. Ostatni raz widziałam się z nią na firmowym przyjęciu w EMF — hucznej balandze z arabskim motywem przewodnim, symbolizowanym przez prawdziwy piasek i narowistego wielbłąda. Jill, w turbanie na łysiejącej głowie, była jak zwykle wesoła.

— Szlachtowanie i wypalanie, Kate. Aż wierzyć się nie chce, jak cholernie prymitywna jest ta terapia. Czuję się jak średniowieczna wioska, którą ogniem i mieczem obracają w perzynę. Z tym, że nie wikingowie, lecz onkolodzy.

Przed poddaniem się kuracji Jill miała gęste, sprężyste kasztanowe włosy i celtycką, białą jak mleko cerę usianą z rzadka cynamonowymi piegami. Grała kiedyś w siatkówkę i trójka dzieci — wszystko zdrowi chłopcy — nie zdołała odebrać jej ciała gibkości. Robin mawiał, że aby w pełni docenić walory jego żony, trzeba zobaczyć jej backhand: kiedy wydaje się, że to już koniec, że tej piłki nie sposób odebrać, Jill odwija się i posyła ją na drugą połowę kortu. Widziałam to jej zagranie dwa lata temu w posiadłości Cooper-Clarków w Sussex. Odbiwszy piłkę, krzyknęła radośnie i wyzywająco „Ha!”. Chyba wszyscy oczekiwaliśmy, że powtórzy tę sztukę w pojedynku z rakiem.

Jill żyje nadal w swoich trzech synkach i w swoim mężu, który wysiadł właśnie z windy. Słyszę szybki stukot jego czarnych lakierków po bukowym parkiecie, którego nie powstydziliby się najszykowniejsza restauracja z dancinikiem. Oboje zjawiliśmy się dzisiaj w pracy niespotykanie wcześnie, Robin, żeby nadgonić zaległości, ja, żeby wysforować się z robotą do przodu. Krząta się po swoim gabinecie, pokasłuje, wysuwa i zasuwa szufladę.

Przynoszę mu herbatę, a on zaczyna:

—O, cześć, Kate. Słuchaj, przepraszam, że zostawiłem was tu samych. Wiem, jaki ostatnio mamy młyn, a do tego jeszcze ten Salinger. Ale zaraz po pogrzebie jestem do waszej dyspozycji.

—Bądź spokojny. Wszystko pod kontrolą. — *Kłamstwo*. Chcę zapytać, jak się czuje, ale ten jego system wczesnego ostrzegania przed bolesnymi osobistymi pytaniami jest w pełnej gotowości. Widzę to po jego oczach i w ostatniej chwili zmieniam pytanie: — Jak tam chłopcy?

—Cóż, nie jest tak źle — mówi Robin, i znowu staje się szefem inwestycji. — Jak wiesz, Tim przebywa teraz w Bristolu, Sam jest w szkole średniej, a Alex będzie miał niedługo dziewięć lat. To już dorośli chłopcy i matka... eee... nic jest im tak potrzebna. — Tutaj z krtani wyrywa mu się odgłos, jakiego w biurach Edwin Morgan Forster nikt nigdy nie słyszał. Coś pomiędzy chrapnięciem a jękiem. Jest jakiś nieludzki, a może aż za ludzki, i nie chcę go więcej słyszeć.

Robin przez kilka sekund ściska sobie nasadę nosa, potem znowu odwraca się do mnie.

—Jill to zostawiła — mówi, pokazując mi plik kartek. Jest ich dwadzieścia, każda wypełniona równym, ręcznym pismem. Tytuł brzmi: „Twoja rodzina: Jak to się kręci!”.

—Jest tu wszystko — ciągnie Robin, kręcąc z podziwem głową. — Pisze mi nawet, gdzie znajdę te pieprzone ozdoby na choinkę. Oczy by ci stanęły w słup, Kate, gdybyś zobaczyła, ile tego jest do spamiętania.

Wcale by mi nie stanęły.

Piątek, godz. 12.33

Jeśli wyjdę teraz z biura, to nie tylko zdążę na piętnastą do Sussex na pogrzeb Jill, ale będę jeszcze miała czas przegryźć coś po drodze na dworzec. Przekopujemy się z Momo przez materiał do kolejnego finału. Momo pyta, czy znałam żonę pana Cooper—Clarka. Odpowiadam, że Jill była wspaniałym człowiekiem.

Momo nie wygląda na przekonaną.

— Ale nie pracowała, prawda?

Spoglądam na Momo. Ile może mieć lat — dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć? Jest za młoda, żeby wiedzieć, przez co dawniej przechodziły kobiety; na tyle młoda, żeby uznawać swoją wolność za coś naturalnego.

— Jill robiła błyskotliwą karierę w służbie cywilnej — mówię spokojnie. — Kierowałyby teraz Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, gdyby nie postanowiła zająć się domem, kiedy Sam, jej drugi syn, miał dwa latka. Uznała, że jeśli i ona, i Robin będą pracowali, ucierpią na tym dzieci. Serce tak jej podpowiadało.

Momo schyla się, żeby wyrzucić coś do kosza. Gołębica za oknem siedzi na jajeczkach, osłaniając je nastroszonymi jak krynolina piórami. Taty gołębia nie widzę. Gdzie się podział?

— Jakie to smutne — wzdycha Momo. — Umrzeć, do niczego w życiu nie doszedłszy.

Godz 13.11

Jeśli natychmiast wyjdę z biura, powinnam jeszcze zdążyć na pociąg.

Godz. 13.27

Wrzucam do neseseru poradnik rodzinny Jill, który w ostatniej chwili wcisnęła mi sekretarka Robina — zapomniał go zabrać — i wybiegam z biura. Pędzę wzdłuż Cannon Street. Kiedy docieram do rzeki, w płucach mi rzezi, a kropelki potu ściekają kaskadą po piersiach jak paciorki zerwanego naszyjnika. Potykam się na schodach dworca i rozdieram sobie rajstopy na lewym kolanie. Cholera. Niech to szlag. Przecinam sprintem halę dworcową, wpadam z poślizgiem do

kiosku i chwytam pierwszą parę czarnych rajstop, jaka nawija mi się pod rękę. Mówię przestraszonej dziewczynie, że reszty nie trzeba. Strażnik przy wejściu na peron uśmiecha się i mówi:

— Za późno, kochana.

Omijam faceta łukiem i głucha na jego krzyki wskakuję do ruszającego pociągu. Londyn za oknem z zadziwiającą szybkością odpływa w dal. Jego szare kontury roztapiają się wkrótce w wiejskim krajobrazie. Nie mogę znieść widoku wiosny; jest taka zielona, taka dziecinnie radosna.

Kupuję kubek kawy z przejeżdżającego wózka i otwieram neseser, żeby trochę popracować. Na wierzchu pliku papierów leży poradnik rodzinny Jill. Nie powinnam go czytać, ale nie potrafię się oprzeć. Chcę jeszcze raz usłyszeć przyjaciółkę, choćby za pośrednictwem słów spisanych jej ręką. Może tylko jedną stroniczkę?

Kiedy będziesz doglądał kąpieli Alexa, każ mu myć stopy między palcami. Zbiera się tam zwykle brud i taka dziwna wydzielina! Dodawaj do wody oliatum (turkusowa butelka z białą etykietą). To na jego egzemę. I pamiętaj, mów mu, że to płyn do kąpieli. Nie cierpi, kiedy mu się przypomina, że cierpi na chorobę skóry.

Alex będzie ci wmawiał, że nie lubi makaronu. A lubi. Namawiaj go więc. Tylko łagodnie. Tak, może jeść cheese whirl, ale tylko pod warunkiem, że zje również parę plasterków prawdziwego sera. Nie może się żywić samymi płatkami kukurydzianymi. Zaproponuj rodzime przejście na herbatą Red Bush (podobno zapobiega nowotworom).

Obiecałam Samowi szkła kontaktowe na piętnaste urodziny. Jeśli cię czymś zdenewuje, to nie krzycz na niego od razu, tylko najpierw licz powoli do dziesięciu i myśl „testosteron”. Zapewniam cię, że ta krnąbrność już niedługo mu przejdzie. Pamiętasz, co mieliśmy z limem, i jak potem zlagodniał? Aktualna dziewczyna Timmy'ego ma na imię Sharmila — śliczna, b. inteligentna, z Bradford. Jej rodzice nie są zachwyceni, że zadaje się z białym chłopcem — naszym — mógłbyś ich więc zaprosić do nas i trochę poczarować, tak jak ty to potrafisz.

(Ojciec, Deepak, jest zapalonym golfista: oboje rodzice są wegetarianami). Tim będzie udawał, że nie podoba mu się ten pomysł, ale w duchu będzie ci wdzięczny.

URODZINY: Ulubione perfumy twojej matki to diorissima. Dobrym prezentem są zawsze kasety: Cokolwiek Bryna Terfela, byle nie Oklahoma!, bo tę dostała od nas w zeszłym roku. Również książki Alana Bennetta. Mojej matce podoba się wszystko Margaret Forster albo Antonii Fraser. Gdybyś chciał jej oddać moje pierścionki, to się zastanów, czy nie lepiej je zatrzymać. Przecież któremuś z chłopców potrzebny będzie w stosownym czasie pierścionek zaręczynowy.

CHRZEŚNIACY: Twoi chrześniacy to Harry (Paxton), Lucy (Goodridge) i Alice (Benson). Ich urodziny masz zaznaczone w kalendarzu, który wisi obok lodówki. W szufladzie na prezenty (dolna w szafce na akta w gabinecie) leżą podarunki oznaczone ich inicjałami. Powinno ci ich wystarczyć do przyszłorocznych świąt Bożego Narodzenia. Małżeństwo Simona i Clare zaczyna się sypać, mógłbyś więc wziąć Harry 'ego na stronę i powiedzieć mu, że w razie czego może na ciebie liczyć. Nie zapomnij, że we wrzeźniu masz bierzowanie Lucy.

NIEKTÓRE INNE PROBLEMY

1/Jak obsługiwać pralkę. W awaryjnych sytuacjach ta umiejętność może ci się przydać. Patrz Brązowy Zeszyt. Zwróć uwagę na temperaturę prania swoich wełnianych skarpetek.

2/ Rozmiary worków na śmieci. Jak wyżej.

3/Sprzątaczką —poniedziałki i czwartki. 7funtów za godzinę. Pomagamy jej też w spłacaniu wyższych rachunków i dajemy premię przed świętami. Jean jest samotną matką. Jej córka ma na imię Aileen. Chce zostać pielęgniarką.

4/ Opiekunki do dziecka — numery masz w Zielonym Zeszycie. Nie bierz tylko Jody, bo ta kochała się w naszym łóżku ze swoim chłopcem, kiedy byliśmy w Glyndebourne.

5/ Arnika na stłuczenia (szafka w łazience).

6/ Ignatia na chandrę (żółta buteleczka w mojej nocnej szafce).

7/ Listonosz nazywa się Pat (naprawde); gazeciarzem jest dziewczyna (Holly). Śmieciarze przyjeżdżają we wtorki rano; nie zabierają odpadków z ogrodu. Wysokość bożonarodzeniowych napiwków w Brązowym Zeszycie — nie bądź sknerą!

8/ Po pogrzebie chłopcy mogliby się spotkać z Maggie, psychologiem z hospicjum. Wiem, to trochę nie w twoim stylu, ale myślę, że chłopcy naprawdę by ją polubili i może wyznali jej rzeczy, których nigdy nie powiedzą tobie z obawy, że cię zdenerwują, kochanie. Całuj ich często w moim imieniu i rób to nawet, kiedy cię przerosną, dobrze?

Jest tu wszystko. Strona po stronie. Najdrobniejsze szczegóły dotyczące życia dzieci, ich rytmu dnia. Krzywię się na myśl, jak źle byłabym sama przygotowana do napisania podobnego poradnika dla Richarda. Na stronie „Urodziny” widnieje plama wielkości filiżanki. Jakiś tłuszcz, do którego przywarła grudka mąki. musiała pisać tę stronę podczas pieczenia.

Chcę czytać dalej, ale uniemożliwiają mi to napływające do oczu łzy. Biorę „Daily Telegraph” i otwieram go na stronie z nekrologami. Dzisiaj goszczą na niej znany biolog, człowiek, który w latach sześćdziesiątych był szefem IBM, oraz była statystka, platynowa blondynka imieniem Dizzy, która „romansowała” z Douglasem Fairbanksem. Nie widzę nazwiska Cooper-Clark. Jill ze swoim trybem życia widocznie tu nie pasowała.

Godz. 14.57

Zamykam się w mikroskopijnym wagonowym kibelku, ściagam podarte rajstopy i dając popis ekwilibrystyki, wkładam nowe, czarne. Steward na korytarzu na mój widok pogwizduje z uznaniem. Spoglądam w dół. Czarne rajstopy ozdobione są z tyłu biegnącymi z góry na dół szlaczkami z playboyowych króliczków wyszytych opalizującą nicią. Mogłabym przysiąc, że słyszę śmiech Jill.

St Botolph 's, Greengate, godz. 15.17

Wchodzę do kościoła w momencie, gdy pastor wzywa zabranych do podziękowania Bogu za życie Jillian Cordelii Cooper-Clark. Nie wiedziałam, że miała na drugie Cordelia. Pasuje do niej to imię, jest zdecydowane w brzmieniu, a przy tym kojarzy się z miłością, cordis to po łacinie serce, prawda.

W pierwszej ławce siedzi Robin z chłopcami. Pochylił się właśnie, żeby pocałować kasztanowe włosy najmłodszego syna. Alex drży lekko. Jest w nowym garniturze, swoim pierwszym. Jill mówiła mi, że przyjechała z nim po ten garnitur do Londynu: na pewno wiedziała, z jakiej okazji pierwszy raz go włoży.

Śpiewamy „Pan Wszelkiej Nadziei”, jej ulubiony hymn. Jest w tej pieśni jakaś szkocka melancholia, której dotąd nie zauważałam. Pieśń się kończy, następuje chwila tłumionych pokasływań i pastor prosi zebranych o uczczenie pamięci Jill minutą ciszy.

Przymykam oczy, kładę dłoń na oparciu ławki przede mną i natychmiast przenoszę się do lasu pod Northampton. Wrzesień, dwa miesiące po przyjsciu na świat Emily. James Entwistle, który był moim szefem przed nastaniem Roda, zorganizował dla klientów polowanie w jakiejś wiejskiej posiadłości. Nalegał, żebym wzięła w nim udział, chociaż nie potrafię strzelać i nie miałam ochoty na wałęsanie się po wertepach z gromadą frankfurckich bankierów. W porze lunchu moje piersi były już jak dwa rozżarzone kamienie. Domagały się na gwałt opróżnienia. Była tam tylko jedna toaleta, taka przenośna kabina, ukryta między drzewami. Zamknęłam się w niej, rozpięłam bluzkę i zaczęłam wyciskać mleko do miski klozetowej. Mleko ludzkie różni się od krowiego, jest rzadsze i nie tak kremowe — ma błękitny, arystokratyczny odcień porcelany; w zetknięciu z zielonym detergentem na dnie stalowej miski ścinało się w mętną zupę.

Ale z początku nie chciało ciec. Zaczęło dopiero, kiedy wyobraziłam sobie Emily, jej zapach, jej ogromne oczy, dotyk jej skóry. Zgrzana i spanikowana, usłyszałam nagle znaczące pokasływanie pod drzwiami. Formowała się tam kolejka, a ja nie opróżniłam jeszcze do końca nawet jednej piersi. I nagle rozległ się ciepły, lecz stanowczy kobiecy głos:

— Ejże, panowie, a w krzaki to nic łaska? Wykorzystajcie tę przewagę, którą matka natura dała wam nad nami, kobietami. Pani Reddy potrzebuje tej toalety bardziej niż wy. Bardzo panom dziękuję.

Kiedy wyszłam po dziesięciu minutach, Jill Cooper-Clark siedziała na polance na zwalonym pniu. Pomachała mi z daleka i z turystycznej chłodziarki wyciągnęła triumfalnie torebkę lodu.

— O ile pamiętam, to najlepszy sposób na obolałe cycki.

Widywałam ją wcześniej na firmowych imprezach, ale brałam za jeszcze jedną zblazowaną żonę swojego męża. Jedną z tych, co to trzymając cię za guzik, perorują o konserwacji kortów tenisowych albo trudnościach ze znalezieniem solidnego fachowca od czyszczenia basenów.

Jill spytała mnie o dziecko — z osób związanych w taki czy inny sposób z moim biurem tylko ona to zrobiła — i wyznała, że Alex, który obchodził właśnie czwarte urodziny, był prezentem, który sobie sprawiła. Wszyscy mówili, że to szaleństwo decydować się na trzecie dziecko, ledwie uwolniła się z koszmaru pieluch i zarwanych nocy, ale ona miała wyrzuty sumienia, że pracując, przegapiła okres niemowlęcy Tima i Sama.

— Sama nie wiem, wydawało mi się, że zostałam okradziona z tego czasu i chciałam go jakoś odzyskać.

Na fali tego nastroju do zwierzeń wyznałam jej, że boję się dopuszczać do głosu uczucia. Że nie wiem, czy potrafiłabym wrócić po porodzie do pracy, gdybym słuchała swego serca.

— Prawda jest taka, Kate — powiedziała Jill — że oni zachowują się tak, jakby robili nam wielką łaskę, że po urodzeniu dziecka pozwalają nam wracać do pracy. Ale zapamiętaj sobie na zawsze, że to my im robimy łaskę. Przedłużamy rodzaj ludzki, a nie ma nic ważniejszego. Skąd będą brali swoich zakichanych klientów, kiedy my przestaniemy rodzić?

Huknął strzał i Jill się roześmiała. Miała taki cudowny, uzdrawiający śmiech: zdawał się zdmuchiwać całą głupotę i zakłamanie świata. I wiecie, co jeszcze?

Była jedyną osobą, od której nie usłyszałam: „Nie wiem, jak ty to robisz”. Ona wiedziała, jak to się robi i jaka jest tego cena.

— Najmilsi, odmówmy wspólnie modlitwę, której nauczył nas Jezus: Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

*

Jill spoczywa u stóp stromego zbocza na tyłach kościoła. Na szczycie wzgórza stłoczone wiktoriańskie nagrobki — plinty, grobowce, katafalki oblepione aniołami stróżami; w miarę schodzenia zwirową ścieżką w dół i zbliżania się do współczesności, pomniki stają się coraz skromniejsze. Nasi przodkowie nie oszczędzali na rezerwowaniu sobie miejsca, nawet łoża, na życie po śmierci, my podchodzimy do tego z większym wyrachowaniem.

Z kwatery Jill roztacza się widok na całą dolinę. Szczyty wzgórz po drugiej stronie wieńczy grzebień jodłowych lasów, a w zielonej misie pod nimi zalega gęsty srebrzysty opar.

Kiedy pastor intonuje pieśni z liturgii pogrzebowej i Robin podchodzi do mogiły, by rzucić na trumnę żony garść ziemi, odwracam szybko głowę, bo łzy napływają mi do oczu. Próbuję skupić wzrok na okolicznych nagrobkach. Oddany syn. Ojciec i dziadek. Uwielbiane jedyne dziecko. Ukochana żona i matka. Siostra. Żona. Matka. Matka. Po śmierci nie jesteśmy oceniani miarą swoich dokonań, ale wedle tego, jacy byliśmy w stosunku do bliźnich. Jak kochaliśmy i jak byliśmy kochani.

Do zapamiętania

Wszystko musi przeminąć, rodzaj ludzki jest jak trawa. Całowanie chłodnych policzków dziecka. Odpowiedź na telefony.

Zmiana nastawienia

Toki trwają od wiosny do lata, a w Europie od kwietnia do późnej jesieni. W ich trakcie samce gruchają głośno, popisują się przed samiczkami i wdają w pokazowe bójkę. Gołębie mogą dożyć nawet 30 lat. Są monogamistami i łączą się w pary na całe życie, co jest zadziwiające u ptaków o tak silnie rozwiniętym instynkcie stadnym.

Tokująca para może przez wiele godzin zachowywać się cicho, i w tym czasie jedno z nich, zwykle samiec, ale czasami bywa to samiczka, delikatnie gładzi dziobkiem pióra partnera.

W okresie dorastania, czyli przez pięć do sześciu pierwszych miesięcy życia, gruchanie samczyka ma głuche i melancholijne brzmienie, potem, kiedy gołąb dojrzeje, staje się dźwięczniejsze i bardziej nosowe. Gruchanie nabiera bogatszego brzmienia, kiedy ptak ma już partnerkę.

Fragment „Zwyczajów gołębi”

Na parapecie jest teraz cicho. Słysząc klaksony i tumult rozciągającego się w dole City, ale odgłosy te docierają tutaj stłumione wysokością, wygładzone przez masy powietrza.

Przyglądam się gołębiczy z bliska. Ja patrzę na nią, a ona na mnie. W pewnej chwili wydaje cichy świergotliwy dźwięk, szyję przebiega dreszcz. Instynkt z jednej strony każe jej odlecieć, z drugiej pozostać przy pisklęciu. Z jednego jajka wykluło się male, kiedy byliśmy w Sussex. Z głębi biura nie było widać maleństwa, ale stąd widzę je jak na dłoni. Nie do wiary, że to stworzonko kiedykolwiek nauczy się latać. Wcale nie jest podobne do ptaka, co najwyżej do jego kiepskiej

karykatury. Pomarszczone i łyse jak wszystkie noworodki, wydaje się starusieńkie, tysiącletnie.

Próbowałam otworzyć najbliższe gniazda okno, ale ani drgnęło. Zakleszczyło się. Sąsiednie dało się jednak otworzyć. Pełzną teraz na czworakach i popycham po parapecie stos grubych książek. Wybrałam je starannie pod kątem rozmiarów i wytrzymałości.

Prosty posiłek: Przewodnik po restauracjach City Prognozy brokerów na rok 2000 Ogólne wskazówki CFBC na lata 1997, 98 i 99 Przegląd przemysłu farmaceutycznego

Książka o kuchni włoskiej, którą zaczęłam czytać i nie skończyłam:

Dania z królika

Dziesięć naturalnych praw efektywnego zarządzania czasem i życiem. Sprawdzone strategie podniesienia produktywności i osiągnięcia spokoju wewnętrznego.

Ten ostatni tom zdecydowanie mogę odstąpić ptakom. Na wypadek, gdyby powyższe tytuły nie wystarczyły, dodałam jeszcze do nich *Podręcznik sprzedaży terminowej*, dzieło głębokie i wciągające jak bryła węgla. Mam zamiar wznieść wokół gołębiczy i jej gniazda mur obronny. Kiedy wracałam z pogrzebu Jill, zadzwonił do mnie Guy. Dobre wieści, powiedział, człowiek z Zarządu Miasta odpowiedział na jego telefon i obiecał, że jutro podeśle sokolnika. To ja kazałam mu ściągnąć tego jastrzębia i teraz muszę czym prędzej pokrzyżować drapieżnikowi szyki.

Na placyku, trzynaście pięter niżej, zebrał się już tłumek gapiów. Pokazują sobie palcami kobietę na parapecie. Myślą pewnie, że jestem ofiarą recesji albo nieszczęśliwej miłości. Wczoraj rano pod koła pociągu w Moorgate rzucił się broker, ale nie trafił: upadł między szyny i wyciągnęła go spod wagonu ekipa ratunkowa. Wszyscy mówią, że to cud, ale ja zastanawiam się, jak fatalnie musi się

czuć człowiek, który doprowadzony czymś do ostateczności próbował ze sobą skończyć, a i to mu nie wyszło. Czy czuje się teraz jak nowo narodzony, czy jak żywy trup?

Z głębi biura dolatuje mnie głos Candy, jak zawsze wesoły, ale zabarwiony niepokojem.

—Wracaj, Kate.

—Nie mogę.

— Słonko, wiem, że takie popisy są często wołaniem o pomoc. Wszyscy cię tu kochamy.

—Ja nie wołam o pomoc, ja próbuję ukryć gołębicę.

—Słucham?

—Muszę jej pomóc.

—W czym?

— Jutro będzie tu jastrząb. Candy prycha.

— Jastrzębi zawsze tu pełno. Aż nie chce mi się wierzyć, że prowadzę z tobą tę idiotyczną rozmowę. Wracaj w tej chwili, Kate Reddy, bo wezwę ochronę.

Grupa kolegów z EMF kibicuje zza szyby moim wysiłkom, witając aplauzem każde podwyższenie barykady o kolejny tom. Unosząc *Dania z królika*, zerkam na swoją dłoń. Połyskująca obrączka ślubna, zaatakowany przez egzeme, złuszczone kłykieć. Ciekawe, co by się z nią stało, gdybym spadła — ściętna, skóra, krew. Nie, nie myśl o tym, skup się na zwieńczeniu fortyfikacji *Dziesięcioma naturalnymi prawami efektywnego zarządzania czasem i życiem*. Wycofując się rakiem po parapecie, widzę przed sobą wychyloną z okna Candy i leżącego jej na plecach Guya. Na twarzy mojego asystenta maluje się nie tyle strach, ile coś w rodzaju nadziei.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Jima nie ma już drugi tydzień z rządu. Nie wiem, kto kogo pierwszy zamorduje — ja dzieci, czy one mnie. Kazał mi zorganizować przyjęcie na swoje 40. urodziny, zaprosić „tych co zwykle podejrzanych”. Jak to jest, że on, kiedy ma jakiś ważny interes, może zostawić mi cały dom na głowie, a ja jemu nie?

Mam już tego serdecznie dosyć. Znasz może jakiegoś kawalera do rzeczy?...

NIE ODPOWIADAJ NA TO PYTANIE

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

P: Co należy zrobić, widząc swojego byłego męża wijącego się w konwulsjach na ziemi?

O: Dla pewności strzelić do niego jeszcze raz.

Musisz twardo postawić sprawę — powiedzieć Jimowi, że nie pracujesz dla przyjemności. Musi wziąć na siebie część obowiązków itd. Z drugiej strony, Richard bardzo mi pomaga, ale w końcu i tak wszystko muszę po nim poprawiać. . a więc może lepiej od razu robić to samej??? Martwię się o ciebie. O Candy też się martwię. Mówiłam ci już, że jest w ciąży? Sama nigdy ci tego nie powie. Udaje, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nie mogę dojechać do siebie po pogrzebie Jill. Wyrobiłam sobie właśnie opinię biurowej wariatki, wylażąc na parapet, żeby ratować gołębiatko.

Jaki sens ma życie? Proszę o jak najszybszą odpowiedź xxxxxxxxxxxx

Godz. 12.17

A więc stanęłyśmy z Momo na wysokości zadania. Wczoraj wieczorem Rod dostał wiadomość, że finał w New Jersey zakończył się pełnym sukcesem. Momo nie posiada się ze szczęścia. Dosłownie podskakuje z radości jak Emily.

— Udało ci się, Kate, udało się!

— Nie, to nam się udało. Nam. Tobie i mnie.

Żeby to uczcić, Rod zaprasza cały zespół do knajpki w Leadenhall Market. Zmieniło się tu bardzo od mojej ostatniej bytności. Wapień zastąpiło nieprzejryste szkło, tworzące stylizowane japońskie mostki nad strumykami pełnymi karpi o rozdziawionych pyszczkach, które nie wiedzą, czy są tu dla ozdoby, czy do konsumpcji.

Rod winduje się na stołek obok mnie, Chris Bunce siada naprzeciwko Momo. Nie podobają mi się poządliwe, lubieżne spojrzenia, którymi ją obrzuca, ale jej wyraźnie nie przeszkadzają. Napomykam kilka razy o Fundacji Salingera. Robię to dla samej przyjemności wymawiania na głos imienia Jacka. Uwielbiam słyszeć i widzieć jego imię — na burtach furgonetek, na szyldach nad sklepami, na plakatach. Jack Nicholson. Jack London. Nawet minister spraw zagranicznych stał się bardziej atrakcyjnym mężczyzną, od kiedy ma na imię Jack.

— Co to było z tym pieprzonym gołębiem, Kate? — pyta Rod, kiedy kelner rozstawia przed nami homary. — Chciałaś go przepędzić czy upiec na obiad?

— Och, na czymś takim polega między innymi działalność funduszy etyczno-ekologicznych. W ramach moich nowych obowiązków chcę się stać bardziej przyjazna dla środowiska.

— Jezu — mówi mój szef, rozrywając swojego homara na dwie połowy. — Nie za bardzo przejęłaś się rolą?

Rod wspomina mi jeszcze, że ma dla mnie i Momo nowe zadanie. Klient nazywa się Stone Jakoś-tam.

— No wiesz, musicie iść za ciosem.

Mówię, że dobrze, ale nie wiem, czy damy radę we dwie.

— Nie mogę ci nikogo więcej przydzielić, Kate — mówi Rod. — Weź się zwyczajnie do galopu, i żeby mi furczało, dziecko.

Co zobaczyła matka

Wpadam do domu i wołam już od progu, ale nikt mi nie odpowiada. Z salonu dobiegają popiskiwanie i pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to ból — coś je boli. Z duszą na ramieniu wbiegam tam i co widzę? Paula siedzi z Emily i Benem na sofie. Zbici w gromadkę, oglądają w telewizji *Toy Story* i zaśmiewają się do rozpuku.

— Co wam tak wesoło? — pytam, ale oni tak się zanoszą śmiechem, że nie są mi w stanie odpowiedzieć. Emily aż się popłakała. I widząc ich takich, przytulonych i szczęśliwych, myślę: *Płacisz za to, Kate*. Dosłownie płacisz. Płacisz innej kobiecie, żeby siedziała na twojej sofie i tuliła do siebie twoje dzieci.

Pytam Paulę, czy nie ma nic lepszego do roboty, i brzmienie własnego głosu przejmuje mnie dreszczem odrazy: wyniosła, zgryźliwa, pieprzona pani na włosciach. Spoglądają na mnie wszyscy okrągłymi ze zdziwienia oczami i znowu zaczynają chichotać. Nie mogą się powstrzymać. Tak ich śmieszy ta głupia baba, która wparowała jak burza do pokoju i usiłuje zepsuć im zabawę. Tak jakby dobry humor można było zgasić jednym dmuchnięciem, ot, tak sobie, jak świeczkę.

Czasami chodzi mi po głowie, że moje dzieci za bardzo zżyły się z Paulą, że to chore. Ale przeważnie zrobiłabym wszystko, żeby ją zatrzymać. Paula mówiła mi, że zna matki, które co sześć miesięcy zmieniają opiekunki. Dzięki temu dzieci się do nich zbytnio nie przywiązują. Ale do jakiego stopnia można być egoistką? Odmawiać im przebywania w towarzystwie kogoś, kogo dobrze znają i lubią, tylko dlatego, że sama chciałabyś być tym kimś, a nie możesz?

Oczywiście, gnębi mnie, że Paula nie rozmawia z dziećmi, tak jak ja bym to robiła. W dzieciństwie mówiłam obiad na lunch, a na obiad podwieczorek, teraz,

kiedy awansowałam społecznie i pracuję w prestiżowym zawodzie, uczę dzieci odróżniać lunch od obiadu, a potem przychodzi Paula i znowu nazywa przy nich lunch obiadem, a obiad podwieczorkiem. Ale czy poza tym mogę się na nią uskarżać? Wiem, że Paula trochę za dużo pozwala dzieciom przesiadywać przed telewizorem, ale muszę przyznać, że pod innymi względami ma do nich o wiele lepsze podejście niż ja — jest konsekwentna, ma więcej cierpliwości. Po spędzonym z dziećmi weekendzie marzę tylko o tym, żeby wyrwać się z domu, za to Pauli nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Nigdy nie podnosi głosu. Wiele z tego, co dobre w ich charakterach, Emily i Ben przejęli od niej.

Wczoraj wieczorem w przedszkolu dyrektorka odciągnęła mnie na bok i powiedziała, że jeśli naprawdę chcę, by Emily przyjęto do Piper Place, to muszę — jak to najlepiej ująć? — bardziej popracować nad nią w domu. Dzieci niepracujących matek częściej bywają w muzeach, mają szersze horyzonty. Podczas gdy w rodzinach, w których oboje rodzice pracują...

—Cóż, występuje tendencja do wysługiwania się te-le-wi—zją — powiedziała panna Acland, rozbijając to straszne słowo aż na cztery sylaby.

—Emily — dodała — przejawia zadziwiającą znajomość filmów rysunkowych Walta Disneya.

Chciała mi w ten sposób zasugerować, że Paula nie jest dobrą opiekunką.

— Żeby stworzyć Emily szanse na przyjęcie do dobrej szkoły podstawowej — ciągnęła panna Acland — trzeba rozwijać jej zainteresowania. Rywalizacja jest teraz w Londynie bardzo zacięta, pani Shattock. Proponuję jakiś instrument — skrzypce nie, bo są już zbyt pospolite; może klarnet — i ewentualnie jakąś nietypową dyscyplinę sportu. — Według niej coraz większą popularność zdobywa ostatnio rugby dla dziewczynek.

— Emily w wieku sześciu lat musi już składać CV? Chyba powinnam usunąć z głosu tę nutkę niedowierzania.

— Cóż, pani Shattock, w sytuacji, gdy oboje rodzice pracują, te rzeczy, że tak powiem, mogą zostać zaniedbane. Czy w dzieciństwie uczyła się pani gry na jakimś instrumencie?

— Nie, ale mój ojciec często nam śpiewał.

— Aha — mruknęła z wyraźnym lekceważeniem. Wstrętne edukacyjna wiedźma.

Paula, zanim przyszła do nas, pracowała u pewnej rodziny z Hampstead. Julie, matka, zastrzegła, że dzieciom nie wolno oglądać telewizji.

— A sama pracowała w telewizji, produkując tę sieczkę dla Kanału 5! — opowiadała mi kiedyś ze śmiechem Paula. W weekendy Julie długo wylegiwała się ze swoim mężem Mikiem w łóżku, a na dole dzieci przez cały ranek oglądały filmy na wideo. Paula dowiedziała się o tym od Adama, najmłodszego, kiedy w pewien poniedziałek chciała wyłączyć telewizor. Przypominając sobie tę historię, czuję, że się rumienię. Czyż nie stosuję takiego samego podwójnego standardu? Instruuje Paulę, że Ben ma pić wodę zamiast soku, a w weekend, kiedy synek poprosi mnie o sok jabłkowy, daję mu go bez gadania, byle tylko mieć święty spokój. Wymagam od niańki, żeby była lepszą ode mnie matką: oczekuję od niej, że będzie kochała moje dzieci jak swoje własne, a kiedy wracam z pracy i widzę, że kocha je jak swoje własne, stają się nagle Moimi Dziećmi, których nikt prócz mnie nie ma prawa kochać.

Wyjmuję ze zmywarki do naczyń talerze i zaczynam szorować ręcznie te, które się niedomyły. Paula patrzy na mnie z drugiego końca kuchni. Szczotkuje Emily włosy i patrzy na mnie. Ciekawe, co sobie myśli? Powiedziała mi kiedyś, że gdyby miała dzieci, nigdy nie zatrudniłaby do nich niańki; знаła kulisy, jak wygląda taka opieka, co się dzieje, gdy za pracodawczynią zamkną się drzwi.

Emily piszczy. Szczotka natrafiła na pasemko splątanych włosów.

— Cicho — fuka Paula. — Księżniczkom trzeba szczotkować włosy po sto razy każdego wieczoru, prawda, mamusiu? — Spogląda na mnie, szukając pojednania i poparcia.

Nie. Nie chcę tego wiedzieć. Gdybym wiedziała, co ona naprawdę sobie myśli, serce by mi pewnie pękło. Ale mimo wszystko ciekawe, co myśli.

Część czwarta

TLR

Zakupy w supermarkecie

Urodziny Emily są dla mnie zawsze przypomnieniem, że to już początek lata. Kiedy sześć lat temu odeszły mi wody i jechałam taksówką do szpitala, w kawiarnianych ogródkach i na chodnikach panował taki tłok, jakby całe miasto wyległo, by świętować narodziny mojego dziecka.

W przeddzień urodzinowego przyjęcia robię z Benem zakupy w supermarkecie. Zakupy w supermarkecie. Kto by pomyślał, że w tak krótkiej frazie może się pomieścić tyle udręki. Najpierw próbuję wyszarpnąć pod sklepem ekstraszeroki wózek z innego takiego wózka, z którym się szepił. A do dyspozycji mam tylko jedną rękę, bo drugą muszę przytrzymywać wyrywającego się berbecia.

Ekstraszeroki wózek na kółkach jest wielki jak wyspa Wight, manewrowanie nim to istny koszmar. Próbuję nakłonić Bena do zajęcia miejsca na siedzeniu dla dzieci. Ben opiera się, woli podróżować w przestrzeni ładunkowej, skąd będzie mógł wyrzucać każdy nabytek, który nie przypadnie mu do gustu. Zdesperowana, rozrywam paczkę mlecznych cukierków w czekoladzie, wciskam mu dwa naraz, wykorzystuję chwilę jego nieuwagi, sadzam na siedzisku i zapinam zatrzaśki. (Niedobra, oj, niedobra matka uciekająca się do przekupstwa). Teraz pozostaje mi tylko wyszukanie na sklepowych półkach trzydziestu siedmiu pozycji z listy, którą sobie spisałam. Richard, kiedy dzisiaj rano rzuciłam w niego radiem, orzekł, że to całe urodzinowe zamieszanie chyba mnie trochę rozstroiło. Może bym tak sobie odpoczęła, a na zakupy do supermarketu on się wybierze? W żadnym wypadku, powiedziałam stanowczo, nie będzie wiedział, co kupić.

— Przecież jest lista, Kate — zauważył tonem człowieka-w-białym-fartuchu, który próbuje przemówić pensjonariuszowi do rozsądku — wystarczy jej się trzymać.

Ale każda kobieta wie, że jeśli posłać mężczyznę do sklepu, to choćby nawet miał listę, wróci nic z tym, co trzeba. Dlaczego? Bo kobieta jest święcie przekonana, że jeżeli sama pójdzie do supermarketu, to lepiej wybierze: pulchniejsze kurczaki z tego regionu Francji, gdzie są lepsze pasze, smaczniejszy jogurt, dokładnie taką, o jakiej marzyła, główkę sałaty. Mężczyźni sporządzają listy, żeby uporządkować świat, żeby założyć mu kaganiec; dla kobiet lista jest tylko punktem wyjścia, siatką współrzędnych, na podstawie których wytyczamy swoją marszrutę ku wolności. (Nie zrozumcie mnie tu źle: nie twierdzę, że to fair. Kiedy kobieta kupuje coś, czego nie ma na liście, i co później okazuje się niejadalne, nazywa się to „nieudanym eksperymentem”; kiedy to samo robi mężczyzna, jest to „wyrzucanie pieniędzy w błoto”).

Godz. 15.31

Staję w kolejce do kasy. Jestem przekonana, że zapomniałam o czymś ważnym. Tylko o czym?

Godz. 15.39

O kurczę! Ben narobił w pieluchę! Kalkuluje, jak długo mogę tu sterczeć udając, że nic nie czuję przed sąsiadami z kolejki, którzy już zaczynają pociągać nosami, a tymczasem mój syn pakuje sobie rączkę — tę umazaną czekoladą — w spodenki. Kiedy ją wyciąga, jest już umazana nie tylko cukierkiem, ale również kupą. Słabo mi się robi ze wstydu. Ale nie tracę głowy. Porywam smarkacza z wózka i trzymając go z dala od siebie jak granat z wyciągniętą zawleczką, pędzę przez sklep do kącika przewijania niemowląt.

Godz. 16.01

Z powrotem w kolejce. Szesnaście minut. Szacuję, że Ben zjadł już co najmniej jedną dwunastą produktów na przyjęcie. I dalej przeżuwa w najlepsze, a ja

chwytam z pobliskiego stelażu jakieś czasopismo i próbuję obniżyć sobie ciśnienie krwi lekturą swojego horoskopu:

Jowisz przechodzi teraz przez dziewiąty dom, a to jeden z najkorzystniejszych dla ciebie etapów jego drogi po firmamencie. Wyostrza się twoja wrażliwość, poszerzają horyzonty. Przepelnia cię życzliwość do całego świata — nawet do niesfornych dzieci. A co najważniejsze, twój ładunek agresji obniża się do rzadko spotykanego poziomu. Rzecz w tym, żeby utrzymać go na tym poziomie, kiedy opadnie już euforia.

— Proszę pani?

Podnoszę wzrok, pewna, że to moja kolej na wykładanie zakupów na taśmę kasy. Niestety, kasjerka zwraca mi tylko uwagę, że stoję do kasy dla zwyczajnych wózków i moja wyspa Wight nie przecisnąć się przez przejście.

—Przepraszam, czy mogłaby pani przejechać do kasy dla szerszych wózków?

—Przepraszam? „Przepraszam” tu chyba nie wystarczy, prawda? — Przez pięć sekund idę w miarę spokojnie, potem walę pięścią w dwunastopak hula hopów. Huk zwabia ochroniarza zaczajonego za barierką. Ben uderza w płacz, wtórują mu wszystkie bachory z bezpośredniego sąsiedztwa. Przepelnia mnie życzliwość do całego świata.

Godz. 16.39

Kasjerka grzebie się jak mucha w smole. Co gorsza, jest rozmowna i pełna dobrych rad.

— Wie pani, że kupując jeszcze jeden, dostanie pani jeden gratis?

—Słucham?

—Serek fromage, nie chce pani jednego gratis?

—Nie, nie chcę..

—Jakieś przyjęcie, tak?

Nic, kupuję osiemdziesiąt minikielbasek, dwadzieścia cztery opakowania ciastek w czekoladzie i worek lizaków dla siebie, bo jestem zdeklarowaną bulimiczką.

—Urodziny mojej córeczki. Kończy jutro sześć lat.

—Och, jak wspaniale. Ma pani kartę rabatową?

—Nie...

— A przydałaby się pani przy takim czubatym wózku, prawda? Zaoszczędziłaby pani coś niecoś, kochaniutka.

—Może i tak, ale nie mam czasu na...

—Mogę wystawić.

—Nic, mnie się naprawdę śpieszy...

—Jakaś ty śliczniutka.

—Słucham?

—Pani córunia. Śliczniutka!

—To chłopiec.

— Tyle kędziorków na główce, że nie poznałam. Musisz powiedzieć mamusi, żeby ci obcięła włoski, młody człowieku.

Dlaczego supermarkety nie wyznaczają specjalnych kas dla pracującej matki, obsługiwanych przez burkliwe, superwydajne androidy? Albo przez Francuzów. Tak, Francuzi byliby idealni.

Godz. 21.43

Wszystko pod kontrolą. Dzieci już w łózkach. Robię paczkę. Debra uprzedziła mnie, że to już nie te czasy, kiedy same byłyśmy małe, i paczka nie może zawierać tylko jednego prezentu. Prezent musi się teraz znajdować pod każdą warstwą papieru do pakowania, żeby dziecko nabrało przekonania, że życie jest

sprawiedliwe. Po co? Życie nie jest sprawiedliwe; życie to mnóstwo warstw papieru do pakowania, a w środku jedna popsuta piszcząca zabawka.

Richard siedzi w sąsiednim pokoju przed telewizorem i napełnia torby niespodzianki. (Teoretycznie nie pochwalam, rzecz jasna, przesady z podarkami, które dzieci mają zabrać z przyjęcia do domu, w praktyce jestem zbyt tchórzliwa, żeby dać każdemu po baloniku i kawałku tortu, co moim zdaniem wystarczyłoby aż nadto. Mamafia wydałaby na mnie wyrok).

Niestety, supermarket nie był w stanie zamienić w ostatniej chwili tortu urodzinowego z różową polewą na taki sam z polewą żółtą. Róż był kiedyś ulubionym kolorem Emily, potem wyparł go żółty. Kiedy zamawiałam tort, różowy wrócił właśnie do łask, ale w zeszłym tygodniu, kiedy byłam w podróży służbowej, z dnia na dzień zastąpił go znowu żółty. Nic to, mam w domu cukier puder i zrobię ją sama. Może nie wyjdzie najzgrabniej ale za to spod matczynej ręki, co też wiele znaczy. O cholera, gdzie jest cukier puder?

Godz. 23.12

Znajduję paczkę w głębi kredensu, upchniętą pod przeciekającą butelkę z sosem sojowym. Przeterminowany o rok cukier wypada z torebki w jednym kawałku. Przypomina z wyglądu jeden z tych przywiezionych rzekomo z Księżyca przez Apollo 11 kamieni, które przed trzydziestu laty produkował taśmowo mój tato. Albo sprasowaną kokainę. Na szczęście to nie ta ostatnia, bo skonsumowałabym cały kawałek osobiście, położyła się na podłodze w kuchni i czekała na miłosierną śmierć.

Ale powinno tego wystarczyć na pokrycie całego tortu. Rozbicie cukrowego kamienia na pył zabiera mi osiem minut. Rozpuszczam go w ciepłej wodzie, po czym wkraplam maleńką kropelkę żółtego barwnika. Uzyskuję kolor bladej cytryny; troszkę za mdły, trochę —jak to określić? — za mało wyrazisty. Na urodzinowe przyjęcie bardziej pasowałoby coś weselszego: żółtko jajka, żółć van Gogha. Idę na całość i wpuszczam jeszcze dwie kropelki. Kolor jest teraz wodnisty i zarazem intensywny, przywodzi na myśl zjełczałą urynę. Dodaję jeszcze dwie kropelki i mieszam zawzięcie.

Ze łzami w oczach kontempluję zawartość miseczki, kiedy do kuchni wchodzi Rich i opowiada o jakimś filmie dokumentalnym o rozwoju dzieci.

— Wiesz, że niemowlęta zaczynają przejawiać cechy swojej płci już od trzeciego miesiąca życia? To pewnie dlatego Ben przesiaduje całymi dniami na nocniku, czytając dział sportowy. Podobnie jak jego ojciec lubi... Jezu, Kate, a to co?

Rich zauważył moją polewę. Polewa ma teraz kolor, który przy dużej dozie dobrej woli można opisać jako safari yellow. Przypomina mi nieodparcie zawartość pieluszki Bena w markecie.

Richard parska śmiechem. Tym niewybaczalnym, niepohamowanym śmiechem, którym wybuchamy, doznając niewypowiedzianej ulgi, że to ktoś, a nie my, coś spieprzył.

— Nie martw się, kochanie — mówi — zastanówmy się. Mamy polewę koloru gówienka, zrobmy więc — krowi placek! Masz czekoladowe drażetki?

Niedziela, godz. 19.19

Przyjęcie nawet się udało, jeśli nie liczyć incydentu z Joshuą Mayhewem, który porzygał się w korytarzu, oraz momentu, w którym wniosłam tort i zaczęłam śpiewać:

— Happy birthday dear Emily, happy birthday to you!

— Mamusiu, ale ja nie chcę brązowej polewy — zawyła Emily.

— Nie jest brązowa, kochanie, jest żółta.

— Nie chcę żółtej. Chcę różową.

Po wyjściu ostatniego z osiemnastu gości biorę się za sprzątanie — kartoniki po soku przypominające zapadnięte płuca, papierowe talerzyki Barbie, trzydzieści sześć nietkniętych kanapek z jajkiem. Przed przyjęciem wysłałam do Jacka Abelhammera e-maila z sugestią, że w tych okolicznościach będzie może lepiej, jeśli przekażę prowadzenie jego funduszu któremuś z kolegów. Moje uczucia do niego — zaczęło się jako drobne zauroczenie, teraz czuję się, jakbym leżała pod walcem drogowym — utrudniają nam kontakt na gruncie zawodowym. Ton wia-

domości był przyjazny, lecz stanowczy. Przez dwie godziny od jej wysłania byłam dumna, że postąpiłam rozsądnie. Ale potem zaczęły się budzić wątpliwości. Już pięć razy szukałam w swojej skrzynce pocztowej odpowiedzi od niego. Daj spokój, Kate, dorośnij; przestań się zachowywać jak zakochana dzierlatka.

Z nerwów zjadłam jak dotąd dwa czekoladowe ciastka, miskę orzeszków i dołączyłam pół butelki dżinu do lemoniady, którą kupiłam u Marksa & Spencera, a następnie przelałam do różowego dzbanka, żeby uchodziła za napój domowej roboty.

Jest gorąca noc: parna, spragniona deszczu. Wentylator, który wyciągnęłam ze schowka pod schodami, nic nie pomaga: stoi na kuchennym stole i miesi niemrawo gęste jak zupa powietrze. Niedawno zagrzmiało, ale jakoś niezdecydowanie, przypominało to bardziej odgłos towarzyszący przedzieraniu papieru pakowego, niż grzmot z prawdziwego zdarzenia, jakiego trzeba, by przegnać tę duchotę. Jezu, ale parówka. I ten smród. Szoruję w ogródku chodnik zarzygany przez Joshuę Mayhewa. Wymiociny z owsianki nadziewane pastelowymi minaretami lizaków.

W porę zauważyłam, że Joshua pobladł i pot występuje mu na czoło, i zdążyłam go jeszcze wyciągnąć do korytarza, ale kiedy mocowałam się z drzwiami frontowymi, zwrócił urodzinową herbatkę na chodnik.

Za nami wybiegła z pokoju jego matka.

— Co się przytrafiło mojemu biednemu Joshowi — zapiszczała.

Przełknęłam cisnącą mi się na usta odpowiedź: a to mu się przytrafiło, że zahaftował mi uzbecki kilim za 500 funtów. Gdyby to była treść żołądkowa mojego dziecka, padłabym na klęczki i wyciągnęła książeczkę czekową. Ale Imogena Mayhew zapytała tylko, czy Joshui nie pozwolono aby spożyć za dużo słodczy.

Roześmiałam się perlistym śmiechem gospodyni i zauważyłam, że słodczyce są na przyjęciach urodzinowych daniem tradycyjnym, ale Imogena mi nie zawtórowała. Wyszła z miną sugerującą, że wkrótce mogę się spodziewać pozwu do sądu w sprawie strucia jej pociechy ciastkami. Ledwie drzwi się za nią zamknęły,

nadziałam się znowu na Angelę Brunt, która klęczała przy płaszczech i ścierała truskawki z zielonej aksamitnej sukienki Daviny.

—Zapisałaś już gdzieś Emily, Kate?

—Nooo... nie.

— A Davina ma już zapewnione miejsce w Holbrook House, ale w ten czwartek czeka nas jeszcze rozmowa kwalifikacyjna w Piper Place i na tę szkołę stawiamy, bo otwiera mnóstwo drzwi, nieprawdaż?

— Tak, prawdaż.

Myję ręce, żeby pozbyć się odoru rzygowin, i wchodzę do salonu. Richard leży rozwalony na sofie, twarz ma przykrytą dodatkiem niedzielnym. Każdy jego wydech wydyma biust Madonny, której zdjęcie zdobi okładkę; pod spodem widnieje tytuł artykułu: „Od dziewicy do szczęśliwej matki”. Może powinnam zadzwonić do Madonny i pogawędzić z nią jak matka z matką o usuwaniu wymiocin z kilimów? Tyle że ona do sprzątania pawi po przyjęciach urodzinowych swojej córki zatrudnia pewnie specjalnego kowboja. Jak ja nienawidzę tej nadętej Szczęśliwej Matki, która rozpowiada na prawo i lewo, jaka czuje się spełniona, chociaż powszechnie wiadomo, że wszystko robi za nią cała flota matek zastępczych.

—Rich?

—Hmm? — Gazeta zsuwa mu się z nosa.

—Musimy zapisać Emily do Piper Place.

—Dlaczego tam?

—Bo ta szkoła otwiera wiele drzwi.

—Co, znowu Angela Brunt?

—Nnnie.

— Katie, biedne dziecko tej kobiety znajduje się pod taką presją, że skończy jako uliczna dealerka narkotyków.

— Ale potrafi grać na oboju.

— No dobrze, to jako grająca na oboju uliczna dealerka narkotyków. Twoja córka zna na pamięć całą *Mary Poppins*, daj jej więc spokój, dobrze?

Richard większość urodzinowego przyjęcia przegadał w kącie z Mathilde, matką Laurenta, chłopca z grupy Emily.

— Francuzki potrafią trzymać formę, prawda? — powiedział później.

Jakbym słyszała jego matkę.

—Mathilde nie pracuje — fuknęłam.

—A co to ma do rzeczy?

— Konserwacja ciała po trzydziestce to praca na pełny etat. A ja, wyobraź sobie, już na jednym pełnym pracuję.

Po wysprzątaniu kuchni i wyiskaniu na czworakach okruchów ciastek z chodnika w korytarzu — nic chciałam włączać odkurzacza, bo bym ich pobudziła — siadam na pięć minut przed telewizorem. Godzinę później budzi mnie telefon. To Barbara, moja teściowa.

—Nic pomyśl sobie, że się wtrącam, Katharine, ale rozmawiałam wcześniej z Richardem i odniosłam wrażenie, że jest strasznie przepracowany. To, oczywiście, nie moja rzecz, ale jeśli chodzi o wiadome sprawy, to jeśli tak dalej pójdzie, ani się obejrzysz, a cały sklepik się zamknie.

—Tak, tak Barbaro, ale mieliśmy przyjęcie urodzinowe Emily i....

—A przy okazji, przyjeżdżamy z ojcem w sobotę na ten cudowny spektakl w Royal Academy.

Uświadamiam sobie, że pauza, która tutaj nastąpiła, jest sygnałem, że mam coś powiedzieć.

— Och, to miło, Barbaro, gdzie się zamierzacie zatrzymać?

— Nie róbcie sobie wielkiego kłopotu. Wicie przecież, że mnie i Donaldowi do szczęścia wystarczy gorąca woda i czysta pościel.

Godz. 21.40

Emily, wybita z rytmu wrażeń ze swojego wielkiego dnia, jeszcze nie śpi. Jest tak zgrzana, że odrzuciła kołdrę, ściągnęła nocną koszulkę i leży z szeroko otwartymi oczami na prześcieradle, a jej nagie ciało połyskuje w ciemnym pokoju jak macica perłowa. W ciągu ostatniego roku — wierzyć się nie chce, że od jej piątych urodzin upłynęło już dwanaście miesięcy — straciła kragły dziecienny brzuszek; zaczyna nabierać kształtów kobiety, którą niedługo się stanie. Jest tym piękniejsza, że nic zdaje sobie sprawy ze swojej urody. Pragnę ją kochać i chronić, nigdy, przenigdy jej nic zranię. Ślubuję sobie w duchu, że odtąd będę lepszą matką.

—Mamusiu?

—Tak, Em?

— Za rok będą moje siódme urodziny! A potem będą ósme, dziewiąte, dziesiąte, jedenaste, dwunaste, czternaste, dwudzieste!

— Tak, ale lepiej nie dorastaj za szybko, kochanie.

— A ja właśnie chcę szybko — mówi z powagą. — Dorosłych wpuszczają do Morantyki.

— Do jakiej Morantyki?

Emily przewraca z niedowierzania oczami.

— Nie wiesz, co to Morantyka? To taki kraj, gdzie dorośli chodzą jeść kolację i się całować.

— Ach, Romantyka.

Em kiwa głową, rada, że jednak coś tam słyszałam:

—Tak, Morantyka!

—Skąd wiesz o Morantyce?

— Od Hannah. I trzeba tam chodzić z chłopcami, tylko że oni robią się czasami niegrzeczni.

Stoję w gęstym, dusznym mroku i myślę o tych rozmowach, które odbędziemy na ten temat w nadchodzących latach, i o tych, których nie odbędziemy, bo ona będzie musiała mieć swoje sekrety, żeby dojrzeć i oderwać się ode mnie, a ja swoje, żeby utrzymać z nią więź. Pochylam się i całując ją, mówię:

— Morantyka to fantastyczny kraj.

Emily wypatrzyła chyba na mojej twarzy cień smutku, bo bierze moją dłoń w rączki, a mnie przypomina się, jak kiedyś tak samo trzymałam dłoń swojej matki.

—Ty też możesz pójść do Morantyki, mamusiu — mówi. — To niedaleko.

—Niestety, kochanie — odpowiadam, gasząc nocną lampkę. — Mamusia jest za stara.

Od: Jack Abelhammer Do: Kate Reddy Najdroższa Katharine,

Doskonale rozumiem twoje skrupuły względem spotkania się ze mną jeszcze kiedyś w tym życiu i doceniam propozycję przekazania opieki nad moim funduszem twojemu szacownemu koledze Brianowi Jakiemuś-tam. Ale co ja poradzę, że wolę ciebie, Kate.

A teraz dobra wiadomość. Odkryłem wspaniałą restaurację w równoległym wszechświecie. Nie serwują tam cieleciny i mogą nam zarezerwować stolik w kącie sali. Jak stoisz z czasem?

ucalowania Jack

Od: Kate Reddy

Do: Jack Abelhammer

Najlepiej pasowałoby mi na Świętego Nigdy. Czy będziemy mogli usiąść przy oknie? K xxxxx

Mogłabym przysiąc, że z ogrodu pogrążonego w parnych, zawieszonych ciemnościach słyszę wołanie Jacka. W młodości zrywałam z mężczyznami bez sentymentów. Wydawało mi się, że tak jest lepiej, bo trudno będzie komuś mnie rzucić, kiedy pierwsza odejdę. Emocjonalnie zawsze siedziałam na spakowanej walizce. Terapeuta, gdybym miała czas zwrócić się do takiego o poradę, powiedziałby pewnie, że to skutek tego, iż tato tak często od nas odchodził. Poza tym, powtarzałam sobie kwestię Groucho Marxa: Po co mi znajomość z kimś tak głupim, że chce utrzymywać znajomość ze mną? Dopiero Richard pokazał mi, że miłość może być inwestycją, czymś, co może po cichu procentować i w perspektywie przynosić zyski, a nie hazardową grą, z której wychodzisz rozbita i splukana do nitki.

Przed Richardem, i przed pojawieniem się dzieci, rozstania były proste. Teraz sprawa się skomplikowała. Dzieci postrzegają mnie i Richarda jako uniwersalną hybrydę, tak zwaną mamęitację, którą kochają. Gdyby ta jednostka rozpołowiła się nagle na dwoje ludzi, musiałyby się nauczyć kochać ich osobno. Chyba nic wolno mi zmuszać do tego swoich dzieci. Mężczyźni zostawiają swoje dzieci, bo mogą; kobiety w zasadzie nie robią tego, bo nie mogą.

Żeby być z Jackiem, musiałabym wyemigrować z kraju. Żeby się na to odważyć, musiałabym czuć się tak nieszczęśliwa, że trudniej byłoby mi pozostać niż wyjechać. A tak źle jeszcze nie jest.

Do zapamiętania

Dług wobec dzieci. Dług wobec siebie. Jak je pogodzić? Pilnować terminów spotkań (sekretarka Lorraine jest na chorobowym, ale ona zawsze idzie na chorobowe, kiedy nadciąga fala upałów). To na pewno samoopalacz: wygląda jak młodsza siostra Morticii Addams. Wytłumaczyć się przed klientami z iście katastrofalnych wyników w maju (-9% przy indeksie -6%). W maju na marne poszła ciężka harówka z czterech poprzednich miesięcy. Zasugerować klientom, że to tylko przejściowy dołek i podejmują już stosowne kroki mające na celu wyrównanie strat. Jakie to kroki? Wypuścić powietrze z nadmuchiwanej zamki, objechać Roda za haniebne seksistowsko-rasistowskie traktowanie Momo. Zapisać się na wizytę w gabinecie odnowy, wypróbować maseczkę proteinową zalecaną

przez kosmetyczkę z „Vogue”. Chodnik na schody??? Rocznicą ślubu. Właśnie, kiedy to?

TLR

Tupot małych łapek

Godz. 23.29

Zbliżająca się wizyta teściów wprowadza nerwową atmosferę, jest jak odległy grzmot kopyt stada antylop gnu.

—Nie rób sobie kłopotu, kochanie — mówi mój mąż. — Co zaplanowałaś na niedzielny lunch?

—Nie rób sobie kłopotu, Katharine — mówi Barbara, dzwoniąc już trzeci raz. Akurat, nie będę sobie robiła kłopotu, a ona pierwsze, co zrobi po przyjeździe, to zajrzy do lodówki; potem przesunie palcami po swoim sznurze perci jak po różańcu i pociągnie Donalda z powrotem do samochodu. Wrócą ze sklepu z pełnym bagażnikiem „żeby nam niczego nie zbrakło”.

Ale tym razem wszystko jest pod kontrolą. Nie dam się na niczym przyłapać: na gościnnym łóżku czysta pościel, w łazience czyste białe ręczniki kupione w M&S podczas przerwy na lunch. Włożyłam nawet bukietik konwalii do wazonika na nocnym stoliku — taki ślad kobiecej ręki w stylu praktykowanym przez moją szwagierkę, mamafioskę Cheryl. Żeby tylko nie zapomnieć o wygrzebaniu z pawlacza wszystkich prezentów, jakie dostaliśmy w przeciągu lat od Donalda i Barbary, i porozstawianiu ich na widocznych miejscach:

Akwarela przedstawiająca zachód słońca nad Coniston pędzla „uznanej miejscowej artystki Pameli Anderson” (zbieżność nazwisk przypadkowa)

Kieliszki do jajek firmy Royal Worcester (x4) Elektryczny budzik

Powieść Dicka Francisa w twardej oprawie. Pamiątkowa podstawka pod tort Beatrix Potter.

I tak dalej, i tym podobne.

Przecieram szmatką kuchenny blat, potem przeglądam plecak Em. Między kartkami książki *Lily, zabłąkany pies* znajduję liścik z przedszkola. Czy rodzice byliby łaskawi wnieść swój wkład w organizowany przez placówkę Dzień Potraw Świata i przygotowali jakąś tradycyjną potrawę charakterystyczną dla kulturowych korzeni swojego dziecka.

Nie. Rodzice nie byliby łaskawi. Rodzice są bardzo zajęci zarabianiem na życie, dziękują i będą niezmiernie wdzięczni, jeśli przedszkole samo zajmie się tym, za co mu płacą. Ta Wielka Uczta już jutro. WSZYSCY MILE WIDZIANI! Poniżej mrozący krew w żyłach dopisek nabazgrany niewprawną rączką Emily: „Moja mama jezd bardzo dobrom kucharkom, dużo lepszom od mamy Sofeez”. O cholera.

Rzucam się do przeglądania zawartości kredensu. Co, na miłość boską, można nazwać tradycyjną angielską potrawą? Rostbef? Pudding? Znajduję słoiczek angielskiej musztardy z odrażającą obwódką dawno zaschniętej mazi wokół wieczka, przywodzącą na myśl wypuczone usta Micka Jaggera. Ryba z frytkami? Mogłaby być, ale nie mam ryby i nigdy w życiu nie robiłam frytek. Mogłabym zanieść zawinięte w gazetę frytki z McDonalda, ale już widzę miny tych kuchennych nazistek pod wodzą Matki Przełożonej, Alexandry Law. W głębi szuflady z płatkami śniadaniowymi znajduję dwa słoiki dżemu *bonne maman*. Truskawkowa konfitura byłaby doskonałym przykładem krajowej sztuki kulinarnej, gdyby nie to, że została wyprodukowana we Francji.

Genialny pomysł. Zagotowuję wodę w czajniku. Biorę jeden słoik, potem drugi. Trzymam je nad parą etykietkami do dołu. Etykietki marszczą się i odpadają. W innej szufladzie kredensu znajduję dwie nowe nalepki i wypisuję na nich wielkimi, koślawymi literami: *Dżem Truskawkowy Shattock*. Idąc za ciosem, rysuję w rogu każdej nalepki dorodną truskawkę. Wyglądają jak zaognione trzustki. Przyklejam nalepki do słoiczków. *Et voilà! Je suis une bonne maman!*

—Co ty tu jeszcze robisz, Kate? Już po północy. — Do kuchni wchodzi Rich w bokserkach i w podkoszulku. Patrzy na mnie podejrzliwie.

—Robię dżem. A ściślej, podrabiam go. W przedszkolu jest święto potraw etnicznych i Emily musi na nie przynieść coś angielskiego.

— Nie lepiej kupić coś rano?

— Nie, Rich, nie lepiej. Rich wzdycha ciężko.

— Boże, ile razy musimy to jeszcze wałkować? Mówiłem ci, żebyś przestała się tak przejmować. Ciężko pracujesz, Kate, i inne matki powinny zaakceptować to, że nie masz czasu robić wszystkiego tego, co one.

Chcę mu powiedzieć, że robię to dla siebie, nie dla nich. Ale Rich odwraca się i wychodzi.

Godz. 0.39

Jestem tak zmęczona, że nie mogę zasnąć. Siadam przy kuchennym stole i otwieram pokrywę laptopa. Ciemną kuchnię zalewa mleczno-metaliczna poświata. Wywołuję z pamięci zawartość pliku Salingera. Liczby na ekranie działają na mnie kojąco — są mi posłuszne i nie mogę ich okłamać. Za to w pracach domowych jestem fałszerzem, oszustką. Nie wstydzę się tego, nie widzę innej alternatywy. Dobra mama sama robi dżem, prawda? W skrytości ducha wszystkie to wiemy. My, złe, przemęczone matki będziemy mogły wyjść bezpiecznie z podziemia z podniesionymi głowami dopiero, kiedy konfiturom zacznie się nadawać nazwy w rodzaju Zapracowana Maman albo Niezorganizowana Maman, a chleb o przedłużonej świeżości nazywać Dumą Ojca.

Piątek, godz. 7.10

Richard podniósł głos. Zrobił to po raz pierwszy, dotąd tylko upominał mnie, żebym zniżyła swój. Siedzieliśmy wszyscy przy śniadaniu, dzieci paplały, co ślina na język przyniesie, a on w pewnym momencie jak nie wrzaśnie na Emily.

—Mamusiu, mogę mieć siostrzyczkę?

—Nie, kochanie.

—Aleja bym chciała. Tatusiu, możemy mieć siostrzyczkę?

—NIE, NIE MOŻECIE!

—Dlaczego?

— Bo żeby zrobić siostrzyczkę, mamusia i tatusiowie muszą się zamknąć na pewien czas sami w jednym pokoju. — Rich wpatruje się w telewizor z przyciśzoną fonią, nie odrywa oczu od pełnych ust Chloe-Zoe.

— Richard, przestań!

— A wasi mamusia i tatuś nigdy nic mają na to czasu, Emily. Zresztą niedługo mamusia leci znowu do Nowego Jorku, a w tych okolicznościach trudno mówić o robieniu siostrzyczki. A może mamusia by wołała, żebym jej sprowadził fachowca. Zawsze prosi o to tatusia, kiedy popsuje się zmywarka do naczyń, prawda? Sprowadź fachowca.

— Powiedziałam, przestań.

— Dlaczego, Kate? Sama mówiłaś, żeby jej nigdy nie okłamywać.

—Ma-amo, a Daisy ma siostrzyczkę.

—A ty masz braciszka, Em.

—Ale to CHŁOPAK.

Godz. 8.52

Sama odwożę Emily do przedszkola. (Zadzwoiłam do pracy i powiedziałam, że muszę iść do lekarza: w hierarchii wymówek szwankujące zdrowie stoi wyżej od małej dziewczynki spragnionej matczynego towarzystwa). Em jest wniebowzięta, że jestem tu z nią pośród innych mamuś. Oprowadza mnie przed koleżankami jak klacz po padoku, poklepując po zadzie i podkreślając moje walory.

— Moja mamusia jest bardzo piękna i wysoka, prawda? Miałam nadzieję, że uda mi się wnieść swój wkład w Potrawy

Świata niepostrzeżenie, ale uginający się pod ciężarem etnicznych potraw stół stoi na samym środku przedszkolnej sali. Okazuje się, że jedna z matek przyniosła całego kozła przyprawionego curry. Mama Kristie zrobiła haggis w autentycznym żołądku. Jezu. Chowam szybko swój dżem truskawkowy za misterną piramidą z chałek.

—Witaj, Kate! — grzmi Alexandra Law, odwijając z opakowania biszkopt wielkości Albert Hall. — Przeszłaś już na pół etatu?

—Nie. Tam, gdzie pracuję, nie ma niepełnych etatów. Szczerze mówiąc, to i pełny uważają tam za leserkę.

Śmieją się wszystkie matki z wyjątkiem Claire Dalton, starszego partnera w Sheridan and Farquhar. Zauważam, że Claire próbuje przemycić na ołtarz Potraw Świata małą miseczkę zielonej galaretki. Niesie tę miseczkę bardzo ostrożnie, żeby nie wyszło na jaw, że galaretka się nie ścięła.

Godz. 12.46

Candy nie usunie ciąży. Nie chce na ten temat rozmawiać, ale jej pęczniejący brzuch mówi sam za siebie. Przyniosłam jej więc dzisiaj torbę ciężowych ubrań: dwie dość twarzowe sukienki, które będzie mogła wkładać do pracy, dwie takie bardziej obszerne do noszenia po domu i parę innych ciuchów. Wręczam jej bez komentarza tę torbę, kiedy jemy lunch w Pizza Navarona. Candy wyjmuje ciemnoszarą sukienkę, unosi ją w górę i obrzuca krytycznym spojrzeniem.

— O, papierowy worek przewiązywany sznurkiem. Mój ulubiony fason!

—Pomyślałam sobie tylko, że mogą ci się przydać.

—Na co?

—Na ciążę.

— Jezus, Maria, a to co? — Candy wyciąga z torby białą koronkową koszulę nocną i macha nią jak flagą ku uciesze grupki facetów z sąsiedniego stolika. — Poddaję się, poddaję — dorzuca płaczliwym głosem.

— Spójrz, ma tu otwór na karmienie.

—Dlaczego miałabym jeść cokolwiek w tym... o Boże, chcesz przez to powiedzieć, że ktoś będzie na mnie żerował. Odrażające.

—No wiesz, to od dobrych stu pięćdziesięciu tysięcy lat dosyć powszechnie stosowana praktyka.

—Ale nie w New Jersey. Kate?

—Tak?

— To dziecko... ono nie będzie mnie za bardzo absorbować, co?

Studiuję przez chwilę twarz Candy. Ona pyta zupełnie poważnie.

— Nie, nie będzie. Gwarantuję. — *Jak już dorosnie i się usamodzielni*, a i wtedy nie wiadomo, chcę już dodać, ale dla dobra Candy gryzę się w język. Ona nie jest jeszcze na to gotowa.

Godz. 15.19

Czerwony alarm. Wcięło Ura. Paula dzwoni i mówi, że na pewno był w wózku, kiedy rano wychodziła z Benem na spacer, i jest przekonana, że z nimi wrócił. Ale potem, kiedy kładła Bena do łóżeczka na popołudniową drzemkę, nie mogli go znaleźć. Ben był zdruzgotany. Paula przewracała dom do góry nogami, a on wrzeszczał i wrzeszczał. Szukała wszędzie, ale kangur jakby się pod ziemię zapadł. W tle słyszę żałobne wycie Bena.

Po pierwsze, po jaki gwint zabierała Ura na spacer? Jak mogła zrobić coś tak głupiego, skoro zdawała sobie doskonale sprawę, co się będzie działo, jeśli Ur zginie. Wygarniam jej to prosto z mostu, a ona, zamiast mi się odciąć, pyta zbolalym, pełnym poczucia winy tonem:

—Czy nie dałoby się kupić nowego, pani Kate?

—Nie znam sytuacji na rynku używanych kangurów, Paulo.

Godz. 15.29

Dzwonię do Woolworths, skąd pochodził oryginalny kangur. Sprzedawczyni mówi, że bardzo jej przykro, ale kangury chyba już wyszły. Czy chciałabym porozmawiać z kierownikiem? Chciałabym.

Kierownik mówi, że kangurów już nie zamawiają.

— Ostatnio nastąpił odwrót od tradycyjnych pluszowych przytulank w kierunku oryginalnych plastikowych stworków, pani Reddy. Może byłaby pani zainteresowana Panem Kapuścianą Głową?

Nie, mam ich pod dostatkiem w pracy.

Godz. 15.51

Próbuję u Harrodsa. Oni na pewno będą mieli na składzie Ura. Przecież u nich podobno jest wszystko, prawda? Kobieta z działu zabawek mówi, że może coś się znajdzie. Jeśli zaczekam przy aparacie, to ona sprawdzi w sąsiednim stoisku. Wraca po dłuższej chwili i opisuje mi coś, ale to chyba nie to.

—Nie, mnie chodzi o większego. Na gwałt. Tak, z Australii. Potrzebuję go na dziś wieczór. Najlepiej gdyby miał około dwudziestu centymetrów długości.

—Kate, nie wiedziałem, że przywiązujesz do tego wagę. — Podnoszę wzrok i widzę pochylającego się nade mną Roda Taska. O Boże. — Przepraszam, Rod, szukam właśnie kangura.

— Świetnie. Myślałem, że już nigdy nie poprosisz. Siedzący dwa biurka dalej Guy uśmiecha się wrednie. Kiedy

Rod oddala się poza zasięg głosu, każe mu wejść natychmiast do Internetu i szukać pluszowych zabawek-przytulank.

Godz. 21.43

Uśpienie Bena zabiera mi dokładnie dwie godziny i czterdzieści trzy minuty. Wszystkie zastępcze przytulanki, jakie mu podsuwam — owieczka, miś polarny, dinozaur, wszystkie po kolei Teletubisie — są natychmiast wyrzucane z łóżeczka. — Ur — wyje. — Ur.

Żeby go uspokoić, pozwalałam mu potrzymać swoją elektryczną szczoteczką do zębów. Potem siadamy w niebieskim fotelu i Ben wczepia się we mnie jak małpiątko. Każdy jego oddech kończy się zdławionym szlochem. Proszę Cię, Boże, pomóż mi znaleźć innego Ura.

*

Podczas wizyty Barbary i Donalda wszystko układało się dobrze; teraz rozumiem, że podejrzanie dobrze. Barbara skomplementowała nawet moją kuchnię.

— Na pewno będzie śliczna, jak już skończycie ją urządzać — powiedziała.

Uśmiechałam się przez cały czas, nawet podczas podwieczorku z dziećmi, kiedy Barbara, zwracając się do Donalda, powiedziała:

— Ciekawa rzecz, nic uważasz? Emily jest podobna do Richarda, kiedy się uśmiecha, a jak się naburmuszą, to do Kate!

Tego wieczoru jedliśmy kolację po włosku. Umyłam i wysuszyłam stertę rukwieli, opaliłam i starannie obrałam czerwony pieprz, na górnej półce piekarnika dochodził udziec jagnięcy, na dolnej przyrumieniały się ziemniaki przyprawione rozmarynem z mojego ogródka. Po położeniu dzieci do łóżek wykapałam się nawet, a potem założyłam czystą bluzkę oraz aksamitną spódnicę i przepasałam się fartuszkim, który dostałam od teściów na Gwiazdkę.

Tak, myślałam, napawając się atmosferą przy kolacyjnym stole, to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy życie nabiera barw kolorowego czasopisma. Boginka domowego ogniska zabawiająca zadowolonych teściów w swoim uroczym, stylowo urządzonym domu. Barbara pytała mnie właśnie o przepis na pieprz, kiedy go zobaczyłam. Pulchny zamuszowy zadek szczura maszerującego po dębowych deskach podłogi.

Podręczniki *savoir-vivre'u* nie wiedzieć czemu pomijają milczeniem temat szczurów pojawiających się podczas kolacji. Czy:

a/ Roześmiać się wesoło i udawać, że szczur to hołubiony domowy zwierzączek?

b/ Krzyknąć: — Ach, a oto główne danie! Nigel Slater twierdzi, że gryzonia to jest to. A najlepiej przyrządzać je po wietnamsku?

c/ Zaprosić gości na górę, poczęstować drinkiem i puścić płytę Burta Bacharach, żeby zagłuszyć odgłosy dolatujące z kuchni, gdzie mąż poluje na szczura z należąca do córeczki parasolką Mary Poppins?

Zdecydowaliśmy się z Richardem na wyjście c.

Szczur na dole zaszył się w kojcu, być może w nadziei, że zostanie wzięty za pluszową zabawkę. Ale wkrótce rozzuchwiał się i zaczął swawolić w najlepsze po kuchni. Barbara powiedziała, że teraz sobie przypomina, jak coś przebiegło jej po stopach: zażądała natychmiast aspiryny i poszła się położyć. Nikt nic miał ochoty na moje brzoskwinie w malinowej zalewie. Nabrałam nagle niepokojących podejrzeń co do grudek rodzynek, które od jakiegoś czasu pojawiały się ni stąd, ni zowąd na podłodze w kuchni.

— Nie histeryzuj — powiedział Richard, przegoniwszy szczura przez drzwi patio do ogrodu. — Pamiętaj, że one bardziej boją się nas niż my ich.

Nie chciało mi się w to wierzyć. Szczur wyzwolił we mnie coś, co można nazwać szczurofobią. Przy otwieraniu drzwiczek kredensu żołądek już chyba zawsze będzie mi podchodził do gardła. Tej nocy śniły mi się wąsate pyszczki i pazurki.

Poniedziałek, godz. 9.38

Dostałam wypowiedzenie od swojej sprzątaczkii. Jak wysoko plasuje się to w rankingu domowych upokorzeń? Kiedy rano zesłam na dół, Barbara i Juanita zdążyły się już zjednoczyć we wspólnym froncie potępienia przeciwko mnie. Moja teściowa kręciła z dezaprobatą głową i cmokała głośno, a moja sprzątaczkka naśladowała dłonią szczura przebiegającego po blacie i wytykała palcem porzucane po kuchni gazety i zabawki. Na mnie nie zwracały uwagi.

—Nic dziwnego — orzekła Barbara. Moja teściowa, chociaż nie zna hiszpańskiego, potrafiła się jednak porozumiewać z Juanita za pośrednictwem tego międzynarodowego kobiecego języka dezaprobaty.

—Wezwałam już szczurołapa — obwieściłam, żeby uświadomić im swoją obecność i powstrzymać od wymiany dalszych spostrzeżeń na temat mojej flejtuchowatości.

Na dźwięk słowa szczurołapa, Juanita podniosła straszny lament, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

—Pozostawiana na wierzchu żywność zawsze przyciąga wszelkie robactwo — wtrąciła Barbara.

—Ja nic zostawiam żywności na wierzchu — zauważyłam nieśmiało, ale ona była już w korytarzu, gdzie Donald gromadził walizki. Pomachał mi na pożegnanie jakoś tak bez przekonania.

Kiedy wyszli, Juanita oznajmiła, że bardzo jej przykro, ale dłużej już u mnie nie wytrzyma. Przekazała mi ten komunikat za pomocą ożywionej gestykulacji i żalonych poszłochiwań. Nadarzała się wreszcie okazja, by wygarnąć jej prosto z mostu, że dom dlatego jest taki zapuszczony, bo moja sprzątaczką od dwóch lat nie jest go w stanie należycie wysprzątać, uskarżając się na coraz to nową dolegliwość, do czego podchodziłam z wyrozumiałością, dlatego że... no, prawdopodobnie dlatego, że wywodzę się z warstwy społecznej, gdzie nikt nie liczy na to, iż ktoś za niego posprząta i że w pewnym stopniu krępowała mnie myśl, iż jestem kobietą, która nie potrafi sama utrzymać porządku we własnym domu. („Kate jest może czarodziejką liczb — powiedziała kiedyś moja szwagierka — ale żebyście zobaczyli jej listwy przypodłogowe!”).

No i wygarnęłam Juanicie, co mi leżało na wątrobie? Niezupełnie. Dałam jej wszystkie pieniądze, jakie miałam w portmonetce, obiecałam dosłać więcej pocztą i powiedziałam, że polecę ją znajomym z Highgate, którzy szukają właśnie sprzątaczkę.

Do zapamiętania

Wezwać DERATYZATORA! Zatrudnić nową sprzątaczkę. Zdobyć nowego Ura — KONIECZNIE. Pełnomocnictwo do prowadzenia pertraktacji z klientami. Wypełnić kwartalny kwestionariusz wyników w pracy. Sporządzić harmonogram spotkań (Lorraine nadal na chorobowym). Perspektywa współpracy z klientem, którego udało nam się z Momo pozyskać w ostatniej finałowej rozgrywce, pod znakiem zapytania ze względu na fatalne czerwcowe wyniki. Sprawdzić wyniki konkurencji — może są jeszcze gorsze? Telekonferencja z oddziałem japońskim w sprawie tamtejszego rynku akcji. Nowe sandały dla Emily, bo tylko patrzeć, jak w tych nabawi się odcisków. Ptysie, panadol. Odwołać wizytę w salonie odnowy.

TLR

Kryzys z niańką

Godz. 6.27

Jest jeszcze bardzo wcześnie, ale tutaj, w ogrodzie, czuć już, że dzień będzie gorący. Szkliste powietrze zapowiada upał. Kiedy byłam w Stanach, nikt nie dbał o roślinki i ślimaki pełzają teraz gromadami po liściach nasturcji, a bratki w terakotowych donicach wyschły na wiór. Przy dotyku rozsypują się w obłoczki purpurowego pyłu. Zasadziłam je, bo bardzo podoba mi się nazwa bratki. Kiedyś, jak znajdę trochę czasu, ten ogród będzie piękny. Posadzę lobelie, kamclie, wawrzyn i jaśmin, a kamienne korytka będą kipiały bratkami.

Z okna na górze dobiega krzyk. Dzieci, podobnie jak ja, źle sypiają w te parne noce. Ben obudził się z wrzaskiem około piątej, wyrywając mnie z jakiegoś sennego koszmaru. W lecie nawet sny są inne: jakieś gorączkowe, wilgotne, wypływają myśli, których wolelibyśmy nie odsłaniać. Kiedy weszłam do jego pokoju, biedaczek cały był zlany potem; wyslizgiwał mi się z rąk jak foczątka. Zaniośłam go do łazienki i obmyłam gąbką— z niewiadomego powodu zaczął się nagle bać flanelowej rękawicy do kąpieli — a potem przebrałam. Kiedy podałam mu szklankę wody, dostał szału.

— Jap-ka — wrzasnął — jap-ka!

Ileż to razy powtarzałam Pauli, żeby nie poila go sokiem jabłkowym? Układam sobie w myślach stosowną reprimendę, ale wątpię, czy będą ją miała okazję wygłosić, bo Paula uskarżała się ostatnio na „kobieca dolegliwość” i zachodzi obawa, że wymawiając się złym samopoczuciem nie przyjdzie dzisiaj, zaś znalezienie zastępstwa w okresie urlopowym graniczy z niemożliwością. Cholera. Cholera.

Już po głosie poznaję, że na Paulę nie mam co liczyć. Przewodniczę dzisiaj posiedzeniu Komisji Alokacji Środków, bo Robin Cooper-Clark wyjechał na wakacje ze swoimi chłopcami, przedszkola i żłobki, gdzie mogłabym upchnąć Emily i Bena, pozamykane, a tymczasem niańka nie przychodzi. Pięknie.

Letnia kanikuła, z założenia czas wypoczynku i zabawy, to tradycyjnie najgorszy okres dla pracującej matki. Ładna pogoda i wysokie temperatury sprawiają bezustannie o wyrzuty sumienia. Spacer, na które nie masz czasu, chłodne brodziki, w których z rozkoszą pomoczyłabyś bose stopy, waniliowe lody, które tak chętnie byś polizała.

Paula wzdycha przeciągle. Mówi, że od jakiegoś czasu marnie się czuje, a do tego wyprowadził ją bardzo z równowagi ten szczur. Nic dotąd nie mówiła, bo nie chciała mnie martwić, wie bowiem, jaka jestem zapracowana. Mruczę coś współczująco, a jednocześnie wertuję gorączkowo rejestry pamięci, szukając kogoś, komu choćby tylko na dzisiaj mogłabym podrzucić dzieci. (Richard jest w delegacji służbowej).

Pierwsza myśl: Angela Brunt, moja sąsiadka i herszt lokalnej Mamafii. Mam już wybrać jej numer, ale wyobraźnia podsuwa mi triumfalny wyraz, jaki przybiera gęba Angeli na wieść, że ta ważniaczka z naprzeciwka wreszcie się złamała i żebrze o pomoc. Nie. Nie dam jej tej satysfakcji. Dzwonię do Alice, przyjaciółki pracującej w telewizji, i pytam, czy mogłaby mi wyświadczyć pewną przysługę. Czy jej niańka Jo nie zgodziłaby się zająć także Emily i Benem? Nie prosiłabym, ale mam dziś bardzo ważne spotkanie, a zresztą zwolnienia i tak nie wchodzi w EMF w rachubę i...

Alice przerywa mi ochryłym okrzykiem: „Nie ma sprawy”. Mówi, że w porządku, jeśli nie mam nic przeciwko temu, że Jo zabierze dzieci na pływalinię z jej chłopcami. W tym stanie desperacji nie zgłaszałam żadnych obiekcji, nawet gdyby zaproponowano mi wyprawienie Emily i Bena na przelot parolotnią nad Borneo. Chcę tylko jak najszybciej znaleźć się w City i zacząć przygotowywać do posiedzenia.

Godz. 7.32

Dzwonię do firmy taksówkowej Pegaza. Znowu odbiera Winston. Co jest? Czy Pegaz nie ma już innych kierowców? Co to za dziadowska firma?

Winston deklaruje się, że będzie za piętnaście minut; mówię, że chcę go widzieć za cztery.

— Zobaczę, co da się zrobić — cedzi flegmatycznie. Nachodzi mnie straszna ochota, żeby wspiąć się na kolana kogoś bardzo dużego i przyjemnego i przytulić się — no, na jakieś dwadzieścia pięć lat.

—Mamusiu?

—O co chodzi, Em?

—W niebie jest fajnie, prawda?

—Tak. W niebie jest bardzo fajnie.

—A jest tam McDonald?

—Gdzie?

—No w niebie.

— Boże, tego by tylko brakowało. Zaczekaj, muszę spakować skrzydełka Be-na.

— Do nieba?

— Co? Nie. Dmuchane skrzydełka. Idziecie na pływalnię. Pamiętasz Nata i Jacoba?

—Dlaczego w niebie nie ma McDonalda, mammo?

—Bo nie ma. Nie wiem. Bo umarli nie muszą niczego jeść.

—Dlaczego umarli nic nie jedzą?

—Ben, nie. Przestań, Benjamin. SIADAJ. Oddaj mamusi ten soczek... Nie na moją sukienkę.

—Mamusiu. Czy możemy urządzić moje następne urodziny w niebie?

— Emily, ZAMKNIESZ TY SIĘ WRESZCIE?!

Godz. 7.44

Pegaz podjechał pod dom nowym rydwanem, przynajmniej w jego mniemaniu nowym. Nissana primery prawie nie widać spod warstwy brudu, ale przynajmniej przy otwieraniu drzwiczek rdza nic sypie się na ubranie. Ładuję dzieci na tylne siedzenie, sadzam sobie Bena na kolanach, a wolną ręką wybieram na klawiaturze komórki numer agencji opiekunek do dzieci. Dziewczyna z tamtej strony zapewnia mnie, że naprawdę chciałaby pomóc, ale to szczególnie zły okres na załatwienie tymczasowej opieki do dzieci.

— Wie pani, wakacje. Tak, wiem.

Wszystkie opiekunki już dawno rozdrapano, ma na stanie tylko jedną, nową. Chorwatka. Osiemnaście lat. Angielski nie najlepszy, ale miła. Lubi dzieci.

No, to już coś. Wyteżam pamięć i usiłuję sobie przypomnieć, po której stronie byli Chorwaci podczas bałkańskich masakr. W czasie drugiej wojny światowej trzymali zdaje się z nazistami, ale teraz już porządni z nich faceci, a może na odwrót? Mówię, że rezerwuję sobie tę dziewczynę; porozmawiam z nią wieczorem. Jak ma na imię?

— Ratka.

No jasne. Muszę jeszcze raz zadzwonić do deratyzatora. Dlaczego się nie zjawił? Emily klepie mnie natarczywie po nodze. Kiedy dzwoniłam, ona rozmawiała z ożywieniem z kierowcą.

— Mamusiu, Winston mówi, że w niebie jest fajnie, jak się zgłodnieje. Można odgryźć kawałek chmurki. Smakuje jak wata cukrowa. Aniołki ją robią. — Ta wersja niebiańskiej codzienności najwyraźniej bardziej jej pasuje od mojej.

Alice mieszka w stylowym cztero sypialniowym domu z tarasem na obrzeżu Queen's Park. Wchodzimy do środka. Emily od razu zaczyna się bawić z Natem i Jakiem, ale Ben na widok nieznanego sobie wnętrza uczeplił się mojej nogi, jak żeglarz masztu przy dziesięciu w skali Beauforta, i nie puszcza. Śpieszę się, ale muszę upokarzać się przez kilka minut przed niańką Jo. Widzę, jak mierzy wzrokiem histeryzującego smarkacza i zastanawia się, w co wdepnęła. Odrywam wreszcie Bena od siebie i wybiegam z pokoju ścigana jego potępieńczym wy-
ciem.

W taksówce próbuję czytać „Financial Times”, żeby dostroić się psychicznie do posiedzenia, ale nic mogę się jakoś skupić. Potrząsam energicznie głową, żeby wyrzucić z myśli wspomnienie Bena całego we łzach. Winston przygląda mi się bacznie we wstecznym lusterku. Na Old Street odzywa się wreszcie:

—Ile pani płacą?

—Nie twój interes.

—Pięćdziesiąt? Sto?

— Zależy od premii. Ale w tym roku z premią mogę się pożegnać. Szczerze mówiąc, czerwcowe wyniki są tak kiepskie, że będę miała szczęście, jeśli w ogóle nic podziękują mi za współpracę.

Winston wali obiema dłońmi w kierownicę powleczonej pokrowcem z owczej skóry.

—Pani chyba żartuje. Przecież jest pani na ich usługi przez każdą sekundę każdej minuty każdego dnia. Słowem, jest pani ich niewolnicą, kochana.

—Taki już mój los, Winstonie. Jestem tak zwaną główną żywicielką rodziny.

—U-la-la. — Winston daje ostro po hamulcach, żeby nie przejechać zakonnicy na przejściu dla pieszych. — A co na to pani mąż? Faceci postawieni w tego rodzaju sytuacji z reguły mniej pewnie czują się w łóżku.

—Na serio myślisz, że od wysokości moich zarobków zależy sprawność seksualna mojego męża?

— To by tłumaczyło, dlaczego tak mało dzieci się teraz rodzi, prawda? Dopóki kobiety nie poszły do pracy, przyrost naturalny utrzymywał się na przyzwoitym poziomie.

— Według mnie winien jest tutaj estrogen w wodzie.

— A według mnie winien jest estrogen w biurze. Chociaż siedzi tyłem do mnie, wiem, że się szeroko uśmiecha, bo aż skóra mu się marszczy za uszami pod naporem cofających się policzków

— Na miłość boską, Winstonie, toż to koniec dwudziestego wieku.

Winston potrząsa głową, rozsiewając po taksówce złoty pył. Jak wróżka z bajki, zachwyciła się Emily, kiedy po raz pierwszy była świadkiem tego zjawiska.

—Obojętne, który to wiek — burczy — mężczyzna nadal myśli tylko o jednym. O dziubdzianiu.

—Myślałam, że już dorośliśmy i jesteśmy ponad tę pierwotną chuć.

—I tu osoby takie jak pani, kochana, bardzo się mylą. Owszem, kobiety z tego wyrosły, ale faceci dalej idą za głosem natury i podrywają dziewczyny, żeby z nimi spółkować. Facet zadaje sobie pytanie, na jakiej strunie ma jej teraz zagrać, no i gra. Proszę się poczęstować.

Winston podtyka mi jakąś puszkę. Poznają okrągłe blaszane pudełeczko z dzieciństwa: słodycze na podróż. Wolałyśmy z Julie mrożone brzoskwinie, ale mama zawsze zabierała dla nas landrynki. Była przekonana, że landrynki najskuteczniej zapobiegają chorobie lokomocyjnej. W związku z czym smak landrynek kojarzy mi się teraz z torsjami — z papierową torbą i jej nieapetyczną zawartością, z wymiotowaniem na poboczu szosy, z wycieraniem rąk o zeszlą, zbrązowiałą trawę.

Jesteśmy już we właściwym City i suniemy szklanymi kanionami, w których zalega liliowa mgielka upału. Otwieram puszkę. W środku leży sześć fachowo skręconych skrętów. Odchrząkuję i przybieram ton prezentera z Radia 4:

— Przepisy surowo zabraniają zażywania wszelkich środków odurzających, a zwłaszcza narkotyków, na terenie Edwin Forster Morgan. Poza tym... już dojeżdżamy, a więc czasu pozostało niewiele. Masz ogień, Winstonie?

Godz. 11.31

Przygotowanie do posiedzenia idzie jak po grudzie, bo literki i cyferki w „Wall Street Journal” tańczą mi przed oczami. Te korowody rozbrykanych czarnych robaczek upodabniają stronę z zestawieniem rynków do balu pijanych drobnoustrojów.

Żałosne. Czuję się jak stara dewotka po kuflu mszalnego wina. Macierzyństwo — a ściślej, wymuszona przez macierzyństwo abstynencja — drastycznie obniżyło moją odporność na wszelkiego rodzaju używki. Udaje mi się jakoś dotrzeć do sali posiedzeń, ale tam ściany uciekają w dal nieskończonym ciągiem odbić samych siebie. Ilekroć wstaję, by zmienić slajd, muszę się przytrzymać krawędzi stołu i lekko przekrzywić głowę, żeby ustabilizować rozchybotany horyzont. Czuję się jak poziomica w ludzkiej skórze.

Kiedy otwieram usta, żeby zwrócić się do dwunastki doradców inwestycyjnych siedzących przy stole, głos, który się z nich wydobywa, brzmi dosyć pewnie. Ale po jakimś czasie uświadamiam sobie, że nie bardzo wiem, kto to mówi, a co gorsza, nie mam zielonego pojęcia, co powie za chwilę. Zupełnie jakbym była kukłą jakiegoś brzuchomówcy. Tym niemniej euforyczne uczucie rozluźnienia każe mi puszczać mimo uszu uwagi kolegów i podejmować decyzje inwestycyjne, które od jutra staną się obowiązujące dla całej firmy.

Obligacje czy akcje? Jaki problem? Zjednoczone Królestwo czy Japonia? Kurczę, tylko idiota by się tutaj zastanawiał.

W połowie posiedzenia Andrew McManus — Szkot, kawał chłopa, bary jak sofa chesterfield — chrząka znacząco i prosi obecnych o wybaczenie, ale musi urwać się wcześniej, bo Catriona, jego córka, ma zawody pływackie i on, tatuś, obiecał, że przyjdzie jej pokibicować. Wszyscy obecni przyjmują to jak najnormalniejszą rzecz pod słońcem. Żadnemu z młodszych facetów, którzy kiedyś tam, być może, w bliżej nieokreślonej przyszłości, zdecydują się dopiero na ojco-

stwo, nawet powieka nie drgnie. Inni, sami już ojcowie, emanują konspiracyjną pobłażliwością. Momo jest nie lepsza. Wzdycha z rozczuleniem. Nawet Celia Harmsworth urabia swoją fizjonomię Złej Królowej w coś na kształt uśmiechu i szczebioce: „Ależ, naturalnie, Andrew! Przecież ty zawsze jesteś na bieżąco”, tak jakby McManus własnoręcznie podbił Dow Jonesa o 150 punktów.

Zauważając, że ja jedna nie dołączam się do tego zbiorowego wybuchu aprobaty, Andrew wzrusza bezradnie ramionami i ze słowami, „Sama wiesz, jak to jest, Kate”, wkłada marynarkę i wychodzi z sali.

Fakt, wiem, jak to jest. Mężczyzna oświadcza, że wychodzi w godzinach pracy z biura, bo musi pokibicować dziecku na jakichś zawodach, i wszyscy rozplývają się w zachwytach, jaki to z niego dobry tatuś, wręcz wzór rodzica. Kiedy kobieta mówi, że chce się zwolnić, by posiedzieć przy chorym dziecku, zostaje napiętnowana jako osobniczka niezorganizowana, nieodpowiedzialna i wykazująca niedostateczne zaangażowanie. Dla ojca afiszowanie się z tym, że jest Ojcem, to demonstracja siły; matka, która próbuje być Matką, naraża się na uznanie za zatrwająco nieporadną. I to ma być równouprawnienie?

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

Przewodniczyłam właśnie posiedzeniu, na którym jeden z doradców oznajmił bez żenady, że musi wyjść, bo córka startuje w zawodach pływackich. Gdybym ja z czymś takim wyjechała, Rod urwałby mi łeb i zatknął go, ociekający krwią, na wałach Bank of England jako przestrożę dla innych kobiet leserek.

Jakież to niessprawiedliwe. Dochodzę do wniosku, że pracujące kobiety to eksperyment na jedno pokolenie. Jesteśmy chodzącym dowodem, że nie tędy droga, zgodzisz się ze mną?

Precz z wyższym wykształceniem. Według mnie powinniśmy posłać nasze dziewczynki do technikum gastronomicznego, gdzie nauczą się elegancko nakrywać do stołu i pichcić smakowite kolacyjki dla dwojga, a potem wyjdą za mąż za mężczyzn, którzy będą im płacili za siedzenie w domu i robienie sobie pedicure.

PILNE: Przypomnij mi proszę, co było złego w takim porządku świata???

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami pewna piękna, niezależna, bogata księżniczka, siedząc nad brzegiem czystego jak lza stawu nieopodal swojego zamku i kontemplując dobrodziejstwa ekologii, zobaczyła pośród bujnej trawy żabę.

Żaba wskoczyła Księżniczce na kolana i powiedziała: Słodka Pani, byłem kiedyś przystojnym Księciem, ale zła czarownica rzuciła na mnie czar. Wystarczy jednak jeden twój pocałunek, a zmienię się z powrotem w wytwornego młodego Księcia, którym w istocie jestem. Wtedy, moja słodka, będziemy się mogli pobrać i zamieszkać w twoim zamku. Będziesz mi gotowała, prała i niańczyła moje dzieci, nie posiadając się ze szczęścia, że spotkałaś mnie na swej drodze, i wdzięczna losowi za to po wsze czasy.

Tego wieczoru, przy wieczerzy, delektując się żabimi udkami duszonymi w sosie własnym, Księżniczka zachichotała pod nosem i pomyślała:

A takiego!

*

Nie da się ukryć, że dzisiejsi mężczyźni są lepszymi ojcami niż dawniej ich ojcowie. Wiedzą, jak zmienić pieluchę i jak się zakłada smoczek na butelkę. Nie da się też ukryć, że dzisiejsze kobiety, chcą tego czy nie, mogą być tylko gorszymi matkami niż nasze matki, bo praca zawodowa z góry je na to skazuje.

W Edwin Morgan Forster biurka mężczyzn posiadających dzieci obstawione są gęsto zdjęciami pociech w najprzeróżniejszych paradnych ramkach — skórkowych, plastikowych, tudzież metalowych z miedzianym zawiasem. Na tym szczerba po mlecznym ząbku, na tamtym zdobyty gol; tu wyprawa na narty w lutym — Sophie owinęła swoim czerwonym szalikiem szyję taty i oboje szczerzą się do obiektywu. Mężczyźni wolno chwalić się swym ojcostwem. To świadectwo siły, świadectwo życiowej zaradności. Kobiety z EMF nie wystawiają na widok publiczny fotografii swoich dzieci; im wyżej wspięły się po szczeblach kariery, tym mniej fotografii. Zdjęcia dzieci na biurku mężczyzny świadczą o jego oddaniu rodzinie; te na biurku kobiety wprost przeciwnie. Dlaczego? Bo od niego nikt nie oczekuje, że będzie siedział z dziećmi w domu: od niej owszem.

Kiedyś miałam na swoim biurku fotografię Emily i Bena. Rich zrobił ją zaraz po tym, jak Ben nauczył się siadać. Em klęczała za braciszkiem i z dumą obejmowała go w pasie. Ben chichotał tak jakby życie było jednym wielkim żartem, a on usłyszał właśnie puentę. Trzymałam to zdjęcie na biurku przez kilka tygodni, ale ilekroć na nie spojrzałam, przemykało mi przez myśl: zapewniasz im utrzymanie, ale ich nie wychowujesz. No i teraz zdjęcie leży w szufladzie.

W ubiegłym roku byłam na odczycie pewnej Amerykanki, dyrektorki London Business School. Powiedziała, że zamierza wyszkolić swoje córki na gejsze, bo prawdziwa przyszłość dla kobiet to prowadzenie domu i dopieszczanie mężczyzn. Po sali rozszedł się nerwowy chichot: chyba żartuje? Była piękna, nieprzeciętnie inteligentna i chyba nie żartowała.

Wiedziałam na pewno, że nie chcę żyć jak moja matka: uzależnienie się od mężczyzny moim zdaniem ogłupia i bywa nawet niebezpieczne. Ale czy Emily będzie chciała żyć jak ja? Kogo widzi, patrząc na swoją mamę? Jeśli w ogóle ma okazję na nią popatrzeć? Co chciały uzyskać kobiety w latach siedemdziesiątych, walcząc o swoje prawa, o równouprawnienie? Upoważnienie do spędzania ze swoimi dziećmi równie mało czasu, jak ich mężowie?

*

Chowzat! to nowoczesna stołówka, którą otwarto w ubiegłym roku w podziemiach naszej firmy, w ramach szeroko zakrojonej akcji, która miała sprawić, że siedziba EMF przestanie wyglądać jak bank, a zacznie jak nocny klub. W założeniu miał to być lokal z luźną, postindustrialną atmosferą, wyszło coś, co do złudzenia przypomina bar przekąskowy na dworcu kolejowym. Jestem jeszcze trochę przymulona po porannym skrócie Winstona. Co mi odbiło? Kiedy wysiadłam z taksówki, Winston zaproponował wspólny wypad na jakiś koncert w niedzielę za dwa tygodnie. Muzyka może niezupełnie w moim guście, uprzedził, może trochę przytłaczająca, ale, jego zdaniem, dobrze mi to zrobi. Zanim wyniosła, nieprzystępna doradczyni inwestycyjna zdążyła ułożyć sobie grzeczną, lecz lodowatą w tonie odmowę, moje usta otworzyły się i wypadło z nich „dobrze”. Teraz wszystko wskazuje na to, że mam randkę ze swoim nowym dealerem narkotyków i idę z nim na jakąś ćpuńską imprezę.

W miarę jak mija działanie trawki, z jednej strony zaczynam odczuwać mdłości, z drugiej dopada mnie wilczy głód. Nie mogę się zdecydować, czy zamówić tęgą bułę nadziewaną konfiturami z borówek, czy jej zgrabniejszą, niskokaloryczną siostrę posypaną ziarnami sezamu. Biorę obie. Odgryzając solidne kęsy na przemian to jednej, to drugiej, podnoszę w pewnej chwili wzrok i widzę nad sobą znajomą, uśmiechniętą od ucha do ucha czerwoną gębę.

— Jezu, Kate. Chyba nic wypadło ci odżywiać się za dwoje, co? Nie wykreślisz mi tego numeru, co Candy?

Rod Task.

— Nywim — mamroczę z pełnymi ustami, plując wokół grudkami borówek.

Rod mówi, że mam lecieć we środę do Nowego Jorku urabiać tam jakichś brokerów, wziąć ich trochę pod włos. Informację tę kwituje groteskowym przy-mrużeniem oka.

— We środę? — seplenię, przełykając.

— Tak. Konkretnie, jutro.

— Posłuchaj, Rod, moja niańka jest chora i muszę znaleźć zastępstwo, bo...

Przerywa mi, tnąc powietrze kantem dłoni jak karateka.

— Chyba mi nie powiesz, że nie możesz, Kate? Jak nie możesz, to wyślę Guya.

— Nitak. Nywim. Nie, nie, mogę, tylko...

— No to git. Aha, i rzucisz jeszcze okiem na to, kochana? Dzięki.

Przeglądałam kserokopię, wracając windą na trzynaste piętro. To artykuł z „Investment Manager International” zatytułowany: RÓWNOUPRAWNIENIE PŁCI PRZYBIERA W KOŃCU KONKRETNE FORMY!

Fundusze inwestycyjne zaczęły wreszcie dostrzegać korzystny wpływ przychylniejszego traktowania kobiet, które zatrudniają, na swoje wyniki finansowe. Ostatnio laury za podejmowane w tym kierunku wysiłki zebrała firma Herbert George and Berryman Lowell. Julie Salomon, wiceprezes w Herbert George, mówi: — City z roku na rok coraz lepiej dba o pracujące tu kobiety. Większość firm powołała już specjalnych koordynatorów do spraw dywersyfikacji.

Wiele instytucji uskarża się jednak, że pomimo stwarzania kobietom coraz atrakcyjniejszych warunków awansu zawodowego, uprzedzenia co do antyspołecznych godzin pracy i kultura macho nadal odstrasza kandydatki do pracy.

— *Przełamanie stereotypu męskiego szowinizmu przypisywanego Mili Kwadratowej nie jest łatwe — przyznaje Celia Harmsworth, szefowa działu personalnego w Edwin Morgan Forster.*

Tak, ona wie to najlepiej. Natknąć się na nazwisko Celi w artykule na temat równouprawnienia płci, to tak jakby rozpoznać Heinricha Himmlera w przewodniku oprowadzającym wycieczkę po synagodze. Harmsworth oświadczyła, że EMF. postrzegana dotąd jako najbardziej konserwatywna firma w City, powołała niedawno koordynatorkę do spraw dywersyfikacji. Została nią Katharine Reddy.

CO?

Trzydziestopięcioletniej Reddy, najmłodszej dyrektor w EMF. powierzono zadanie identyfikowania i usuwania przeszkód na drodze do zrównania praw płci w firmie.

Rod zakreślił sformułowanie „przeszkód na drodze do zrównania praw płci”. Obok, na marginesie, nabazgrał: „Co to, kurde, ma znaczyć?”.

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

cześć cześć od twojej bliskiej psychicznego załamania przyjaciółki. Czy depresja poporodowa może się przeciągnąć do 18 miesięcy? Jeśli tak, to kiedy się kończy?

Wspominałam ci już, że mamy SZCZURY? Jeden przebiegł przez pokój podczas wizyty teściów. AHA, I MOJA SPRZĄTACZKA DAŁA MI WYMÓWIENIE. W pracy czekało na mnie dzisiaj 61 e-maili, niańka „chora”, jedyna wolna dziewczyna, która mogłaby ją zastąpić, jest bliską krewną Slobodana Milosevicia. A do tego jestem teraz w EMF „koorynatorką do spraw dywersyfikacji”. Muszę czym prędzej podjąć kroki mające na celu zrównoważenie nierównowagi płci w firmie. Nie wiesz czasem, gdzie można kupić jakiś karabin maszynowy?

Zjemy wreszcie ten lunch? Powiedz kiedy xxxx

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Depresja poporodowa może się przeciągnąć do 18 lat, a potem wycinają nam macicę i zaczynamy wspominać stare dobre czasy, bujając się w fotelu na biegunach na oddziale zamkniętym domu starców.

Nie przejmuj się. szczury są teraz wyznacznikiem przynależności do klasy średniej. Żaden porządny dom nie może się bez nich obejść. U Feliksa stwierdzono Syndrom Deficytu Uwagi. Na to samo cierpi chyba jego tatuś, ale on może dlatego, że ma romans???

Jestem zbyt zaganiana, żeby się tym przejmować. Czytałam w „Pani Do-mu”, że potowa wszystkich pracujących matek martwi się, że ich związek z mężem cierpi na skutek ustawicznego „braku czasu”. A co z tą drugą potową: robi swoim chłopom szybkiego loda?

Co tam u wspaniałego nieszczęsnego Abelhammera? Wiesz przecież, że jedynym twoim zadaniem, jako mojej najstarszej przyjaciółki, jest dawanie mi powodów do zazdroszczenia ci i potępiania.

Lunch w następną środę albo we czwartek? xxxxx

Godz. 18.35

Odbieram Emily i Bena od Alice. Przypadają do mnie jak wygłodzone stworzki. Jo, niańka Alice, jest bardzo miła, wychwala moje dzieci pod niebiosa. Rozpływa się w zachwytach nad inteligencją i wyobraźnią Emily. Pękam z dumy, a jednocześnie skręca mnie ze wstydu, bo uświadamiam sobie, jak często traktuję te cechy jako problem, z którym muszę się borykać, a nie coś, z czego należy się cieszyć.

Jeszcze dzisiaj trzeba będzie załatwić zastępczą niańkę. Chyba że uda mi się ubłagać Richarda, by popracował w domu albo Paula jakimś cudem ozdrowiejc. Ilekroć przychodzi mi prosić o coś dla siebie albo dla dzieci, przeżywam koszmar — przypomina mi się, jak kiedyś, w Boże Narodzenie, na dworcu autobusowym w Leeds tato kazai mi podejść do nieznajomej kobiety i spytać, czy nie mogłaby nam dać piątaaka na powrót do domu, bo skończyła się nam benzyna. Nie mieliśmy nawet samochodu. Ale kobieta okazała się wyrozumiała; dała mi pieniądze i paczuszkę galaretek. O mało nie spaliłam się ze wstydu.

Jo mówi, że Ben przez cały dzień był osowiały i że zauważyła jakąś wysypkę na jego klatce piersiowej. Czy przechodził już ospę wietrzną? Nie, jeszcze nie. Ale nie może na nią zachorować teraz! Jutro o 8.30 rano wylatuję do Nowego Jorku. Mam już bilet.

Godz. 22.43

Nie do wiary. Owinięta mikroskopijnym ręcznikiem stoję na podeście przed prysznicem i wrzeszczę na Richarda:

— Nie ma gorącej wody!

— Co? — Stoi w połowie schodów, twarz ma skrytą w cieniu. — Aha, deryzator sprawdzał dzisiaj rury i musiał zakręcić wodę. Pewnie przy okazji wyłączył termę.

— Muszę się wykapać!

— Uspokój się, kochanie — mówi ze znużeniem Rich. — Zaraz ją włączę i za dwadzieścia minut będziesz miała wrzątek.

— Nie będę czekała dwudziestu minut! Chcę się kąpać teraz!

— Kate... — Rich urywa, waha się przez chwilę, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu zaciska mocno usta i patrzy na mnie, kręcąc głową.

—Co? Czego się tak gapisz? — wywarkuję.

—Kate. My... tak dłużej nie może być.

— Otóż to, nie może. Nic mam gorącej wody. Mam za to szczury. Mam zapuszczony dom, którego nie ma kto wysprzątać. Już od godziny powinnam spać, a sterczę tutaj i czekam na gorącą wodę. Haruję od świtu do nocy, a żyję jak za króla Ćwieczka. Czy KĄPIEL to taka fanaberia z mojej strony?

Rich wyciąga rękę, ale odtrącam ją gniewnie. Po policzkach płyną mi łzy. Są alarmująco gorące — jak kąpiel, której nie mogę wziąć. Muszę się uspokoić. Mój mąż ma dzikie oczy. Dlaczego jest nieogolony?

I w tym momencie nad naszymi głowami rozlega się dziecinny głosik:

— Ur — chlipie Ben — Ur...

Za szybko wróciłam

Godz. 1.05

Czy zastanawialiście się kiedy, ile czasu tracicie na zasypianie? Jeszcze przed chwilą powieki same wam opadały, a wystarczyło, że się położyliście, by senność diabli wzięli. Przeważnie muszę załatwić sobie wejściówkę do krainy snów sposobem, wślizgiwać się do niej tylnymi drzwiami. Siedem minut uklepywania twardniejącej błyskawicznie poduszki oraz szarpania się z kołdrą. (Richard podczas snu ma zwyczaj wyrzucać na nią jedną nogę i czyniąc to, ściąga ze mnie kołdrę). Kiedy wszystko inne zawodzi, zdesperowana biorę ziołową tabletkę na sen.

Godz. 3.01

Zasnąć nie daje mi obawa, że tabletkę na sen jest za mocna, nie usłyszę budzika i spóźnię się na samolot. Zapalam nocną lampkę i sięgam po gazetę. Richard z nieartykułowanym pomrukiem przewraca się na drugi bok, plecami do mnie. W dziale zagranicznym artykuł o amerykańskiej dyrektor naczelnej, która wróciła do pracy cztery dni po wydaniu na świat bliźniąt. A jeszcze leżąc w szpitalu, za pośrednictwem głośno mówiącego telefonu przewodniczyła jakiemuś posiedzeniu. Nazywa się Elizabeth Quick. „Liz Quick stała się wzorem do naśladowania dla pracujących matek — czytam w artykule — ale malkontenci twierdzą, że tylko patrzeć, jak macierzyństwo zacznie jej przeszkadzać w wywiązywaniu się z obowiązków zawodowych”.

Ciarki przebiegają mi po krzyżu. Czy osoby pokroju pani Quick zdają sobie sprawę, że ich daremne starania, by funkcjonować dalej, tak jakby nic się nie stało, mogą zostać wykorzystane jako bicz na inne kobiety?

Przyganiał kocioł garnkowi. Sama za szybko wróciłam do pracy po Emily. Nie wiedziałam. Skąd miałam wiedzieć, że to nowe życie będzie dla mnie równie nieznane, jak dla niej? Matka i dziecko: oboje jak noworodki. Przed dziećmi — dzielę swoje życie na Przed Dziećmi i Po Dzieciach — kiedy miałam jeszcze czas zaglądać w niedzielne popołudnia do National Gallery, zwykłam siadać przed Madonną Belliniego, tą na tle jakiejś zagrody, skąpaną w słońcu i spoglądającą na trzymane na kolanach Dzieciątko. Wydawało mi się wtedy, że widzę w jej oczach pogodę. Teraz widzę w nich tylko wyczerpanie i lekkie oszołomienie. „Jezu, co ja narobiłam?” — pyta Maria Syna Bożego. Ale On śpi opity mlekiem, odrzuciwszy niedbale pulchną rączkę na podolek błękitnej sukni Matki.

Byłam pierwszą kobietą z działu inwestycji w Edwin Morgan Forster, która zaszła w ciążę. W szóstym miesiącu James Entwhistle, poprzednik Roda Taska, wezwał mnie do swojego gabinetu i oznajmił, że nie może mi zagwarantować, iż kiedy wrócę z urlopu macierzyńskiego, moje miejsce pracy będzie jeszcze na mnie czekało.

— Osobiście nic przeciwko tobie nie mam, Kate. Ale sama wiesz, jak szybko potrafi się zmieniać sytuacja z klientami.

Dobrze ułożony, elokwentny James. Mogłam mu zacytować stosowny paragraf obowiązujących przepisów, ale przypominanie o istnieniu czegoś takiego, jak prorodzinna polityka firmy, działa na jej autorów jak płachta na byka. (Polityka prorodzinna jest w EMF na pokaz, a nie po to, żeby powoływali się na nią obarczeni rodziną pracownicy. Zresztą z jej dobrodziejstw nie skorzystał nigdy żaden mężczyzna, a więc kobieta, która chce być poważnie traktowana, też nie powinna).

— To dziecko niczego nie zmieni, James — wybąkałam, a on złotym wiecznym piórem marki Cartier zapisał sobie w notesie „Zaangażowanie?” i podkreślił dwukrotnie to słowo.

Czy chciałabym stracić swoich zagranicznych klientów? Oczywiście, że nie. Nie wiedziałam.

W trzydziestym drugim tygodniu poszłam na kontrolą do kliniki uniwersyteckiej. Badania okresowe. Poprzednią wizytą opuściłam. (Genewa, konferencja, mgła). Lekarz kardynalskim gestem złączył czubkami długie białe palce i powiedział, że wypisuje mi zwolnienie, bo jestem przemęczona, a te ostatnie tygodnie decydują o prawidłowym rozwoju mózgu płodu. Odparłam, że nie ma mowy: zamierzam pracować do samego dnia rozwiązania, żeby dłużej posiedzieć w domu przy dziecku potem, po porodzie.

— Nie o panią się martwię, pani Shattock — powiedział chłodno. — Martwię się o dziecko, które nosi pani w łonie, o krzywdę, jaką może mu pani wyrządzić.

Wyszłam na Gower Street taka zapłakana, że omal nie wpadłam pod ciężarówkę z mlekiem.

Ale szybko mi przeszło. Praktycznie w siódmym miesiącu ciąży powinnam była przestać latać samolotami, dociągnęłam jednak do ósmego. Potem brzuch tak mi już urósł, że musiałam się porządnie nagimnastykować, żeby wysiąść z windy. Na naradach sypały się żarty o konieczności wzmocnienia podłogi biura, bo nie utrzyma ciężaru Kate, a ja śmiałam się z nich najgłośniej. Kiedy przechodziłam obok biurka Chrisa Bunce'a, ten zaczynał gwizdać Marsz Słonia z *Księgi dżungli*. Sukinsyn.

Siedząc pewnego popołudnia przy komputerze z brzuchem tak napiętym, że mrowiła mnie skóra, poczułam kilka braxton hicksów, tych wczesnych skurczy, których nazwa przywodzi na myśl jakiegoś emerytowanego pułkownika mieszkającego w Nether Wallop.

Tej nocy śniło mi się, że pułkownik Hicks otacza mnie troskliwą opieką. Nie sie mi walizkę, a kiedy na przystanku autobusowym kolana się pode mną uginają z wyczerpania, podaje rękę i mówi: „Pozwoli pani, że pomogę, madam?”.

Zapisałam się na kurs dla przyszłych matek, ale nigdy nie mogłam zdążyć na zajęcia, które zaczynały się o 19.30. Poprzestałam na weekendowej szkole rodzenia prowadzonej przez Beth: owsiane ciasteczka, śpiew wielorybów, miedni-

ca z wieszaka na ubrania i dziecko z pończochy naciągniętej na piłeczkę tenisową. Beth zachęcała nas do dyskusowania o naszych pochwach. Kiedy oświadczyłam, że o swojej nie mam nic do powiedzenia, myślała, że żartuję. Obśmiała się jak norka.

Richard chodził ze mną na te lekcje jak na ścięcie. Drażniło go, że musi ściągać buty, za to podobało mu się mierzenie czasu stoperem. Wyobrażał sobie pewnie, że przygotowuje się do sędziowania w zawodach sprinterskich.

— O ile dobrze cię znam, Kate — powiedział — będziesz miała najszybsze skurcze w dziejach.

Beth poinstruowała nas, że jeśli chcemy zapanować nad bólem, musimy odychać płytko i szybko. Ćwiczyłam więc pilnie. Ćwiczyłam sumiennie — w kolejce do kasy, w wannie, przed położeniem się do łóżka. Gdzie się dało.

Wody odeszły mi w windzie w banku. Zachlapałam cały garnitur japońskiemu analitykowi rynków transakcji terminowych, który gorąco mnie za to przeproszał. Odwołałam przez komórkę lunch z klientem, złapałam taksówkę i kazałam się wieźć do szpitala. Chcieli mi podać epidural, ale odmówiłam. Byłam wyrodną suką, która nie troszczyła się o prawidłowy rozwój mózgu dziecka, i nie przyjęłam leku, żeby za to odpokutować, pokazać dziecku, że ma jednak matkę, która jest gotowa niejedno dla niego znieść. Tonęłam w oceanie potwornego bólu. Fale były twarde jak drewno. Zalewały mnie raz po raz, potem cofały się, ale ledwie zdążyłam zaczerpnąć tchu, atakowały znowu.

Po dwudziestu pięciu godzinach skurczy Rich odłożył stoper i zwrócił się do położnej, żeby wezwała lekarza. Ale już. Na sali operacyjnej chirurg, który miał mi robić cesarskie cięcie, powiedział: „Proszę się nie bać, to będzie takie uczucie, jakbym przepłukiwał pani brzuch”. Wcale tak nie było. Odnosiłam wrażenie, że dziecko to dąb wyrywany z korzeniami z grząskiej listopadowej ziemi. Szarpnięcie i skręt i znowu szarpnięcie. W końcu jeden z młodych lekarzy wgramolił się na stół operacyjny, siadł na mnie okrakiem i wyrwał płód za nóżki. Uniósł go triumfalnie jak trofeum, stworzenie z morza, syrenkę umazaną we krwi. Dziewczynkę.

Przez następne kilka dni znoszono mi wiele bukietów, ale największy dostałam z Edwin Morgan Forster. Był to ten rodzaj barokowej kompozycji, jakie składa się pod pomnikami poległych na wojnie albo kupuje z funduszu reprezentacyjnego City. Długie na półtora metra osty i gigantyczne lilie, które wypełniły pokój swoim pyłkiem i sprowokowały noworodka do kichania.

Boże, jak ja przeklinałam te kwiaty za to, że kradną powietrze i mnie, i jej. Oddałam je położnej z dziennego dyżuru. Zarzuciła sobie wiązanekę na ramię, wsiadła na skuter i zabrała ją do domu, do Harlesden.

Po trzydziestu sześciu godzinach położna z nocnego dyżuru — Irlandka, troskliwsza, bardziej domyślna od swojej dziennej zmienniczki — zapytała, czy może już zabrać ode mnie dziecko, bo powinnam odpocząć. Kiedy zaprotestowałam, powiedziała: „Dobra mama, Katharine, musi mieć energię do stawienia czoła obowiązkom”. I wywiozła z sali moją córeczkę, która zaciskała i rozprostowywała piąstki w swoim małym pleksiglasowym akwarium.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, zapadłam w kamienny sen. Po paru godzinach — chociaż mnie się wydawało, że upłynęło nie więcej niż kilka sekund — usłyszałam jej płacz. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że potrafię rozpoznać płacz swojego dziecka, ale kiedy go usłyszałam, od razu wiedziałam, że to ono. Nie pomyliłabym tego płaczu z żadnym innym na świecie. Przywoływał mnie gdzieś z głębi brązowego korytarza. Przytrzymując cewnik jedną ręką i świeże szwy drugą, powlokłam się w tamtym kierunku prowadzona przez sonar, który dostaje się w prezencie wraz z macierzyństwem. Zanim dotarłam do sali noworodków, ona przestała już płakać i wpatrywała się oczarowana w zwisającą z sufitu lampę z papierowym abażurem. Nigdy dotąd nie doświadczyłam takiej mieszaniny radości i lęku. Nie potrafię określić, w którym miejscu skończył się ból, a zaczęła miłość.

— Musi jej pani wybrać imię — zażartowała uśmiechnięta położna. — Nie możemy nazywać jej wciąż dzidziusiem, to nie w porządku.

Myślałam o Genevieve, ale teraz to imię wydało mi się za poważne.

— Miałam babcię Emily, przy której zawsze czułam się bezpiecznie.

— Och, ślicznie, Emily, spróbujmy. Spróbowałyśmy, i na dźwięk tego imienia maleństwo odwróciło główkę. To przypieczętowało sprawę.

Trzy tygodnie później zadzwonił James Entwhistle i zaproponował mi pracę w dziale strategii. Jałowa praca bez żadnych perspektyw. Zgodziłam się z wdzięcznością i odłożyłam słuchawkę. Zabiję go później. Później pozabijam ich wszystkich. Ale najpierw muszę wykapać swoją córeczkę.

Dziewięć tygodni po cesarskim cięciu zjawiłam się z powrotem w biurze. Tego pierwszego poranka byłam tak roz-kojarzona, że wybrałam jakiś numer i spytałam, czy mogę rozmawiać z Kate Reddy. Mężczyzna po tamtej stronie odparł, że o ile się orientuje, Kate nie wróciła jeszcze z urlopu macierzyńskiego. I nic mylił się. Nic wracała jeszcze przez rok, a dawna Kate, ta Sprzed Dzieci, nie wróciła już nigdy. Ale z powodzeniem udawała, że wróciła, i chyba tylko inna matka potrafiłaby przejrzeć tę mistyfikację.

Nadal karmiłam piersią — podczas przerwy na lunch wracałam taksówką do domu, żeby nakarmić Emily. Ale piątego dnia po powrocie do pracy powiedziano mi, że mam lecieć do Mediolanu. Przez cały weekend bez powodzenia próbowałam przestawić Emily na butelkę. W końcu musiałam zapłacić pewnej kobiecie z Fulham sto funtów, żeby przyjechała i pomogła mi odstawić córeczkę od piersi. Pamiętam to rozdzierające niemowlęce wycie i Richarda, który stał w ogrodzie i palił papierosa za papierosem.

— Przekona się do butelki, kiedy naprawdę zgłodnieje — orzekła kobieta i, tak, owszem, wolałaby gotówkę. Czasami wydaje mi się, że Emily nigdy mi tego tak do końca nie wybaczyła.

Kiedy jechałam taksówką na lotnisko, z włączonego radia popłynęła piosenka Stevie Wondera „Isn't she lovely...”. Ta, która zaczyna się od płaczu dziecka. I bluzka na piersiach nasiąkła mi od razu mlekiem.

Niesamowite.

List

Hotel Sherbourne, Nowy Jork, godz. 23.59

Nie do wiary. Samolot wylądował o czasie, wzięłam taksówką i kazałam się wieźć do hotelu Herriot w sąsiedztwie Wall Street. Zamierzałam pokuć trochę wieczorem do jutrzejszej prezentacji i położyć się wcześniej, żeby wstać jutro wypoczęta. Mogłam się tego spodziewać. Recepcjonista — bezradny, próbujący nadrabiać miną młodzieniec w tanim, wyświechtanym blezerze — wyraźnie unikał mojego wzroku. W końcu wydusił z siebie:

—Obawiam się, pani Reddy, że mamy problem. — No tak. Konferencja. Przepelnienie. — Ale proponuję zakwaterowanie na nasz koszt w hotelu Sherbourne. To w śródmieściu, wspaniała lokalizacja, dokładnie naprzeciwko naszego słynnego na cały świat Muzeum Sztuki Współczesnej.

—Bardzo dziękuję, ale przyjechałam tu w interesach, a nie dla oglądania bohomazów wczesnych kubistów i nabawienia się od tego oczopląsu.

Na koniec nawrzeszczałam na niego, oczywiście. To niedopuszczalne, częsta klientka, ble, ble, ble... Szukał rozpaczliwie wzrokiem kierownika, żeby ratował go przed tą szurniętą Angolką. A ja przecież nie jestem wariatką, prawda? To tylko ludzie doprowadzają mnie do furii swoją nieudolnością, bo marnują mój cenny czas.

Kierownik strasznie przeproszał, ale absolutnie nic się nic dało zrobić. Kiedy dotarłam do zastępczego hotelu, zbliżała się już północ. Zadzwoiłam do Richarda, który czekał na mój telefon z całą listą zapytań. Dzięki Bogu, Paula czuje się

już lepiej i nie musieliśmy załatwiać zastępstwa. Jutro Emily wraca do przedszkola.

Czy przygotowałam jej nalepki z nazwiskiem?

Tak.

Czy kupiłam jej nowe tenisówki na gimnastykę?

Tak. (Są w granatowym worku, który wisi na kołku pod schodami).

Gdzie ma szukać jej książeczek?

(W czerwonej teczce, trzecia półka biblioteczki).

Czy kupiłam nową kurtkę, bo stara ledwie sięga jej teraz do pasa? (Jeszcze nie, do mojego powrotu będzie musiała pochodzić w płaszczyku).

Następnie podyktowałam mu zawartość jej pudełka na drugie śniadanie — chleb sitkowy, tuńczyk z kukurydzą, bez sera, ostatnio nic cierpi sera — i przypomniałam, żeby wypisał czek za balet, sumę ma w notesie. I musi dać Pauli pieniądze na nowe spodenki dla Bena, bo ze starych już wyrósł. Richard mówi, że Em szła do łóżka obrażona: powiedziała, że chciała, by mama odwiozła ją jutro do przedszkola, bo ma teraz nową wychowawczynię.

Po co mi to mówi, skoro dobrze wie, że w tej sprawie nic się nie da zrobić? Skarży się, że miał ciężki dzień.

— Mów do mnie jeszcze — wywarkuję i odkładam słuchawkę.

Nic ma już czasu na przejrzanie notatek do jutrzejszej prezentacji. Dzień zapowiada się koszmarnie.

Od: Debra Richardson Do: Kate Reddy

Dostałam właśnie twoją wiadomość, że odwołujesz lunch. ZNOWU. Pierwszych 49 razy było zabawne. Wiem, że masz najbardziej odrażająco absorbującą pracę na tej planecie, ale skoro brakuje nam już czasu nawet na przyjaźń, to coś jest chyba nie tak?

Czy pisane nam spotkać się dopiero po śmierci? Jakie masz plany na życie po życiu, Kate?

O cholera. Nie mam czasu odpowiedzieć.

Środa, godz. 8.33

Sterczę pod hotelem już od dobrych piętnastu minut. Za nic nie mogę złapać taksówki, a sama jazda na Wall Street zajmie co najmniej dwadzieścia pięć minut. Spóźnię się. Przy życiu trzyma mnie tylko perspektywa zobaczenia się wieczorem z Jackiem; od naszego ostatniego spotkania minął już miesiąc i mam trudności z przypomnieniem sobie jego twarzy. Pamiętam tylko szeroki uśmiech oraz ogólne wrażenie luzu i szczęścia.

Poranek jest piękny. To jeden z tych połyskliwych nowojorskich dni, które tak chwytają za serce. Nocna ulewa przydała wszystkiemu niebywalej przejrzystości świeżo umytej szyby. Dojeżdżamy do końca Piątej Alei i widzę gmachy dzielnicy finansowej połyskujące rozedrganym wodnistym blaskiem. Zdają się lekko falować. To efekt gry światła na wilgotnym szkle.

Godz. 8.59

Biura Brokers Dickinson Bishop mieszczą się na dwudziestym pierwszym piętrze. W pędzącej do góry windzie żołądek podchodzi mi do gardła. Na podście wita mnie Geny, rozpromieniony facet o szerokiej irlandzkiej twarzy i krzaczastych rudych bokobrodach. Mówię mu, że potrzebuję czterdziestu pięciu minut i miejsca na wyświetlenie slajdów.

— Niestety, ma pani tylko pięć. Mamy tu urwanie głowy.

Otwiera masywne drewniane drzwi i wchodzę w tumult przeciętnego dnia Koloseum, plus telefony. Mężczyźni drą się do słuchawek, przekrzykują nawzajem, wrzeszczą do siebie przez całą szerokość sali. Chcę się już odwrócić na pięcie i wziąć nogi za pas, kiedy z głośnika rozlega się komunikat:

— Cisza, spokój, słuchajta, chłopaki, za dwie minuty pani Kate Reddy z Londynu, z Anglii, porozmawia z wami o inwestycjach międzynarodowych.

Około siedemdziesięciu brokerów gromadzi się wokół mnie. Wszystko nowojorczyki o byczych karkach, ubrani w te koszmarne niebieskie koszule w prążki z białymi kołnierzykami. Opierają się pośladkami o biurka, ręce splecione na piersiach, rozkraczone nogi. Typowa postawa tego typu facetów. Niektórzy dalej prowadzą transakcje, ale pozsuwali z uszu słuchawki, używając mi jednego ucha. Niemożliwe, żeby mnie ktoś tu zobaczył albo chociaż usłyszał, podejmuję więc błyskawiczną decyzję, gramolę się na najbliższe biurko i wrzeszczę na całe gardło:

— Dzień dobry panom, przyjechałam, żeby wam wytłumaczyć, DLACZEGO MUSICIE KUPIĆ MÓJ FUNDUSZ!

Pomiaukiwania, gwizdy. Chyba nigdy dotąd nie zbliżyłam się aż tak do roli tancerki na rurze.

— Hej, mała, mówił ci kto kiedy, że jesteś podobna do księżnej Di?

— Czy twoje akcje są tak samo dobre jak nogi? Uderza mnie rozbijająca, niepoprawna chłopięcość tych

Władców Wszechświata. Pięćdziesiąt lat temu lądowałiby na plażach Normandii, a tutaj otaczają mnie zwartym kręgiem jak żołnierze dowódcę kompanii.

Wygłaszam krótki wykład o Pieniądżach — o tym, że pracują, kiedy ja śpię, że krążą po świecie, że mają zadziwiającą władzę.

Zarzucają mnie gradem pytań.

— Co pani myśli o Rosji? Czy rosyjskie pieniądze są coś warte?

— Widziała już pani euro?

Poszło dobrze. Nadspodziewanie dobrze. Uśmiechnięty Geny mówi mi w windzie, że normalnie chłopaków rajcuja tak tylko mecze Knicksów. Powinnam wrócić od razu do hotelu i przejrzeć korespondencję, ale jestem tak podekscytowana, taka naładowana, że ruszam Wall Street spacerkiem. U zbiegu Trzeciej Alei i Broadwayu łapię taksówkę. Jadę do Barneyas na powstrząsowe zakupy.

Sklep wpływa na mnie kojąco. Wjeżdżam małą windą na ostatnie piętro i w oczy rzuca mi się od razu wieczorowa suknia. Nie potrzebuję wieczorowej sukni. Przymierzam ją. Jest czarna, uszyta z lejącego się materiału, po bokach biegną dyskretne warkoczyki wyszyte diamentową nicią, takimi samymi warkoczami oblamowany jest głęboko wycięty dekolt. W takich sukniach tańczyło się kiedyś charlestona. Pasuje na mnie jak ulał, ale nie pasuje do mojego życia. W moim życiu nie ma miejsca na taką piękną suknię. Ale czy to nie jest podniecające? Kupić taką sukienkę i mieć nadzieję, że życie się z czasem do niej dopasuje? Kiedy dziewczyna zza lady podaje mi rachunek do kasy, nie patrzę nawet na sumę.

Godz. 15.00

Pokój hotelowy przypomina do złudzenia setki innych, w jakich się do tej pory zatrzymywałam. Beżowa tapeta z wytłaczanym beżowym deseniem; kontrastujące z nią ostro zasłony wyglądają jak eksplozja na zielonej granicy. Wyjmuję z mini-barku tabliczkę czekolady, potem zaglądam do szuflady nocnego stoliczka: leży tam Biblia i bardziej współczesny wybór aforyzmów z wielkich religii świata.

Zerkam na zegarek. W domu dzieci idą właśnie do łóżek. Dzwonię. Spodziewam się usłyszeć głos Richarda, ale odbiera Paula. Mówi, że Rich prosił ją, żeby została na kilka nocy, aż do mojego powrotu, i zostawił dla mnie liścik, który ka-zał jej oddać mi osobiście.

Proszę Paulę, żeby otworzyła i przeczytała mi ten list. Gdzie go, u diabła, nosi o tej porze? Układam sobie w myślach listę spraw, którymi pod moją nieobecność mógłby zająć się mój mąż, żeby pomóc, a tymczasem niańka zaczyna od-czytywać na głos jego słowa

— „Starałem się od jakiegoś czasu z tobą porozmawiać, ale coraz mi trudniej do ciebie dotrzeć”.

— Tak, tak, ale pisze tam, o której wróci?

— „Kate, słyszysz mnie. Słuchasz'?”.

—Oczywiście, że cię słucham, Paulo.

— Nie, to pan Richard pyta. W liście. Pisze: „Kate, słyszysz mnie. Słuchasz?”.

— Aha, przepraszam. Czytaj dalej.

— „Tak mi przykro, kochanie, że znaleźliśmy się w takim strasznym impa...”.

—W jakim impa?

—...pasie.

Och, na miłość boską.

— Możesz przeliterować?

Paula wymawia starannie każdą literę z osobna:

— I.M.P.A.S.I.E.

—Ach, w impasie. To z francuskiego... no nic, co tam dalej? W głosie Pauli pojawia się zakłopotanie.

—Nie wiem, czy powinnam...

—Daj spokój, kontynuuj. Muszę wiedzieć, jakie on ma plany.

—Pisze: „Gdybyś chciała się ze mną skontaktować, to zatrzymałem się na kilka nocy u Davida i Marii, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś własnego lokum”. I pisze jeszcze: „Nie martw się, nadal będę odbierał Emily z przedszkola”.

A więc to naprawdę może się wydarzyć. W realnym życiu. Kiedy widzimy podobny epizod w kiepskim filmie wideo, przewijamy taśmę do przodu, bo drażni nas jego melodramatyczność. Ale w tym przypadku nie mogę przewinąć taśmy do przodu. Ani jej cofnąć. Jeszcze przed chwilą świat był taki, jak powinien — wyboisty i może trochę wyjałowiony, ale taki, jakim go znasz — i nagle odnosisz wrażenie, że ziemia usuwa ci się spod nóg. Mój mąż, racjonalny Richard, Richard niezawodny, Richard opoka, opuścił mnie. Rich, który w liście wręczonym

mi na dzień przed ślubem napisał „Ty i ja — na zawsze razem, Kochanie”, odszedł. I dowiaduję się o tym od naszej niańki, bo klapki na oczach nie pozwalały mi dotąd dostrzegać sygnałów nadciągającego kryzysu.

Przedłużającą się ciszę, jaka zaległa w słuchawce, maści tylko przyspieszony oddech Pauli.

—Pani Kate — pyta w końcu z niepokojem — dobrze się pani czuje?

—Tak, dobrze. Paulo, możesz spać w pokoju gościnnym... albo w naszym łóżku. — Mówiąc to, uświadamiam sobie, że to być może już tylko moje, nie nasze, łóżko. — Pościel jest czysta. Wiem, że strasznie dużo od ciebie wymagam, ale czy mogłabyś się zająć domem? I powiedz Emily i Benowi, że mamusia wraca jutro z samego rana.

Paula zwleka z odpowiedzią, a mnie przemyka przez myśl, że jeśli odmówi, to nic wiem, co zrobić.

— To jak będzie, Paulo?

— Och, przepraszam, pani Kate, dopiero teraz zobaczyłam PS na odwrocie. Pan Richard pisze: „Wiem, że nigdy nie potrafię przestać cię kochać, bo, wierz mi, już próbowałem”.

Nie mam do tego komentarza, milczenie przerywa Paula.

— Niech się pani nie martwi — mówi cicho — zajmę się tu wszystkim. Zapiękuje się Em i Benem. Będzie dobrze, pani Kate, zobaczy pani.

Po odłożeniu słuchawki przez kilka sekund nic mogę sobie przypomnieć, jak się oddycha. Mechanizm pobierania powietrza stał się nagle skomplikowany i trudny; unieść przeponę, a potem opróżnić płuca, wdech... i wydech.

Doszedłszy trochę do siebie, dzwonię do Jacka na komórkę i zostawiam mu w poczcie głosowej wiadomość, że odwołuję kolację. Potem rozbieram się i biorę prysznic. W łazience wiszą tylko te beznadziejne włoskie ręczniki; cienkie i ską-

pe jak kościelny obrus, rozmazują wodę po ciele, zamiast ją wchłaniać. Mnie potrzebny ręcznik, którym mogłabym się szczelnie otulić.

Zerkam w lustro i z zaskoczeniem stwierdzam, że wyglądam mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy ostatni raz się w nim przeglądałam. Dlaczego włosy mi nie powypadały? Dlaczego nic ronię krwawych lez? Myślę o dzieciach, które śpią już w swoich łóżkach, i o tym, jak daleko od nich jestem, jak niewiarygodnie daleko. Widzę stąd moją małą rodzinę jako obozowisko na stoku wzgórza. Zrywa się wichura, i muszę się tam szybko dostać, żeby wszystko umocować. Muszę.

Szeroka woda, nie przeskoczę przez nią,

Nie mam też skrzydeł, by przelecieć ją.

Kładę się do zasłanego białą wykrochmaloną pościelą łóżka i przesuвам dłonią po swoim ciele. Ciele moim i przez tyle czasu Richarda. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widziałam. To znaczy widziałam wyraźnie, a nie w przelocie, kątem oka, jak przechodnia w tłumie. Przez kilka ostatnich miesięcy ja wychodziłam, a on zostawał albo on wychodził, a ja zostawałam. Przerzucaliśmy się w sieni instrukcjami. Mówiliśmy sobie, że Emily zjadła dużo na drugie śniadanie, a więc podwieczorek nie musi być obfity. Mówiliśmy sobie, że Bena trzeba położyć wcześniej, bo nie spał po południu. Mówiliśmy sobie, że jelita podjęły pracę albo że kupki wciąż nie ma i może trzeba będzie podać coś na przeczyszczenie. Albo zostawialiśmy sobie karteczki. Czasami nie spoglądaliśmy sobie nawet w oczy. Kate i Richard, dwuosobowa sztafeta, w której każdy z biegaczy uważa tego drugiego za słabe ogniwo, ale najważniejsze to przebiec swój dystans dookoła stadionu i przekazać pałeczkę, żeby ten bieg trwał i trwał.

Miłość jest piękna, miłość jest miła,

Póki jak klejnot nowością skrzy.

Lecz z biegiem czasu blednie i znika

Na podobieństwo porannej mgły.

— Mamusiu, ja wiem, dlaczego pokłóciłaś się z tatusiem — powiedziała któregoś dnia Emily.

—No, dlaczego?

—Bo tatuś wszystko robi nie tak.

Uklękłam i zajrzałam jej w oczy. Intuicja podpowiadała mi, że trzeba postawić sprawę jasno.

—Nie, kochanie, tatuś nie robi wszystkiego nie tak. Tylko mamusia jest czasami bardzo zmęczona i nie ma do tatusia cierpliwości.

—Mieć cierpliwość, to znaczy zaczekać chwileczkę — odparła Emily.

Sięgam po leżący na nocnej szafce tomik *Aforyzmy z wielkich religii świata* i kartkuję go. Jest podzielony na tematyczne rozdziały — Wiara, Sprawiedliwość, Edukacja... Zatrzymuję się na Małżeństwie.

„Nigdy nie nazywałem swojej żony »żoną«, lecz »domem«" *Talmud*

Dom. Długo wpatruję się w to słowo. Dom. Powtarzam w myślach. Wyobrażam sobie, co znaczy. Mam męża, ale nie jestem żoną, mam dzieci, ale nie jestem matką. Czym więc jestem?

Znam kobietę, która tak bardzo się boi, że nie podoła oczekiwaniom, jakie mają wobec niej dzieci, że zamiast wracać po pracy do domu, przesiaduje w winiarni i czeka, aż te pójdą spać.

Znam kobietę, która codziennie budzi swoje dziecko o 5.30, żeby chociaż trochę z nim pobyc.

Znam kobietą, która w pewnym telewizyjnym talk show opowiadała ze swadą o atmosferze szkolnych wywiadówek, w których regularnie uczestniczy. Od zatrudnianej przez nią niańki dowiedziałam się, że nawet nie wie, jak trafić do szkoły, do której chodzą jej dzieci.

Znam kobietę, która dowiedziała się od swojej niańki przez telefon, że jej synek postawił pierwsze kroczki.

I znam kobietę, która dowiedziała się, że mąż ją opuścił, z listu, który niańka odczytała jej przez telefon.

Z szeroko otwartymi oczami leżę długo, może nawet kilka godzin, na łóżku i czekam, aż odezwą się jakieś emocje. W końcu się odzywają. Nachodzi mnie uczucie z jednej strony bardzo znajome, z drugiej szokująco obce. Nazwanie go zabiera mi kilka sekund: *Chcę do mamy*.

TLR

Do domu, do mamy

Wyteżam pamięć, ale nie potrafię sobie przypomnieć, żebym widziała kiedyś matkę siedzącą. W moich wspomnieniach zawsze stoi. Stoi przy zlewie, trzymając patelnię pod bieżącą wodą, stoi przy desce do prasowania, stoi w swoim wyjściowym granatowym płaszczu pod szkołą; wnosi z kuchni parujące talerze z gorącym posiłkiem, a zaraz potem je wynosi. Logicznie rzecz biorąc, między tym wnoszeniem a wnoszeniem talerzy musiały występować jakieś przerwy, kiedy siadała i jadła z nami, ale ja sobie tego nie przypominam. Talerze po wyjęciu z kredensu stawały się dla mojej matki obiektami, które trzeba czym prędzej usunąć z widoku, bo stwarzają wrażenie nieporządku. Jeszcze niosłaś do ust ostatni kęs, a ona już sprzątała ci sprzed nosa opróżniony talerz.

Pokolenie mojej matki przyszło na świat, by usługiwać; usługiwanie było ich powołaniem i przeznaczeniem. Odstęp między ukończeniem szkoły a macierzyństwem nie przekraczał kilku lat. Te urodzone w latach pięćdziesiątych dziewczęta miały okienko wychodzące na wolność, ale owo okienko rzadko bywało na tyle szerokie, by można się przezeń przecisnąć, a zresztą, co je za nim czekało? Kobiety takie jak moja mama nie oczekiwały wiele od życia i na ogół nie dane im było doznać miłego rozczarowania. Nawet kiedy mężczyźni, którym usługiwały, zostawiali je albo umierali na zawał albo żołądek, trwały nadal na posterunku, dalej przygotowywały posiłki, prały, prasowały dzieciom i wnukom, i na dobrą sprawę, nigdy nie usiadły, żeby odpocząć. Były jakby zaprogramowane, żeby żyć dla innych, i nie potrafiły inaczej.

Dla kobiet z mojego pokolenia macierzyństwo, na które decydujemy się później, czasami za późno, jest szokiem. Nasz kontrakt nie obejmuje poświęcenia. Po piętnastu latach względnie niezależnego dorosłego życia nagłe pozbawienie

wolności potrafi przyprawić o wrażenie rozdarcia; z jednej strony głęboka miłość do dziecka, z drugiej dojmujące poczucie straty, jak po amputacji.

To, co moja mama nazywa Wyzwalaniem Kobiet, zaczęło się na długo przed moimi narodzinami, ale kiedy przychodziłam na świat, nie dotarło jeszcze w strony, w których mieszkali moi rodzice, i praktycznie do dzisiaj tam nie dotarło. Pewnego lata matka wróciła od fryzjera bez trwałej, za to ze ściętymi na krótko włosami. Julie i mnie bardzo podobała się ta nowa fryzura, podkreślała elfie rysy twarzy mamy, odmładzała ją, ale tato, ściągawszy pod wieczór do domu, orzekł: „Za bardzo w stylu tych wyzwolonych, Jean”, i mama bez słowa protestu z powrotem zapuściła włosy i zrobiła sobie trwałą.

Już jako nastolatka odkryłam, że pozory mylą: chociaż mężczyźni z naszego otoczenia grali główne role, to w praktyce całe przedstawienie reżyserowały zza kulis kobiety. Był to matriarchat pod płaszczykiem patriarchy, żeby chłopcy się lepiej czuli. Myślałam kiedyś, że jest tak tylko w moich stronach, które zamieszkiwali ludzie prości i słabo wykształceni. Teraz podejrzewam, że tak jest na całym świecie, tylko w niektórych jego częściach lepiej się ten stan rzeczy maskuje.

Na placu zabaw świdrująca uszy dziecięca wrzawa. Przedszkole mieści się w budynku z czerwonej cegły z wysokimi kościelnymi oknami, pochodzącym z czasów, kiedy wierzono i w Boga, i w edukację. W przeciwległym rogu, przy drabinkach, widzę pochyloną kobietę w granatowej kurtce trzy czwarte. Prostuje się, w rękę trzyma chusteczkę, którą tamowała małej dziewczynce krwotok z nosa.

Moja matka jest pomocą przedszkolną. Pracuje tu od lat i w zasadzie kieruje placówką, ale nadal nazywają ją pomocą. Dlatego że uchodzi im to na sucho — mama nie umie zabiegać o swoje — i dlatego, że dzięki temu mogą jej mniej płacić. Zarabia nędznie. Kiedy mi powiedziała ile, krzyknęłam z oburzenia. Ja wydawałam tyle przez trzy dni na same taksówki. Ale na dźwięk słowa „wykorzy-

stywanie" mama wybucha śmiechem. Mówi, że lubi tę pracę, że dzięki niej nie musi siedzieć beczynnym w domu. Poza tym ma podejście do dzieci. I wiercie mi, gdyby to waszej trzylatce krew puściła się z nosa, to chcielibyście, żeby moja matka się tym zajęła. Jean Reddy należy do tych dobrych duchów, które emanują na innych ciepłym niczym termofor w ludzkiej postaci.

Ogląda się i dostrzega mnie po drugiej stronie placu zabaw, ale dopiero po chwili rozpoznaje.

— Och, Kate, kochanie — mówi, podchodząc i prowadząc za rączkę poszkodowanego szkraba — jaka niespodzianka. Myślałam, że jesteś w Ameryce.

— Byłam. Wróciłam przed dwoma dniami. Całuję ją w chłodny jak jabłko policzek.

— Popatrz, Laureen — zwraca się mama do pociągającej nosem dziewczynki — to moja córeczka. Przywitaj się.

Dzwonek obwieszcza koniec dyżuru mamy. Wchodzimy do budynku po jej torebkę. Na korytarzu mama przedstawia mnie dyrektorze Val.

— Ach, więc to jest ta Katharine. Wiele o pani słyszeliśmy. Jean pokazywała mi wycinek z gazety. Robi pani karierę.

Chcę stąd jak najszybciej wyjść, ale matka musi się mną pochwalić. Nie przepuści takiej okazji. Kładzie mi dłoń na ramieniu i popycha od jednej koleżanki do drugiej. Zupełnie jak Emily, kiedy na Dniu Potraw Świata przeprowadzała swoją mamusię niczym na paradzie przed przyjaciółkami.

Wsiadamy do zaparkowanego pod przedszkolem volvo.

— Jak tam dzieci? — pyta mama. Odpowiadam, że mają się dobrze i są z Paulą. Kiedy w drodze do domu mijamy starą szkołę, mama wzdycha. — Słyszałaś, co się przytrafiło panu Dowlingowi? Straszne.

— Przeszedł na wcześniejszą emeryturę, tak?

— Tak. Wstrętna dziewczucha. Mieści ci się w głowie, żeby taka smarkata zrobiła coś podobnego, Kath?

Pan Dowling uczył mnie przed dwudziestu laty historii. Był to nieśmiały, skromny mężczyzna, zauroczony elżbietańską Anglią i poezją z czasu pierwszej wojny światowej. Przed kilkoma miesiącami jakaś dziewczyna z piątej klasy wbiła mu okulary pięścią w twarz i wkrótce potem przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Pan Dowling, człowiek starej daty, padł ofiarą doktryny wyrównywania szans, w myśl której wszystkie dzieci z okolicy, które chcą się czegoś nauczyć, muszą chodzić do jednej klasy z tymi, które naukę mają gdzieś.

— Oni tam zwracają wielką uwagę na odczytanie, Katharine, ale mamy bardzo mało czasu — powiedział pan Dowling, przygotowując mnie do egzaminów wstępnych do Cambridge. Wybierałam się na studia jako jedyna ze swojego rocznika, jedyna w dziejach szkoły, jeśli nie liczyć Michaela Braina, który dostał się do Oksfordu na wydział prawa i wchodził teraz w skład palestry. Było to po lekcjach. Siedzieliśmy z panem Dowlingiem w jego pokoju sąsiadującym z biblioteką. Uwielbiałam atmosferę tego pokoju, to ciche trzaskanie grzałek elektrycznego kominka. W jeden dzień przerobiliśmy czartys-tów, w weekend pierwszą wojnę światową. „Nic dasz rady przyswoić sobie wszystkiego, ale postaramy się podciągnąć cię przynajmniej do takiego poziomu, żebyś wiedziała, w którym kościele dzwonią” — powiedział mój nauczyciel. Ale ja dysponowałam słynną pamięcią Reddych: Anglia pod panowaniem Tudorów i Stuartów, Imperium Otomańskie, polowanie na czarownice. Dary bitew miałam w małym palcu, tak jak mój ojciec wyniki meczów. Corunna, Bosworth, Ypres. Raith Rovers, Brechin City, Swindon Town. Tata i ja, gdybyśmy tylko uznali, że to się opłaci, moglibyśmy wygrać każdy teleturniej. Byłam przekonana, że zdam egzamin, jeśli tylko zdołam dostatecznie długo zatrzymać nabytą wiedzę w pamięci.

— Zaparzę herbatki i zrobię parę kanapek, dobrze? Z szynką, tak? — Mama wstawia czajnik, krząta się po kuchni. To bardziej alkowa niż kuchnia; miejsca tam tylko na jedną osobę.

Dawniej odmawiałam, nic chciałam jeść jej kanapek, ale kilka lat temu, przekroczywszy kolejny z progów dojrzałości, zrozumiałam, że kanapki mamy nie są tylko po to, żeby je jeść. Że przygotowywanie ich daje jej poczucie, że chociaż to jedno może dla mnie zrobić. Z dnia na dzień okazanie jej, że jest mi w czymś przydatna, stało się dla mnie ważniejsze od pragnienia wyrwania się z domu.

Siadam przy rozkładanym stole z laminowanym blatem, stole, który stał we wszystkich kuchniach mego dzieciństwa: na krawędzi czarny ślad po drzazdze odłupanej w napadzie furii przez Julie po kłótni z tatą o zniszczoną kurtkę. Biorę kanapkę, a mama rozkłada deskę do prasowania i schyla się do stojącego na podłodze kosza z czystą garderobą. Pokój wypełnia się szybko usypiającym, uspokajającym zapachem podgrzanej wody. Żelazko sunie z posapywaniem po rękawie bluzki, zapuszcza swój dziób w fałdy mankietu.

Moja matka jest mistrzynią prasowania. Aż miło patrzeć, jak jej ręka prowadzi płynnie żelazko zostawiające za sobą parujący lekko pas wygładzonego materiału. Wodzi tak żelazkiem, wodzi, a na koniec strzepuje wyprasowaną koszulę i przystępuje do jej składania, zaczynając od założenia rękawów za plecy jak policjant aresztantowi. Oczy mi wilgotnieją, kiedy ją tak obserwuję: przemyka mi przez myśl, że kiedy jej zabraknie, nie będzie już nikogo, kto mógłby mnie wyreńczyć w prasowaniu, którego nie cierpię.

—Co ci się zrobiło na czole, kochanie?

—Nic.

Mama podchodzi, odgarnia mi grzywkę i przygląda się mojej egzemie, a ja mrugam szybko, żeby powstrzymać łzy.

— Już ja znam twoje nice, panno Katharine — śmieje się. — Byłaś z tym u lekarza?

—Tak.

— Nie.

—Masz to gdzieś jeszcze?

— Nic. — *Tak*, otacza mi czerwoną swędzącą wstęgą talię, usadowiło się za uszami i pod kolanami...

W kieszeni zaczyna wibrować komórka. Wyciągam ją i odczytuję numer z wyświetlacza. Rod Task. Wyłączam telefon.

— Miałaś o siebie dbać, nic mówiłam ci? Nic wiem, jak ty to wytrzymujesz. Na okrągło w pracy, wszędzie i o każdej porze cię dopadną. — Mama pokazuje znacząco palcem na komórkę. — A przecież masz jeszcze dzieci. Co to za życie.

Wraca za deskę do prasowania i pyta:

— A jak tam nasz Richard?

Odburkuję coś pod nosem. Przyjechałam powiedzieć jej, że Richard odszedł. Z ciężkim sercem zostawiłam dzieci pod opieką Pauli tak szybko po powrocie ze Stanów, ale pomyślałam sobie, że jak dobrze przycisnę gaz, to dam radę obrócić w jeden dzień. Nie chciałam, żeby mama dowiedziała się, że jesteśmy z Richem w separacji przez telefon. Ale teraz, kiedy już tu jestem, nie bardzo wiem, jak jej to powiedzieć. Gdybym wygarnęła prosto z mostu, „A tak przy okazji, mąż mnie opuścił, bo go od dziewięćdziesiątego czwartego roku zaniedbywałam”, pomyślałaby, że żartuję.

— Richard to dobry człowiek — ciągnie mama, naciągając powłoczkę poduszki na zaokrąglony koniec deski. — Trzymaj się go, kochanie. Ze świecą takich szukać.

Podejrzewałam kiedyś, że moja matka, wypowiadając się z takim entuzjazmem o Richu, chce mi dać do zrozumienia, że o mnie ma zdanie odmienne. Jej zachwyty nad coraz to nową jego zaletą (umiejętnością przygotowania sobie prostego posiłku, oddaniem dzieciom) odbierałam zawsze jako wytykanie mi kolejnej mojej wady (ułatwianie sobie życia gotowymi daniami do podgrzania, służbowe wyjazdy na weekend do Mediolanu). Siedząc teraz w mieszkaniu matki, słyszę w jej pochwale to, co naprawdę zawiera: prawdę o kimś, kto podobnie jak mama ma dar stawiania innych przed sobą.

W tym pokoju piliśmy herbatę, kiedy po raz pierwszy przywiozłam Richa z Londynu, żeby przedstawić go mamie. Kiedy po męczącej podróży w kurzu i upale dotarliśmy wreszcie na miejsce, byłam już tak zdeterminowana, że nie dam po sobie poznać, jak wstydzę się swojej rodziny, że przyjełam wyzywającą postawę myśl-sobie-o-nas-co-chcesz. I co z tego, że nie wszystkie sztucce są od kompletu? Co z tego, że moja mama mówi na sofę leżanka? Zgorszysz się, no, zgorszysz, zgorszysz?

Rich się nie zgorszył. Był urodzonym dyplomata i zjadając się niesamowitymi ilościami chleba z masłem, szybko zaskarbił sobie sympatię mamy. Pamiętam, jaki wielki wydawał się w naszym domu — sprzęty skurczyły się nagle do rozmiarów mebelków dla lalek — i jak delikatnie omijał wszelkie tabu zawarte w przeszłości mojej rodziny. (Tato już wtedy odszedł, ale jego nieobecność była niemal tak samo przytłaczająca, jak dawniej obecność). Skrępowana chłopcem z dobrego domu, którego przywiozła Kath, mama, która zawsze przesadzała z zakupami, wtedy przesadziła w drugą stronę. Ale Rich zaoferował się, że skoczy do sklepiku na rogu dokupić mleka i wrócił z dwoma rodzajami herbatników i propozycją spaceru po wzgórzach, których czarne zarysy zobaczył z końca ulicy.

— Julie mówiła mi, że nachodzą cię jacyś ludzie i upominają się o pieniądze, które podobno jest im winien tato.

Mama przygląda dłonią hełm siwych włosów.

— Nie ma o czym mówić. Niepotrzebnie zawracała ci tym głowę. Wszystko już wyjaśnione. Nie przejmuj się.

Chyba się skrzywiłam, bo dodaje:

—Nie powinnaś być taka cięta na ojca, kochanie.

—A niby dlaczego? Porządnie zalażł nam za skórę.

Psssst. Psssyt. Strofują mnie równocześnie swoimi syknięciami żelazko i mama.

—Nie miał lekkiego życia, kochanie. Jest taki inteligentny, a nie mógł tego wykorzystać. W jego rodzinie nie było mowy o pójściu do college'u. Od dziecka pociągała go medycyna, ale to całe lata studiów, a na to nie było pieniędzy.

—Skoro jest taki mądry, to czemu pakuje się wciąż w tarapaty?

Konwersacje, które rozwijają się nie po jej myśli, matka ucina zawsze argumentem nie do zbiccia.

— Był z ciebie bardzo dumny. Tak się chwalił przed wszystkimi twoimi dyplomami, że musiałam mu tego zakazać, bo robił z siebie pośmiewisko.

Składa ostatnią uprasowaną bluzkę i umieszcza ją w koszu. Nie zauważyłam jak dotąd tych dwóch, które kupiłam jej zeszłego roku w Liberty's na urodziny, ani niczego z rzeczy, które wcześniej jej sprezentowałam.

— Nie nosisz już tej czerwonej wełnianej kamizelki, którą ci dałam, mamó?

— Ależ to kaszmir, kochanie.

Od kiedy pracuję, często kupuję mamie ładne ciuszki. Chcę, żeby je nosiła, żeby czuła się elegancka i zadbana. Ale ona odkłada wszystko, co jej przywożę, na lepsze czasy. Lepsze czasy to data usadowiona w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości, od której poczynając, życie po długim ociąganiu zacznie się wreszcie układać jak należy.

—Zjesz ciasta? Me.

—Tak, chętnie.

Na kredensie, obok skrzynkowego zegara nabytego ćwierć wieku temu, fotografia moich rodziców zrobiona pod koniec lat pięćdziesiątych. Stoją roześmiani nad brzegiem morza, niebo za nimi upstrzone jest mewami. Wyglądają jak gwiazdy filmowe. Tato, jak to on, pozuje na Tyrone'a Powera, mama, z tymi atramentowo czarnymi oczami, w czarnych pumpach do pół łydki, do złudzenia przypomina Audrey Hepburn. Kiedy byłam mała, wprost hipnotyzowało mnie szczęście emanujące z tej fotografii: pragnęłam, żeby uwieczniona na niej mama wróciła. Wiedziałam, że wróci, jeśli tylko będę cierpliwie czekała. Ona po prostu oszczędzała się na lepsze czasy. Obok stoi oprawione w srebrną ramkę zdjęcie Emily, zrobione w dzień jej drugich urodzin. Zobaczyła właśnie tort i buzia jej się śmieje z zachwytu. Mama podąża wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Śliczniutka, prawda?

Kiwam skwapliwie głową. Obojętne, jak złe są stosunki w rodzinie, dziecko potrafi je załagodzić. Kiedy urodziła się Emily, i mama, odwiedzwszy nas w szpitalu, położyła spracowaną dłoń na główce maleństwa, zrozumiałam, że córka

pomoże mi pogodzić się z myślą, że matka kiedyś umrze. Zastanawiało mnie wtedy, co pomaga mamie się pogodzić z myślą, że opuści kiedyś Julie i mnie, ale nie śmiałam o to zapytać.

Z kuchni dolatuje pobrzękiwanie garnków.

—Mamo, proszę, usiądź tu ze mną.

—Odpoczywaj, kochanie, odpoczywaj.

—Ale ja chcę, żebyś ze mną usiadła.

—Za chwileczkę.

Nie mogę jej powiedzieć o Richardzie. To ponad moje siły.

Julie mieszka pięć minut drogi samochodem od mamy. Ulicom w tego typu osiedlach nadaje się zawsze nazwy roślin albo drzew, tak jakby można było w ten sposób zaleczyć rany zadane środowisku naturalnemu w trakcie prac budowlanych. Ale nazwy takie jak Sadowa, Wiązowa czy Wiśniowa zakrawają tutaj na okrutną kpinę, są jak fałszywe nuty zgrzytające w symfonii betonu i zbrojonego szkła. Moja siostra mieszka na Wierzbowej Polanie. To ustawione w podkowę bliźniaki z lat sześćdziesiątych, otoczone wieńcem okazalszych domów z dekad prosperity, a wszystko to naszpikowane dobrymi pomysłami urbanistów na odtworzenie więzi społecznych tak dokładnie przez urbanistów zniszczonych.

Podjeżdżam volvo pod dom siostry, witana przez grupę znudzonych wyrostków wrzawą wyrażającą coś pośredniego między aplauzem a szyderstwem, która cichnie, kiedy wysiadam i obrzucam ich wyzywającym spojrzeniem; nawet tutejszym chuliganom brak pewności siebie. Pośrodku trawnika przed posesją numer 9 rośnie rachityczny rododendron otoczony kępkami tych malutkich białych kwiatków, które zawsze uważałam za angielski odpowiednik szarotek. Zaparkowany jednym kółkiem na żebrowanym betonie podjazdu stoi trójkołowy rowerek, porzucony tu zapewne w czasach, kiedy dzieci Julie były jeszcze małe: w zardzewiałym żółtym korytku przytwierdzonym do tylnej osi fermentuje ciemny kompot z liści i deszczówki.

Drzwi otwiera mi kobieta w średnim wieku obcięta na pazia. Jest o trzy lata i jeden miesiąc młodsza ode mnie. Tyle właśnie miałam, kiedy pewnej nocy wniesiono mnie do sypialni rodziców, żebym zobaczyła nowego członka rodziny. Pamiętam tę noc, jakby to było wczoraj. Tapeta była zielona, a noworodek czerwony, owinięty w biały szal, który mama na moich oczach robiła wieczorami na drutach przed kominkiem. Dzidzius śmiesznie posapywał, a kiedy podało mu się palec, chwycił go kurczowo i nie chciał puścić. Powiedziano mi, że to moja siostra. Poprosiłam mamę, żeby dała jej na imię Valerie, bo tak się nazywała prezenterka z mojego ulubionego programu dla dzieci. I rodzice, pewnie w nadziei, że dzięki temu będę mniej zazdrosna, przychylni się do mojej sugestii, a Julie Valerie Reddy do tej pory nie może mi tego wybaczyć.

— Wejdz — mówi siostra i widząc, że zaparkowałam samochód na ulicy, dodaje: — Lepiej wprowadź go na podjazd, bo ci koła pokradną. Zrobię miejsce.

— Nie, niech tam zostanie.

Przeciskamy się przez wąski korytarzyk, w którym stoi pomalowany na biało kwietnik z kutego żelaza cały w paprotkach.

— Roślinki dobrze ci się trzymają, Julie — mówię. Julie wzrusza ramionami.

— Im nic nie zaszkodzi. Mam świeżo zaparzoną herbatę, chcesz? Steven, zbieraj się z leżanki, przyjechała ciotka Kath z Londynu.

Steven podbiega, żeby się ze mną przywitać, a jego mama wyjmuje tymczasem filiżanki z kredensu.

Wiadomość, że mąż mnie zostawił, to mój podarunek dla siostry, rodzaj fajki pokoju. W dzieciństwie Julie donaszała po mnie rzeczy, wysłuchiwała uwag nauczycieli porównujących ją z tą drugą Reddy, tą, która dostała się do Cambridge, i przez całe życie ani razu nie miała niczego ładniejszego ode mnie. Doczekała się wreszcie, że starszej siostrze powinęła się noga i okazała się gorszą od niej przynajmniej pod tym względem, że nie potrafiła zatrzymać przy sobie swojego mężczyzny.

— Trochę tu bałaganu — mówi Julie, bardziej tonem stwierdzenia stanu rzeczy niż przeprosin. Zabiera z leżanki stertę czasopism, kopie w kierunku drzwi strój piłkarski Stevena.

Sadza mnie w fotelu obok gazowego kominka.

— No, co tam u ciebie?

— Richard mnie zostawił — mówię i po raz pierwszy od czasu telefonicznej rozmowy z Paulą wybucham płaczem. Nie uroniłam jednej łzy, wyjaśniając Emi-ly, że tatuś przez jakiś czas będzie mieszkał gdzie indziej, bo nic chciałam dzielić swojej rozpacz i upokorzenia z sześciolatką, dla której wszyscy mężczyźni to księżęta ze „Śpiącej Królowej”. Nie popłakałam się też, kiedy poprzedniego wieczoru z pełną kulturą omawialiśmy z Richardem w progu kwestię dzieci. O dzieciach rozmawialiśmy na co dzień, ale te rozmowy kończyły się zwykle tym, że wybiegałam z domu, wołając przez ramię, że muszę wyjść: tym razem to Richard zszedł po schodkach i oddalił się ulicą, przerzucając sobie przez ramię szary sweter, który kupiłam mu przed dwoma laty na urodziny, bo pasował kolorystycznie do jego oczu.

— No i wyszedł z niego w końcu ostatni łachmyta — stwierdza Julie. — Tak się zaharowywałaś, a on, proszę. — Nawet nie wiem kiedy, ukłękła przede mną i objęła za szyję.

—To moja wina.

—Gówno prawda.

—Nie, moja, moja, zostawił list.

— List, powiadasz? A to ci dopiero. Cholerne chłopy. Albo są za cwani, żeby okazywać wdzięczność, albo, jak mój Neil, za głupi, żeby potrafili ją okazać.

— Neil nie jest głupi.

Julie wybucha śmiechem, a ja odnoszę wrażenie, że czas się cofnął i znowu jestem w pokoju z tamtą małą dziewczynką, pełną temperamentu i pogody ducha młodszą siostrą.

— Może i nie, ale prędzej trafiłabyś za chomikiem niż za Neilem. Ten twój Richard ma może inną babę?

O tym nie pomyślałam.

— Nic, chyba nie, to raczej ja się zmieniłam. Tej, z którą się zenił, już nic ma. Powiedział, że nic może się ze mną porozumieć, że go nie słucham.

Julie gładzi mnie po włosach.

— Tak ciężko pracujesz, a on tylko temperuje te swoje ołówki.

— Jest bardzo dobrym architektem.

— Ale to ty pchasz ten wózek, ty płacisz wszystkie rachunki i w ogóle.

— Jemu chyba trudno się z tym pogodzić, Julie.

— Tak, tak, gdyby świat oglądał się na to, z czym trudno się pogodzić mężczyznom, to do tej pory chodziłybyśmy w pasach cnoty, nie uważasz? Słodzisz?

Nie.

— Tak.

Po herbacie idziemy z Julie na spacer do ogródka zabaw dla dzieci na osiedlowej górcie. Ścieżka jest zarośnięta paprociami, mijamy wypalony wrak forda fiesty opleciony naparstnicą. Na ławce przy huśtawkach siedzą dwie nieletnie mamuśki. Zachodzenie w ciążę przed osiągnięciem pełnoletności to tutaj swoiste hobby. Te dwie smarkule są typowymi okazami: woskowożółte z przemęczenia i wypacykowane, wyglądają jak nieboszczki, zwłaszcza na tle żywego jak pchełki przychówku, który je obskakuje.

Julie mówi mi, że duszności i bóle w klatce piersiowej zaczęły się u naszej matki przed kilkoma miesiącami, po tym, jak do jej drzwi zapukało dwóch wierzycieli taty. Mama powiedziała im, że Joseph Rceddy już tu nie mieszka, ale mężczyźni i tak weszli do środka, oglądali meble, zainteresowali się zegarem skrzynkowym i srebrnymi ramkami, które dostała ode mnie na fotografii wnuków.

Julie, na której nie ciążyło właściwe starszemu dziecku przekleństwo ciągłego szukania aprobaty rodziców, pozostawała poza bezpośrednim polem rażenia czaru taty i obserwowała go stamtąd na chłodno, bez obawy o efekty uboczne. Kiedy jej opowiadał, jak odwiedził mnie niedawno w biurze, wybucha świętym oburzeniem.

— Cały on. Nawet nie pomyślał, że może ci narobić wstydu przy szefie. Na głowę, cholera, upadł?

—Wynalazł biodegradacyjną pieluchę.

—On? W życiu nie widział niemowlęcej pupy. Parskamy obie niepohamowanym śmiechem, łzy ciekną nam po policzkach. Wyciągam z kieszeni płaszcza zaskorupiałą używaną chusteczkę; Julie wyciąga swoją, w podobnym stanie, tyle że na dodatek poplamioną krwią.

—Koncert kolęd Emily.

—Mecz rugby Stevena.

Odwracamy się i patrzymy na miasteczko. Jego brzydotę podkreśla kiczowaty zachód słońca — ach te tiulowe róże, te skandalizujące purpury. Nad krajobrazem dominują niebotyczne kominy. Te jeszcze aktywne wydmuchują raz po raz w niebo małe obłoczki dymu jak nałogowi palacze.

—Chyba nie dałaś tacie forsy? — pyta Julie, a kiedy nie odpowiadam, dorzuca: — Jasna, cholera, Kath, aleś ty miękka.

—Lodowa Dziewica — oznajmiam tonem prezenterki Radia 4.

—Lodowa Dziewica, co taje, jak tylko na nią chuchnąć — odparowuje siostra. — Nad tatą nie ma się co litować. Nie zasłużył sobie. Tu są miliony takich zakichanych tatusiów, nie jesteśmy wyjątkiem. Pamiętasz, jak kazał ci mówić, że go nie ma w domu, kiedy przychodzili się upominać o zwrot pieniędzy? Pamiętasz?

—Nie.

—Pamiętasz. Musisz pamiętać. Tak się nie wychowuje dzieci, Kath. Nie każe im się kłamać w swoim imieniu. A jak się wyżywał na mamie, kiedy sprawy szły nie po jego myśli?

—Nieprawda.

—Nieprawda? A kto zlatywał po schodach, żeby ich rozdzielać, kiedy brali się za łby? Taka jedna dziewczynka. Katharine jej było. Dzwonią dzwoneczki?

—Julie, jak się nazywały te lody na patyku?

—Nic zmieniaj, cholera, tematu.

—Nie pamiętasz?

—Pewnie, że pamiętam. Fabsy. Ale ty ich nigdy nie jadłaś. Oszczędzałaś swoje kieszonkowe i kupowałaś comish miwi. Mama zawsze mówiła, że od kiedy stanęłaś na nóżki, musiałaś mieć wszystko to, co najlepsze. „Szampańskie wymagania za piwne pieniądze, to cała nasza Kath”. No i zaparłaś się, i stać cię teraz na szampana, nie?

—Nic jest wcale taki smaczny — mruczę, obracając na palcu ślubną obrączkę.

—Bąbelki w język szczypią? — Julie patrzy na mnie tak, jakby naprawdę oczekiwała odpowiedzi.

Jak mam jej powiedzieć, że pieniądze poprawiły moje życie, ale go nie pogłębiły ani nie ułatwiły?

— Wiesz, większość pieniędzy idzie na kupowanie sobie czasu na zarabianie pieniędzy na wszystko, co wydaje ci się potrzebne, bo masz pieniądze — mówię zawiłe.

— Tak, ale lepsze już to niż to. — Julie wskazuje ruchem głowy nieletnie mumusie na placu zabaw dla dzieci. Głos jej łagodnieje, kiedy powtarza: — Lepsze już to niż to, kochana.

Po naszym osiedlu krążyła kiedyś furgonetka z lodami Mr Whippy, wabiać klientów dziarską wersją melodii „Greensle-eves”. Któregoś dnia, podczas letnich wakacji, Annette i Colin Jonesowie kupili z niej po lodzie, a kiedy furgonetka ruszała, pod jej tylne koło wpadł ich kot. Podnieśliśmy krzyk, ale kierowca nie słyszał i nie zatrzymał wozu. Pamiętam, że był wtedy straszny upał, asfalt jezdni lepił nam się do podeszew sandałów. I pamiętam wrzask Annette, i pamiętam tamtą muzykę oraz wrażenie miażdżenia czegoś nieskończenie delikatnego przez obracające się koło.

Jonesowie mieszkali dwa domy od nas. Carol Jones była jedyną pracującą matką w okolicy. Zaczynała od byle jakiej, marnie płatnej posady w barze, ale wkrótce potem zatrudniła się na pełny etat w księgowości w zakładach metalowych.

Podsumowując przy drugim śniadaniu swoje sąsiadki, moja matka i pani Frieda Davis doszły do wniosku, że Carol wydaje wszystko, co zarobi, na fryzjera i inne rzeczy podpadające pod kategorię „fni-bździu”.

Ja pamiętam, że Carol szminkowała sobie usta, dużo się śmiała i wyglądała młodziej od mojej matki, choć była jej rówieśniczką.

W dniu wypadku mama usłyszała nasze krzyki, wybiegła z domu i zabrała nas wszystkich do środka, żebyśmy nic patrzyli, jak kierowca furgonetki Mr Whippy próbuje po sobie posprzątać. Upuściłam na jezdnię swojego truskawkowego loda cornish miwi. Mama uspokoiła Annette, dała każdemu z nas po szklance soku pomarańczowego i znalazła plaster dla Colina (nie miał żadnego obtarcia ani skaleczenia, ale nosił plaster).

A potem zaparzyła Jonesom herbaty i czekaliśmy na powrót ich mamy z pracy.

Carol wróciła później niż zwykle, obładowana zakupami. Wiedziała już, co się stało, bo mama do niej dzwoniła, ale tłumaczyła, że nie mogła się zwolnić z pracy. Kiedy wspominam chwilę, kiedy Carol weszła do kuchni, gdzie czekaliśmy na nią przy stole z laminowanym blatem, to pamiętam nieznośną duchotę, która wisiała w powietrzu niczym mokra ścierka, Colina rozlewającego sok i

Annette ostentacyjnie odwracając wzrok od swojej mamy, ale nic pamiętam, czy to, co wszyscy wtedy myśleliśmy, zostało powiedziane.

Czy ktoś powiedział: „Gdybyś tu była, kotek by żył”?

TLR

Brak odpowiedzi

Godz. 18.35

—Co więcej, istnieją dowody, że mieszane zespoły męsko-żeńskie pracują efektywniej.

—Jezu, Kate, nie myślałem, że usłyszę kiedyś od ciebie takie rzeczy. — Rod Task jest wyraźnie znudzony, i nie tylko on, sala jest pełna ludzi, którzy woleliby siedzieć teraz w winiarni, niż wysłuchiwać wykładu nowej Koordynatorki Dywersyfikacji. Czuję się jak wegetarianka w rzeźni.

Chris Bunce rozwala się w swobodnej pozie na krześle, nogi trzyma na stole konferencyjnym.

— Ja tam zdecydowanie popieram mieszanie płci — mówi, dłubiąc w zębach wykałaczką.

— Możemy już iść stąd w cholere? — pyta Rod.

— Nie — mówi Celia Harmsworth — musimy jeszcze zredagować oficjalne stanowisko.

Sala jęczy, a w mojej kieszeni zaczyna wibrować komórka. SMS od Pauli.

Ben chory

proszę szybko wracać.

— Muszę iść — mówię. — Pilny telefon ze Stanów. Nie czekajcie na mnie.

Dzwonię do Pauli z taksówki, która wiezie mnie do domu. Paula mówi mi, co się stało. Ben spadł ze schodów.

— Pamięta pani ten wystrzępiony chodnik na schodach, pani Kate?

Boże, błagam, tylko nie to.

— Tak, pamiętam.

— Zahaczył rano nóżką o te farfocle, przewrócił się i uderzył w główkę. Miał małego guza, ale poza tym czuł się dobrze. Dopiero po jakimś czasie zaczął wymiotować i lecieć przez ręce.

Każę Pauli czymś go przykryć, żeby mu było ciepło. A może powinna go czymś ochłodzić? Drętwymi palcami wybieram numer komórki Richarda. Modłę się, żeby odebrał, ale odzywa się automat poczty głosowej i każe mi zostawić wiadomość.

— Cześć. Nie chcę zostawiać wiadomości. Przyjedź. To ja. Kate. Ben upadł i jadę z nim do szpitala. Telefon zabieram.

Następnie dzwonię do Pegaza i proszę Winstona, żeby czekał na mnie pod domem. Muszę zawieźć Bena do szpitala.

Godz. 20.23

Ileż można czekać z dzieckiem w kolejce do lekarza? Na izbie przyjęć, do której zgłaszam się z Benem, każą mi zająć miejsce na jednym z szarych plastikowych krzesełek i czekać. Obok nas siedzą dwaj chłopcy ze szkoły publicznej, którzy coś przedawkowali. Chyba ecstasy. „Nie mam czucia w palcach” — wyje na okrągło jeden z nich, udając, że nie wie dlaczego. Ani trochę mi go nie żal. Dla mnie może wracać do bagna, z którego wylazł, i dokonać tam w spokoju żywota. Najchętniej wykopałabym go ze szpitala, żeby nic zawracał lekarzom głowy.

Winston, który wyszedł zaparkować Pegaza, wraca. Widząc moją minę, zatrzymuje się przy stanowisku rejestracji i zwraca do rejestratorki:

— Przepraszam panią, ale jesteśmy tu z dzieckiem, którym trzeba się natychmiast zająć. Z góry dziękuję.

Mija cała wieczność — może z pięć minut — zanim zapraszają nas z Benem do gabinetu, a ściślej malej klitki odgradzonej od rojnego korytarza cienką morelową zasłonką. Zaczynam relacjonować młodemu, sennemu lekarzowi z kilkuniedniowym zarostem występujące u Bena objawy, ale on ucisza mnie uniesieniem ręki i czyta rozłożone na biurku notatki.

—Hmm, rozumiem, rozumiem. Od jak dawna chłopiec ma podwyższoną temperaturę, pani Shattock?

—No, dokładnie nie potrafię powiedzieć. Przed godziną był jeszcze bardzo rozpalony.

—A wcześniej?

—Nie wiem.

Lekarz przykłada dłoń do czoła Bena. Ben pojękuje.

—Mdłości, wymioty w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

—Miał mdłości wczoraj po południu, ale Paula — to znaczy moja niania — myślała... myślałyśmy, że coś mu zalega na żołądku.

—Oddawał od tamtego czasu stolce?

—Niestety, nie wiem.

—Jak to, nie widziała go pani od wczoraj?

— Tak. Nie. To znaczy, staram się wracać do domu, zanim pójdzie spać, ale wczoraj wieczorem mi się to nie udało.

— I przedwczoraj też.

—Też, musiałam lecieć do Frankfurtu. Widzi pan, Ben spadł dzisiaj rano ze schodów i z początku wszystko było normalnie, ale potem Paula zaniepokoiła się, bo zaczął lecieć przez ręce i...

— Tak, rozumiem. — Nie sędzę, żeby rozumiał. Muszę się uspokoić i wytłumaczyć mu wszystko po kolei, jak dziadek krowie na granicy.

— Zechce pani rozebrać dziecko?

Zdejmuję Benowi śpioszki, ściągam mu przez głowę koszulkę. Skórę ma bladą, niemal przezroczystą, pod żebrami widać malutkie mieszki płuc.

— Ile dziecko waży, pani Shattock?

— Dokładnie nie wiem. Chyba jakieś trzynaście, czternaście kilo.

— Kiedy go pani ostatni raz ważyła?

— Był ważony na badaniach okresowych po ukończeniu osiemnastego miesiąca życia, ale to moje drugie dziecko, a przy drugim człowiek nie przejmuje się już takimi rzeczami jak waga, chyba że...

— I ile ważył podczas tego badania okresowego?

— Jak już powiedziałam, nie wiem tego dokładnie, ale Paula mówiła, że wszystko jest w najlepszym porządku.

— A data urodzenia Benjamin — zakładam, że ją pani zna? Obelga jest tak kąśliwa, że łzy napływają mi do oczu, jak po wyjściu na siarczysty mróz. Na testach wypadam całkiem nieźle. Znam wszystkie odpowiedzi, ale tych odpowiedzi nie znam, a powinnam. Wiem, że powinnam je znać.

Ben urodził się 25 stycznia. Jest silny, wesoły i nigdy nic płacze. Chyba że jest zmęczony albo bolą go ząbki. Jego ulubiona książeczka to *Sowiątka*, a ulubiona piosenka to „Kółka autobusu” i jest moim najukochańszym, najśłodszym jedynym synkiem, i gdyby coś mu się stało, zabiję tego faceta, potem podpale szpital, a na koniec popełnię samobójstwo.

— Dwudziestego piątego stycznia.

— Dziękuję, pani Shattock. A teraz, młodzieńcze, obejrzymy sobie twoją klatkę piersiową.

Nie wiem, jakbym sobie poradziła, gdyby nie Winston. Siedział z nami w szpitalu, przynosił mi osłodzoną herbatę z automatu, brał Bena na kolana, kiedy musiałam iść do toalety, i zniecierpliwienie okazał dopiero, kiedy chciałam mu za to wszystko zapłacić. Z pomocą Winstona wysiadam ze śpiącym dzieckiem na rękę z taksówki i widzę postać majaczącą na schodkach mojego domu. Jeśli to włamywacz, myślę, to nie odpowiadam za swoje czyny. Robię kilka kroków i rozpoznaję Momo. Nie jestem w stanie znieść widoku kogokolwiek z pracy. Nie w tej chwili.

— Cokolwiek się stało, chyba można z tym poczekać do rana? — mówię szorstko, wbijając klucz w zamek.

— Przepraszam, Kate.

— Obawiam się, że przeprosiny nie załatwiają sprawy. Wracam właśnie z Benem ze szpitala. Był na obserwacji. Cały wieczór tam przesiedziałam. Nawet jeśli Hang Seng spadł o dziesięć procent, to szczerze mówiąc, głównie mnie to obchodzi i możesz to powtórzyć Rodowi słowo w słowo. Boże, a to co?

Smuga światła wylewająca się na ulicę z otwieranych drzwi pada na Momo. Dziewczyna płacze. Widok tej idealnej twarzy napuchniętej od łez jest dla mnie wstrząsem.

— Przepraszam — powtarza Momo i urywa ze szlochem. Wprowadzam ją do środka, sadzam przy kuchennym stole i idę położyć Bena do łóżeczka. Lekarz powiedział, że to rumień wirusowy. Nic, co by miało związek z upadkiem i stanowczo nie zapalenie opon mózgowych; przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny należy podawać dziecku dużo płynów i często mierzyć temperaturę. Skręcam na podeście i wstępując na drugie skrzydło schodów, zauważam postrzępioną łachę sprutego chodnika, o którą potknął się Ben. Nienawidzę tego cholernego chodnika, nienawidzę siebie za to, że do tej pory go nie wymieniłam, nienawidzę za to, że do tej pory nie znalazłam czasu na wezwanie kogoś, kto by wymierzył schody. Selekcja. Hierarchia ważności. Popłatałam kolejność: na pierwszym miejscu powinno znajdować się to, co stanowi zagrożenie dla dziecka, wszystko inne może poczekać. Zaglądam do Emily. Śpi na łóżku wtulona w Paule, którą

też zmorzył sen. Wchodzę tam na palcach, gaszę nocną lampkę i okrywam obie kołdrą.

Wracam na dół do kuchni i parząc miętową herbatę, próbuję nakłonić Momo do zwierzeń. Po dziesięciu minutach dociera do mnie, dlaczego ma trudności z wyjaśnieniem, w czym rzecz: po prostu nie ma w swoim słowniku określeń wystarczająco wulgarnych, by opisać, co ją spotkało.

Wieczorem, po pracy, Momo poszła z paczką pracowników działu amerykańskiego do 171, baru naprzeciwko Liverpool Street. Potem wróciła do biura po jakieś materiały do finału, który wkrótce miałyśmy wspólnie przeprowadzać. Zastąpiła tam Chrisa Bunce'a otoczonego przez grupkę facetów. Pochyleni nad jego monitorem, zaśmiewali się i wygłaszali niewybredne komentarze. Był wśród nich jej kolega Julian, który zaczął pracę w EMF zeszłego roku, tego samego dnia co Momo. Nie słyszeli, jak wchodzi, i zauważyli ją dopiero, kiedy podeszła zobaczyć, co ich tak bawi, a wtedy było już za późno.

—To były zdjęcia kobiety, Kate, bez niczego, to znaczy jeszcze gorzej niż bez niczego.

—Momo, przecież oni na okrągło ściągają te świństwa z Internetu.

— Nie rozumiesz, Kate, na tych zdjęciach byłam ja.

Godz. 2.10

Pomogłam Momo wejść na górę, znalazłam jej namiastkę nocnej koszuli i położyłam do łóżka w pokoju gościnnym. Zaplątana w mój T-shirt rozmiaru XXXL z jamnikiem na piersiach, Momo wygląda na osiem lat. Jest już spokojniejsza, może mi wreszcie opowiedzieć całą historię do końca. Otóż na widok zdjęcia na ekranie krzyknęła z oburzenia i zapytała, kto to zrobił.

Bunce obejrzał się na Momo i bez cienia zażenowania zawołał: „Patrzcie, chłopaki, przyszedł oryginał. Może nam pokaże, co tam ma?”.

Zarechotali obleśnie, ale kiedy się rozpląkała, szybko wynieśli się z biura. Tylko Julian został i próbował ją uspokoić. Wrzeszczała na niego dopóty, dopóki nie wyznał, że Bunce ściągnął ze strony EMF fotografie Momo — te, które firma wykorzystwała w broszurze do zilustrowania swego oddania idei dywersyfikacji

— i cyfrowo doprawił jej głowę do ciał innych kobiet, których zdjęcia można bez trudu znaleźć w sieci.

— Do nieubranych ciał — powtarza Momo i jej drobiazgowość czyni incydent podwójnie bolesnym.

Momo opowiada, że przestała oglądać zdjęcia, kiedy zobaczyła swoją głowę biorącą do buzi. Pod zdjęciami były podpisy, ale miała trudności z ich odczytaniem, bo stłukły jej się okulary, które upuściła na podłogę.

—Było tam chyba coś o Azjatyckich Kociakach.

—Wyobrażam sobie.

— I co teraz zrobimy? — pyta, i użycie przez nią liczby mnogiej jest aroganckie, a zarazem zupełnie właściwe.

Nic nie zrobimy.

— Coś się wymyśli.

Gaszę górne światło, nocną lampkę przy łóżku zostawiam zapaloną. Obok stoi wazon z zasuszonymi konwaliami, które pamiętają jeszcze wizytę Barbary i Donalda.

—Nie rozumiem, Kate — mówi Momo. — Dlaczego Bunce to zrobił? Czemu ludzie robią takie rzeczy?

—Och, bo jesteś piękna i jesteś kobietą, i dlatego, że to mu wolno. To nie takie znowu skomplikowane.

W jej oczach na moment zapala się gniew.

—Chcesz powiedzieć, że to, co Chris Bunce mi zrobił, to nic osobistego?

—Nie. Tak. — Czuję się skrajnie wyczerpana, tak jakby w moich żyłach płynął ołów. Najpierw paniczny strach, że z Benem jest źle, teraz to. Dlaczego muszę zawsze tłumaczyć Momo rozmaite rzeczy, ważne rzeczy, skoro sama postępuję jak beznadziejna idiotka. Kładę dłoń na jej smagłej dłoni i mówię: — Chcę powiedzieć, że jesteśmy odstępstwem od normy, wynaturzeniem. Nigdy w dzie-

jach nie było jeszcze takich jak my, Momo. Przez wieki całe kobiety знаły swoje miejsce i nagle w ciągu jednego dwudziestolecia namnożyło się kobiet, które swojego miejsca już nie znają i to jest dla mężczyzn niepokojące. Za szybko to się stało. Chris Bunce patrzy na ciebie i widzi kogoś, kto jakby ma te same prawa co on. Wiemy, co chcieliby z tobą robić, ale nie wolno mu już ciebie tknąć, montuje więc twoje zdjęcia, bo z nimi może robić, co mu się podoba.

Momo ściska moją rękę i wzdryga się pod kołdrą; to dreszcz świeżego jeszcze wstydu.

— Wiesz, Momo, ile czasu przypuszczalnie minęło, zanim pierwszy człowiek stanął na dwóch nogach?

— Ile?

— Dwa do pięciu milionów lat. Jeśli dać Chrisowi Bun-ce'owi pięć milionów lat, to może dotrze do niego, że można pracować z kobietami, nie zdejmując z nich ubrań.

Widzę w jej oczach opalizującą błonkę łez.

— Chcesz mi dać do zrozumienia, że nic nie możemy zrobić, tak, Kate? W sprawie Bunce'a. Że muszę po prostu przejść nad tym do porządku dziennego, bo oni tego oczekują i nie ma sensu niczego zmieniać?

Właśnie to chcę jej dać do zrozumienia.

— Nie, tak bym tego nie ujęła.

Momo wzdycha i układa się do snu, a ja schodzę na dół, żeby pogasić światła i wszystko pozamykać. Richarda brakuje mi na każdym kroku, ale teraz brakuje mi go szczególnie. Zamykanie domu na noc to jego obowiązek, i rygiel wydaje mi się gorszym zabezpieczeniem, kiedy zasuwam go sama. Zamykając okiennice, próbuję sobie wyobrazić, co się wydarzy w ciągu kilku najbliższych dni. Rano Momo Gumeratne złoży na ręce swojego bezpośredniego zwierzchnika, Roda Taska, formalną skargę na zachowanie Christophera Bunce'a. Task przekaże skargę do działu personalnego. Następnie Momo zostanie wysłana na płatny

urlop na czas trwania wewnętrznego dochodzenia w sprawie. Podczas pierwszego posiedzenia sądu koleżeńskiego, na które i ja zostanę zaproszona, ktoś zauważy publicznie, że Momo Gumeratne cieszyła się dotąd nieposzlakowaną opinią. Chris Bunce, z kolei, ma opinię gwiazdora naszej trupy, bo w samym tylko zeszłym roku zarobił dla firmy 10 milionów funtów, ale tego nikt głośno nie powie. To, co wyrządził Momo, zostanie szybko uznane za „głupi wybryk” albo „ten numer Bunce'a”.

Po trzech miesiącach spędzonych w domu na przymusowym urlopie — tyle wystarczy, żeby zszargać sobie nerwy i popaść w depresję — Momo zostanie wezwana do biura. Zaproponuje jej się polubowne załatwienie sprawy i finansowe zadośćuczynienie. Na to obudzi się drzemiąca w Momo lady Cheltenham i Momo powie, że nie da się przekupić; zależy jej tylko na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Skład sądu koleżeńskiego poczuje się urażony: im też zależy na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość, ale natura dowodów jest... jakby to ująć?... wielce problematyczna. Niezauważenie, nie wiadomo jak i kiedy, zakiełkuje przekonanie, że kariera Momo w City ma się chyba ku końcowi. Jest co prawda młoda, świetnie zapowiadającą się specjalistką, ale takie momenty w życiorysie mogą być w przyszłości rozmaicie interpretowane. Nic ma dymu bez ognia. A założmy, że informacja o komputerowych zdjęciach pornograficznych przecieka do mediów...

Dwa dni później Momo Gumeratne zgodzi się przyjąć w ramach zadośćuczynienia jakąś nieujawnioną w protokole sumę pieniędzy. Kiedy po raz ostatni będzie wychodziła z gmachu Edwin Morgan Forster, dziennikarka z wiadomości telewizyjnych podstawi jej mikrofon pod nos i zada kilka dociekliwych pytań. Czy to prawda, że nazywają ją Azjatyckim Kociakiem, a po biurze krążą jej zdjęcia pornograficzne? Momo zwiesi głowę i odmówi komentarza. Nazajutrz cztery gazety opiszą sprawę na trzeciej stronie. Jeden z nagłówków będzie krzyczał." AZJATYCKI KOCIAK Z CITY POZUJE DO ZDJĘĆ PORNO. Sprostowanie Momo pojawi się w przedostatnim akapicie. Wkrótce potem Momo podejmie pracę za granicą i będzie się modliła, żeby o niej jak najprędzej zapomniano. Bunce utrzyma posadę, a plamę w jego życiorysie wymażą zyski, które będzie wypracowywał. I nic się nie zmieni. Pewne, jak w banku.

Sięgając do kontaktu, zauważam nowy rysunek przytwierdzony magnesikiem do drzwi lodówki. Przedstawia kobietą o żółtych włosach; kobieta ma na sobie prążkowany brązowy kostium i jest w szpilkach wysokich jak szczudła. Na kartką pada światło i trudno odczytać podpis. Pochyliłam się. To dzieło Emily, która u dołu, zapewne z pomocą wychowawczyni, nagryzmoliła: „Moja mamusia chodzi do pracy, ale przez cały dzień o mnie myśli”.

Czy naprawdę tak jej powiedziałam? Na to wygląda. Nie pamiętam tylko kiedy, ale Em zapamiętuje absolutnie wszystko. Otwieram zamrażarkę i wystawiam twarz na powiew arktycznego powietrza. Ogarnia mnie przemożna pokusa, żeby tam wejść i iść przed siebie. Wchodzę; może mnie nie być jakiś czas.

Wracam na górę i zaglądam do Momo. Dziewczyna powieki ma zamknięte, ale oczy pod nimi trzepocą się jak ćmy. Śni o czymś, biedactwo. Kiedy gaszę nocną lampkę, Momo otwiera oczy i szepce:

— O czym myślisz, Kate?

— Och, wspominałam właśnie, co ci powiedziałam w dniu, w którym się poznałyśmy.

— Powiedziałaś, że muszę przestać za wszystko przeproszać.

— Fakt. I co jeszcze?

Momo patrzy na mnie tymi samymi ufnyimi oczami spaniela, które widziałam u niej miliardy lat temu podczas finału w Stanach.

— Powiedziałaś, że współczucie może drogo kosztować, ale niekoniecznie trzeba na nim stracić.

— Tego nie mówiłam.

— Mówiłaś.

— Boże, straszne. Ależ ze mnie krowa. Co tam jeszcze wygadywałam?

— Powiedziałaś, że pieniądze nie rozróżniają płci.

— Racja.

—Racja? — powtarza z powątpiewaniem Momo.

— Gdzie ich najbardziej boli, Momo? Gdzie możemy im najbardziej dopiec?

Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Zakradałam się co chwila do pokoju Bena i nasłuchiwałam, jak oddycha. To samo było dawno temu z Emily, kiedy wróciłam z nią ze szpitala do domu i martwiłam się, że się nigdy nie obudzi. Ben spał i spał, ale nie dostrzegałam u niego żadnych niepokojących objawów. Po prostu spał jak dziecko.

Okolo drugiej nad ranem zadzwonił Richard. Był w Brukseli, gdzie odbierał jakiś grant dla centrum sztuki, i dopiero teraz dostał moją wiadomość. Kiedy zapytał, czy u mnie wszystko w porządku, odparłam, że nie. Powiedział, że musimy porozmawiać, a ja się z nim zgodziłam.

O 5.30 zadzwoniłam do Candy. Wiedziałam, że ostatnio dziecko budzi ją wcześniej kopniakami pod zebra. Powiedziałam jej o zdjęciach Momo w systemie. Ja nie miałam zielonego pojęcia, co z tym zrobić, ale przyszło mi do głowy, że może ona, ze swoją wiedzą techniczną i doświadczeniem wyniesionym z kilku firm internetowych, w których kiedyś pracowała, coś tam wymyśli. Między 5.50 a 6.30 Candy napisała program, który miał wyszukiwać i niszczyć wszystkie pliki zawierające jakiegokolwiek odwołania do Momo Gumeratne.

— Trudno będzie wytropić każde świństwo, które opuściło mury budynku — powiedziała — ale mogę zniszczyć wszystko, co krąży jeszcze po wewnętrznym systemie EMF.

Uradziłyśmy, że Candy zachowa jako dowód po jednej kopii każdego zdjęcia.

O szóstej Momo weszła do kuchni. Trzymała coś w ręku.

—Znalazłam to w swoim łóżku. Czyje to? Podeszłam i objęłam ją.

—To Ur. Członek rodziny.

Zaparzyłam jej herbaty i kazałam wracać z nią do łóżka. Weszłam z Momo na górę i skręciłam do pokoju Bena. Spał wciąż jak zabity. Położyłam mu Ura na poduszce. Niebawem pewien mały chłopczyk będzie szczęśliwszy niż na Gwiazdkę.

Weszłam do siebie, otworzyłam szafę i zdjęłam z wieszaka swoją najszykowniejszą zbroję od Armaniego. Kruczoczarny kostium. Z półki na dole wybrałam parę lakierowanych szpilek o noskach z wężowej skóry — ze względu na wysokość obcasów nie dało się w tych butach chodzić, ale nie do chodzenia były mi dzisiaj najbardziej potrzebne. Ubierając się, dokonywałam w myślach przeglądu całej artylerii, jaką mogę wytoczyć, całej amunicji, jaką dysponuję. Chciałam, żeby Richard wrócił, i wiedziałam już, że zrobię wszystko, by tak się stało, ale najpierw mamusia musi doprowadzić do końca, co zaczęła.

Do zapamiętania Zniszczyć Bunce 'a.

TLR

Żądło

W zasadzie można było śmiało powiedzieć, że biznesplan dla biodegradacyjnej pieluchy Powera to dokument jedyny w swoim rodzaju. Na czterech bitych stronach formatu A4 opisywał szczegółowo docelowy rynek zbytu na tę cudowną pieluszkę nowej generacji oraz przewidywane tempo jego rozwoju. Zawierał poza tym druzgocącą krytykę konkurencji, omówienie zbawiennego wpływu na środowisko naturalne oraz szczegółowy plan wdrożenia do masowej produkcji. Wyliczenia były wielce obiecujące, ale bez przesadnego hurraoptymizmu. Referencje wnioskodawców były pierwszej wody, dotyczyło to zwłaszcza samego wynalazcy, Josepha R. Powera, który, jak nadmieniano, miał kiedyś swój udział w opracowywaniu programu kosmicznego Apollo, a potem czerpał z tego wymierne korzyści. Biodegradacyjna pielucha nie została jeszcze opatentowana, ale złożony wniosek patentowy opisywał produkt w takich krystalicznych detalach, że jego pozytywne rozpatrzenie było jedynie kwestią czasu. Szkoda, że dokument ten miała obejrzeć tylko jedna osoba. Docelowym odbiorcą biodegradacyjnej pieluchy Powera nie był bowiem miliard robiących pod siebie niemowląt, lecz pan Christopher Bunce.

Bunce'a powołano właśnie na szefa działu inwestycji podwyższonego ryzyka EMF. Była to wiadomość dobra z dwóch względów. Po pierwsze, łatwiej go będzie teraz sprowokować do postawienia w ciemno na zasraną pieluchę mojego taty; do jego obecnych obowiązków należało między innymi inwestowanie w obiecujące nowe produkty, zanim zrobi to ktoś inny. Po drugie, można było śmiało założyć, że Veronica Pick — numer dwa w dziale inwestycji podwyższonego ryzyka, która sama ostrzyła sobie zęby na ten stołek i krew ją zalewała, że zamiast niej zasiadł na nim nowicjusz w tej dziedzinie — nie kiwnie palcem, że-

by przeprowadzić bezpiecznie swojego nowego szefa przez jakiegokolwiek pola minowe. Istniała nawet możliwość, że uda ją się namówić, by z przyjacielskim uśmiechem na ustach sama go na takie wprowadziła.

The Suckling Club, piątek, południe

— Dobra, powtórzmy to sobie jeszcze raz.

— Twój tatuńcio — Candy nie próbuje nawet ukryć pogardy — facet, który nie pamięta imion własnych córek i nigdy nie widział ich pup, wynalazł pieluchę, która według niego ma zmienić zupełnie oblicze światowego pielucharstwa. Ale my wiemy, że pielucha nie spełnia swojego zadania, bo testowałaś prototyp na swoim synu Benjaminie i kiedy Benjamin się w nią zes...

— Candy, proszę.

— Niech ci będzie, kiedy Benowi zachciało się do łazienki, pielucha się rozleciała. W związku z czym postaramy się sprzedać projekt tej pieluchy nowemu szefowi naszego działu inwestycji podwyższonego ryzyka, który, będąc arogantym sukinsynem i znając się na niemowlęcych dupciach jeszcze mniej od twojego tatki, włada tysiące dolarów w Wielką Przygodę z Pieluchą i straci te pieniądze, bo... Przypomnij mi, dlaczego je straci, Kate.

— Ponieważ firma mojego taty jest po uszy zadłużona, pieniądze zainwestowane przez EMF pójdą w pierwszym rzędzie na spłacenie kredytodawców, firma pielucharska zostanie zaraz potem postawiona w stan likwidacji i Bunce obudzi się z rękaw nocniku, i wszyscy zobaczą, jaki z niego niewydarzony ryzykant. Coś ci się w tym planie nie podoba, Candy?

— Nie, jest całkiem do rzeczy. — Candy pociąga nosem, jakby testowała nowy gatunek perfum. — Chciałabym tylko usłyszeć od ciebie, co zrobimy, żeby po tym wszystkim nie wylecieć na bruk. Bo przypominam ci, że niedługo zostanę samotną matką, a ty już jesteś, *de facto*, samotną mamą i pozostaniesz nią, dopóki Ślamazarny Richard nie powróci na rancho Reddych.

— Tu gra idzie o zasadę, Candy. Candy spogląda na mnie z niepokojem.

— Ach, rozumiem. Kłania się nasz dobry stary druh Oates.

—Kto?

— Człowiek śniegu. Ten, o którym opowiedziałaś Rodowi. Wybaczcie, panowie, ja wychodzę, nie czekajcie na mnie. To żadna intryga, Kate, to jakiś szlachetny akt bezsensownego poświęcenia. Bardzo brytyjskie, ale dobrze wiesz, że my w Stanach lubimy, gdy dobrzy faceci dożywają do końca filmu.

— Nie każde poświęcenie jest bezsensowne, Candy. Moja przyjaciółka parska śmiechem i cały klub ogląda się na tę zwariowaną kobietę w ciąży.

—Ho, ho — mówi Candy. — Piękna jesteś, kiedy mówisz, że przestrzegasz zasad etyki.

—Posłuchaj, obiecuję, że nikt nie będzie cię łączył z tym pieluchowym intere-
resem.

—A więc wszystkie drogi będą prowadziły do Reddy? Zdajesz sobie sprawę, że po takim numerze nikt cię już nigdy nie zatrudni, Kate? Nikt. Nie wezmą cię nawet do wymiany papieru w faksie.

Wygłosiwszy to mrozące krew w żyłach ostrzeżenie, Candy bierze moją dłoń i kładzie ją sobie na wydatnym brzuchu. Pod napiętą jak na bębnie skórą czuję wyraźnie szturchnięcie piętki.

— Często kopie?

— Mhm. Kiedy się kąpie, ona tam szaleje. Jak baraszkujący delfin.

— To niekoniecznie dziewczynka, Candy.

— Hej, ja jestem dziewczyną, to ona też, nie? — Candy zawiesza na chwilę głos, ale widząc mój uśmiech, dodaje szybko: — Oczywiście, mogę ją jeszcze oddać do adopcji.

— Oczywiście.

O ile pamiętam, to chyba Candy wpadła na pomysł, że siedem kobiet spotykających się potajemnie w City mniej podejrzanie będzie wyglądało w klubie to-

pless niż, dajmy na to, w restauracji, gdzie klienci są ubrani. Żałuję, że nic mam aparatu i nie mogę uwiecznić min koleżanek wchodzących do tego przybytku. W przypadku Momo dobre wychowanie szybko bierze górę nad szokiem, i zwraca się słodko do blondynki za biurkiem: „Och, od jak dawna działa ten lokal?”.

Nie jesteśmy jedynymi kobietami w Suckling Club, imperium rozrywkowym gentlemanów, oddalonym o dwa kroki od wiodącej dzielnicy finansowej świata, ale tylko my nie odsłaniamy piersi. Każda z konspiratorek, które przyszły tu dzisiaj w przewie na lunch, ma ważne zadanie do wykonania. Od dawna wiedziałam, że Chris Buuce jest dostatecznie pazerny i ambitny, żeby utopić pieniądze w jakimś projekcie, nie wtajemniczając w to nikogo z najbliższych współpracowników: po co miałyby się dzielić laurami, skoro może zgarnąć wszystko dla siebie?

Ale wiedziałam też, że będziemy musiały bardzo profesjonalnie zareklamować biodegradacyjną pieluchę, żeby on to kupił. Rysunek świnki ze skrzydełkami zaproponowany przez tatę wymagał podrasowania: potrzebny będzie prospekt z informacjami o rynku zbytu i technologii produkcji, plus opinia jakiegoś znanego prawnika gospodarczego. Dzwoniąc do Debry, bałam się, że odmówi — seria odwoływanych w ostatniej chwili lunchów napięła nici naszej przyjaźni do ostatnich granic — ale zgodziła się od razu. Deb, choć nie znała Chrisa Bunce'a ani o nim nie słyszała, pojęła z miejsca, co to za typ mężczyzny i że trzeba mu utrzyć nosa.

Tak więc nasza wesoła kompania składa się z Candy, Debry, Momo, Judith i Caroline, z mojej starej grupy matki i dziecka, oraz mnie. Czekamy jeszcze na Alice. (To ważne, żeby Alice, producentka telewizyjna, nam pomogła. Długo się nie odzywała i myślałam już, że nie chce brać w tym udziału. Na szczęście zatelefonowała dziś rano. Powiedziała, że miała jakieś zdjęcia za granicą i chętnie przyjdzie na spotkanie, ale trochę się spóźni).

Judith, która zanim została pełnoetatową mamusią, pracowała jako rzecznik patentowy, napisała zgłoszenie patentowe na pieluchę i zrobiła to tak przekonująco, że z miejsca chciałam zamówić dla Bena całą ciężarówkę tego cuda. W jej opanowaniu języka i rozległej wiedzy naukowej widzę Judith, której dotąd nie znałam. Caroline, projektantka graficzna, zajęła się szatą graficzną prospektu i

kładąc nacisk na ekologiczność pieluchy, umieściła na okładce rysunek swojego synka Ottona siedzącego na nocniczku z liści sałaty.

Debra twierdzi, że EMF nie będzie mogła wszcząć żadnych kroków prawnych przeciwko mojemu tacie.

— To nie oszustwo. Postępek jest godny potępienia, ale nie nielegalny. Czysty przypadek *caveat emptor* — jeśli kupujący nie zada sobie trudu sprawdzenia, co kupuje, to sam jest sobie winien.

Deb wystąpi w roli prawnika mojego taty na spotkaniu, które ten będzie musiał odbyć z Chrisem Bunce'em; wynajęliśmy już na ten cel apartament w Savoyu.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem w tym dobra — mówi Deb, zapoznając mnie z dokumentacją. — Jak się nazwiemy: Siedmioma Mścicielkami?

— Deb, to nie żarty.

— Wiem, ale dawno już się tak nie bawiłam. Boże, Kate, jak mi brakowało dobrej zabawy, a tobie?

Momo przypadło zadanie zbadania światowego rynku pieluch. Po kilku dniach stała się ekspertką od dyspersji moczu i zatrzymywania przykrych zapachów.

— Przepraszam, Kate, ale czy wiesz, ile potrafi znieść przeciętna pielucha?

—Przejrzę ten materiał w domu, dziękuję. Moja asystentka spogląda na mnie z niepokojem.

—Nie zda egzaminu, prawda?

—Plan?

—Nic, pielucha.

—Oczywiście, że nie.

—Na pewno, Kate? Nie zniosłabym, gdyby Bunce ubił na niej złoty interes.

—Po pierwsze, wynalazł ją mój tato, a więc katastrofa murowana. Po drugie, wzięłam prototyp do domu i założyłam go Benowi.

— I co?

— Jest tak biodegradacyjna, że rozleciała się po pierwszej kupce.

Alice przychodzi do klubu spóźniona, prosto z jakiegoś spotkania w BBC. Uśmiecha się i pokazuje znaczącym ruchem głowy na dziewczęta wyginające się na scenie w rytm pulsującej muzyki.

Alice wkroczy do akcji, kiedy Bunce zainwestuje już w pieluchę. Będzie to manewr stosowany przez wszystkich generałów w znanych mi bitwach: atak z flanki, a następnie odcięcie przeciwnikowi drogi odwrotu. Samo beztrioskie utopienie pieniędzy w bublowskim produkcie nie wystarczy, żeby Bunce wyleciał z Edwin Morgan Forster. Trzeba go jeszcze sprowokować do nagadania jakichś bzdur w wywiadzie, który Alice nagra i wydrukuje. Skompromituje go to w oczach klientów i stanie się gwoździem do jego trumny.

Alice, przekrzykując linię basu, opowiada nam, że dzwoniła już do Buncc'a i zaprosiła go do udziału w prestiżowym programie „MoneyMakers” na kanale BBC2.

— Jak to przyjął? — pyta Momo, która z nas wszystkich denerwuje się najbardziej.

Alice uśmiecha się.

— Praktycznie rzucił mi się przez telefon na szyję.- Nie powinnam mieć żadnych trudności z nakłonieniem go do rozmowy.

Próbuję przywołać zebranie do porządku, ale przeszkadza mi w tym skutecznie lecąca z głośników „Mamma Mia”. Puszczam więc tylko w obieg kserokopię tego, co wszystkie musimy wiedzieć, plus zdjęcie Chrisa Buncc'a, które Candy ściągnęła z internetowej strony EMF. Potem przeproszam i idę do damskiej toalety.

Przy stoliku w kącie, obok wyjścia, siedzi ciemnowłosa mężczyzna, który wydaje mi się znajomy. Jeszcze parę kroków i już wiem, kto to jest.

—Jeremy! Jeremy Browning! — Witam się wylewnie ze swoim klientem, który sprawia takie wrażenie, jakby marzył tylko o tym, żeby się zapaść pod ziemię.

—Jeremy, co za spotkanie! — wołam z entuzjazmem. — A to pewnie... An-nabcl, tak?

Dziewczyna siedząca na lewym udzie mojego klienta posyła mi na poły rozbawione, na poły wzgardliwe spojrzenie, z którego odczytuję, że nie jest, niestety, panią Browning, ale jeśli nie będę naciskała, głośno nie zaprzeczy.

Wyciągam do dziewczyny rękę, ale to Jeremy chwyta ją skwapliwie.

—Jezu, Kate — mamrocze. — Nigdy bym się ciebie tutaj nie spodziewał.

—Robię małe rozpoznanie w świątku lokali rozrywkowych. Może podsuniesz mi kilka tropów? Ten sektor to dla mnie zupełna nowość. Fascynujące, prawda? No, muszę lecieć, miło mi było panią poznać, pani...?

— Cherelle.

— Miło mi cię było poznać, Cherelle. Dbaj o niego dobrze. Oddalam się pewna, że przynajmniej nad jednym mężczyzną zyskałam władzę po wsze czasy. Kiedy wracam do stolika, Candy wytyka palcem te dziewczyny na scenie, które jej zdaniem sztucznie powiększyły sobie piersi.

—Jezu, spójrzcie tylko na tę biedaczkę z rudymi włosami. A podobno mieli usunąć całą broń nuklearną z brytyjskiej ziemi.

—Szkoda, że nie widziałaś moich cycków, kiedy urodziłam bliźniaki — mówi Judith.

Patrzę z przerażeniem na tancerkę, o której mowa. Schodzi właśnie ze sceny, podtrzymując dłońmi piersi jak hodowca psów szczenięta na wystawie.

—I właśnie to nazywam żonglerką — krzyczy Alice. — Równowaga między pracą a życiem osobistym — co ty na to, Kate?

—Tamta to musi mieć dno miednicy — mówi Caroline, pokazując inną tancerkę, która wije się na scenie, jakby miała urodzić loda.

—Co to jest dno miednicy? — pytają równocześnie Momo i Candy.

Kiedy wyjaśniam, Candy, według której wszystkie szkoły rodzenia są prowadzone przez komunistów, nic kryje obrzydzenia.

— Ale po porodzie to coś miednicy wraca na swoje miejsce, prawda?

Matki zebrane przy stoliku wybuchają śmiechem, a mężczyźni obecni w klubie przejawiają zakłopotanie, w jakie może ich wprowadzić tylko kobiecy śmiech.

Unoszę kieliszek.

—Zbierzmy odwagę, a na pewno się uda!

—*Szklana pułapka Dwa!* — pyta Momo.

— Nie, lady Makbet. — *Czego oni ich teraz uczą w tych szkołach!*

TLR

Lunch z Robinem

Robin Cooper-Clark kiedy jest zakłopotany, wygląda tak jakby sam siebie chciał aresztować. Jedną ręką opasuje się ciasno w talii, drugą przerzuca sobie przez kark. Na takiego właśnie zakłopotanego wygląda, kiedy trzy dni po spotkaniu w Suckling Club idziemy do Sweetings. Z biura do tej restauracji jest dość daleko, ale Robin uparł się, że zjemy właśnie tam i sady swoimi siedmiomilowymi krokami, a ja staram się za nim nadażyć, robiąc trzy na jego jeden.

Sweetings to w City instytucja. Rybna restauracja, która pozuje na plażową smażalnię, mnóstwo wesołych pokrzykiwań, tłok, marmurowe płyty — jadłodajnia dla zasobnych klas. Od frontu są stoliki, przy których można siedzieć na wysokich stołkach i skubać kraby, a w głębi salka z długimi stołami przypominająca szkolną stołówkę.

Siadamy z Robinem w końcu jednego z długich, komunalnych stołów.

— Bunce przeholował z tym swoim numerem — mruczy Robin, wertując menu.

—Mhm.

—Momo Gumeratne wygląda mi na porządną dziewczynę.

—Jest wspaniała.

—A Bunce?

—Dno.

—Słucham? Czego sobie życzymy? — Nad nami stoi kelner z ołówkiem w ręku i dopiero teraz zauważam, w jakim opłakanym stanie znajduje się Robin:

prawa strona kołnierzyka koszuli pomarszczona jak czoło, resztki pianki do golenia w uszach. Jill za nic nie wypuściłaby go tak z domu.

—Ach, tak. Chyba coś drapieżnego z zębami dla pani, a dla mnie coś z zagrożonych gatunków. Może zupa żółwiowa albo dorsz — to jego chyba trzebią ci cholerni Hiszpanie? Co ty na to, Kate?

Śmieję się jeszcze, kiedy Robin zmienia nagle temat:

— Kate, żenię się.

Zgiełk sali przestaje do mnie docierać. Otaczający mnie konsumenci poruszają bezgłośnie ustami jak ryby, które właśnie jedzą.

Już wiem, dlaczego mnie tu przyprowadził, właśnie do tej restauracji, do tej salki. Tutaj nie można krzyknąć z gniewu ani wrzasnąć z bólu. To męski lokal. Ileż dusz smażyło się przy tych stołach z uśmiechem na ustach, nad kieliszkiem zadziwiająco przyzwoitego chablis? Od śmierci Jill upłynęło zaledwie sześć miesięcy. A ja, zamiast przewrócić stół i wyjść, odprowadzana zdumionym wzrokiem mężczyzn z serwetkami zatkniętymi za kołnierzyki i ośmi na talerzach, robię zainteresowaną, nawet mile zaskoczoną minę.

Robin zaczyna mi opowiadać o jakiejś Sally. Uroczej, niezmiernie miłej, przyzwyczajonej do chłopców — sama ma dwóch. Daleko jej do Jill, ale kto mógłby się z Jill równać? Bezradne wzruszenie ramion. I ma tyle zalet, ta Sally, a chłopcy potrzebują — przecież Alex ma dopiero dziesięć lat, nadal potrzebuje matki.

—A ty? — pytam, znajdując wreszcie jakieś słowa w wyschniętej jaskini ust.
— Ty jej potrzebujesz?

—Mhmm. Tak, Kate, potrzebna mi kobieta. Pozostawieni samym sobie nie damy rady w życiu. Wiem, co sobie teraz o mnie myślisz... — Odprawia niecierpliwym machnięciem ręki kelnera podsuwającego mu sos tartarski.

— No co?

— Że jestem słaby. — Odstawia kieliszek i ściska palcami nasadę nosa. — Nie, jej żadna nie zastąpi, jeśli o to ci chodzi.

Jeśli jest taka niezastąpiona, to po co ją zastępować? Tak właśnie myślę. Ogarnia mnie taki smutek, jak na pogrzebie Jill. Zawsze wiedziałam, gdzie znaleźć Robina, wydawał mi się taki zakorzeniony, taki niezawodny; teraz patrzę na niego przez stół i jestem wstrząśnięta, widząc zagubionego chłopca. Śmierć żony jest dla mężczyzn jak strata matki; są bardziej sierotami niż wdowcami. Mężczyźni, którym umiera żona, tracą punkt oparcia, umiejętność poruszania się w świecie, nic wytrą sobie nawet z uszu pianki do golenia. Mężczyźni bardziej potrzebują kobiet niż kobiety mężczyzn; czyż nie jest to tajemnicą poliszynela?

— Cieszę się — mówię. — Jill też byłaby zadowolona. Wiem, że nie mogłaby znieść myśli, że sobie nie radzisz.

Robin kiwa głową, rad, że ma to już za sobą, rad, że może znowu podnieść most zwodzony. Kelner zabiera puste talerze, a my zagłębiamy się znowu w lekturze menu i studiujemy je jak pytania egzaminacyjne.

— Wracając do Chrisa Bunce'a — zaczyna z innej beczki Robin. — Co o nim myślisz?

—Parszywy złamas.

—Słucham?

— Parszywy złamas. Bunce to pierwszy w biurze roznosiciel chorób wenerycznych. Spytaj którejkolwiek z sekretarek, jeśli mi nie wierzysz.

Robin ociera sobie wargi serwetką.

—I ciebie to bardzo drażni, tak?

—Owszem.

Nachodzi mnie pokusa, żeby mu powiedzieć o naszym planie. Jednak po chwili zastanowienia nie ulegam jej. Jako mój przełożony, Robin byłby zobowiązany do zgłoszenia stanowczego weta, a jako przyjaciel i mentor zrobiłby prawdopodobnie to samo.

— Moim zdaniem, nie powinno się patrzeć przez palce, gdy ktoś się zachowuje jak ostatnie chamidło, tylko dlatego, że przywołanie go do porządku jest z pewnych względów niewygodne.

Robin sygnalizuje kelnerowi, że prosi o rachunek.

— Jill zawsze mówiła, że potraficie tak zbałamucić mężczyznę, że zrobi, co zechcecie, i nawet się nie zorientuje, że został zmanipulowany.

—A praktykowała to na tobie?

—Nigdy nie zauważyłem.

Godz. 15.13

Rozstaję się z Robinem na rogu Cheapside. Następnie dzwonię z komórki do Guya i uprzedzam go, że dzisiaj już do biura nie wrócę — mam ważne spotkanie z kasztanami.

— Z kim?

— To taka grupa specjalizująca się w zagospodarowywaniu czasu wolnego, w którą zamierzam mocno zainwestować. Muszę ich tylko sprawdzić od strony konsumenta.

Kiedy wchodzę do domu, dzieci są pod takim wrażeniem, że z początku nie reagują na mój widok. Zwalniam Paulę na resztę dnia, ubieram Emily i Bena, i idziemy na spacer do parku. To znaczy idziemy Em i ja: Ben rozpierany energią biega do upadłego, w przenośni i dosłownie. To babie lato i liście, w wielu przypadkach zielone jeszcze, z leciutkim brązowym nalotem, wydają się nieco zdziwione, że znalazły się na ziemi. Brodzimy w nich przez... szczerze mówiąc, nie wiem jak długo.

Ben wbiega w kupki liści dla samego ich szelestu, podoba mu się ten dźwięk. Emily strofuje go, ale widać, że bez przekonania. Układ między moją córeczką i synkiem jest taki, że on może być niegrzeczny, by ona mogła udawać tę dobrze ułożoną. Obserwując, jak się przekomarzają, zastanawiam się, czy to czasem nie odmiana gry, w którą bawią się od zawsze dziewczynki i chłopcy.

Natrafiamy na kasztany, które spadły na alejkę. Część kolczastych osłonek rozpekła się w zderzeniu z ziemią i wydłubujemy z ich soczystych zagłębień lśniące jadra.

—Kasztany można utwardzić — mówię do Em.

—Jak?

— Dokładnie nie wiem, będziemy musiały zapytać tatę.

— Cholera, wymknęło mi się.

Emily spogląda na mnie z nowo rozbudzoną nadzieją.

—Mamusiu, a kiedy tatuś do nas wróci?

—Tata — ćwierka Ben. — Tata.

Po powrocie do domu układam Bena do popołudniowej drzemki, każę Em wybrać kasetę wideo do oglądania, a sama przystępuję do przygotowywania sosu bolońskiego na kolację. Nie mogę znaleźć wyciskacza do czosnku, i gdzie się podziała tarka? Proponuję obejrzenie *Śpiącej królowny*, która, jak pamiętam, zajmowała pierwsze miejsce na liście przebojów, kiedy Em była mała, ale wychodzi na to, że nie jestem na bieżąco. Moja córka napomyka o jakimś filmie z waleczną księżniczką, o którym nigdy nie słyszałam.

—Co to znaczy waleczna, mamó'!

—Waleczna znaczy odważna w walce.

—A wiesz, o czym jest *Harry Potter*!

—Nie, nie wiem.

—*Harry Potter* jest o odwadze i o czarodziejkach.

—Brzmi zachęcająco. Zdecydowałaś już, co obejrzymy?

—*Mary Poppins*.

—Znowu?

—Oj, proszę, mamusiu.

Kiedy byłam w wieku Emily, oglądałam jeden, góra dwa filmy na rok, jeden na Boże Narodzenie, jeden w długie letnie wakacje. Dla moich dzieci ruchomy obraz będzie głównym nośnikiem ich wspomnień.

—Ona jest sufletystką.

—Kto?

— Mama Jane i Michaela jest sufletystką.

Zapomniałam, że pani Banks była sufrażystką. Takich szczegółów nie zapamiętuje się z filmu. Zmniejszam gaz pod sosem i siadam z Em na sofie. Na ekranie pojawia się urocza, zwariowana Glynis Johns. Wróciła z wiecu i maszeruje tam i z powrotem po dużym białym domu, śpiewając: „Córki naszych córek będą nas wielbić, I śpiewać z wdzięcznością, Dobra robota! Dobra robota, siostró sufrażystko!”.

—Co to jest suflecistka? — Wiedziałam, że padnie to pytanie.

—Sufrażystki, Em, to kobiety, które sto lat temu wyszły na ulice i maszerowały po Londynie, i protestowały, i przywiązywały się do barierek, żeby przekonać ludzi, że kobiety powinny mieć prawo do głosowania.

Emily przytula się do mnie, przyciska główkę do mojego brzucha. Kiedy Mary, Bert i inne dzieci zaczynają grać w klasy na trotuarze, pyta:

— Dlaczego kobiety nie miały prawa do głosowania, mamo? Och, jak jej to wytłumaczyć?

— Bo w tamtych czasach, dawno temu, kobiety i mężczyźni byli... no, dziewczynki siedziały w domu i ludzie uważali je za mniej ważne od chłopców.

Emily podnosi na mnie zdumione oczy.

— Przecież to głupie.

Mościmy się wygodnie na sofie. Em zna na pamięć każdą piosenkę; nawet oddycha razem z aktorami. *Mary Poppins*, kiedy oglądam ją jako dorosła, wydaje mi się taka inna. Zapomniałam, że pani Banks, która chce uczynić świat przyjaźniejszym dla kobiet, zaniedbuje własne dzieci. Że Janc i Michael są smutni i zbuntowani, dopóki nie pojawia się niania, która wnosi w ich życie ład i radość. Tymczasem pan Banks za ciężko pracuje — samo jego nazwisko mówi, że praca to dla niego wszystko — i jest obcym dla swojej żony i dzieci, i oczy otwiera mu dopiero utrata posady i konfrontacja z kominiarzem Bertem, który ostrzega go piosenką:

Harujesz harujesz harujesz w pocie czoła, A dzieciństwo przecieka jak piasek przez palce, I ani się obejrzysz, jak one dorosną, A potem odlecą

I nie zdążysz już im podać... choćby...

— „...łyżeczki cukru, by lek osłodzić co nieco”. Podchwytyjemy z Emily, i nasze głosy splatają się ze sobą w srebrzystą spiralę. Odnoszę nagle niepokojące wrażenie, że ten film do mnie przemawia, i w tym samym momencie Emily oznajmia:

— Kiedy ja będę miała dzieci, mamusiu, to sama będę się nimi opiekowała, dopóki nie dorosną. Żadnych niań.

Czyżby kazała mi oglądać *Mary Poppins*, żeby mi to powiedzieć? Czyżby w ten sposób chciała mi przekazać, co myśli i czuje? Przyglądam się uważnie jej buzi, ale nie widzę tam żadnych śladów wyrachowania; nic nie wskazuje na to, żeby obserwowała moją reakcję.

—Maaaa-aaaa. — Odzywa się monitor zainstalowany w sypialni Bena. Ben się obudził. Przed pójściem na górę, biorę Em na kolana.

—Pomyślałam sobie, że mogłybyśmy się wybrać we dwie na taką specjalną wycieczkę, chciałabyś?

Emily marszczy nosek jak Momo, kiedy jest podniecona.

—A dokąd?

—Do Egg Pie Snake Building.

—Gdzie?

— Do Egg Pie Snake Building. Pamiętasz? Nazwałaś tak Empire State Building.

—Nieprawda.

—Prawda, kochanie.

— Ma-mmmo — mówi Emily, przeciągając mój tytuł — tak się rozmawia z dzidziusiami. A ja przecież już nie jestem dzidziusiem.

— Nie, kochanie, nie jesteś.

Jak to szybko się dzieje, prawda? Jeszcze niedawno wygadywały te różne śmieszne rzeczy, które obiecywałaś sobie zapisać i nigdy tego nie zrobiłaś, i nagle zaczynają rozmawiać jak przemądrzałe dziecko albo jeszcze gorzej — jak ty. Pragnę, żeby moje dzieci szybciej dorastały i żałuję każdej minuty z ich dzieciństwa, którą przegapiłam.

Karmię je, kąpię, suszę włosy, czytam na dobranoc *Sowiątka*, przynoszę Em szklankę wody, a potem schodzę na dół, siadam po ciemku i rozmyślam o czasie, którego nie da się już cofnąć ani odzyskać.

Od: Kate Reddy

Do: Debra Richardson

Dzisiejsze popołudnie upłynęło mi na Nielegalnym Mamusiowaniu. To było kilka najzyskowniejszych godzin w bieżącym roku finansowym. Ile za godzinę można zażądać od klientów, którzy kopią liście i oglądają Mary Poppins?

Urywanie się z pracy, żeby pobyć trochę z własnymi dziećmi, przypomina trochę potajemną schadzkę: te same kłamstwa, że idziesz na umówione spotkanie z klientem, ta sama rozkosz spełnienia, no i, oczywiście, poczucie winy.

Chyba zapomniałam, jak zbijać baki, i dzieci muszą mi to teraz przypominać.

Nie znienawidzisz mnie, jeśli rzucę pracę, prawda? Wiem, mówiłyśmy, że wszystkie musimy sobie wciąż udowadniać, że to da się pogodzić. Aleja często odnosiłam wrażenie, że praca mnie zabija i teraz boję się, że umarłam i nawet tego nie zauważyłam.

Córki naszych córek będą nas wielbić, I śpiewać z wdzięcznością, dobra robota, dobra robota, dobra robota, siostró sufrażystko!

pozdrowienia Kate xxxxxxxxxxxxxx

TLR

Wodospad

Godz. 7.54

Czekając na pukanie do drzwi, uświadamiam sobie, jak bardzo chcę opowiedzieć Winstonowi o naszym planie. Nareszcie mogę czymś Pegazowi zaimponować; dowodem, że nie jestem tylko uniżoną sługą systemu kapitalistycznego. Kiedy jednak mówię mu wszystko o pieluszcze taty i wywiadzie Alice z Bunce'em, Winston mruczy tylko:

— Musi pani pamiętać, że ma dwójkę dzieci do wykarmienia.

Ale pięć minut później, kiedy jak zwykle utykamy w korku, pyta mnie, czy znam opowieść o Scypionic. Kręcę głową.

— No więc, ten Scypion był rzymskim generałem i kiedyś miał sen. W tym śnie trafił do wioski położonej nad wielkim wodospadem. Grzmot wodospadu był tak głośny, że trzeba było krzyczeć, by człowieka usłyszano. „Jak wy wytrzymujecie w tym ciągłym hałasie” — spytał wodza wioski Scypion, przekrzykując ryk wody. „W jakim hałasie?” — odkrzyknął staruszek.

Pegaz podpełza kilka centymetrów w przód i zatrzymuje się z jękiem zdychającej krowy, kiedy Winston naciska pedał hamulca.

— I jaki jest morał tej historii? — pytam.

Widzę we wstecznym lusterku chytry, pełen samozadowolenia uśmieszek.

— Według mnie wszyscy żyjemy z takim szumem tła, tylko tak do niego przywykliśmy, że go nie słyszymy. Ale kiedy oddali się pani wystarczająco, to znowu zaczyna go pani słyszeć i myśli sobie, Jezu, ależ ten wodospad ryczy. Jak ja mogłam żyć w tym hałasie.

—Chcesz przez to powiedzieć, że żyję nad wodospadem, Winstonie?

—Pani Kate — odpowiada z tym swoim rechetem, który tak lubię — pani mieszka nad pieprzoną Niagarą.

—Nie masz nic przeciwko temu, żebym ci zadała osobiste pytanie, Winstonie?

Winston kręci głową i taksówka wypełnia się znowu złotym pyłem.

—Czy jestem twoją główną klientką?

—Jedyną.

—Rozumiem. A ilu kierowców pracuje w firmie Pegaz? Niech no zgadnę. Ty jeden?

—Tak. Ale niedługo kończę z jeżdżeniem na taksówce. Muszę się uczyć do egzaminów.

—Z mechaniki samochodowej?

—Z filozofii.

— Czyli jesteś jakby moim osobistym szoferem, moim prywatnym skrzydlatym koniem?

Na potwierdzenie Winston naciska wesoło klakson.

— A wiesz, Winstonie, że szoferzy są płatnikami podatku, czyli coś zarabiają, a matki wychowujące dzieci nie?

Kolejny klakson płoszy grupkę garniturów na chodniku; rozpierzchają się jak gołębie.

— Kurczę, co za popieprzony świat.

— Nie, to popieprzony męski świat. Masz drobne? Oddalam się od taksówki z myślą, jak bardzo będzie mi go

brakowało, kiedy dogania mnie wołanie:

— Hej, podjechać po panią po pracy?

Godz. 10.08

Telefon z recepcji. Na wieść, że czeka tam na mnie mężczyzna nazwiskiem Abelhammer, serce omal nie wyskakuje mi z piersi. Schodzę na dół. Jack stoi uśmiechnięty od ucha do ucha, trzyma dwie pary łyżew. Już z daleka kręcę głową.

—Nie — mówię, podchodząc do niego. — Nie umiem jeździć na łyżwach.

—Ale ja umiem. Wystarczy za nas oboje.

—Nic z tego nic będzie.

Jakiś czas potem, na lodowisku, kiedy zaczynamy czwarte okrążenie, Jack mówi:

—Nic trzymaj się mnie tak kurczowo, Kate. Zaufaj mi, czy to tak trudno?

—Tak. Trudno.

—Jezu, kobieto. Powtarzam, zaufaj mi. Asekuruję cię. Bez obawy, nie upadniesz. Puść się.

No i się puszczam. Ślizgamy się jeszcze przez godzinę i nie wiem, co wypisaliśmy łyżwami na lodzie. Żeby to odczytać, musiałabym być ptakiem — jednym z moich gołębi — albo siedzieć wysoko w gabinecie szefa. Kocham albo Żegnaj, albo jedno i drugie.

Chciał mnie zaprosić na gorącą czekoladę, ale powiedziałam, że muszę już iść.

Powieka mu nawet nie drgnęła.

—Pewnie jakaś ważna randka? — spytał z uśmiechem.

—Bardzo. Z dawnym znajomym.

*

Nie do wiary, że tak szybko można zapomnieć, jak się obejmuje, nawet własnego męża. A może zwłaszcza męża. Trzeba pewnej przerwy w fizycznym kon-

takcie, żeby w pełni docenić geometrię objęcia: ten ściśle określony kąt, jaki ma przyjąć twoja głowa w stosunku do jego. Przyłgnąć policzkiem do szyi, jak to robią gołębie, czy wtulić się nosem w jego klatkę piersiową? I co z rękami? Zrzucić je na szyję i spleść na karku, otoczyć nimi talię, czy przyłożyć dłonie na płask do ud?

Spotkaliśmy się tego dnia z Richardem przed Starbucks w przerwie na lunch. W pierwszej chwili oboje mieliśmy zamiar cmoknąć to drugie w policzek, ale wydało nam się to jakieś niestosowne, kojarzące się z całowaniem na powitanie ciotki, więc padliśmy sobie niezdarnie w objęcia. Czułam się jak na cenzurowanym, jak wtedy, kiedy tato po raz pierwszy porwał mnie do kolacyjnego tańca. Zaszokował mnie kontakt z ciałem Richarda: jego włosy i ich zapach, wyrzucenie barku pod swetrem. Nie był to suchy uścisk ludzi, między którymi wypaliła się cała napiętność. Przypominało to raczej taniec cieni: nadal go pragnęłam i chyba on też mnie pragnął, ale od bardzo dawna nie zbliżaliśmy się do siebie.

—Aleś ty zarumieniona — mówi Rich.

—Jeździłam na łyżwach.

—Byłaś na ślizgawce? W godzinach pracy?

—To nowe podejście do zacieśniania kontaktów z klientami.

Umówiliśmy się z Richem, żeby omówić naszą sytuację. Od czasu jego odejścia widywaliśmy się niemal codziennie. Tak jak obiecał, odbierał Em z przedszkola, a potem zostawał często na podwieczorku z obojgiem dzieci. Starbucks to miejsce nadające się chyba idealnie do negocjacji pokojowych, nowoczesna ziemia niczyja, jeden z tych lokali, które starają się stworzyć atmosferę domu, do którego w nawale zajęć nie mamy czasu wpaść. Jest tu zaskakująco cicho, ale nasze spotkanie obfituje we wszystkie rozterki pierwszej randki — wyjdzie coś z tego czy nie wyjdzie? — tylko że tym razem rzecz ociera się o rozwód. Dojdzie do niego czy nic dojdzie?

Zajmujemy stolik w kącie z dwoma dużymi wyściełanymi aksamitem krzesłami i Rich idzie zamówić coś do picia. Wraca z gorącymi czekoladami, na które miałam wielką ochotę.

Gawędzimy przez chwilę o wszystkim i o niczym, a ja siedzę jak na szpilkach. Chcę przejść jak najszybciej do decydującej rozmowy i mieć to już za sobą. Wte albo wewte.

— Jak tam w pracy, Kate?

— O, świetnie. Ale chyba niedługo złożę wypowiedzenie. A raczej to oni mi wypowiedzą.

Rich kręci z uśmiechem głową.

—Oni cię nigdy nie wywalą.

—W pewnych okolicznościach mogą.

Rzuca mi to swoje spojrzenie człowieka-w-białym-fartuchu.

— Chyba nie mówimy tu o nic nie wnoszącym samo poświęceniu, pani Shattock, co?

— Czemu o to pytasz?

—Bo jestem już na tyle posunięty w latach, żeby pamiętać twój etap Cyklistów Przeciwko Bombie.

—Oddałam firmie wszystko, Rich. Nawet czas, który należał się tobie i dzieciom.

— I tobie samej, Kate.

Kiedyś potrafiłam czytać z jego twarzy jak z książki, teraz ta książka została przełożona na inny język.

—Myślałam, że to pochwalisz, Rich. Chcę się wyłamać z systemu. — Wygląda młodziej niż kiedy mnie opuszczał. — Twoja matka uważa, że mu się poddałam.

—Moja matka zarzuca to samo Grace Kelly. — Wybuchamy śmiechem i przez chwilę w Starbucks słycać tylko nas.

Zaczynam opowiadać Richowi historyjkę, którą uraczył mnie Winston.

— Jaki Winston?

— Ten taksówkarz z Pegaza, ale okazuje się, że jest filozofem.

— Filozof na taksówce. Nie wiem, czy to bezpieczne.

— Nie, on jest naprawdę fantastyczny. Opowiedział mi dzisiaj historię o pewnym generale, który trafił do plemienia mieszkającego nad wodospadem i wódz tego plemienia...

—Cicero.

—Nie...

— Cycleron to przypowieść Cyclerona. — Mój mąż łamie na pół ciastko i daje mi jeden kawałek.

— Niech no zgadnę. To ktoś, kto zmarł tak dawno temu, że o nim nie słyszałam, bo brałam udział w wyścigu szczurów, ale znany każdej cywilizowanej i wykształconej osobie?

— Kocham cię.

— No i widzisz, przyszło mi do głowy, żeby wynieść się spod wodospadu i sprawdzić, jak to wpłynie na mój słuch.

— Kate?

Sunie dłonią po blacie stolika w kierunku mojej. Nasze dłonie stykają się i jakby czekały, aż jakieś dziecko je obrysuje.

— Nie zostało we mnie nic do kochania, Rich. Jestem cała wypalona. Kate już tu nie mieszka.

Jego dłoń przykrywa teraz moją.

—Mówiłaś coś o zamiarze wyniesienia się spod wodospadu?

—Pomyślałam sobie, że gdybyśmy oboje się spod niego wynieśli, to może słuch by nam wrócił i moglibyśmy zdecydować, czy...

—O ile to ten hałas nas ogłuszał. Bo mogło być jeszcze tak, że nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia.

Znacie te momenty, kiedy ogarnia was niewysłowiona ulga, że jest na świecie ktoś, kto potrafi czytać w waszych myślach. Kiwam skwapliwie głową.

— Nazywam się Kate Reddy i jestem pracoholiczką. Tak chyba przedstawiają się sobie na tych mityngach?

— Nie powiedziałem, że jesteś pracoholiczką.

— Dlaczego? Przecież jestem, nieprawda? Nie potrafię rzucić pracy, czyli jestem od niej uzależniona, dobrze mówię?

— Musimy kupić sobie trochę czasu, i to wszystko.

— Rich, pamiętasz, jak Em próbowała ratować Śpiącą Królownę? Wciąż to wspominam.

Uśmiecha się. W posiadaniu dzieci najlepsze jest chyba to, że ma się te same urocze wspomnienia co partner: można przywoływać tę samą przeszłość. Wersje są, co prawda dwie, ale obraz ten sam: to tak jakby dwa serca były jednym rytmem.

— Zwariowany dzieciak. Była taka niepoczyszona, że nic może osiągnąć tej głupiej królowny, pamiętasz? — mówi Rich rozpierany dumą, którą wzbudza w nas Em.

—Ona naprawdę by chciała, żebyś wrócił.

—A ty, Kate? Też byś tego chciała?

Pokusa, żeby powiedzieć coś dumnego i prowokującego wisi w powietrzu jak dojrzwały, gotowy do zerwania owoc. Nic ulegam jej.

— Też.

Śpiąca Królowna była zawsze ulubioną bajką Emily, pierwszym filmem wideo, który przyciągnął jej uwagę. Kiedy miała dwa latka, dostała na jego punkcie jakiejś obsesji. Stawała przed telewizorem i krzyczała: „Wiń to, wiń to!”.

Krzyczała tak zawsze przy tej scenie, gdzie Aurora z oszołomieniem na lalkowatej twarzyczce pnie się po długich schodach prowadzących na strych, a za nią sunie cień kruka i złośliwy wiedzmi chichot. Przez długi czas Richard nie mógł dojść, co ją tak w tej scenie bulwersuje, ale w końcu spłynęło na niego olśnienie. Chciała, żebyśmy przewinęli taśmę do tyłu i w ten sposób uniemożliwili królownie dotarcie na strych, gdzie ukłuje się w palec wrzecionem staruchy.

Pewnego dnia Emily naprawdę chciała wejść do telewizora: kiedy zajrzałam do pokoju, stała na krześle i napierała na ekran stopką w czerwonym buciku. Pewnie zamierzała zatrzymać nieszczęsną królownę i uchronić przed czekającym ją przeznaczeniem. Odbyłyśmy wtedy długą rozmowę — to znaczy, ja mówiłam, ona słuchała — o tym, że sprawy trzeba pozostawiać ich biegowi, bo nawet kiedy wiemy, w jakim kierunku zmiierzają i nam się to nie podoba, to i tak nie da się na to nic zaradzić, choćby nie wiem jak się chciało. I że najważniejsze to wiedzieć, że wszystko się dobrze skończy.

Ale ona pokręciła ze smutkiem główką i powiedziała: „Nie. Wiń to, mama, wiń!”. Wkrótce potem moja córeczka przeniosła swoją fascynację na *Dinozaura Barneya*, gdzie jej osobista interwencja nie była już potrzebna.

Dorośli też chcieliby przewinać wstecz swoje życie. Tylko gdzieś tam, z biegiem czasu, tracimy odwagę, żeby to głośno wykrzyczeć. Winać to, winać.

Ostateczna rozgrywka

Artykuł z listopadowego numeru „Inside Finance”:

Edwin Morgan Forster, jedna z najstarszych instytucji finansowych City, triumfowała we wtorkowy wieczór w finale piątej edycji konkursu Równość Płci, zwyciężając w kategorii Najlepiej Zreformowanej Firmy, w której honorowane są starania na rzecz dywersyfikacji zatrudnienia.

Firma zdobyła najwięcej punktów w rankingu opracowywanym co roku przez Equality Yes!, organizację zajmującą się promowaniem zrównywania praw płci, której 81 procent członków to firmy uwzględniane przy wyliczaniu indeksu FTSE 100.

Na jury największe wrażenie wywarły wyniki osiągnięte w pracy przez Katharine Reddy, najmłodszą kobietę-doradcę finansowego w EMF, oraz Momo Gumeratne, 24-letnią Lankijkę, absolwentkę London School of Economics. Żadna z nich nie mogła niestety wziąć udziału w ceremonii. Nagrodę odebrał Rod Task, dyrektor do spraw marketingu EMF. W swoim okolicznościowym wystąpieniu Task powiedział: — Istnieje wiele dowodów na to, że mieszane zespoły męsko-żeńskie pracują efektywniej. EMF jest w awangardzie firm obsadzających kobiety w głównych rolach sektora finansowego.

O wiele mniej pochlebną notę otrzymała tego wieczoru Catherine Mulroyd, prezes organizacji Kobiety w Biznesie. Te nagrody nie oddają pełnego obrazu — skomentowała Mulroyd. — Kobiecie trudno osiągnąć naprawdę wpływową pozycję w światku Mili Kwadratowej, bo często niszczy swoją karierę, krytykując pa-

nujące tu porządki. Równouprawnienie kobiet dla większości firm z City pozostaje nadal sprawą marginalną. Bankom nie uśmiecha się wykładanie ogromnych sum na szkolenie przyjmowanych na staż kobiet, które i tak wkrótce odejdą, bo nie proponuje im się nienormowanego czasu pracy ani żadnych innych udogodnień ułatwiających życie pracującym matkom.

Task, spytany, czy stare porządki przeszły już dla niego do historii, odparł, że pochodzi z Australii, w związku z czym od początku był zwolennikiem nowoczesnego podejścia do tych spraw: — Dziewczęta spisały się w tym roku znakomicie i jestem z nich dumny.

Prezentując Chrisowi Bunce'owi biodegradacyjną pieluchę, mój ojciec odsta-
wił spektakl swego życia. Debra, która uczestniczyła w tym spotkaniu jako jego
doradca prawny, powiedziała mi, że tato był nie tylko zupełnie trzeźwy, ale naj-
wyraźniej urodził się do roli wynalazcy samotnika. Jego mistrzowskie posunię-
cie, opowiadała Deb, nastąpiło, kiedy zachwycony Bunce zaproponował mu bez-
zwłoczne wypisanie czeku. Joe, któremu całe życie upłynęło na wyłudzeniu cze-
ków od naiwnych, powiedział wtedy, że na to jeszcze za wcześnie, bo w najbliż-
szych dniach ma kilka spotkań z zainteresowanymi jego wynalazkiem, ale, natu-
ralnie, będzie informował EMF na bieżąco o wynikach tych negocjacji.

Powiedziałam tacie, że znalazłam chyba inwestora strategicznego dla jego
wynalazku, ale będzie musiał udawać kogoś innego i wykazać się pewną kre-
atywnością w trzymaniu się prawdy. W niemal każdym innym układzie ojciec—
córka taka rozmowa byłaby raczej nie do pomyślenia, w naszym stanowiła jakby
naturalną kulminację chowania przez lata głowy w piasek, otwarte przyznanie, że
kręctwo jest wpisane w DNA Reddych, tak samo jak niebieskie oczy i smykał-
ka do liczb.

— Morowy gość ten pani tato — powiedział Winston, który wystąpił w roli
osobistego szofera wynalazcy pieluchy i woził go czarnym bmw z przyciemnio-
nymi szybami, pożyczonym od kogoś, kogo nazywał swoim wujkiem. — A jaki
ma gest, jeśli chodzi o napiwki.

— Tak, za moje pieniądze.

Trzy dni później Bunce podpisał czek. Tego popołudnia, wróciwszy rozkołysanym krokiem z lunchu, powiedział swojej zastępczyni, Veronica Pick, że jeszcze wiele może się od niego nauczyć, o czym się wkrótce przekona — stąd właśnie bierze się przewaga mężczyzn nad kobietami: działają zdecydowanie i wężąc krociowy interes, nie wdają się w detale.

— Ale nie zaniedbał pan, rzecz jasna, obowiązujących procedur? — spytała słodko Veronica.

— Czego?

—Obowiązujących procedur — powtórzyła Veronica. — No wie pan, sprawdzenie wiarygodności klienta, jego zdolności kredytowej, oszacowanie kosztów wdrożenia i opłacalności produkcji... Ale, co ja mówię? Pan to wszystko wie przecież najlepiej.

—Gdybym potrzebował pani rad, tobym o nie poprosił — fuknął Bunce.

Nie oparł się też pokusie pochwalenia się przede mną, kiedy nazajutrz zebrał się w sali konferencyjnej. Pocierając dłonią swoją męskość jak lampę Aladyna, powiedział:

— Trafiłem na genialną pieluchę, Kate. Zarobimy na niej kupę szmalu, rozumiesz? Kupę! Coś z twojego podwórka, mamusiu, że też umknęła twojej uwagi.

Obdarzyłam go swoim najwyrozumialszym matczynym uśmiechem.

Pieniądzy zainwestowanych przez Bunce'a starczyło akurat na pokrycie długów, czyli spłacenie wierzycieli ojca. Ledwie wpłynęły na konto JR Powers, a już ich nie było. Tak jak przewidywałam ani to, ani formalna skarga o molestowanie seksualne złożona przez Momo, nie wystarczyły, żeby na dobre pograć Bunce'a.

Nastąpiło to dopiero kilka dni później, kiedy w pewnej gazecie pojawił się wywiad, którego szef działu inwestycji podwyższonego ryzyka EMF udzielił dociekliwej telewizyjnej dziennikarce Alice Lloyd.

Alice zabrała Bunce'a do uczęszczanej przez dziennikarzy i aktorów spelunki w Soho. Po sporej dawce zarówno legalnych, jak i nielegalnych używek, Bunce

stał się bardzo bezpośredni, a widok pewnej młodej gwiazdki mydlanych oper przy barze już zupełnie pozbawił go hamulców. „Tę to chciałbym mieć na swojej stronie internetowej — powiedział do Alice. — O, chciałbym ją mieć od wszystkich stron, z których lubi”.

Chełpiąc się swoim nosem do interesów, Bunce nie omieszkał napomknąć o ostatniej inwestycji w pewną biodegradacyjną pieluchę, która, jego zdaniem, „będzie, kurwa, na rynku przebojem większym niż ta chromolona Viagra”.

City zawsze potrafiło neutralizować brzydkie zapachy snujące się w obrębie Mili Kwadratowej, kiedy jednak smród przeniknął poza te granice, drażniąc wrażliwe nozdrza klienteli i środowisk opiniotwórczych, następowała reakcja szybka i bezwzględna.

Nazajutrz po ukazaniu się rzeczzonego artykułu obserwowaliśmy z Candy na stojąco, jak Chris Bunce jest wzywany do gabinetu Robina Cooper-Clarka, następnie wraca pod eskortą dwóch pracowników ochrony do swojego biurka, na którego wysprzątanie dostał dwie minuty, po czym zostaje wyprowadzony z budynku.

— Ma ktoś numer do tego sokolnika? — zawołała Candy. — Na ulicy jest szczur!

Kilka minut później natknęłam się w damskiej toalecie na Momo Gumeratne. Ocierała zapłakaną twarz papierowym ręcznikiem.

— To z radości — wyszłochała.

A ja? Naturalnie również cieszyłam się, żeśmy się go pozbyły. Tylko nie wiedzieć kiedy zaczęłam postrzegać Bunce'a jako osobnika nie tyle wrednego, co żalosego.

W przerwie na lunch pojechałyśmy z Momo taksówką na Bond Street. Powiedziałam jej, że mamy tam do załatwienia ważną służbową sprawę, i tak też było.

—Czego szukamy w sklepie obuwniczym, Kate? — spytała ze zdziwieniem moja asystentka.

—Najlepsze byłyby wytrzymałe szklane pantofelki, które o północy nie będą spadały z nóg. Ale skoro nie ma tu takich, to weźmiemy te, i te, o, i te brązowe są piękne. Przepraszam, mają je państwo w rozmiarze cztery?

—Nosisz czwórkę? — pyta z powątpiewaniem Momo.

—Nie, ty ją nosisz.

—Niemożliwe.

Dwadzieścia minut później stoimy już przy kasie z czterema pudełkami. Postawione przed koniecznością wyboru beżowych koturnów i granatowych czółenek, wzięłyśmy jedno i drugie. Potem dobrałyśmy jeszcze czarne szpilki, bo były za piękne, żeby ich nie wziąć, oraz buty w kolorze toffi po nadzwyczaj okazji cenie.

—Podobają mi się te czarne — mówi Momo — ale nie wiem, czy dam radę w nich chodzić.

—Samo chodzenie to jeszcze nic, Momo. Trzeba chodzić z wysoko uniesioną głową. A jeśli dojdzie do najgorszego, to zawsze możesz przebić Guyowi obcasem tej szpilki tętnicę szyjną.

Uśmiech spelza z jej warg.

—A gdzie ty wtedy będziesz?

—Na jakiś czas znikam.

— Nie — mówi Momo. — Ja nie chcę pożegnalnych prezentów.

—Dasz sobie radę.

—Skąd wiesz?

—Hej, a kto cię szkolił?... Zresztą wiem, że jesteś już gotowa, bo przestałaś mówić przepraszam.

—Nie — mówi Momo. I popatruje na mnie spod oka. — Bez ciebie to już nie to, Kate. — Potem kładzie dłoń na moim ramieniu i cmoka w policzek.

Kiedy wracamy taksówką do biura, obładowane pudełkami pełnymi butów, Momo pyta, dlaczego odchodzę, a ja kłamię. Mówię, że muszę się przeprowadzić, bo moja mama jest chora i chcę być blisko niej. Są rzeczy, których nie można powiedzieć nawet kobiecie, którą się kocha. Nawet sobie.

Dlaczego powinnam zrezygnować z pracy:

1/ Bo mam dwa życia i nie mam czasu cieszyć się żadnym z nich.

2/ Bo 24 godziny to za mało.

3/ Bo moje dzieci bardzo krótko będą dziećmi.

4/ Bo pewnego dnia zauważyłam, że mąż patrzy na mnie jak kiedyś moja matka na mojego ojca.

5/ Bo stawanie się mężczyzną to dla kobiety marnotrawstwo. 6/Bo jestem zbyt zmęczona, by wymyślić jeszcze jakieś,, bo ".

Nazajutrz, przed złożeniem wypowiedzenia, trochę posprzątałam. Gołębia rodzinka dawno się już wyniosła — na przełomie wiosny i lata dwa pisklaki odleciały w końcu z gniazda — ale książki, które osłaniały matkę i dzieci przed magistackim jastrzębiem, nadal tam leżały. Tym razem nie ryzykowałam jednak akrobacji na parapecie. Zawołałam Geralda z ochrony, żeby mi pomógł otworzyć zakleszczone okno. Książki przetrwały w całkiem niezłym stanie. Wyjątkiem było *Dziesięć naturalnych praw efektywnego zarządzania czasem i życiem: Sprawdzone strategie podniesienia produktywności i osiągnięcia spokoju wewnętrznego*. Tomisko wyglądało jak posadzka jaskini. Krzyczące z okładki slogany nikły pod stalagmitami gołębich odchodów.

Kiedy weszłam do gabinetu Roda, ten siedział za biurkiem, które zdobiła nagroda zdobyta w konkursie Równość Płci!: szalkowa waga z malutką, odlaną w brązie figurką kobiety na jednej szalce. Do drugiej Rod nasypał garść orzeszków w czekoladzie.

Źle przyjął wiadomość, że odchodzę. Tak źle, że jego wrzask przeniknął przez ścianę do gabinetu Robina Cooper-Clarka.

— Kate bierze dupę w troki! — oznajmił, kiedy szef działu inwestycji wytknął głowę przez drzwi, żeby ustalić źródło i przyczynę tych pomstowań.

Robin, jak to było do przewidzenia, poprosił mnie do siebie.

—Mogę cię w jakiś sposób odwieść od tej decyzji, Kate? Żaden nie przychodzi mi do głowy, pomyślałam.

—Raczej nie.

—Może niepełny etat? — podsuwa z cieniem uśmiechu.

—Wiem z doświadczenia, co się dzieje, kiedy kobieta decyduje się przejść na niepełny etat, Robin. Najpierw długo nie ma dla niej zajęcia, a w międzyczasie spycha się ją stopniowo na boczny tor, zabierając jeden po drugim fundusze, bo wszyscy wiedzą, że zarządzanie nimi to robota, na którą i pełen etat to za mało.

—Trudno zarządzać pieniędzmi, poświęcając na to mniej niż pięć dni w tygodniu.

Nic nie mówię. Robin próbuje z innej strony.

—Czy to kwestia pieniędzy?

—Nie, czasu.

—Ach. *Sed fugit interea, fugit irreparabile tempus.*

— Jeśli to znaczy, że nie warto marnować czternastu godzin dziennie na wpatrywanie się w ekran monitora, to owszem.

Robin wychodzi zza biurka i staje przede mną w tej niezręcznej pozie, którą nazywają uroczystą.

— Będzie mi ciebie brakowało, Kate.

Ściskam go w odpowiedzi; to chyba pierwszy taki spontaniczny odruch na terenie biur Edwin Morgan Forster.

Potem opuszczam gmach EMF i w drodze do domu z całą premedytacją przebiegam przez trawnik.

TLR

Sąd Macierzyński

Nie bała się już tego sądu. Niczego więcej na nią nie mieli. Nie mogli jej zarzucić nic, czego sama by sobie już po tysiackroć nie zarzuciła. Siedziała więc spokojna, pewna siebie, do czasu kiedy wywołano nazwisko następnego świadka. Wtedy uświadomiła sobie nagle, że to koniec. Nie uniknie kary. Lekko oszołomiona, pochyliła się do przodu i zacisnęła dłonie na poręczy drewnianej balustrady. Oto osoba, która znają najlepiej na świecie.

— Sąd wzywa na świadka panią Jean Reddy.

Widok matki zajmującej miejsce w boksie dla świadków, by zeznawać przeciwko niej, przeraził podsądną, w wyglądzie starszej kobiety dostrzegła jednak coś dziwnie optymistycznego. Po paru sekundach wiedziała już, skąd to wrażenie: mama miała na sobie czerwony kaszmirowy sweterek, który dostała od Kate pod choinkę, a pod nim bluzkę w kwiaty, którą ta sprezentowała jej na przedostatnie urodziny. Chowała te rzeczy na lepsze czasy i dzisiaj założyła je po raz pierwszy.

—Proszę o podanie pełnego imienia i nazwiska.

—Jean Katharine Reddy.

—Czy coś łączy panią z podsądną?

—Kath... Katharine to moja córka. Jestem jej matką. Oskarżyciel publiczny nie dość, że zerwał się na równe nogi, to jeszcze wspiął na palce.

— Pani Reddy, córka pani jest oskarżona o przedkładanie pracy zawodowej nad dobro swoich dzieci. Czy to rzetelny opis sytuacji, którą zaobserwowała pani jako jej matka?

—Nie.

—Proszę, głośniej! — ryczy sędzia.

Mama próbuje jeszcze raz. Jest wyraźnie zdenerwowana, obraca w palcach guzik swetra.

—Nie, Katharine jest oddana swoim dzieciom i bardzo ciężko pracuje. Zawsze tak było. Chce coś w życiu osiągnąć, poprawić sobie byt.

—Tak, tak — warczy oskarżyciel — ale o ile mi wiadomo, nie żyje od jakiegoś czasu z mężem, Richardem Shattockiem, który opuszczając ją, powiedział, że robi to, bo „przestała go zauważać”?

Kobieta siedząca na ławie oskarżonych wydaje cichutki jęk. Matka Kate nie wie, że Richard od niej odszedł.

Ale Jean Reddy przyjmuje tę wiadomość jak bokser cios i odparowuje wyniosłe:

—Nikt nie powie, że to łatwe. Mężczyźni lubią, kiedy się koło nich chodzi, a pracującej kobiecie trudno sprostać takim wymaganiom. Kath zawsze ciągnęła zbyt wiele srok za ogon i czasami widziałam, że jej z tym ciężko.

—Pani Reddy, czy mówi pani coś nazwisko Jack Abelhammer? — pyta oskarżyciel z przelotnym, ironicznym uśmiechem.

—Nie. Nie! — Podsądna przeskoczyła barierkę ławy oskarżonych i staje przed sędzią w T-shircie rozmiaru XXXL z podobizną jamnika na piersiach. — Dobrze. Co chcecie ode mnie usłyszeć? Że przyznaję się do winy? To mam powiedzieć? Posuniecie się do wszystkiego, byle tylko udowodnić, że nie potrafię ułożyć sobie życia, tak?

—Cisza! — grzmi sędzia. — Pani Shattock, jeszcze jedno zabranie głosu bez pozwolenia, a oskarżę panią o obrazę sądu.

— I słusznie, bo ja mam gdzieś ten sąd i wszystkich mężczyzn zasiadających w jego składzie. — I tu podsądna zaczyna płakać, przeklinając w duchu swoją słabość.

—Pani Jean Reddy — podejmuje oskarżyciel, ale świadek go nie słucha. Ona też opuściła boks dla świadków. Podchodzi do szlochającej kobiety i bierze ją w ramiona. A potem zwraca się do sędziego:

—A pan, panie sędzio? Kto poda panu dziś wieczorem herbatę? Bo sam pan jej sobie nie zaparzy, prawda?

—Tego już za wiele! — pieni się sędzia.

—Ludzie tacy jak pan nigdy nie zrozumieją takich kobiet jak Katharine. A wydaje się wam, że macie prawo ją sądzić. Wstyd — mówi Jean Reddy cicho, ale ze stanowczością, którą słyszało w jej głosie kilka pokoleń dzieci, kiedy przywoływała je do porządku na placu zabaw.

TLR

Dziecko, to ty

W dniu, w którym na świat przyszedł Seymour Troy Stratton, zamach stanu w Katarze pociągnął za sobą gwałtowny wzrost cen ropy, a wskutek bezprecedensowego podniesienia stóp procentowych przez potężną Rezerwę Federalną, ceny akcji na całym świecie poleciały w dół. W samej tylko Wielkiej Brytanii firmy z FTSE 100 straciły na wartości 20 miliardów funtów. Umiarkowane trzęsienie ziemi w okolicach Kioto wywołało kolejne fale wstrząsowe w i tak już rozchwianym globalnym środowisku. Żadne z powyższych wydarzeń nie odbiło się w najmniejszym stopniu na matce ani na dziecku, które drzemało sobie spokojnie w odgradzonej kotarą alkowie na trzecim piętrze oddziału poporodowego szpitala przy Gower Street.

Idę do nich korytarzem i przypomina mi się, jak sama tu kiedyś leżałam — te położne w niebieskich piżamach, te szare drzwi, za którymi wielki pierwszy akt życia odgrywany jest raz po raz przez kobiety niskie, kobiety wysokie i kobietę, której wody odeszły podczas przerwy na lunch w windzie pewnego banku. To miejsce bólu i uniesienia. Ciało i krwi. Ostre i stłumione wrzaski dzieci; twarze ich matek pałające szczęściem. Kiedy tu jesteś, wydaje ci się, że wiesz, co jest ważne. I się nie mylisz. Ale wkrótce wracasz do świata zewnętrznego i udajesz, że zapomniałaś, udajesz, że są dla ciebie rzeczy ważniejsze. Ale to nieprawda. Każda matka wie, jak to jest, kiedy otwiera się komora serca i wypełniają potop miłości. Wszystko inne to tylko szum tła i mężczyźni.

— Chcę na niego tylko popatrzeć — mówi Candy. Siedzi na łóżku podparta poduszkami, ażurową nocną koszulę, którą dostała ode mnie, rozpięta na całej długości, żeby ułatwić synkowi dostęp do piersi. Sutki są jak ciemne dojrzale

owoce. Dłonią prawej ręki podtrzymuje jego główkę, niemowlę ssie zachłannie.
— Nic, tylko bym na niego patrzyła, Kate. To normalne?

— Całkowicie normalne.

Przyniosłam dziecku grzechotkę w kształcie Misia Padding-tona, takiego w czerwonym kapeluszu, którego uwielbiała kiedyś Emily, oraz koszyk amerykańskich bułeczek dla jego mamy. Candy mówi, że musi natychmiast zrzucić wagę, ale nie protestuje, kiedy pcham jej do ust kęs za kęsem, bo ona ręce ma zajęte.

— Dziecko wyssie z ciebie cały tłuszcz, Cand.

—O, jak wspaniale! Długo mogę je karmić piersią? Dwadzieścia lat?

—Niestety, po jakimś czasie przychodzą i cię aresztują. Czasami myślę sobie, że gdyby wyszło na jaw, co czułam, karmiąc Bena, zajęłyby się mną służby socjalne.

— Nie mówiłaś mi. — Candy posyła mi zmęczony uśmiech.

— Próbowałam. Wtedy w Corney i Barrow. Ale tego trzeba doświadczyć na sobie.

Candy pochyla głowę i wacha główkę synka.

— Chłopiec, Kate. Urodziłam chłopczyka. Co ty na to? Jak wszystkie noworodki, Seymour Stratton wygląda na tysiącletniego staruszka. Czółko przecinają mu zmarszczki mądrości albo zadumania. Nic można jeszcze spekulować, jakiego rodzaju mężczyzna z niego wyrośnie, ale na razie jest mu dobrze tu i teraz, w ramionach kobiety.

Epilog

Co potem zrobiła Kate

Wydaje mi się, że o zakończeniu nie może być raczej mowy. Kółka autobusu kręcą się i kręcą, i tak przez cały dzień.

Wiele się wydarzyło, wiele pozostało po starym. Trzy miesiące po urodzeniu Seymoura Candy wróciła do pracy w EMF, a dziecko umieściła w żłobku przy Liverpool Street, gdzie z rodziców bez żenady zdzierano skórę. Candy obliczyła, że każda zmiana pieluszki kosztuje ją 20 dolarów. „Cholernie drogo jak za jedną kupkę, nie?”.

Przez telefon rozmawiało się z nią jak z dawną Candy, ale ja wiedziałam, że tamtej Candy, Candy Sprzed Dzieci, już nie ma. Jak to było do przewidzenia, szybko zbuntowała się przeciwko wydłużonym brutalnie godzinom pracy, na które wcześniej nigdy się nie uskarżała. Drażniło ją, że kiedy próbowała wyjść o 17.30, Rod Task nazywał to „przerwą na lunch”. Drażniło ją, że nie widuje swojego synka przy dziennym świetle. Kiedy Seymour skończył siódmy miesiąc życia, Candy wmaszerowała do gabinetu Roda i oznajmiła, że bardzo jej przykro, ale będą się musieli rozstać. Miała problem z osiągnięciem wymaganego przezeń poziomu zaangażowania: za wysoko ustawił poprzeczkę.

Po powrocie do New Jersey mieszkała przez jakiś czas u swojej mamy, potem znalazła sobie własne lokum: Candy powiedziała, że dzięki Seymourowi zrozumiała, po co ma matkę. Niedługo potem dostrzegła lukę w rozwijającym się prężnie rynku sprzedaży wysyłkowej, założyła własną firmę i wkrótce została zauważona przez magazyn „Fortune”, który wciągnął ją na swoją listę Postaci, Które Warto Obserwować. „Najpierw Praca, Nigdy Zabawa” — tak nazywała się seria seks-zabawek przeznaczonych dla kobiet na kierowniczych stanowiskach, które mają wszystko, prócz czasu na przyjemności. Dostałam od niej paczkę z

próbkami, którą rozpakowałam przy stole podczas wizyty Barbary i Donalda. Richard przez pół godziny wmawiał im, że wibratory to zestaw przyborów kuchennych nowej generacji.

Moja ukochana Momo została w EMF i pięła się szybko po szczeblach kariery, ledwie kolejne muskając. Ta domieszka stali w jej naturze, którą zauważyłam już przy pierwszym spotkaniu, okazała się nieoceniona, tak samo jak jej umiejętność słuchania i pojmowania w lot, czego życzą sobie klienci. Czasami dzwoniła do mnie w środku dnia z damskiej toalety, prosząc o radę. Jej szept tonął raz po raz w szumie spuszczonej wody. Latem wzięła kilka dni wolnego i przyjechała do nas. Wtedy po raz pierwszy w życiu zaimponowałam Emily: jej matka wyczarowała w końcu prawdziwą księżniczką. „Czy pani jest księżniczką Jaśmine z Aladyna?” — zapytała Em, a Momo odparła: „Już bardziej Śpiącą Królewną. Bo tak jakbym spała, i dopiero twoja mama mnie obudziła”.

Debra odkryła, że Jim ma romans z jakąś kobietą mieszkającą w Hongkongu. Rozwiedli się i Deb załatwiła sobie pracę na cztery dni tygodniowo w swojej kancelarii prawniczej. Wkrótce potem stwierdziła, że zabierają jej najlepszych klientów, ale przymykała na to oczy. Powtarzała sobie, iż czas odwetu przyjdzie, kiedy Feliks i Ruby podrosną. Planujemy z Deb wybrać się w któryś weekend nad morze i jak dotąd, przesuwałyśmy datę tego wypadu tylko cztery razy.

Winston ukończył filozofię na University of East London, a jego rozprawa z etyki „Skąd wiemy, co jest właściwe?” uzyskała najwyższą ocenę na roku. Żeby opłacić czesne za ostatni rok studiów, sprzedał Pegaza, który rozpoczął nową karierę w wyścigach starych samochodów.

Legitymując się utrzymanymi w entuzjastycznym tonie referencjami ode mnie, Paula dostała pracę niańki u gwiazdy filmów akcji klasy B, Adolfa Brocka i jego żony, byłej miss Bułgarii. Rodzina mieszkała jakiś czas w The Plaza w Nowym Jorku, ale kiedy Paula, której okno wychodziło na Central Park, oznajmiła, że się tam dusi, Brockowie przenieśli się posłusznie do Maine.

Po tamtym poranku na lodowisku nic spotkałam się już z Jackiem Abelhammerem. Zmieniłam swój e-mailowy adres, bo wiedziałam, że moja siła woli jest za słaba, by powstrzymać mnie przed odpowiedzią na każdą kolejną wiadomość

od niego. Wiedziałam również, że moje małżeństwo ma szansę na przetrwanie tylko pod warunkiem, że skończę z fantazjowaniem o kochanku: gdybym dalej marzyła o Jacku, to czym byłby dla mnie Richard? Ale i tak, ilekroć loguję się w sieci, wciąż podświadomie wypatruję jego nazwiska w skrzynce pocztowej. Ludzie powiadają, że czas goi wszelkie rany. Którzy ludzie? O czym oni mówią? Według mnie, pewne uczucia, których doświadczą się w życiu, zapisywane są nieścieralnym atramentem i co najwyżej można mieć nadzieję, że trochę spłowieją z biegiem czasu.

Nie poszłam z Jackiem do łóżka — żal wielkości kontynentu — ale niesmaczne jedzenie i wspaniałe piosenki w Sinatra Inn były najlepszym seksem, którego nie było. Wciąż przechowuję ostatni e-mail, jaki mi przysłał.

Od. Jack Abelhammer Do: Kate Reddy Kate,

Od jakiegoś czasu nie mam od ciebie żadnych wiadomości, pracuję więc nad teorią, że przeszłaś na pełny etat matki. Ale wiem, że wrócisz. Chwała bohaterce...

Rod z EMF powiedział, że wyjechałaś z Londynu. Pamiętasz, jak twój tato nazywał Sinatrę? Świętym Patronem Niespełnionej Miłości.

W niespełnionej miłości najwspanialsze jest to, że tylko ona nigdy nie wygasa, twój na zawsze Jack

Sprzedaliśmy z Richardem dom w Hackney, przeprowadziliśmy się do Derbyshire, w moje rodzinne strony, gdzie kupiliśmy posesję na skraju miasteczka targowego z widokiem na padok. (Zawsze chciałam mieć padok i teraz, kiedy go mam, nic wiem, co z nim zrobić). W dom trzeba jeszcze włożyć mnóstwo pracy, ale dwa pokoje znajdują się już w przyzwoitym stanie, reszta zaś może poczekać. Dzieci są zachwycone przestrzenią do biegania, a Richard jest w swoim żywiole. Kiedy nie pracuje nad nowym centrum sztuki, wznosi kamienny murek i co pięć minut woła, żebym przyszła i popatrzyła.

Niedługo po mojej rezygnacji zadzwonił Robin Cooper-Clark z pytaniem, czy nie poprowadziłabym z nim funduszu terminowego. Praca niepełnoetatowa, minimum podróży zagranicznych, wymarzone zajęcie dla mnie. Pokusa była wiel-

ka: za wynagrodzenie, które proponował, mogłabym kupić pół wioski, a cienko przedliśmy, utrzymując się z samych dochodów Richarda, ale Emily, słysząc, jak wymieniam nazwisko Robina, zeszywniała i szepnęła: „Mamusiu, nie rozmawiaj z nim, proszę”. Nazwisko Cooper-Clark kojarzyło jej się z wrogiem.

Trochę lepiej znam teraz swoją córeczkę. Dwa miesiące po odejściu z pracy uświadomiłam sobie, że te wszystkie prowadzone z zegarkiem w rękę rozmowy do poduszki nie mówiły mi zupełnie nic o tym, co naprawdę dzieje się w głowce Em. Takie rzeczy ujawniają się spontanicznie, nic można tego wymusić. Trzeba być w pobliżu, kiedy to się dzieje. Co do Bena, to robi się coraz słodszy i coraz psotniejszy. Ostatnio odkrył klocki lego, z których buduje mur, i co pięć minut woła, żebym przyszła i popatrzyła.

Pojechałam z Richardem i dziećmi poznać Sally Cooper-Clark. Okazała się w każdym calu tak miła i ciepła, jak opisywał ją Robin, i mogłam się naocznie przekonać, jak on przy niej odżywa, nie wspominając już o idealnie wyprasowanych koszulach. W drodze powrotnej zostawiłam Richa z dziećmi na dziesięć minut w barowym ogródku, a sama minęłam kościół i zeszłam po stoku do mogiły Jill Cooper-Clark.

Dziwne, jaką siłą przyciągania ma miejsce, gdzie pochowany jest ktoś bliski, prawda? Jeśli Jill jest teraz gdziekolwiek, to jest wszędzie. Stałam nad białym nagrobkiem z jasnoszarymi literami. U samego dołu jest napisane: Była bardzo kochana.

W myślach powiedziałam Jill wszystko, co chciałyby wiedzieć. Mawiają, że kobietom są potrzebne wzorce zachowań i to chyba prawda, ale sukces jest nie tylko domeną ludzi przebojowych. Istnieje waluta, którą w EMF nigdy nie handlowaliśmy, i pod tym względem Jill była najbogatszą ze znanych mi osób.

A ja? Co się stało ze mną? Cóż, spędzałam trochę czasu ze sobą, i niezbyt odpowiadało mi to towarzystwo. Lubiałam odprowadzać Emily do miejscowej szkoły, a po lekcjach czekać na nią przy bramie. O tej porze roku kałuże ścina lód. Lubimy na nim stawać i czekać, aż załamie się z trzaskiem. Kiedy Em była w szkole, szwendaliśmy się z Benem po domu albo chodziliśmy na kawowe poranki do innych mam z małymi dziećmi. Nudziłam się śmiertelnie. Zeszła mi egze-

ma, ale policzki już mi drętwiały od robienia przyjaznych, zainteresowanych min. Kiedyś, stojąc w kolejce w miejscowym banku, przyłapałam się na rzucaniu ukradkowych spojrzeń na tabelę kursów walut. Myśleli pewnie, że planuję napad.

Potem, dwa dni temu, zadzwoniła do mnie Julie. Dzwoniła z trzeszczącej strasznie komórki, ale od razu zorientowałam się, że płacze. „Mama”, przemknęło mi przez myśl, i żołądek podszedł mi do gardła, ale to nie było to: fabryczka, w której pracowała Julie, zbankrutowała. Kierownik zwał; wpadli likwidatorzy masy upadłościowej. Pozakładali kłódki na drzwi. Wszystkie kobiety, które trwały dotąd przy maszynach, dygotały teraz z zimna na dziedzińcu. Czy mogłabym przyjechać?

Odmówiłam. Musiałam przyrzadzić lunch dla Bena, a poza tym naprawdę, nie wiedziałam, co tam po mnie. Julie odpowiedziała głosem, który znałam z dzieciństwa, tym, którego używała, pytając, czy może się przenieść do mojego łóżka, kiedy z dołu dolatywały podniesione głosy matki i ojca. „Ale ja już wszystkim powiedziałam, że jesteś bizneswoman, Kath, i potrafisz nam wytłumaczyć, co i jak”.

Przeczesałam włosy, przejechałam szminką wargi, ze ściennej szafy w jednym z nieużywanych pokoi wygrzebałam żakiet od Armaniego. Chciałam wyglądać jak kobieta, którą Julie opisała swoim koleżankom. Włożywszy żakiet, poczułam się znowu jak w mundurze: szara wełna impregnowana zapachem władzy, zarabianych pieniędzy i załatwianych spraw. Wcisnęłam Bena w fotelik dla dziecka — fotelik robi się za mały, trzeba kupić nowy — i pojechałam do dzielnicy przemysłowej. Nietrudno było znaleźć fabryczkę Julie. Tablica na płocie głosiła: „Tradycyjne angielskie domki dla lalek”, a na niej nalepka: „W likwidacji — pełna wyprzedaż”. Na dziedzińcu stało ze czterdzieści kobiet: szwaczki, wśród nich wiele w przepięknych sari. Rozstępowały się przede mną, a ja miałam wrażenie, że kroczę wśród stada tropikalnych ptaków. Facetowi pilnującemu bocznych drzwi machnęłam przed nosem swoją starą platynową kartą Amcx, powiedziałam, że jestem z Londynu i chcę coś kupić. W środku zobaczyłam domki dla lalek w różnych fazach urządzania: maleńkie sofy, pufy, aksamitne

lambrekiny, porcelanowe sedesiki jeszcze bez drewnianych desek, wspaniałe for-
tepiany wielkości puderniczki.

— Da się coś zrobić, Kath? — spytała Julie, kiedy stamtąd wyszłam.

Absolutnie nic.

— Spróbuję się dowiedzieć, co się stało.

Nazajutrz zawiozłam Em do szkoły, zostawiłam wniebowziętego Bena u
równie wniebowziętej babci i pojechałam pociągiem do Londynu. Potem tak-
sówką do izby rzemieślniczej. Szybko znalazłam księgi fabryczki domków dla
lalek za ostatnie pięć lat. Obraz nędzy i rozpacz. Firma znajdowała się w opła-
kanym stanie — żadnych rezerw, żadnych inwestycji, góra długów, kompletna
ruina finansowa.

W drodze powrotnej na północ próbowałam czytać gazetę, ale litery skakały
mi przed oczyma. Że istnieje wiele funduszy etycznych inwestujących w zakłady
pracy zatrudniające same kobiety, wiedziałam lepiej niż ktokolwiek. Pieniądze
do wzięcia. Ale wstrząs pociągu zatrzymującego się na stacji w Chesterfield
obudził mój zdrowy rozsądek.

Kate Reddy, nie do wiary, że w ogóle przyszło ci to do głowy. Wpakować się
w coś takiego? Chyba rozum ci odebrało, kobieto!

*

Godz. 19.37

Pora do łóżek. Szczotkowanie zębów, 2 czytania na głos *Kota w kapeluszu*, 4
recytacje *Dobranoc księżycu*, 3 *Sowiątek*, wizyty w łazience (4), próby na noc-
niczku (2), czas do zgaszenia światła: razem 48 minut. Za długo.

Godz. 20.37

Dzwonię do Candy Stratton z New Jersey, żeby porozmawiać z nią na temat ewentualnego rynku sprzedaży wysyłkowej i kanałów dystrybucji na przykładzie firmy produkującej domki dla lalek o zasięgu globalnym.

—Wiedziałam! — krzyczy Candy.

—Prowadzę rozpoznanie w imieniu znajomej.

— Jasne, wiem. Powiedz jej, żeby włożyła ten swój czerwony stanik, kiedy będzie szła szukać chętnego do wyłożenia forsy.

Godz. 21.11

Dzwonię do Gerry'ego z Dickinson Bishop w Nowym Jorku. Pytam o fundusze specjalizujące się w inwestowaniu w firmy zatrudniające same kobiety. Geny mówi, że nie ma sprawy.

— Fundusze etyczne to nowa viagra, Katie.

Godz. 22.27

Ben miał wypadek w łóżeczku. Zmieniam pościel. Szukam pieluchy. Gdzie pieluchy?

Godz. 23.48

Budzę w domu Momo Gumeratne, żeby zapytać o możliwość składania drewnianych szkieletów domków dla lalek przez robotnice zatrudniane przez lankijską agencję pomocy, której doradza.

—Kate — pyta Momo — weźmiesz mnie do spółki?

—Ja niczego nic rozkręcam. Idź spać.

Północ

Zanoszę Emily szklanekę wody. Patrzą na mnie w ciemności te wielkie szare oczy.

— Mamusiu, ty myślisz — mówi oskarżycielskim tonem.

— Tak, kochanie, ale to nie zabronione. A może pomogłabyś mamusi zbudować pałac?

—Dobrze, ale musi mieć wieżę, w której śpi królowna.

—Będzie taką miał.

Godz. 1.01

Mam jeszcze czas na przejrzenie ksiąg fabryki. Potrzebny mi dobry plan marketingu i trochę urozmaicenia asortymentu. Może by tak seria różnych budynków, zamiast tego tradycyjnego georgiańskiego domu? Może nowojorska kamienica? Domki letniskowe, biura, zamki, statki, pałac Emily. Richard mógłby je projektować.

Godz. 1.37

— Kate, a co ty tu jeszcze robisz? Przecież już prawie druga nad ranem.

W progu kuchni stoi Richard. Ten Rich z niezmiernymi pokładami angielskiego racjonalizmu i niezachwianej dobroci.

—Późno, kochanie — mówi.

—Już idę.

—Co tam kombinujesz?

—Nic.

Przypatruje mi się podejrzliwie.

— Nic, czyli co tym razem?

— Och, zastanawiałam się właśnie, no wiesz, nad budownictwem.

Rich unosi brew.

— Później ci wytłumaczę. Wygrzej mi łóżko, już idę. Pocałunek, który składa na moim czole, jest w równej mierze podarunkiem i pytaniem.

Patrzę, jak Richard wchodzi po schodach i najchętniej podążyłabym w jego ślady, ale nie mogę zostawić kuchni w tym stanie. Po prostu nie mogę.

Pomieszczenie nosi ślady ciężkich walk; mały mur obronny w budowie i le-go-odłamki rozsiane po całej podłodze. Pod moją nieobecność w wielkiej szklanej misie przybyły trzy jabłka i trzy morele, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby wyrzucić stare owoce i zgniłe brzoskwinie na spodzie puściły gęsty bursztynowy śluz. Wrzucając je jedną po drugiej do kubła na śmieci, myślę, ile to pieniędzy idzie w błoto. Po umyciu misy wycieram dokładnie każdy z pozostałych owoców z bursztynowego nacieku i wkładam je do niej z powrotem. Pozostaje mi jeszcze przygotować drugie śniadanie dla Emily na rano, sprawdzić, o której mam wizytę z Benem w przychodni, zastanowić się, czy jeśli pojadę prosto stamtąd do banku na rozmowę ze swoim doradcą, potem do fabryki na zebranie z załogą i likwidatorami, to wyrobię się jeszcze pod szkołę, żeby odebrać po lekcjach Emily. Wyjąć kurczaka z zamrażarki. Wykręcić się z zebrania komitetu rodzicielskiego. Emily chce konika. Po moim trupie. Komu przypadłoby w udziale czyszczenie stajni, no komu? Urodziny Richa — kolacja- niespodzianka? Chleb. Mleko. Miód. I jeszcze coś. Wiem, że jeszcze o czymś zapomniałam.

Tylko o czym?

Podziękowania

Książka ta nie została by nigdy napisana, gdyby nie Miranda Richards, która przekonała mnie, że nie taki Dow Jones straszny, jak go malują, i której tyle zawdzięczam.

Pragnę podziękować Hilary Rosen za błyskotliwe e-maile, z których śmiałam się w głos, ilekroć życie stawało się zbyt Kate-podobne. Wiele jest takich Kate Reddych, które opowiadają o swoich porażkach z nieprawdopodobnym poczuciem humoru: wiedzą, kim są, i pozdrawiam je.

Fragmenty *Nie wiem. jak ona to robi* drukowane były po raz pierwszy w „Daily Telegraph”. Mam wielki dług wobec Sarah Sands za podsuniecie mi pomysłu na tę powieść i wobec Charlesa Moore'a za jego wyrozumiałość i dobre serce.

Miałam szczęśliwą rękę do agentek, Pat Kavanagh z Londynu i Joy Harris z Nowego Jorku, jak również do wydawców — Alison Samuel, Caroline Michel i Jordana Pavlina. Norman North z PFD i Lola Bubbosh z Miramaxu zapewnili mnie, że pewnego dnia Kate dostanie drugie życie na wielkim ekranie, a Nicki Kennedy z ILA z entuzjazmem sprzedaje ją na cały świat. Za moralne wsparcie i praktyczny krytycyzm dziękuję też Nicoli Jeal, Adamowi Gopnikowi, Marcie Parker, Anne McElvoy, Kathryn Lloyd, Claerwen James, Philippie Lowthorpe, Pruc Shaw, Tamsyn Salter, Justine Jarrett, Naomi Benson, Richardowi Prestonowi, Quentinowi Curtisowi i Niamh O'Brien.

Książka o matkach ze zrozumiałych względów zawdzięcza wiele Matce jej autorki. Pragnę podziękować mojej Mamie za poświęcony mi czas, którego wartości nie sposób wycenić.

Postać Bena nie powstałaby bez uroczego Thomasa Lane'a, którego skrzętnie podpatrywałam. Obserwacje Emily zainspirowane zostały dowcipnymi i przeni-

kliwymi wypowiedziami Eveline Lane, Isabelle i Madeleine Urban oraz Polly, Amelii i Theodory Richards-.

Na koniec dziękuję Anthony'emu Lane'owi, którego dziełem jest większość występujących w tej książce przecinków i wszystkie średniki. Kiedy w naszym domu powstawało fikcyjne życie zaganianej pracującej matki, to on ładował zmywarę do naczyń, przyrządzał kolacje, trzysta razy przeczytał *Sowiątka* i znajdował jeszcze czas na pisanie recenzji filmowych. Nic wiem, jak on to robi.

Allison Pearson Londyn, kwiecień 2002

TLR